



ANNA KANTOCH

ŁASKA

Anna Karłowicz

Łaska

wydawnictwo  zorne

Wołowiec 2016

Projekt okładki Magdalena Palej

Fotografie na okładce © by ragnisphoto / shutterstock,
Ruslan Grumble / shutterstock

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © by Anna Kańtoch, 2016

Opieka redakcyjna Konrad Nowacki

Redakcja Anna Brynkus-Weber / d2d.pl
Korekta Iwona Łaskawiec / d2d.pl, Anna Woś / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-253-0

Wołowiec 2016
Wydanie I

Wydawnictwo Czarne sp. z o.o.
www.czarne.com.pl

Część I: Wojtek

Październik 1955 roku

Jan Peczek schylił się i wyćwiczonym ruchem ściał podgrzybka u nasady, prawdopodobnie jednego z ostatnich w tym roku. Otrzepał go z sosnowych igieł, obejrzał - nóżka była robaczywa, ale kapelusz wydawał się w porządku. Grzyb wylądował w koszu, a mężczyzna wyprostował się z cichym stęknieniem. Wokół panowała cisza, słychać było jedynie szelest kropel osypujących się z rozłożystych koron buków i szmer niedalekiego strumienia. Nad ziemią snuły się strzępy porannej mgły. Jan odetchnął głęboko, wciągając w płuca zapach wilgotnej po deszczu ziemi, który przepędził resztki alkoholowego oszołomienia. Wczoraj ostro z kolegami popił i jeszcze godzinę temu przeklinał ślubną, która bladym świtem ściagnęła z niego pierzynę i przypomniała, że obiecał wybrać się na grzyby. Lecz teraz złość gdzieś się ulotniła i Jan mimo niewyspania i kaca był zadowolony, że zdecydował się wstać. Lubił las, zwłaszcza wczesnym rankiem, nim pojawią się tu tłumy niedzielnych zbieraczy. A kosz był prawie pełny - starczy dziś do jajecznicy i na jutrzejszą zupę, resztę się zamarynuje na zimę.

Tak, Jan byłby całkiem szczęśliwym człowiekiem, gdyby tylko tak bardzo go nie suszyło.

Wydeptaną przez sarny ścieżką ruszył w stronę strumienia, położył kosz na brzegu, po czym klęknął i nabrał w dłonie lodowato zimnej wody. Smakowała ziemią i czymś jeszcze - gnijącym drewnem albo rosnącym na kamieniach mchem. Wstając, poczuł, jak w kręgosłupie coś przeskakuje - cóż, czterdziestka to nie młodzińczy wiek. Pora sprawdzić miejsce przy zwalonym dębie, gdzie rosła kolonia opieńek, i można

wracać do domu.

Właśnie wtedy, gdy powoli się prostował, zauważył to stworzenie.

Tak pomyślał w pierwszej chwili: nie człowiek, tylko stworzenie, może dzik albo duży pies. Serce skoczyło mu do gardła, ale zaraz się uspokoił. Znał las jak własną kieszeń, kłusował tu jeszcze przed wojną, za niemieckiego dziedzica, a kiedy nastąpiła polska władza ludowa, nadal zastawiał sidła na nieostrożne zające i kradł zimą drewno. Potrafił wyczuć niebezpieczeństwo, jeśli się na nie natknął.

To coś po drugiej stronie strumienia było dziwne, w pewien sposób niepokojące, ale niegroźne.

Wyprostował się ostrożnie na pełną wysokość - stworzenie nie poruszyło się, błysnęło tylko oczami, zaskakująco ludzkimi i bardzo jasnymi na tle ciemnej twarzy. Bo Jan patrzył na dziecko, może sześciolletnią dziewczynkę z pozlepianymi w strąki lokami, ubraną w wystrzępioną sukienkę i bardzo brudną. Gdyby stanęła nieco dalej, na tle kępy dzikich porzeczek, można by ją pomylić z krzakiem, tyle gałęzi tkwiło w jej włosach. Jan zaklął w myślach, a potem dla równowagi wezwał na pomoc Matkę Boską Częstochowską.

Jeśli miał rację, to wiedział, kim ta mała jest.

Dziewczynka znowu zamrugła, błękit tęczówek zajaśniał na tle wysmarowanej czymś - błotem? - skóry. Wyglądało to niesamowicie, bo stała zupełnie nieruchomo jak gliniana kukła i tylko oczy w jej twarzy były żywe. Mrug, mrug.

- Maryśka? - Jan odchrząknął. Jego własny głos zabrzmiał w ciszy lasu dziwnie obco. - Chodź do mnie.

Ruszył po kamieniach na drugą stronę strumienia. Poślizgnął się oczywiście i lewa stopa z pluskiem wylądowała w wodzie. Zaklął, tym razem głośno, po czym wyskoczył na brzeg, niemal przekonany, że spłoszone dziecko zdążyło uciec, lecz nie, Marysia wciąż tkwiła w miejscu. Wyciągnął do niej ręce, starając się mówić łagodnie, jakby uspokajał zdenerwowanego konia. Nie miał doświadczenia w postępowaniu z małymi dziewczynkami - sam wychował trójkę chłopaków - ale ostatecznie sześciolatek to tylko sześciolatek, niezależnie od

płci.

- Gdzieś ty była? Chodź, odprowadzę cię do domu. - Zmarszczył brwi, widząc zaschniętą skorupę pokrywającą włosy, skórę i sukienkę Marysi. - W błocie się kąpałaś?

Śmierdziała, aż cofnął się pół kroku. I nie była to zwyczajna woń niemytego od wielu dni ciała, tylko coś, co przywodziło na myśl koryto do parzenia świń, które mieszkająca na wsi matka Jana wyciągała w grudniu ze stodoły. Poślinił palec i potarł policzek dziewczynki. Dziecko spoglądało obojętnie, jakby jego umysł przebywał daleko stąd.

Kwik zarzynanych wieprzków i żelazisty odór juchy spływającej do cebrzyka - to było właśnie to. Zapach krwi, choć nie tej świeżej, gorącej, ale tej, która gniła potem w szparach pomiędzy deskami, dopóki matka Jana nie wzięła ryżowej szczotki i porządnie nie wyszorowała naczynia. Zapach rozkładu i śmierci.

Dziecko od bosych stóp aż po czubek głowy pokryte było zaschniętą krwią.

Styczeń 1985 roku

1.

Budzik zadzwonił o siódmej, gdy Maria Lenarczyk tkwiła pomiędzy jawą a snem w nerwowym oczekiwaniu na terkotliwy dźwięk, którego tak bardzo nienawidziła. Kiedy budzik się odezwał, niemal odczuła ulgę. Wyciągnęła rękę i wyłączyła go, a potem leżała przez chwilę z otwartymi oczami w szarym świetle styczniowego poranka. Znużenie krążyło w niej ospale, głowę miała ciężką, jakby ktoś wbił jej w czoło żelazny klin, który blokował swobodny przepływ myśli. Chciała zwinąć się pod kołdrę i spać aż do wiosny. Przez moment kuśiło ją, żeby zadzwonić do szkoły, powiedzieć, że nagle zachorowała i ktoś musi wziąć za nią zastępstwo. Wiedziała jednak, że nie może nadużywać tej wymówki - dyrektorka już krzywo na nią patrzyła. A nadejdą jeszcze gorsze dni, takie, kiedy naprawdę nie będzie w stanie podnieść się z łóżka.

Zmusiła się, by usiąść i spuścić na lodowatą podłogę bosa stopy. W głowie jej się zakręciło - nie miała pojęcia, czy to dlatego, że ostatnio mało jadła, czy może cały jej organizm zaczynał się sypać jak przerdzewiały silnik. Włożyła kapcie i objając się o meble, poczłapała do łazienki, gdzie na pralce leżały przygotowane rzeczy: na górze bielizna, pod nią prosta spódnica, sweter i rajstopy. Dzięki temu nie musiała wykonywać zbędnych ruchów. Wystarczyło odkręcić kran, ochlapać twarz wodą, umyć się pod pachami i między nogami, a potem się ubrać, zużywając jak najmniej energii. Wszystko, co wymagałoby większego wysiłku, chwilowo było poza jej zasięgiem. Fryzurę miała krótką, męską - wystarczyło przejechać po włosach grzebieniem, malowała się bardzo rzadko. Koleżanki z pracy uważały, że taki ma styl, ale Maria czasem zadawała sobie pytanie, ile jest w nim jej własnego wyboru, a ile podporządkowania tym ciemnym, zimnym porankom, kiedy życie stawało się tak bardzo nieznośne. Jeszcze nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby na to pytanie odpowiedzieć.

Ubrana powędrowała do kuchni, gdzie przywitał ją za- stygły w kurzu chłód rzadko używanego pomieszczenia. Nie miała czasu, żeby rozpaść w piecu, odkręciła tylko gaz w czterech palnikach kuchenki, żeby choć trochę się ogrzać. Na jednym zagotowała mleko, które wypila, przegryzając wczorajszą bułkę. W żołądku czuła pustkę, była głodna, a mimo to nawet żucie wymagało nieproporcjonalnie wielkiego wysiłku, jakby wszystko w niej zamykało się, zapadało w letarg. Ostatecznie odłożyła niedojedzone pieczywo i zrobiła sobie kawę, mocną, z czterema łyżeczkami cukru. Zimą Maria funkcjonowała prawie wyłącznie na cukrze.

Siedziała skulona na krześle, grzejąc dłonie o malowany w maki kubek, z którego piła jako dziecko. Dziwnie było po latach wrócić do domu, w którym się wychowała. Wszystko tu było z jednej strony znajome, bo na każdym kroku potykała się o wspomnienia z dzieciństwa, a z drugiej obce. W szafie wygoszparowała jedną półkę na swoje ubrania, na pozostałych wciąż leżały rzeczy ciotki: pachnące kulkami na

mole zakopiańskie swetry z owczej wełny, pożółkłe pasy do pończoch i futrzane kołnierze spoglądające szklanymi oczami zastrzelonych lisów czy kun. W łazience znajdowała plastry na odciski, ostro pachnące maści, przeterminowane syropy i lekarstwa na różne starcze dolegliwości, w kuchni pełno było poobijanych talerzy i filiżanek z serwisów, które najlepsze czasy dawno miały za sobą. Powinna to wszystko wyrzucić, może wtedy poczułaby ulgę, a dom stałby się naprawdę jej. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić - ciotka wciąż żyła, choć szanse, że kiedykolwiek uda jej się opuścić szpital, były bliskie zera.

Maria włożyła pusty kubek do zlewu, gdzie piętrzył się stos naczyń z wczorajszego dnia. Obiecała sobie, że pozmywa po powrocie z pracy. Mnóstwo rzeczy odkładała teraz na później.

Wyszła, upewniając się trzy razy, że zamknęła za sobą drzwi. Na zewnątrz panował wilgotny chłód, który bez trudu przeniknął przez płaszcz. Niebo zaciągnięte było chmurami, pod stopami na kałużach pękała warstwa lodu.

O tej porze trzymał jeszcze nocny mróz, ale po południu pewnie zrobi się plucha. Maria skuliła się, idąc do furtki. Jak wczoraj i przedwczoraj czekał pod nią na wpół dziki kot, któremu parę dni temu z litości dała trochę zupy. Miał czarne futro, zaropiałe oczy i zwisające w strzępach ucho.

- Wracaj do lasu - mruknęła. - Jak przyjdiesz po obiedzie, to może coś dostaniesz.

Narastała w niej złość. Nie dobry, płonący w żyłach gniew, który czasem pozwalał zrobić coś pozytywnego, ale tępa, pełna zniechęcenia irytacja. Na ciepłą woń obory dolatującą od strony domu Chojniaków, nowe buty z imitacji skóry, które już zaczynały przeciekać, i spóźniający się autobus - jedyny, jaki miała do dyspozycji, bo choć osiedle Jelonki, gdzie mieszkała, teoretycznie leżało jeszcze w granicach Mgielnicy, tak naprawdę pod wieloma względami przypominało wieś.

Dwie pierwsze lekcje przetrwała dzięki kawie i wieloletniemu doświadczeniu, które pozwalało jej opowiadać o zawilościach gramatyki czy poezji barokowej niemal bez zastanawiania się nad tym, co właściwie mówi. Potem jednak zmęczenie zaczęło

brać górę i trzecia godzina wlokła się niemiłosiernie, a Maria miała wrażenie, że lada moment straci nad sobą kontrolę i zrobi coś, czego będzie później żałować. Powie jakieś głupstwo, może wytarga za uszy któreś z dzieci albo w inny sposób zdradzi, że nie jest tą zawsze opanowaną panią od polskiego, za którą ją uważano.

Długą przerwę spędziła w pokoju nauczycielskim, pijąc kolejną kawę z jeszcze większą ilością cukru i słuchając rozmów jednym uchem. Wreszcie jej milkliwość zwróciła uwagę Stasi Mederskiej, szczupłej blondynki po trzydziestce, która uwielbiała plotki.

- Maria chyba dziś nie w humorze, co? - Jasnowłosa nauczycielka chemii śmiała się, ale w mocno umalowanych oczach widać było lekką pretensję. Przyzwyczała się do bycia w centrum uwagi i źle znosiła, gdy ktoś ją ignorował.

- Chyba łapie mnie grypa - broniła się Maria, za późno przypominając sobie, że już używała tego wykrętu.

Parę osób spojrzało na nią dziwnie, albo przynajmniej tak jej się wydawało.

- Rzeczywiście źle wyglądasz. - Stasia świdrowała koleżankę ciekawskim wzrokiem. W jej głosie było coś, jakby lekka sugestia, że może Maria czuje się niedobrze z innego powodu niż tylko zimowe przeziębienie.

Jadzia Siwczyk pośpiesznie wygłosiła tyradę o leczniczych właściwościach czosnku z miodem, Renia Banaśkie-wicz zaczęła narzekać na pogodę, krążące w powietrzu wirusy i lekarzy, aż wreszcie płynnie przeszła do tematu swoich wrzodów. Karol Górny, nauczyciel WF-u, otworzył okno i zapalił papierosa, lecz dym zamiast ulatywać na zewnątrz, wpadał do środka z podmuchami zimnego wiatru. Gdy wszyscy zaczęli protestować, zamknął okno, burknął coś i schował nos w rozpostartej płachcie „Przeglądu Sportowego”.

„Jestem obca - pomyślała Maria. - Pracuję w tej szkole od września, ale nadal nie uważają mnie za jedną ze swoich. Może to specyfika wszystkich małych miasteczek, a może zwyczajnie jestem inna, a oni to wyczuwają? Naznaczona”. Gdy była młodsza, tak właśnie o sobie myślała. Kiedy jeszcze w

podstawówce, a potem w liceum widziała ukradkowe spojrzenia kierowane w jej stronę i wychwytywała szept za plecami. Myślała, że przez te wszystkie lata ludzie zapomnieli, ale oczywiście tak się nie stało. Nauczyciele, a prawdopodobnie także starsi uczniowie - wszyscy musieli wiedzieć. Trzydzieści lat. Ile czasu trzeba, żeby pogrzebać przeszłość?

Ta myśl rozstroiła ją do tego stopnia, że kiedy dziesięć minut później stanęła przed klasą 8a, zorientowała się, że nie będzie w stanie prowadzić lekcji. Po prostu nie zdoła tego zrobić. Rzeczywistość wokół niej rozpływała się, jakby Maria miała gorączkę, twarze dzieci falowały w powietrzu. Działo się z nią coś złego. Może powinna pójść do lekarza? Ale co właściwie miałyby mu powiedzieć? Że w nocy nie może zasnąć, a w dzień czuje się śmiertelnie zmęczona? Że ma trudności ze sformułowaniem odrobinę bardziej skomplikowanych wniosków, jakby coś blokowało jej myśli, a wspomnienia wyciekają z niej niczym woda z dziurawego garnka, tak że pół minuty po tym, jak zamknie drzwi, nie jest pewna, czy rzeczywiście to zrobiła? Że czasem ma uczucie, jakby zaraz miała się rozpaść, jakby była nierzeczywista i roztopiała się w zimowej szarości? Nonsens, pora wziąć się w garść. „Na wiosnę będzie lepiej”, pomyślała, tyle że teraz wiosna wydawała się niesamowicie odległa, a Maria pełzła w jej stronę długim, ciemnym tunelem i nie miała nawet pewności, czy na końcu czeka na nią światło.

Zmusiła się, żeby sprawdzić obecność, po czym z hukiem zatrzaskała dziennik. Trzydzieści dwie pary oczu spojrzały na nią w napięciu.

- Dzisiaj nie będzie lekcji - oznajmiła. - Zrobimy kartkówkę i zobaczymy, co zapamiętaliście z *Syzyfowych prac*.

Z trzydziestu dwóch gardel wyrwał się jęk protestu. Zanetka Brońkówna podniosła rękę, a kiedy Maria skinęła głową, oznajmiła:

- Na początku roku obiecała pani, że nie będzie niezapowiedzianych sprawdzianów.

- To nie sprawdzian, tylko kartkówka. - Maria zdawała sobie sprawę, że jej logika pozostawia sporo do życzenia. - W

dotatku łatwa, nie musicie się martwić. Macie pół godziny.

Szybko wymyśliła trzy pytania, rzeczywiście dość proste, i wkrótce w sali słychać było już tylko skrobanie piór na kartkach. Maria miała chwilę dla siebie i wykorzystała ją, żeby przyjrzeć się klasie. Nie było w niej nic specjalnego, w swoim zawodowym życiu widziała wiele podobnych grup. Z przodu siedzieli prymusi, z tyłu lenie i rozrabiacy. Adaś Łaszczyk oczywiście ściągał, Karolinka Cicha konsultowała się szeptem ze swoją najlepszą przyjaciółką. Młody Liśkiewicz, kawalarz, który przechodził z klasy do klasy dzięki wrodzonemu wdziękowi, prawdopodobnie właśnie wypisywał jakieś głupstwa, a Sylwia Gonsiorówna kręciła się na krześle, jakby zależało jej głównie na tym, by jak najlepiej zaprezentować wystającą spod fartuszka spódniczkę z niemieckiej paczki. Andrzej Jarczak wyglądał na znudzonego - nic dziwnego, jego rodzice byli prywaciarzami i od dawna kładli synowi do głowy, że nic prócz rachunków mu się w życiu nie przyda. Jasnowłosa Aśka Grabkowska wyjęła z tornistra wielką butlę z atramentem i moczyła w nim staroświeckie pióro ze stalówką. „Skąd ona je wytrzasnęła?”, przemknęło Marii przez głowę. Wszyscy inni uczniowie mieli zwyczajne pióra albo długopisy, ale Asia zawsze była ekscentryczna. W zeszłym roku podobno robiła notatki gotykiem, a potem opalała kartki z zeszytu, tak żeby wyglądały jak stare rękopisy.

Jedyną osobą, która nawet nie próbowała pisać, był Wojtek Kapuściak, zwany przez resztę klasy Śmierdzielem, Mongołem albo Zezowatym. Chłopak siedział tak blisko ściany, że zdawał się w nią niemal wtapiać. Chudy, przygarbiony, z otwartymi ustami i rybimi oczami, które nigdy nie patrzyły prosto na rozmówcę. Nawet gdyby Maria nie wiedziała, że ma przed sobą kozła ofiarnego, bez trudu by to odgadła. Na lekcji biologii oznajmił, że serce człowieka znajduje się w głowie, a na geografii, poproszony o wskazanie Afryki, jeździł wzrokiem po mapie z tępym wyrazem rezygnacji kogoś, kto wie, że i tak mu się uda.

Maria westchnęła.

- Wojtku, może jednak postarasz się odpowiedzieć na któreś z

pytań? - powiedziała zachęcająco. - Na pewno coś pamiętasz.

Wymamrotał niewyraźnie parę słów.

- Musisz mówić głośniej.

W klasie rozległy się pojedyncze śmiechy, Karolinka nachyliła się do przyjaciółki i szepnęła jej coś do ucha. Maria zgromiła uczniów wzrokiem, po czym wróciła spojrzeniem do Wojtka.

- Ja... postaram się.

Osiągnęła tyle, że przynajmniej wziął do ręki długopis i zaczął mazać po kartce. „Jeśli zdoła napisać jedno zrozumiałe zdanie, dam mu na półrocze trójcę”, postanowiła Maria, świadoma, że tak naprawdę próbuje zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie potrafiła ochronić tego dziecka przed resztą klasy, chociaż należało to do jej obowiązków.

Gdy minął wyznaczony czas, pozbierała kartki i wrzuciła je do torby. Miała teraz okienko, a potem jeszcze jedną godzinę z 6b. I nareszcie koniec. Tę porę dnia lubiła najbardziej, bo przynosiła przynajmniej cień nadziei na jakąś zmianę, na to, że Maria wróci do domu, wypocznie przy dobrej książce albo oglądając film w telewizji. Może nawet uda jej się zrobić jedną z odkładanych na później rzeczy, trochę ogarnąć mieszkanie czy odwiedzić ciotkę w szpitalu.

Skończyło się jak zawsze na planach. Maria przyrzędziła na obiad pieczoną mortadelę z ziemniakami, zjadła bez apetytu, a resztę dała bezdomnemu kotu. Potem wykorzystała chwilowy przypływ energii, żeby uporządkować listę rzeczy do zrobienia. Lista ta, starannie spisana w czarnym notatniku, zawierała takie pozycje jak: „oddać książkę do biblioteki”, „zanieść rajstopy do repasacji”, „wezwać kogoś do przeczyszczenia pieca w dużym pokoju”, „zebrać pieniądze na kino dla 6b” czy „przypomnieć dyżurnym, żeby podlali kwiatki”. Codziennie przepisywała ją na nowo, kreśląc, dodając i przesuwając pozycje z rubryki „później” na „dzisiaj” lub odwrotnie, jeśli doszła do wniosku, że jakaś pozornie pilna sprawa może jednak poczekać. Dzięki temu miała przynajmniej odrobinę kontroli nad własnym życiem, notatki pomagały jej trzymać się normalności, choć było to trzymanie się desperackie, które lada moment mogło skończyć się bolesnym upadkiem. Trzy razy

sprawdziła, czy na pewno wszystko zapisała, trzy razy upewniała się, że włożyła notes do torby, a mimo to wciąż nie opuszczało jej uczucie, że zapomniała o czymś ważnym. Próbowwała zająć ręce, ale tylko miotła się od jednej czynności do drugiej, na żadnej nie mogąc skupić uwagi.

Wreszcie dała spokój i po ósmej usiadła przed telewizorem ze szklanką gorącej herbaty. Na pierwszym programie leciał jakiś film - przegapiła początek z tytułem, ale to nie miało znaczenia, ważne, że w pokoju nie panowała cisza. Zwinęła się w fotelu. Na zewnątrz dawno już zapadła ciemność, miękkie, szczipione ze sobą płatki śniegu uderzały o szyby jak ślepe ćmy. Rozgrzany do czerwoności piec promieniował ciepłem, mimo to Maria owinęła się kocem. W takie wieczory jak ten dom ożywał za jej plecami: słychać było poskrzypywanie drewna, chrobot myszy i szuranie gałęzi ocierających się o dach. Podkreśliła dźwięk. Kobieta na ekranie czarno-białego telewizora płakała i prosiła mężczyznę z pistoletem, żeby nie robił jej krzywdy. Maria nie wiedziała, o co chodzi, ale miała nadzieję, że bohaterka wyjdzie z opresji cało.

Sięgnęła po czerwony długopis i kartkówki. Sprawdzała je mechanicznie, od czasu do czasu popijając herbatę i rzucając okiem na ekran. Znała swoich uczniów i nie sądziła, by któryś mógł ją czymkolwiek zaskoczyć. Odpowiedzi Zanutki były obszerne, ale nudne i ostrożne, Asia bez większego związku z pytaniami popisывała się znajomością klasyki literatury, Karolina lała wodę, usiłując ukryć, że książki nie czytała, a Łukasz Liśkiewicz nie miał oporów, żeby napisać: „Borewicz, czy jak on się tam nazywał, pani wie, o kogo chodzi”. Pozostałe odpowiedzi były wymęczone, lecz w większości mniej więcej poprawne. Dopiero na samym dole stosu znalazła kartkę oddaną przez Wojtka, podniosła ją i odwróciła.

Z wrażenia aż zaparło jej dech. Myliła się - uczniowie jednak mogli ją zaskoczyć. Co więcej, zrobił to właśnie ten, po którym najmniej się spodziewała.

Na kartce prócz podpisu nie było ani jednego słowa, tylko rysunek przedstawiający dziewczynkę i trzech chłopców w lesie. Jedno z dzieci przypominało młodszą wersję samego

Wojtka, pozostałych nie potrafiła rozpoznać. Cała czwórka otaczała kręgiem wysoką przygarbioną postać z twarzą pokrytą potwornymi naroślami.

„Wojtek spotkał w lesie Kartoflanego Człowieka”, pomyślała Maria. Słowa wychynęły z mroków pamięci, jakby tylko czekały na tę chwilę. Poczowała, że kręci jej się w głowie, przed oczami pociemniało. Wstała i jak ślepa ruszyła do łazienki, gdzie ochlapała twarz zimną wodą. Z lustra spojrziała na nią obca osoba: z wypiekami na białych policzkach i wytrzeszczonymi oczami. Z krótkich włosów spływały strużki wody, mocząc i tak już wilgotny dekolt bluzki.

Zacisnęła palce na krawędzi umywalki i powoli, spokojnie policzyła do dziesięciu. Oddech jej się wyrównał, policzki straciły woskową bladość. Wytarła się i wróciła do pokoju. Co ją, u licha, napadło? Zachowywała się jak wariatka, a przecież to był tylko rysunek. Kartoflany Człowiek? Skąd w ogóle wzięła taki pomysł? Jeszcze przed chwilą mogłaby przysiąc, że znajdzie odpowiedź, jeśli tylko sięgnie wystarczająco głęboko we własne wspomnienia. Teraz wrażenie rozwiewało się z każdą sekundą jak sen, o którym zapominamy po przebudzeniu, aż Maria nie była pewna, czy kiedykolwiek istniało. Kartoflany Człowiek... Słowa brzmiały pusto, może tylko trochę śmiesznie, jak z dziecięcej zabawy. I dlaczego ten szkic tak nią wstrząsnął? Wiedziała przecież, że Wojtek ładnie rysuje, wspominał o tym Rysiek Stenzel, historyk, który z braku kogoś bardziej kompetentnego uczył także wychowania plastycznego w starszych klasach. Lecz wiedzieć, a zobaczyć - to czasem dwie różne rzeczy.

Maria sięgnęła po rysunek i przyjrzała mu się ponownie, tym razem uważniej. Był naiwny, perspektywa pozostawiała sporo do życzenia, a postacie dzieci miały zaburzone proporcje, ale zdecydowanie coś w nim było: talent, własny styl, niebanalny sposób postrzegania rzeczywistości jak u Teofila Ociepki. „Biedny chłopiec”, stwierdziła w duchu. Gdyby był nieco bystrzejszy, można by pomyśleć o stypendium i przy odrobinie szczęścia rozwinąłby skrzydła. A tak, pójdzie do zawodówki i się zmarnuje. Natura była przewrotna, dając zdolności

plastyczne komuś, kto ledwie potrafił się podpisać.

Odłożyła kartkę na bok jako jedyną bez oceny. Film w telewizji się skończył, uznała więc, że pora na kąpiel. Może gorąca woda choć trochę ją rozgrzeje. Dłonie i stopy miała zlodowaciałe tak, że palce przypominały wystrugane z drewna kołki,

„Nie zasnę”, myślała pół godziny później, przewracając się w łóżku i nasłuchując, jak wielki zegar w pokoju ciotki wybija jedenastą. Dusila ją nagrzana od pieca ciemność, ciche pacnięcia śniegu, który wciąż uderzał w okna, rozstrajały nerwy. Z ogrodu dobiegał szum szarpanych wiatrem gałęzi, styczniowe podmuchy wygrywały w kominie melodię brzmiącą jak zawodzenie porzuconego psa. Temperaturą musiała spaść sporo poniżej zera, Maria czuła napierającą na ściany ciemność tak lodowatą i pierwotną, jakby pochodziła z serca najstarszego lasu. „Idzie ochłodzenie”, przypomniała sobie usłyszaną w radio prognozę pogody; koniec z pluchą i popołudniami, kiedy można było wyjść z domu bez płaszcza. Zima wreszcie pokazała prawdziwą twarz.

W końcu Maria zapadła w płytki sen i przyśniło jej się, że siedzi skulona w wannie, drobna i naga, a obok stoi ciotka z krawieckimi nożycami w rękach.

- Rozumiesz, że muszę to zrobić, prawda? - mówi.

Maria, Marysia, potrząsa głową, co może oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”. Patrzy w dół na brudne od ziemi stopy, na spływającą do odpływu wodę.

Wodę, która czerwona jest od krwi.

2

- Wojtku, zostań, proszę.

Trzask zamykanych piórników i książek, stukot tornistrów stawianych na ławkach. Lekki młodzieńczy śmiech, gdy uczniowie klasy 8a zdejmowali z wieszaka kurtki, a potem przepychali się w drzwiach. Wreszcie w opustoszałej sali została tylko Maria i jasnowłosy chłopak, który szurając stopami, podszedł do biurka.

- Co ma znaczyć ten obrazek? - zapytała, starając się, żeby jej

głos nie zabrzmiał zbyt surowo. Chyba jej nie wyszło, bo Wojtek spuścił głowę jeszcze niżej.

- Bardzo ładnie rysujesz - spróbowała pochwalić. - Naprawdę masz talent i powinieneś go częściej wykorzystywać. Ale nie na lekcjach polskiego. Od rysowania jest plastyka, na polskim uczymy się gramatyki i omawiamy lektury. Czy ten obrazek ma cokolwiek wspólnego z *Szyzyfowymi pracami*? Powiedz mi.

Potrząsnął głową. Maria nie widziała przysłoniętej włosami twarzy, ale coś w jego postawie mówiło, że chłopak jest bliski łez.

- W takim razie dlaczego go narysowałeś?

- To... moi przyjaciele.

- Twoi przyjaciele?

- Tak. - Wreszcie podniósł na nią wzrok. Ku zdziwieniu Marii oczy miał suche. Chudy palec z żałobą za paznokciem wylądował na leżącej na biurku kartce. - To są Paweł, Jasna i...

- Ostatnie słowo brzmiało trochę jak „Szmata”. - Tu jestem ja.

- W porządku - zgodziła się Maria, która ani przez chwilę nie wierzyła, że Wojtek miał takich czy jakichkolwiek innych przyjaciół. - Narysowałeś swoich kolegów. Nadal jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z lekturą, którą przerabialiśmy.

- Myślałem... - Najwyraźniej zabrakło mu słów, bo zmarszczył brwi i przez chwilę bezgłośnie poruszał ustami.

- Myślałeś...? - zachęciła go.

- Że pani mi pomoże... Pani przecież wie...

- O czym wiem?

Patrzył z desperacją, jakby samym wzrokiem mógł sprawić, że kobieta domyśli się, o co mu chodzi. Lecz Maria nie była wróżką, tylko zmęczoną nauczycielką, która właśnie traciła cenne minuty przerwy. A zamierzała jeszcze skorzystać z ubikacji, napić się kawy, może trochę poczytać, zanim zacznie się kolejna lekcja.

- Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to powiedz. Pomogę, ale najpierw muszę wiedzieć, co się dzieje. Czy ktoś cię krzywdzi? Wojtku?

Potrząsnął głową i odsunął się, a Maria zrozumiała, że nic z niego nie wyciągnie.

- Jeśli będziesz chciał ze mną porozmawiać, możesz przyjść do pokoju nauczycielskiego - zaproponowała, wiedząc doskonale, że chłopak nigdy się na to nie odważy. - Teraz musimy iść, za chwilę zacznie się kolejna lekcja.

Pogoniła Wojtka, który niechętnie włókł się w stronę drzwi. Myślami była już daleko, przy kawie i czekoladowych ekierkach, które obiecała przynieść obchodząca dziś imieniny dyrektorka. Czasem takie drobne przyjemności potrafiły poprawić jej humor na tyle, że dzień stawał się jeśli nie przyjemny, to przynajmniej znośny.

3

Wojtek zarzucił tornister na ramię i wymaszerował ze szkoły. Nie skończył jeszcze lekcji, ale nie zamierzał się tym przejmować. Nauka nigdy nie miała dla niego znaczenia. Wiedział, że się do niej nie nadaje, i czasem tylko dziwiło go, dlaczego inni nie dostrzegają czegoś tak oczywistego. Widocznie była to jedna z tych rzeczy, które po prostu trzeba znieść, jak wizyta u dentysty albo ojcowskie lanie od czasu do czasu. Kłopot w tym, że to ostatnie zdarzało się raz, może dwa razy w tygodniu, a szkoła była codziennie, dlatego Wojtek nienawidził jej bardziej. „Ósma klasa”, pomyślał. Jeszcze tylko parę miesięcy i będzie wolny. Nie bał się, że zostawią go na drugi rok. Nie był takim idiotą, jak wszyscy myśleli, i ś wietnie wiedział, że nauczycielom zależy na tym, żeby jak najszybciej się go pozbyć. Myślał powoli i często się gubił, kiedy ktoś czegoś od niego chciał, ale jeśli tylko miał czas się zastanowić, wcale nie szło mu najgorzej. Choć jakoś nie potrafił ubrać swoich przemyśleń w słowa; w głowie niby miał wszystko poukładane, ale kiedy przychodziło do mówienia, z jego ust wychodziły same koślawe zdania. Albo gorzej, całkiem się zacinał i nie potrafił niczego wydusić. Zdecydowanie wolał myśleć obrazami. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby Wojtkowi pozwolono rysować, zamiast kazać mu mówić albo, o zgrozo, pisać.

Szedł bezmyślnie przed siebie, aż dotarł na kwadratowy rynek.

Dawniej otaczały go śliczne osiemnastowieczne kamieniczki - Wojtek widział je na starych widokówkach - ale wojnę przetrwała tylko jedna, w której teraz znajdowała się siedziba PKO. Na miejscu pozostałych wybudowano dwa brudnożółte pawilony handlowe, jeden z odzieżą, drugi spożywczy. Pośrodku sterczało to, co zostało z ratusza trafionego w 1945 roku pociskiem z katuszy - wysoka na dwa i pół piętra ruina strasząca pozabijanymi oknami i drzwiami. Od czasu do czasu władze Mgielnicy przebąkiwały o odbudowie, ale tak się złożyło, że przez czterdzieści lat niczego w tej sprawie nie zrobiono. Pod ratuszem kuliła się kawiarnia Kolorowa, przysadzista buda, którą otwierano tylko latem. W ciepłe dni pod pasiastymi parasolami stały tu stoliki, ludzie pili piwo i żartowali, podczas gdy ich dzieci goniły się wokół pomnika Wdzięczności Armii Radzieckiej. Teraz parasole były złożone, a zwalone na stos i zabezpieczone solidnym łańcuchem stoliki pokrywała warstwa zmarzniętego śniegu.

Usiadł na ławce i wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę klubowych. Ojciec już dwa razy przyłapał go na paleniu i złał pasem, ale osiągnął jedynie tyle, że chłopak stał się ostrożniejszy. Wojtek zaciągnął się, patrząc na spacerujące po rynku wrony, które zostawiały w białym puchu szlak trójkątnych łapek. Może narysuje je, kiedy wróci do domu.

Najpierw jednak musiał pomyśleć. Zamknął oczy i przywołał w pamięci trzy twarze. Nigdy nie miał z tym trudności, wspomnienie przyjaciół towarzyszyło mu od lat w każdej chwili życia. Nawet w tych najgorszych. Zwłaszcza w tych najgorszych. Kiedy chłopaki z klasy zwabili go za szkołę, a potem natarli śniegiem z resztkami wmarzniętego psiego gówna albo na WF-ie, gdy Karolina namówiła go, żeby zdjął majtki, a on posłuchał, przekonany, że robi coś naprawdę fajnego, i dopiero po długiej upokarzającej chwili zrozumiał, że wszyscy śmieją się nie z nim, ale z niego. Kiedy zamykali go w ubikacji, a potem uciekali ze śmiechem, gdy wyrzucali mu w błoto wszystkie rzeczy z tornistra, kiedy dziewczyny mówiły, żeby nie podchodził bliżej, bo śmierdzi, a chłopcy popychali go, kopali i na niego pluli. We wszystkich tych chwilach Wojtek

pamiętał, że miał kiedyś prawdziwych przyjaciół. I znowu będzie miał, jeśli tylko ich odnajdzie. Liczył, że pomoże mu pani Maria, dlatego narysował ten obrazek. Dawniej miał zwyczaj szkicować w czasie lekcji, ale oduczył się tego, gdy jeden z nauczycieli zabrał mu zeszyt, po czym pokazał całej klasie i wszyscy oczywiście znowu się z niego śmiali. Teraz jednak nie potrafił się powstrzymać. „Na pewno coś pamiętasz”, powiedziała pani Maria i właśnie o to chodziło - o pamięć. Wojtek niedawno przypomniał sobie coś bardzo ważnego. Pani Maria powinna zrozumieć. Dlaczego nie rozumiała? Nie zastanawiał się nad tym zbyt długo - jego życie pełne było mniejszych i większych rozczarowań.

Trudno, poradzi sobie sam. Pawła widział ostatnio parę razy przy starym browarze, jak szedł z mamą i małym kundlem na smyczy, i choć dawny kolega był sporo starszy, Wojtek bez trudu go poznał. Zawołał za nim kiedyś, jednak Paweł chyba nie usłyszał, bo nawet się nie odwrócił, a Wojtek nie miał odwagi podejść, gdy chłopak był w towarzystwie matki. Ale dzisiaj nie będzie się bał, bo przecież nie przychodził z pustymi rękami, tylko z ostrzeżeniem, że Kartoflany Człowiek znowu się pojawił, trzeba więc uważać. To jego prezent na przywitanie po tych wszystkich latach. Razem znajdą pozostałych, a wtedy znów będą drużyną. Wojtek uratuje ich, żeby oni mogli uratować jego.

Rzucił niedopałek w śnieg i przyduśił butem. Potem wstał i ruszył w kierunku browaru. Nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak tylko czekać, aż dawny kolega się pojawi. Jasne, gdyby był bystrzejszy, pewnie wymyśliłby coś sensowniejszego, ale nie potrafił. Mógł za to zdobyć się na cierpliwość i miał czas. To nic, że matka będzie narzekać, kiedy wróci po zmroku, a ojciec znowu sięgnie po pas. Odzyskanie przyjaciół było tego warte.

po mieście albo przesiadywał w parku i zapominał o bożym świecie. Zniosła więc zupełną siedzzącemu przed telewizorem mężowi, który zapowiedział, że kiedy smarkacz wróci, przez tydzień nie będzie mógł na tyłku usiąść, po czym zajęła się uspokajaniem, dziesięcioletnich bliźniaków. Tłumaczenie Jackowi, że nie powinien szarpać brata ani wyzywać go od debili, a Kubie, żeby przestał się mazać i był mężczyzną, zajęło jej dobry kwadrans, potem wpadła córka z małą - dziewczynka właśnie ząbkowała i Agata czasem podrzucała ją babci.

Dopiero gdy zegar w kuchni wybił piątą, Ilona policzyła uderzenia i poczuła pierwsze poważne ukłucie niepokoju. Wepchnęła marudną wnuczkę w ramiona córki, zarzuciła na fartuch płaszcz i wyszła w kapciach, bez szalika i czapki.

Zapadał zimowy zmierzch, niebo lśniło intensywnym błękitem akwarelowej farbki, na zachodzie czerwona luna podświetlała wieżę kościoła Świętego Michała. Warstwa białego puchu na chodniku i gałęziach kasztanów sprawiała, że świat wyglądał jak obsypany cukrem pudrem, świeży i czysty jak z obrazka. Z jakiegoś powodu przyszło jej do głowy, że Wojtek chciałby ten widok namalować, i z jakiegoś - że być może już nie będzie miał okazji. Zaraz wyrzuciła tę straszną, najstraszniejszą myśl z głowy, zatarła nawet wspomnienie o niej, jakby szorowała brudną podłogę. Nie było jej, nigdy nie istniała. Z ust kobiety unosiły się obłoczki pary, gdy nie zważając na to, że mokną jej rajstopy, szła wzdłuż ulicy i wypatrywała, syna.

- Męża szukamy, kierowniczo? - zapytał jeden z pijaczków stojących pod sklepem spożywczym.

- Syna, widział go pan?

- Starszego? Niii, pewnie cygarety w krzakach kurzy. Właśnie, kierowniczo, papieroskiem by pani nie poczęstowała?

- Nie mam przy sobie.

Stała przez chwilę na skrzyżowaniu, patrząc w ulicę Komuny Paryskiej, którą Wojtek powinien przyjść ze szkoły, jakby naprawdę miała nadzieję go tu zobaczyć, maszerującego beztrąsko z tornistrem na plecach. Jednak lekcje skończyły się dawno temu i chłopak prawdopodobnie był teraz zupełnie gdzie indziej - może rzeczywiście palił z kolegami papierosy

albo znowu sterczał pod Peweksem, gapiąc się na dzinsy i klocki Lego.

Jak wróci, ode mnie też dostanie, pomyślała Ilona Kapuściak, próbując wzbudzić w sobie gniew, jednak zamiast niego czuła tylko coraz większy niepokój.

5

Uszy nylonowej siatki coraz bardziej wrzynały się przez cienką rękawiczkę w dłoń. Krystyna Sałajczyk przystanąła i przełożyła ciężar do lewej ręki. Niosła do domu bombonierkę z Goplany, którą dostała od klientki wdzięcznej za popchnięcie urzędowej sprawy, a także parę kilo wołowej łopatki. Nie z mięsnego oczywiście, tylko załatwionej od kuzynki ze wsi.

Westchnęła, patrząc, jak jej oddech unosi się w mrok, rozświetlony jedynie mętnym blaskiem brudnej latarni. W bramie najbliższej kamienicy ktoś się kulił; może złodziej, może jeden z tych narkomanów, o których czytała w gazetach, a może zwyczajnie jakiś biedny marznący człowiek. Z któregoś mieszkania dobiegał dźwięk rozpoczynającego się *Dziennika Telewizyjnego*, ale poza tym ulica była cicha i pusta. Krystyna trochę żałowała, że zamiast wracać z pracy od razu do domu, poszła jeszcze do fryzjera, a potem na kawę. Zanim się obejrzała, zrobiło się naprawdę późno. Jednak odkąd zmarł jej mąż, nie bardzo lubiła siedzieć sama w pustym mieszkaniu.

Przystanąła, by złapać oddech. Dotarła już do parku i teraz kusiła ją ścieżka skręcająca w mrok, między ośnieżone drzewa. Zazwyczaj unikała tego skrótu - tyle się przecież słyszało o napadach na samotne starsze kobiety - jednak siatka ciążyła coraz bardziej i Krystyna wiedziała, że jeśli pójdzie okrężną drogą, to spóźni się nie tylko na *Dziennik*, ale i na wieczorny seans. A dziś był czwartek, w telewizji puszczała *Kobrę*. Uwielbiała te przedstawienia, wołała je od seriali kryminalnych, które czasem okazywały się zbyt brutalne dla kogoś, kto tak jak ona wystarczająco napatrzył się na śmierć w czasie wojny.

Zebrała się na odwagę i skręciła do parku, jednocześnie

przyśpieszając kroku. Śnieg skrzypiał pod jej butami, księżyc w pełni dawał wystarczająco dużo światła, by widziała drogę. Po prawej mijala wzgórze, na którym stał pałac dawnych właścicieli tych ziem, zrujnowany po tym, jak w 1946 roku podpałiła go opuszczająca Polskę Armia Radziecka. W dzień czasem buszowała tam miejscowa dzieciarnia, a wieczorami pijaczki urządzały libacje. Ale chyba nie teraz, kiedy jest tak zimno? Nie, dzisiaj powinna być bezpieczna. W myślach dzieliła mięso - tyle a tyle dla Stasia, nieco mniej dla Bogusi, reszta dla Mariana. Rodzinę miała dużą: dwóch synów, córka i siedmioro, jak na razie, wnucząt. Bombonierka oczywiście będzie dla dzieci, choć Krystyna sama nabrała na nią ochoty. Czasem nachodziły ją niechrześcijańskie marzenia, z których potem się spowiadała: „Ojcze, wyobrażam sobie, że siedzę przed telewizorem i zjadam całą bombonierkę czekoladka po czekoladce, aż w pudełku nic nie zostaje”. Największy grzech, jaki potrafiła sobie przypomnieć.

Do wyjścia z parku zostało kilkadziesiąt kroków, już widziała między drzewami światła bloku, w którym mieszkała. Przystanęła raz jeszcze, położyła siatkę na śniegu i poruszyła zdrętwiałą dłonią. Od wysiłku cała się spociła, ale wiedziała, że jeśli rozepnie płaszcz, przewieje ją, a wtedy przeziębienie murowane. W mroźnym powietrzu rozlegał się cichy jednostajny dźwięk, który odlegle kojarzył się z latem, z praniem schnącym na podwórku. Nic niepokojącego, jednak Krystyna rozejrzała się odruchowo. Czyjej się zdawało, czy pod jednym z drzew...? Zmarszczyła brwi. Ciemny kształt pomiędzy gałęziami klonu do złudzenia przypominał człowieka, ale było w nim coś nierealnego, jakby niezgodnego z prawami fizyki. Może to tylko szarpane wiatrem konary ułożyły się tak nietypowo? Jednak im dłużej patrzyła, tym więcej szczegółów dostrzegała: przechyloną głowę, ręce bezwładnie zwisające wzdłuż tułowia, stopy unoszące się dobre dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Człowiek wydawał się szybować w powietrzu, jednak Krystyna ani przez chwilę nie miała wątpliwości, na co patrzy.

Sznur wisielca poskrzypywał cicho, gdy złapała siatkę i

pognała w stronę oświetlonej ulicy, jakby goniło ją stado diabłów.

6

Była dziewiąta wieczorem, kiedy zadzwonił telefon. Porucznik Adam Bogusz odłożył wypożyczone z biblioteki *Sto lat samotności* i odebrał.

- Mamy trupa - poinformował lakonicznie major Łaskiewicz. - Jakiś dzieciak powiesił się w parku.

- Podejrzewacie, że to nie samobójstwo?

- Nie, ale i tak trzeba sprawdzić.

- Czy dziś dyżuru nie ma Staszek?

- Owszem, ale córka mu się czymś struła i musiał ją zawieźć na ostry dyżur. Zostałeś ty.

W domyśle: samotny i z tego powodu zawsze do dyspozycji.

- Pośpiesz się, takie sprawy są paskudne - dodał Łaskiewicz.

To z kolei znaczyło, że na Adama spadnie obowiązek poinformowania rodziny o śmierci dziecka. Major w ramach radzenia sobie z „paskudnością” sprawy prawdopodobnie zaparzy kolejną herbatę, doleje do niej kroplę albo dwie z trzymanej w biurku butelki, a potem do późnej nocy będzie siedział w swoim gabinecie, udając zapracowanego.

„ Takim to dobrze”, pomyślał Bogusz, ale nie było w tym stwierdzeniu prawdziwej zazdrości. Adam miał dwadzieścia sześć lat, rok wcześniej został przeniesiony z Wrocławia. Odkąd pamiętał, zawsze chciał pracować w wydziale zabójstw, marzyło mu się ściganie zbrodniarzy i wykrywanie skomplikowanych zbrodni jak w serialu *07 zgłoś się*, choć miał na tyle rozumu, żeby nie wspomnieć o tej inspiracji podczas zdawania egzaminu do szkoły milicyjnej. Wyjął garnitur z szafy, w której wszystkie koszule, spodnie i marynarki wisiały równo jak od linijki, przeczesał włosy w malutkiej, ale idealnie czystej łazience. Koledzy czasem śmiali się z jego zamiłowania do porządku. Nie obchodziło go to; wiedział, że wart jest więcej niż wszyscy ci prowincjonalni gliniarze razem wzięci. Potrzebował tylko okazji, żeby się wykazać.

Zamykając drzwi służbowej kawalerki, pomyślał, że samobójcza śmierć dziecka raczej nie stanie się taką okazją. Cóż, nie był naiwny, miał przecież świadomość, na co się pisze. Jak dotąd wszystkie sprawy, nad którymi pracował, okazywały się żałośnie nieciekawe. Zabójstwa podczas alkoholowych burd, pobicia ze skutkiem śmiertelnym czy tragicznie zakończona kłótnia przy podziale nielegalnie upolowanego jelenia - to był mniej więcej standard tego, z czym musiał się zmagać. Najciekawiej zapowiadała się sprawa szewca, który pewnego wieczoru przyszedł do domu tak pijany, że bez protestów zjadł na kolację bigos wymieszany z trutką na szczury w proporcji jeden do jednego. Jednak wezwana na komendę żona przyznała się, zanim Bogusz zdążył wpisać do protokołu jej nazwisko, po czym wybuchnęła płaczem. Wciąż ją pamiętał, chowającą twarz za kwiecistą spódnicą, którą podciągnęła tak wysoko, że widać było sprane majtki pomiędzy pulchnymi udami. Nie dawało jej się uciszyć, pomogło dopiero wezwanie lekarza ze środkiem uspokajającym. Kiedy ją wyprowadzano, była cała zasmarkana, a Bogusz czuł coś pośredniego pomiędzy rozczarowaniem a niesmakiem.

Gdy parkował swojego malucha, z daleka widział błyskające w mroku światła karetki, która jakimś cudem zdołała przejechać po wąskiej alejce. Zbiegowiska na szczęście nie było, choć pomiędzy drzewami kręciło się paru gapiów z pobliskich bloków, bez większego przekonania odganianych przez sierżanta Krupę. Ciało leżało na noszach do połowy wsuniętych do karetki, obok lekarz z pogotowia palił papierosa i przytupywał dla rozgrzewki.

Bogusz spojrział w siną, spuchniętą twarz trzynasto-czternastoletniego chłopca. Na jego szyi wciąż tkwił zawiązany sznur, wyglądający teraz jak upiorny krawat.

- Mogę go zabrać? - Lekarz rzucił w śnieg niedopałek papierosa.

- Odciał go pan? - zapytał porucznik.

- Pewnie.

- Nie wolno - pouczył Bogusz. - Dopóki nie ustalimy przyczyny śmierci, to jest potencjalne miejsce zbrodni, rozumie pan? Nie

można niczego ruszać.

- Panie, jakiej zbrodni? Toż on sam ten sznur przez gałąź przerzucił. A ja chciałem dzieciaka ratować, była szansa, że jeszcze dycha. To moja praca.

Bogusz zacisnął szczęki i w myślach policzył do pięciu.

- W takim razie niech pan przynajmniej pokaże, gdzie wisiał.

Lekarz podszedł do jednego z drzew, a porucznik omiół je światłem latarki. Zwisający z gałęzi kawałek sznura kołysał się w podmuchach wiatru, na korze tuż nad ziemią widać było ślady błota. Chłopak rozmyślił się w ostatniej chwili i próbował znaleźć punkt oparcia, a może to wcale nie było samobójstwo? Bogusz poczuł dreszcz podniecenia, ale wrażenie szybko minęło. Rozsądek podpowiadał, że nastolatek to najprawdopodobniej ofiara szkolnych problemów albo nieodwzajemnionej miłości. Dzieci w tym wieku łatwo decydują się na radykalne rozwiązania.

Dalej światło latarki wyłowiło porzucony między drzewami tornister.

- Może pan jechać. - Porucznik machnął na lekarza, po czym zajrzał do teczki.

Znalazł parę zeszytów z oślimi uszami, najwyraźniej nieczęsto używane podręczniki do matematyki, polskiego i biologii, zatłuszczony papierek po drugim śniadaniu i dwie gumy balonowe. Z kieszeni wyjął szkolną legitymację, z której spoglądało zdjęcie krótko ostrzyżonego chłopaka z ponurą miną. Bogusz w świetle latarki odczytał adres i wezwał Krupę.

- Kto go znalazł? - zapytał.

- Kobieta, która szła skrótem przez park. Spisałem dane i odesłałem ją do domu. Mieszka niedaleko.

Krupa stał cierpliwie, czekając na dalsze polecenia. Cerę miał szarą, oczy zapadnięte, kurtka mundurowa wisiała na nim jak na strachu na wróble. Ostatnio nie tylko mocno schudł, ale też jakby postarzał się o dziesięć lat. Bogusz podejrzewał jakąś chorobę albo problemy rodzinne, jednak nie zamierzał pytać. Wystarczało mu, że sierżant nadal wykonuje swoje obowiązki.

- Pojadę zawiadomić rodziców chłopaka, a ty dopilnuj tu wszystkiego.

Przy Rzemieślniczej stały cztery identyczne przedwojenne kamienice. Na czterech podwórkach cztery ozdobione śnieżną czapą trzepaki, obok piaskownica i huśtawka poskrzypująca cicho w podmuchach wiatru. Bogusz odnalazł właściwy blok. W śmietniku buszował bezpański pies, z jednego z mieszkań dobiegały odgłosy małżeńskiej kłótni, gdzieś zbyt głośno grał telewizor. Pod numerem 5 paliło się światło, a pani Kapuściak otworzyła, gdy tylko zadzwonił, jakby czekała przy drzwiach. Drobną, zaniedbaną kobietą w spłowiałym fartuchu wyglądała na starszą, niż można by się spodziewać po matce czternastolatka.

Na widok obcego mężczyzny jej oczy rozszerzyły się w nagłym zrozumieniu. Bogusz widywał już takie reakcje - kobiety zawsze miały lepszą intuicję niż mężczyźni, zwłaszcza gdy chodziło o dzieci.

- Wojtek? - zapytała bez tchu.

Zatoczyła się na ścianę, kiedy jej powiedział. Porucznik przez chwilę bał się, że kobieta zemdleje, ale na szczęście pojawił się mąż, który złapał ją za ramię, odprowadził do pokoju i posadził na kanapie. Bogusz wszedł za nimi. Płacz Ilony Kapuściak przypominał skowyt rannego zwierzęcia, pomiędzy spazmatycznymi szlochami ledwie dało się odróżnić słowa.

- Skąd pan wie, że to Wojtek? - rzucił mężczyzna agresywnie, jednocześnie groźnym spojrzeniem odganiając bliźnięta, które zaciekawione zajrzały przez uchylone drzwi.

Kobieta uczepiła się nadziei.

- Może to inny chłopak? Mój nigdy by tego nie zrobił! Wojtka trzeba szukać, pan jest z milicji, niech pan go znajdzie!

Porucznik wyjął z kieszeni szkolną legitymację i podał jej bez słowa. Krzyknęła, aż w drugim pokoju obudziło się i rozplakało niemowlę. Po chwili w progu pojawiła się rozespana dziewczyna z dzieckiem na rękach.

- Czy Wojtek miał jakieś problemy? - zapytał Bogusz. - W szkole? W domu?

- Problemy? - Józef Kapuściak wyglądał tak, jakby słowa z trudem do niego docierały. - Mówi pan, że niby to przez nas się zabił?

- Niczego takiego nie powiedziałem.

- Chcę zobaczyć mojego synka - oznajmiła matka tonem, który zapowiadał, że lada moment znów zacznie krzyżeć.

Kapuściak poczerwieniał. Porucznik patrzył, jak wściekłość przebija się przez warstwę oszołomienia, jak mężczyzna chwytą się jej, żeby uciec przed rozpaczą. Wreszcie ojciec chłopca wstał. Musiał ważyć dobre sto kiło, z czego większość stanowił tłuszcz, ale było też sporo mięśni.

- Wynoś się pan - powiedział, mrużąc oczy. - Wynoś się pan, zanim stracę cierpliwość.

- Może pan ponieść konsekwencje takiego zwracania się do przedstawiciela władzy - ostrzegł chłodno Bogusz.

Dotąd milcząca młoda kobieta łagodnie dotknęła jego ramienia. Dziecko na jej rękach już się uspokoiło i patrzyło teraz z zainteresowaniem w ciemnych oczach.

- Lepiej będzie, jeśli pan już pójdzie - powiedziała. - Zajmę się mamą i tatą.

Porucznik wstał z ociąganiem. Dziewczyna odprowadziła go do drzwi.

- Czy mama... Czy będziemy mogli go zobaczyć? - zapytała.

- Najpierw lekarz musi ustalić przyczynę śmierci. Upewnić się, czy to było samobójstwo.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę w to uwierzyć. Wojtek miał problemy w szkole, pewnie, ale wcale nie większe niż zazwyczaj. Poza tym ostatnio...

- Tak? - Spojrzał na nią.

Z głębi mieszkania wciąż dochodził płacz, z pomieszczenia, które chyba było kuchnią, wyjrzał zadowolony chłopiec, a potem drugi, identyczny.

Ściszyła głos do szeptu.

- Ostatnio jakby się bał, ale jednocześnie wydawał się podniecony, rozumie pan? Prawie szczęśliwy. Szczerze mówiąc, dawno nie widziałam go takiego.

- Pytała pani, o co chodzi?

- Nie, zresztą i tak by mi nie powiedział. Wojtek był trochę... powolny. Niezbyt bystry, dlatego dzieci w szkole się z niego śmiały.

Wystraszony i jednocześnie szczęśliwy? Porucznik zastanawiał się nad tym, zmierzając w stronę malucha. Co mogło wywołać taką reakcję u „powolnego” czternastolatka? Czy Wojtek wpakował się w kłopoty i nie zauważył, kiedy sytuacja go przerosła?

8

Maria wiedziała, że stało się coś złego, od razu gdy tylko w piątek rano weszła do pokoju nauczycielskiego. Jadzia Siwczyk była wyraźnie zszokowana, Ewa Baran i Ala Danielewska, dwie najmłodsze nauczycielki, szeptały w kącie jak para uczennic, Karol nerwowo palił papierosa, a Stasia bez większego powodzenia usiłowała sprawiać wrażenie stosownie smutnej. Właśnie ona poinformowała Marię, że Wojtek nie żyje.

- Rysiek poszedł już powiadomić jego klasę - dodała. - Dyrektorka powiedziała, żeby puścić ich do domu, i tak nic dzisiaj nie będzie z nauki. Poza tym za chwilę przyjedzie tu człowiek z milicji. Chcą wiedzieć, czy Wojtek miał problemy w szkole.

- Niech się przyzna ten, który ostatnio postawił mu dwóję - rzucił Karol.

Jadzia skrzywiła się z niesmakiem, pozostali zignorowali żart.

Maria stała i słuchała. Renia Banaśkiewicz wspomniała coś o kłopotach, jakie będą mieli, jeśli okaże się, że Wojtek rzeczywiście powiesił się z powodu złych stopni. Karol uspokajał, że w takich przypadkach trudno dojść przyczyny, która skłoniła ucznia do samobójstwa, zazwyczaj powodów jest więcej, nie tylko szkoła, a poza tym, na litość boską, nikt tego chłopaka nie dręczył. Oceny miał adekwatne do umiejętności, trudno przecieżyć, żeby na wszelki wypadek rozczulać się nad każdym leniem i nieudacznikiem.

- Mario, dobrze się czujesz? - spytała nagle Ala, rudawa

blondyneczka z zadartym nosem i fryzurą na pazia.

- Tak - odparła Maria, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

W łazience ochlapała policzki, a potem zamknęła się w kabinie i usiadła na sedesie. Dygotała, jakby zaraz miała się rozpaść. Co się z nią działo? „Wojtek nie żyje”, powtarzała, ale to nie miało sensu, poszczególne słowa wydawały się wyblakłe, wyprane ze znaczenia. Nie żyje, nie żyje. Rozmawiał z nią, chciał prosić o pomoc, a potem się zabił. Myśli się rwały i wciąż wracały do tego samego.

Nie żyje, nie żyje.

„Mojawinamojawinamojawina”.

- Jesteś tam?

Pukanie do drzwi i zaniepokojony głos Ali otrzeźwiły ją na tyle, że zdołała odpowiedzieć:

- Tak.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, już wychodzę.

Udawać - w tym była dobra. Że nie wstaje każdego ranka z wrażeniem, jakby przytłaczał ją ciężar nie do zniesienia, że w jej pamięci nie ma dziur... Rozklejała się, gdy była sama, w obecności ludzi potrafiła pozbierać się na tyle, by przynajmniej sprawiać wrażenie normalnej. Zazwyczaj potrafiła.

- Strasznie jesteś blada. - Alicja dotknęła jej policzka. - Podobno łapie cię grypa?

- Tak.

- Słuchaj, jeśli chcesz iść do domu, to idź, jakoś cię wytłumaczę. Powiem, że zaczęłaś rzygać, albo coś w tym rodzaju. Dzisiaj i tak wszystkie lekcje będą na pół gwizdka.

- Zrobisz to?

Rozsądek podpowiadał, że pomysł nie jest najlepszy: jeśli teraz ucieknie, wszyscy zaczną się zastanawiać dlaczego. Ale przecież wbrew temu, co szeptało jej sumienie, nie była niczemu winna. Nawet nie wpisała Wojtkowi tej cholerniej dwójki z kartkówki!

- Jasne.

Ostatecznie jednak pokusa znalezienia się w domu, z dala od

obserwujących ludzi, okazała się nie do odparcia.

- Dzięki.

Ala objęła ją. Była młodsza i niższa o głowę, a mimo to w tym geście było coś matczynego. Jej włosy pachniały dziecięcym szamponem. Nieprzyzwyczajona do takich poufałości ze strony niemal obcej osoby Maria zeszytniała.

- Idź.

Czekając na autobus, starała się uporządkować myśli. Wojtek chciał ją o coś prosić, to prawda, jednak nie potrafił wydusić z siebie słowa, a ona przecież zadeklarowała, że pomoże mu, jeśli tylko będzie mogła.

„Tak, ale jakim tonem to powiedziałaś?”, podsunął złośliwy głosik w jej głowie. Takie dzieci jak Wojtek potrzebowały czasu, żeby się otworzyć. Trzeba było postępować z nimi cierpliwie i łagodnie, broń Boże nie poganiać. Maria doskonale o tym wiedziała, a mimo to jej: „Pomogę, ale najpierw muszę wiedzieć, co się dzieje”, zabrzmiało, jakby w istocie mówiła: „Mów, o co chodzi, bo nie mam czasu”.

Jęknęła, kuląc się na siedzeniu rozklekotanego ikarusa. Z drugiej strony, kto powiedział, że Wojtek chciał prosić o coś ważnego? Maria nie należała do jego ulubionych nauczycielek - o ile w ogóle kogoś takiego miał - czemu więc miałby wybrać na powiernika akurat ją? Może chciał poprosić o coś zwyczajnego, na przykład żeby nie wpisywała mu złej oceny?

Tylko że to nie tłumaczyło tego dziwnego rysunku... Dłaczego czternastolatek, zapytany, kto jest głównym bohaterem *Syzyfowych prac*, rysował czwórkę dzieci w lesie? „Bo Żeromski nic go nie obchodził”, odpowiedziała sama sobie. Wojtek prawdopodobnie nawet nie wiedział, kto to jest. Obchodziły go te dzieci. Jego przyjaciele: Paweł, Jasna i ten trzeci, jak on się nazywał? Maria nie potrafiła sobie przypomnieć. Wojtek mógł ich narysować odruchowo, nudząc się w czasie lekcji; uczniowie często bazgrali po zeszytach czy kartkach. Ale chłopak nigdy wcześniej tego nie robił, może więc chodziło o coś innego?

„Pani wie”, powiedział.

Co takiego wiedziała Maria?

Dotarła do domu, otworzyła furtkę. Czarny kocur patrzył na nią z nadzieją spod oszronionej śliwy.

- Nie teraz - mruknęła.

W przedpokoju zdjęła płaszcz i buty. Powinna wykorzystać niespodziewanie wolne popołudnie, zrobić tyle rzeczy... Najpierw jednak musiała trochę odpocząć.

Usiadła na tapczanie i przymknęła oczy. Pytania wciąż wirowały jej w głowie, a jednocześnie ogarnęła ją nieodparta senność. Najchętniej przespałaby całe to zamieszanie, całe poczucie winy, i obudziła się, gdy będzie po wszystkim.

Jeśli teraz się położy, ryzykuje, że wstanie kilka godzin później zupełnie rozbita, a w nocy nie zmruży oka. Trudno, pomyślała, wsuwając się pod zimny koc. Dom jeszcze nigdy nie wydawał jej się równie pusty i nieprzyjazny. Zamknęła oczy, ale wciąż go widziała, napierającą na nią posępną obecność starych murów, tak ciężkich, że z trudem mogła oddychać.

9

Adam Bogusz znalazł na biurku raport przygotowany przez sierżanta Krupę i przeczytał go, popijając mocną, słodką arabicę. Porucznik nie miał pojęcia, jak niedawno zatrudniona sekretarka sprawdza się przy odbieraniu telefonów, ale wiedział już, że dziewczyna parzy świetną kawę.

Ojciec Wojtka pracował w fabryce konserw. Zaczynał jako robotnik przy taśmie, a po paru latach - kiedy dał się przekonać i zapisał do partii - awansował na kierownika zmiany, matka zajmowała się domem. Starsza siostra przerwała naukę w technikum, żeby wyjść za mąż i urodzić dziecko, dwójka młodszych braci, bliźniaków, chodziła do tej samej podstawówki co samobójca; siostra zresztą też ją skończyła parę lat wcześniej.

Józef Kapuściak najwyraźniej lubił trzymać synów i córkę krótko, bo, jak wyznał przyciśnięty wuefista, cała czwórka od czasu do czasu zjawiała się w szkole z nader wymownymi siniakami. Poza tym jednak wydawał się przyzwoitym człowiekiem: nie pił, nie awanturował się, pieniądze przynosił

do domu. Żadna intelektualna elita, po prostu porządna robotnicza rodzina, jakich wiele w okolicy, niezbyt bogata, ale też nie biedna. Nikt nie miał zatargów z prawem, młodszy synowie w przeciwieństwie do starszego uczyli się nieźle i była szansa, że dobrną nawet do matury

Bogusz zapalił papierosa. Kapuściakowie wydawali się całkowicie przeciętni - żadnych mrocznych tajemnic, nic, co by ich wyróżniało. W takich rodzinach oczywiście też zdarzały się tragedie. Może jedna dwójka więcej i strach przed ojcowskim pasem przelały czarę goryczy, może Wojtka wyśmiała ładna dziewczyna... Nic niezwykłego.

Sięgnął po zdjęcia, które zrobił w parku, gdy nastał dzień. Milicyjnego fotografa wolał nie wzywać - dopiero koledzy mieliby używanie, że przejmuję się zwykłym samobójstwem. Rozłożył je, spychając szklankę po kawie na drugą stronę biurka, tę zagraconą, przy której zazwyczaj siedział nieobecny teraz kapitan Stanisław Krauze.

Na zdjęciach widać było brudne ślady na najniższej gałęzi - Wojtek prawdopodobnie wspiął się, żeby zawiązać sznur wyżej, a potem, skoczyć. Błoto znaczyło też pień na wysokości stóp wiszącego chłopca. Konając, kopał w drzewo czubkami butów? W tym też nie było nic dziwnego - samobójcy rzadko umierali spokojnie.

Źle mu szło w szkole, koledzy się z niego wyśmiewali, a ojciec go bił. W dodatku akurat tego dnia miał przy sobie kawałek sznura, bo na zajęciach technicznych robili podwieszany kwietnik.

Idealny motyw, idealna okazja.

Dlaczego więc Bogusz odnosił wrażenie, że coś tu nie pasuje?

„Była szansa, że jeszcze dycha”, powiedział lekarz.

Porucznik znalazł w notatkach Krupy nazwisko, po czym sięgnął do stojącego na biurku telefonu i wybrał numer szpitala.

- Porucznik Adam Bogusz z komendy miejskiej. Chcę rozmawiać z doktorem Jasiakiem; wczoraj miał dyżur na pogotowiu.

Musiał poczekać dobre pięć minut, ale wreszcie w słuchawce

rozległ się znajomy głos.

- Jasiak, słucham.

- Porucznik Bogusz. Spotkaliśmy się przy tym powieszonym chłopaku. Może mi pan powiedzieć, kiedy zmarł?

- Od tego to jest patolog, nie ja...

- Wiem. - Porucznik starał się zachować spokój. - Wystarczy mi mniej więcej. Mógł tam wisieć kilka godzin?

- Na tym mrozie? Żartuje pan? Kiedy go odcinałem, był jeszcze ciepły. Piętnaście-dwadzieścia minut wcześniej i chłopaka dałoby się odratować.

- Dziękuję.

Bogusz zamyślił się. Wojtek urwał się ze szkoły po trzeciej lekcji, czyli około jedenastej. Potem żaden nauczyciel już go nie widział, co zresztą nikogo specjalnie nie zdziwiło. Chłopak powiesił się w parku osiem godzin później.

Co robił przez cały ten czas? Krążył po mieście i przeżywał kolejną szkolną porażkę? Możliwe, choć żadnej złej oceny w tym dniu nie dostał - Bogusz upewnił się, przeglądając dziennik. Jeśli więc Wojtka spotkała nieprzyjemność, musiało to być coś... bardziej osobistego. Może znowu ktoś go wyśmiał, może któryś z nauczycieli rzucił o jedną nieprzyjemną uwagę za dużo, a potem bał się przyznać albo zwyczajnie uznał, że to nie ma znaczenia. Możliwe też, że nie wydarzyło się nic szczególnego, dzień jak co dzień, tyle że akurat wczoraj coś pękło i chłopiec doszedł do wniosku, że nie zniesie dłużej takiego życia. „Jakby się bał, ale jednocześnie wydawał się podniecony”, powiedziała Agata Nelec.

Porucznik wstał, przeszedł pół korytarza i zastukał do gabinetu Łaskiewicza. Major podniósł wzrok znad rozłożonej gazety. Był to siwowłosy mężczyzna o szlachetnych rysach rzymskiego senatora, które powoli, lecz nieubłaganie ginęły pod naporem tłuszczu i rozczarowań jak zalewana przyplływem plaża. Łaskiewicz wielokrotnie starał się o awans i przeniesienie do jakiegoś większego miasta, ale za każdym razem z różnych powodów mu odmawiano. Jeszcze do niedawna przyjmował te porażki z humorem, a po kieliszku albo dwóch snuł plany czekającej go świetlanej przyszłości.

Ostatnio jednak zaczął się poddawać. Nadal spędzał na komendzie niemal każdą wolną chwilę, lecz jego aktywność coraz bardziej wyglądała na pozorowaną. W ciągu tych ponurych jesiennych i zimowych miesięcy Bogusz częściej widywał go czytającego z nogami na biurku albo popijającego zaprawioną koniakiem herbatę niż przy uczciwej pracy. Owszem, major wciąż nosił nienagannie odprasowany mundur - nawet jeśli ten nieco opinał się na zaokrąglonej sylwetce - a w razie potrzeby potrafił postawić podwładnych do pionu, jednak w jego gabinecie dawało się wyczuć wyraźny ślad rezygnacji, czego symbolem był niezmieniony od pięciu lat portret Edwarda Gierka wiszący nad biurkiem.

- Ja w sprawie tego chłopaka, wisielca - zaczął Bogusz. - Chciałbym opublikować ogłoszenie, żeby zgłaszali się do nas ludzie, którzy widzieli go między 11.00 a 19.30.

- Czy jest coś, co sugeruje, że to nie było samobójstwo?

Porucznik miał ochotę skłamać.

- Nie, panie majorze - powiedział z ociąganiem. - Ale jego motywy... nie są jasne.

- Adam. - Brwi Łaszkiwicza powędrowały w górę, a ponieważ były znacznie ciemniejsze niż srebrzyste włosy, sprawiały wrażenie pomalowanych kredką. Major, nawet w swoich najlepszych czasach, wyglądał trochę jak teatralny aktor. - To biedny półgłówek, z którego pół Mgielnicy, włącznie z jego własnym ojcem, zrobiło sobie worek treningowy. Na miejscu dzieciaka zabiłbym się dawno temu.

- Jego siostra twierdzi, że chłopak ostatnio zachowywał się inaczej. Nie był przygnębiony, a wręcz przeciwnie, jakby podekscytowany, choć też wystraszony.

Łaszkiwicz westchnął.

- Kiedy będziesz w moim wieku - jego protekcyjny ton strasznie drażnił Adama - będziesz wiedział, że według rodziny samobójcy zawsze są jacyś „inni” przed śmiercią. Zmyślają po fakcie, rozumiesz? Sądzą, że powinni coś zauważyć, więc wydaje im się, że rzeczywiście zauważyli. Zresztą rób, jak uważasz.

- Dziękuję.

„Najpierw jednak nauczycielka - myślał porucznik, zmierzając w stronę parkingu. - Ta, która tak nagle się rozchorowała”. Właśnie po lekcji z nią chłopak wyszedł ze szkoły. To mogło mieć znaczenie.

Zapisał jej adres: osiedle Jelonki, Porcelanowa 41.

Piętrowy domek straszyl odłazającą farbą, niewielki ogródek nawet pod czapą śniegu wygladał na zaniedbany. Porucznik pchnął furtkę, która otworzyła się z cichym skrzypnięciem. W krzakach coś miauknęło i pomiędzy bezlistnymi gałęziami błysnęły oczy. Kot, tak czarny, że miejscowe staruszki musiały szczerze go nienawidzić. Zwierzę odprowadziło gościa nieufnym spojrzeniem, gdy wchodził po schodkach. Bogusz zadzwonił. W mieszkaniu rozległ się terkotliwy dźwięk, brzęmiący, jakby odbijał się głucho od pustki. Porucznik czekał cierpliwie, od czasu do czasu wduszając przycisk, i kiedy już doszedł do wniosku, że Marii Lenarczyk naprawdę nie ma, usłyszał odgłos cichych kroków. Po chwili drzwi uchylły się, szcęknał naprężony łańcuch.

- Porucznik Adam Bogusz - przedstawił się. - Mogę zająć pani chwilę?

Kobieta zdjęła łańcuch i otworzyła szerzej. Bogusz ocenił jej wygląd: wysoka, ciemnowłosa, po trzydziestce. Chuda, ale z szerokimi biodrami i kwadratowymi ramionami. Było w niej coś męskiego, może przez te ramiona albo przez krótką fryzurę i brak makijażu. Mrugała, jakby ją obudził, i sprawiała wrażenie niezbyt przytomnej.

- Mogę wejść? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Dopiero po chwili odsunęła się, robiąc mu przejście. Poszedł za nią do pokoju, w którym było zimno jak w psiarni. Usiadł w fotelu, Maria Lenarczyk zajęła miejsce na tapczanie. Nie zaproponowała herbaty ani kawy, nie zapytała, po co przyszedł.

- Podobno jest pani chora?

Zawahała się, ale wreszcie skinęła głową. Przez moment zastanawiał się, czy kobieta nie wzięła jakichś środków uspokajających, ale doszedł do wniosku, że chyba nie - w każdym razie źrenice miała normalne. Może rzeczywiście

złapała ją paskudna grypa.

- Chciałem porozmawiać o Wojtku Kapuściaku. Miała z nim pani wczoraj lekcję polskiego?

- Tak. - Mówiła z trudem, jakby musiała siłą przepychać słowa przez gardło. Jej dłonie leżały na kocu; duże, męskie, zaczerwienione od mrozu.

- Czy wydarzyło się coś szczególnego? Coś, co mogłoby popchnąć chłopca do samobójstwa?

- Poprosiłam, żeby został po lekcji.

- Dlaczego? - Miał wrażenie, że każde zdanie musi z niej wydzierać. Bardzo go to irytowało.

Odetchnęła, najwyraźniej zbierając siły. Dalej mówiła już nieco płynniej:

- W środę uczniowie pisali sprawdzian z lektury. Wojtek oddał pustą kartkę. Chciałam z nim porozmawiać.

- Krzyczała pani? Powiedziała mu coś niemilego?

Nie oburzyła się, nie oznajmiła, że nie ma zwyczaju źle traktować uczniów. Zwyczajnie pokręciła głową. Co z tą kobietą było nie tak?

- I dowiedziała się pani, czemu chłopiec oddał pustą kartkę?

- Nie - znowu zaprzeczyła i kiedy już myślał, że niczego więcej nie powie, przez jej usta przemknął blady cień uśmiechu. - Ale Wojtek był prawie analfabetą, z trudem czytał, nie mówiąc o pisaniu.

- Nie wydaje się pani dziwne, że takie dziecko dotarło do ósmej klasy i było o krok od skończenia szkoły podstawowej?

- Porażka systemu edukacyjnego, prawda? - Gdy się uśmiechała, nawet tak blado i smutno jak teraz, była całkiem ładna. - To się zdarza częściej, niż pan myśli.

- Dlaczego? Nie oskarżam pani, chcę tylko zrozumieć.

- Bo nauczyciele nie chcą męczyć się kolejny rok ze słabym uczniem, bo wszyscy wiedzą, że nawet gdyby powtarzał każdą klasę pięć razy, i tak nie nauczy się tego, co jest w programie. Lepiej oszczędzić dziecku niepotrzebnego stresu, niech jak najszybciej idzie do pracy.

- Istnieją szkoły specjalne.

- Które wymagają najpierw skierowania do poradni, a matka

Wojtka na samą sugestię takiego rozwiązania wpadła w histerię. Dla wielu rodzin to straszny wstyd. Poza tym...

- Tak?

Splatała i rozplatała te swoje duże kościste dłonie.

- Za każdym razem, gdy Wojtek przynosił ze szkoły złą ocenę albo był zagrożony z jakiegoś przedmiotu, ojciec go bił.

- Chce pani powiedzieć, że chłopak dostawał promocję do następnej klasy z litości? Bo gdyby został na drugi rok, ojciec sprzałby mu tyłek?

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Takie jest życie”.

- I nic pani nie zrobiła?

- Nikt niczego nie zrobił. Nie mówiło się o tym głośno, ale każdy wiedział. Wszyscy go zawiedliśmy.

- Jeszcze jedno pytanie: czy Wojtek w czasie tej rozmowy wydawał się pani jakiś inny? Może przygnębiony albo odwrotnie, podekscytowany?

- Nie. On zawsze był... zamknięty w sobie, wczoraj nie bardziej niż kiedykolwiek.

„Kłamie”, pomyślał. Maria Lenarczyk patrzyła mu w oczy, ale nie był to wzrok kogoś, kto rzuca wyzwanie, raczej cicha desperacja człowieka, który zdaje się mówić: „Nie mam siły udawać. Rób z tym, co chcesz”.

„Co jest z tą kobietą nie tak?”, powtórzył w myślach.

10

W sobotę Maria obudziła się około dziesiątej i przez dłuższą chwilę leżała w łóżku, ciesząc się ciepłem zagrzanej pościeli. Nie pamiętała, co jej się śniło, ale przynajmniej tym razem chyba nie było to nic nieprzyjemnego. Wsłuchiwała się w ciszę domu, w ledwie słyszalny szmer śniegu osypującego się z dachu, odległe ujadanie psa na zewnątrz i tykanie starego zegara. Patrzyła na promień słońca, który wpadał przez okno i rozcinał zawieszinę wirującego kurzu niczym złocisty most przerzucony przez zimową szarość. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że wciąż jest małą dziewczynką, a jej ciotka krząta się w

kuchni; lada moment zawoła ją na śniadanie, a potem obie ubiorą się ciepło i pójdą na ptysie do Bajki. Prawie słyszała szum czajnika na piecu, szcęk otwieranych i zamykanych szuflad, odgłos ostrzonych noży. Zapach lawendy stał się intensywniejszy, na kilka sekund przebijając się przez wszechobecną woń wilgoci i zaniedbanych pomieszczeń, jakby duch ciotki przeszedł tuż obok. Zaciśnięła powieki, ale wizja już odpływała.

Maria wstała niechętnie i owinięta w szlafrok poczłapała do kuchni, żeby rozpalić w piecu. Lodówka i pojemnik na chleb świeciły pustkami, umyła się więc, ubrała i wyszła - minęła jedenasta, jeśli chciała zdążyć do pawilonu, powinna się spieszyć.

Czarnego kota w ogrodzie nie było, co trochę ją rozczarowało, ale zaraz wrócił jej względnie dobry humor. Niebo było jasne, słońce skrzyło się w ściętych lodem kałużach na drodze. Wciągnęła w płuca mroźne powietrze i przyspieszyła kroku. Odrobina wysiłku dobrze jej robiła.

Nad polami, które mijała, krążyły kruki, spod śniegu wзираły gdzieniegdzie skiby czarnej zmrożonej ziemi.

Dalej rysowała się ciemna linia drzew, lecz Maria nie patrzyła w tamtą stronę. Las budził w niej uczucia, których nie potrafiła nazwać. Niepokój? Lęk? Ciekawość? Kiedyś, gdy poczuje się lepiej, będzie mogła się nad tym zastanowić, tak jak kiedyś, później, pomyśli o śmierci Wojtka i wszystkim, co się z nią wiąże.

W pawilonie handlowym kupiła bochenek chleba, dwie butelki mleka i pół kilo parówek, które jako jedyne smętnie zwisały pod napisem „Wędliny”. Po namyśle wzięła też dwie paczki herbaty i kostkę żółtego sera, równie osamotnionego pod szklaną ladą, jak parówki na haku. Jej ciotka prawdopodobnie w tym momencie rozejrzałaby się z pogardą i powiedziała coś o przedwojennych czasach, gdy w sklepach były takie frykasy jak pomarańcze czy banany, nie wspominając o mięsie i czekoladzie, które teraz kupowało się wyłącznie na kartki.

Maria nie zamierzała narzekać. Z jakiegoś paradoksalnego

powodu to jej odpowiadało. Nie trzeba było wybierać, myśleć, po prostu kupowało się, co akurat rzucili. Nigdy zresztą nie miała dużych potrzeb. Jedynym trudno dostępnym towarem, z którego nie potrafiła zrezygnować, była kawa, ale w tym względzie zawsze mogła liczyć na uprzejmość sprzedawczynie, która dla „pani nauczycielki” odkładała jedną paczkę czy dwie, albo na jakiegoś rodzica wdzięcznego za przepchnięcie pociechy do następnej klasy.

Gdy wracała, kruków nad polem już nie było, za to zobaczyła dwie sarny. Kiedy ją dostrzegły, odwróciły się i potruchoły w stronę lasu, ale bez szczególnego pośpiechu.

Przy furtce Marię przywitał czarny kot. Wpuściła go do domu - po raz pierwszy wszedł do środka - i dała trochę parówki. Zjadł, a potem obserwował, jak kobieta przygotowuje skromny posiłek dla siebie. Nie miauczał, nie domagał się więcej. Ostrożnie powąchał wyciągniętą rękę, pogłaskać się jednak nie pozwolił.

- Koniec tego dobrego - mruknęła do zwierzaka, gdy skończyła jeść. - Pora wracać na zimno.

Do szpitala dotarła przed trzecią. Był to nowoczesny, pomalowany na optymistyczną zieleń budynek, któremu bez trudu udawało się sprawiać ponure wrażenie. Cicha winda wyniosła ją na trzecie piętro. Pachniało tu wykrochmaloną pościelą, środkami do mycia linoleum, lekami i jedzeniem bez smaku. Zapach choroby i straconych nadziei.

Emilia Orawska leżała w trzyosobowym pokoju, w którym oprócz niej umieszczono jeszcze jedną kobietę, teraz pochrapującą pod kołdrą. Maria usiadła przy łóżku ciotki i wzięła ją za rękę. Staruszka patrzyła w sufit wyblakłymi oczami, które kiedyś, dawno temu, miały barwę chabrów i łamały męskie serca. Pomiędzy rzadkimi siwymi włosami widniały placki różowej skóry, pomarszczona dłoń była tak lekka, że Maria miała wrażenie, jakby trzymała martwego ptaka.

- Witaj, ciociu - powiedziała. Zawsze w takich chwilach dopadała ją osobliwa mieszanka litości, niechęci i lęku.

„Czy ja też będę tak umierać?”, przemknęło jej przez myśl.

- Nie uwierzysz, ale chyba będziemy miały nowego lokatora.

To czarny kot, dziki, ale chyba da się oswoić. Nie masz nic przeciwko, prawda?

Dziwnie się czuła, tak paplając, bo nigdy nie była pewna, ile staruszka z tego słyszy i rozumie. Emilia umysł wciąż miała bystry, ale środki przeciwbólowe sprawiały, że niemal przez cały czas tkwiła zawieszona pomiędzy snem a jawą. Tylko czasem poznawała siostrzenicę, a jeszcze rzadziej mówiła do niej coś, co miało sens.

Ciotka Marii dobiegała osiemdziesiątki i cierpiała na kilka różnych chorób, jakby w jej ciele trwała nieustająca bitwa, komu ostatecznie uda się zabrać ją z tego świata. Jeszcze niedawno wydawało się, że zwycięstwo będzie należeć do cukrzycy albo kolejnego zawału, ale tuż przed Bożym Narodzeniem rak trzustki zdecydowanie wysforował się na prowadzenie. „Dwa-trzy tygodnie”, przyznał z niechęcią młody lekarz, kiedy przycisnęła go podczas ostatniej wizyty, po czym zaproponował, żeby zabrać starszą panią do domu. Mówił długo i ładnie o tym, że chorej łatwiej będzie odejść w znajomym otoczeniu, a Maria przy pomocy pielęgniarki poradzi sobie z podawaniem środków przeciwbólowych. Ona jednak odmówiła. „W szpitalu ciocia będzie miała lepszą opiekę”, powiedziała, nie patrząc sympatycznemu lekarzowi w oczy. Bo on oczywiście wiedział, że Maria była tchórzem i egoistką, że nie zniosłaby w domu obecności umierającej kobiety.

Ostrożnie położyła na kołdrze pomarszczoną dłoń i pogłaskała staruszkę po policzku. Nigdy nie były sobie jakoś szczególnie bliskie. Emilia należała do przedwojennego pokolenia wyznającego raczej kult dyscypliny niż miłości. Nie ukrywała też, że siostrzenica trochę ją rozczarowała: została co prawda nauczycielką, ale za mąż nie wyszła, a stara panna to wiadomo - wstyd.

Maria westchnęła. Czemu nie zadała jednego z pytań, które naprawdę chciała zadać?

Gdy wróciła do domu, kot czekał na nią pod drzwiami, wpuściła go więc i dała jeść. Obecność innej żywej istoty w domu, choćby i na wpół dzikiego zwierzęcia, podnosiła ją na

duchu.

Wieczór spędziła przed telewizorem, przeglądając stare albumy. Tylko od czasu do czasu podnosiła wzrok, żeby poszukać kota, który ostrożnie obszedł mieszkanie, po czym skulił się za fotelem. Potem wracała do zdjęć. Oto ona i ciotka na wakacjach w Międzyzdrojach: starsza pani (która wtedy musiała mieć około pięćdziesiątki, ale dziesięcioletniej Marysi wydawała się bardzo wiekowa) w słomianym kapeluszu i okularach przeciwsłonecznych, jej siostrzenica z różkiem topniejących lodów w ręku. Wycieczka do Zakopanego i koń, który tak bardzo przestraszył małą Marysię, że dorosła Maria nadal nie przepadała za tymi zwierzętami. Maria podczas zawodów pływackich - zdobyte wtedy pierwsze miejsce było jej jedynym sportowym osiągnięciem. A z tyłu, włożone za okładkę, zdjęcie niepasujące do innych: ciotka popija w ogródku lemoniadę z wysokiej szklanki i uśmiecha się do kogoś stojącego poza kadrem. Fotografia musiała być zrobiona niedawno, zanim Emilia poważnie zachorowała; starsza pani wyglądała na szczęśliwą, mimo że podeszły wiek musiał już mocno jej dokuczać.

Sięgnęła po ostatni, najstarszy album. Na wszystkich późniejszych zdjęciach mała Marysia miała krótkie, po chłopięcemu obcięte włosy, na tych natomiast nosiła jeszcze sięgające pasa warkocze. Maria próbowała przywołać w pamięci samą siebie z długimi włosami, ale nie potrafiła.

Ostrożnie dotknęła twarzy dziecka z fotografii, zbyt poważnej, jakby już wtedy przeczuwało przyszłość.

Pytanie, którego nigdy nie zadała ciotce, brzmiało: co takiego przydarzyło się tej dziewczynce?

Ogłoszenie ukazało się w sobotę, a do poniedziałku porucznik Bogusz miał ponad czterdzieści zgłoszeń. Część z nich stanowiły dowcipy - biedny Wojtek nawet po śmierci nie przestał być ofiarą szkolnych żartów - parę pochodziło od nie zrównoważonych psychicznie osób, które dzwoniły przy

każdej tego typu sprawie, ale reszta wyglądała obiecująco. Bogusza szczególnie zainteresowały dwie informacje. Sprzedawca z delikatesów niedaleko rynku powiadomił, że około szesnastej Wojtek kupił u niego bułkę z makiem. Zapytany, czy chłopak wydawał się przygnębiony, stanowczo zaprzeczył i oznajmił, że wręcz przeciwnie, przyszedł samobójca sprawiał wrażenie ożywionego i szczęśliwego. Mężczyzna zwrócił na to uwagę, bo kiedy widywał Wojtka wcześniej, chłopak zawsze wyglądał ponuro, uderzyła go więc różnica.

Drugim świadkiem była pewna kobieta, daleka znajoma rodziny, która przed osiemnastą minęła chłopca na ulicy i nawet chciała zagadać, zapytać, co tam u Kapuściaków, jak bliźniacy radzą sobie w szkole i czy dziecko Agaty okazało się chłopcem, czy dziewczynką, ale zrezygnowała, widząc minę Wojtka. „Wyglądał, jakby szedł na ścięcie”, tak powiedziała, a Bogusz nie miał powodu, żeby jej nie wierzyć.

O szesnastej jest radosny i poruszony.

Przed osiemnastą „wygląda, jakby szedł na ścięcie”, i wkrótce kończy, wisząc na drzewie w parku.

Bogusz sięgnął po paczkę carmenów i zapalił. Protokół z oględzin zwłok wykluczał udział osób trzecich. Zgodnie z opinią patologa Wojciech Kapuściak był zdrowym, prawidłowo rozwiniętym czternastolatkiem, który zabił się z niewiadomych powodów. Fizycznie nic mu nie dolegało, może poza zaskakującą skłonnością do nabijania sobie siniaków, bo tych lekarz naliczył kilkanaście, głównie na ramionach, udach i plecach. Ślady ojcowskiego pasa, jak domyślił się porucznik. Niewiele to pomogło.

Zgłoszenia wciąż napływały, ale było ich zdecydowanie mniej niż na początku i Bogusz wiedział, że wkrótce ludzie przestaną dzwonić. Za dwa-trzy dni Łaskiewicz wezwie go do swojego gabinetu, a potem każe zająć się czymś innym i zamknie sprawę. Przyczyna samobójstwa: „problemy w szkole”, napisze porucznik w raporcie, żeby uniknąć upokarzającego słowa „nieznana”.

Zdusił w popielniczce niedopałek, po czym spojrzął na zdjęcie zmarłego, które wisiało przypięte pinezką do tablicy korkowej

obok pocztówki wysłanej z Bułgarii przez jedną z kadrowych oraz niewiadomego autorstwa karykatury Łaskiewiczza w laurowym wieńcu. Wojtek spoglądał w bok spod zbyt długiej grzywki, usta miał zaciśnięte, na policzku plamę, która mogła być równie dobrze paskudną egzemą, jak i kolejnym w życiu chłopaka sińcem. Na fotografii sprawiał wrażenie jednocześnie nieszczęśliwego i złego, niczym zapędzony w kąt szczur, który wreszcie dojrzał do tego, żeby kogoś ugryźć. „Chyba niełatwo go było polubić”, pomyślał Bogusz.

Zmrużył oczy, jakby chciał wydrzeć chłopcu skrywaną tajemnicę.

„Gdzie byłeś w ciągu tych dwóch godzin? Co się wtedy stało?”

12

„Na pogrzebie powinno padać”, pomyślała Maria. Lejący się z nieba deszcz, tłum żałobników podążających pod czarnymi parasolami przez cmentarz, rozmiękła od wilgoci ziemia gościnnie przyjmująca ciało - czy nie tak wyglądały pogrzeby na filmach? Teraz jednak był styczeń, zimowe słońce odbijało się w wypolerowanych okuciach trumny, a aniołki na sąsiednich grobach spoglądały smutno spod białych czap śniegu.

Oprócz rodziny Wojtka przyszła delegacja ze szkoły, wybrani nauczyciele oraz kilkoro uczniów, którzy stali z tyłu i wyglądali, jakby już zaczęli się nudzić. Złodowaciałe grudy uderzyły o drewniane wieko, dyrektorka w futrze i z nową, jeszcze sztywną trwałą koloru jajecznicy położyła wieniec, a potem podeszła do zapłakanej matki Wojtka. Za plecami rodziców stali bliźniacy i młoda, może dwudziestoletnia kobieta, pewnie siostra.

Maria ustawiła się w ogonku ubranych na czarno postaci, żeby złożyć kondolencje. Miała kompletną pustkę w głowie i kiedy nadeszła jej kolej, potrafiła tylko wymamrotać: „Bardzo mi przykro”. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Marzła w swoim szarym wiosennym płaszczu - zimowy był zielony, więc nie nadawał się na pogrzeb - buty ślizgały się na oblodzonej drodze. Tłumek składających kondolencje osób topniał,

żałobnicy powoli odchodzili od świeżego grobu i zbijali się w grupki pod lipami, z których podmuchy wiatru strącały śnieg. Maria wylała strzępy rozmów o naprawie dachu i o tym, czy dozorca, który ostatnio zapomniał napalić w świetlicy, pije, czy może tylko jest leniwy. Ktoś nawet się roześmiał, ale zaraz umilkł, najwyraźniej speszony. Jeśli nawet samobójstwo Wojtka wstrząsnęło Szkołą Podstawową imienia Róży Luksemburg, to nie na długo. Nie była to pierwsza śmierć wśród uczniów. W zeszłym roku siódmoklasista zderzył się na motorynce z rozwożącym węgiel wozem i zginął na miejscu, a wcześniej zmarła na białaczkę dziewczynka z czwartej klasy. Życie toczyło się dalej mimo takich czy innych tragedii.

Karol Górny próbował wyciągnąć na piwo nieśmiałego Ryśka, Jadzia spoglądała na zegarek, myślami najwyraźniej będąc już zupełnie gdzie indziej. „Szybko o Wojtku zapomną - pomyślała Maria - zwłaszcza że nie udowodniono, by śmierć chłopca miała cokolwiek wspólnego ze szkołą”.

Nie miała im tego za złe, jednak ona nie potrafiła uwolnić się od wspomnień. Chłopiec stojący w klasie ze spuszczoną głową, jakby usiłował schować się we własnych ramionach, jego dziwny rysunek.

„Pani wie...”

- Wracasz do domu? - Dziewczęcy głos wyrwał Marię z zamyślenia.

Podskoczyła lekko.

- Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć. - Alicja Danielewska stropiła się.

- Nie wystraszyłaś, tylko... Mniejsza z tym, ostatnio chyba rzeczywiście jestem trochę nerwowa.

- Pytałam, czy już wracasz. Jeśli nie, możemy wstąpić gdzieś na kawę. Niedaleko jest Bajka, dają tam pyszne ptysie ze śmietaną.

- Czemu nie? - Maria nie miała ochoty wracać do pustego domu. - Nie wiedziałam, że Bajka jeszcze istnieje. Chodziłam tam jako dziecko.

- Istnieje, istnieje. - Niebieskie oczy Ali błyszczały, jasne włosy powiewały na wietrze.

Nauczycielka wyglądała bardzo młodo, prawie jak nastolatka. Jako jedyna założyła płaszcz, którego barwa niebezpiecznie balansowała na granicy brązu i niestosownej w tych okolicznościach czerwieni. Może po prostu nie miała innego, jednak Maria z jakiegoś powodu zakładała, że nie o to chodziło. Co właściwie wiedziała o tej dziewczynie? Że uczyła w młodszych klasach, że dzieci ją uwielbiały - gdy dwa lata temu Alicja przechodziła operację wycięcia wyrostka, trójka przedsiębiorczych ośmiolatków urwała się rodzicom i pojechała na drugi koniec miasta, żeby odwiedzić ją w szpitalu. Była ładna i radosna. Zdecydowanie niepasująca na przyjaciółkę dla nauczycielki takiej jak Maria: zamkniętej w sobie, znerwicowanej i niezbyt lubianej.

- Dlaczego? - wyrwało się Marii, kiedy siedziały w kawiarni, która była tym samym, zapamiętanym z dzieciństwa lokalem, jakby czas zatrzymał się tu ćwierć wieku temu.

O tej godzinie Bajka świeciła pustkami, tylko przy stoliku pod oknem tuliła się do siebie młoda para. Maria zastanowiła się, czy właśnie nie patrzy na uciekinierów ze szkoły, ale ponieważ oboje najwyraźniej osiągnęli wiek licealny, nie był to jej problem.

- Co dlaczego? - Ala dmuchnęła w szklanekę z kawą.

- Dlaczego wtedy dla mnie skłamałaś? Nie musiałaś tego robić.

- Kiedy źle się poczułaś? - Wzruszyła ramionami. - Naprawdę kiepsko wyglądałaś. Nie wiem, co ci było, ale sprawiałaś wrażenie, jakbyś pilnie potrzebowała pomocy.

- Zawsze tak się litujesz nad ludźmi?

- Nie lituję się nad tobą, jeśli o to ci chodzi. - Ala roześmiała się, pokazując drobne zęby. - Powiedzmy, że z pewnych względów wydajesz mi się... interesująca.

- Naprawdę? - Maria zamrugnęła.

- No wiesz, przyjeżdżasz do tej dziury z wielkiego świata, prawie z nikim się nie widzisz, w szkole rzadko otwierasz usta i wyglądasz, jakbyś miała jakieś tajemnice. - Obliznęła łyżeczkę z kremu, po czym wbiła ją z powrotem w ptysia. - Masz tajemnice?

Czy to możliwe, żeby Alicja jako jedyna nic nie wiedziała? Maria spojrzała podejrzliwie, ale blondynka bez trudu wytrzymała jej wzrok. Wyglądała przy tym tak niewinnie, że kobieta skapitulowała.

- Nie, nie wydaje mi się. Poza tym Warszawa to żaden wielki świat. I wychowałam się tutaj, wyjechałam dopiero na studia.

- Ja nigdy nie byłam dalej niż sto kilometrów od miejsca, gdzie się urodziłam. Może dlatego - Ala przechyliła głowę - nie miałabym nic przeciwko odrobinie sensacji i przygody. Jeśli masz okrutnego i zazdrosnego męża, przed którym uciekasz, możesz mi powiedzieć. Razem dobierzemy mu się do skóry.

- Czytasz za dużo romansów. A ja nigdy nie byłam zamężna.

- To tak jak ja. W Mgielnicy raczej nie ma wielkiego wyboru.

Maria zmarszczyła brwi. Alicja co prawda nie nosiła obrączki, ale Marii obilo się o uszy, że mieszka z jakimś mężczyzną.

- Opiekuję się bratem - wyjaśniła blondynka niecierpliwie. - Uważasz, że to dziwaczne?

- Nie, dlaczego?

- Mam dom po rodzicach, ja jestem samotna i on też, czemu więc nie mielibyśmy mieszkać razem? Poza tym Piotrek jest chory, nie może wychodzić i potrzebuje mojej pomocy...

- Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

- Wiem. - Ala odgarnęła z czoła grzywkę i dopiła kawę. - Ty jako ostatnia rozmawiałas z Wojtkiem?

Nagła zmiana tematu zdezorientowała Marię i przez moment nawet wydała jej się niestosowna. Jednak na Alicję trudno było się gniewać.

- Tak, ja.

„Teraz zapyta, czy zauważyłam w jego zachowaniu coś dziwnego - pomyślała Maria. - Albo nawet, czy nie narzecztałam przypadkiem na chłopaka, tak że postanowił się zabić”. Lecz Ala tylko potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Biedaczek.

- Biedaczek - przyznała Maria. - I w dodatku wydaje się, że nikt tak naprawdę go nie lubił.

- Ja lubiłam. - Ala ją zaskoczyła. - Uczyłam Wojtka przez trzy lata, to była pierwsza klasa, jaką dostałam. Był wtedy... inny.

- Naprawdę?

- Niezbyt bystry, to prawda, jednak zaradny i bardzo samodzielny jak na siedmio- czy ośmiolatka. Zawsze trzymał się trochę z boku, z nikim się nie przyjaźnił, ale budził szacunek wśród innych dzieciaków. Dopiero w trzeciej Masie coś zaczęło się psuć. Dzieci śmiały się z niego, bo wciąż nie umiał czytać, a on coraz bardziej zamykał się w sobie, prawie jakby cofał się w rozwoju. Wcześniej chętnie zgłaszał się na ochotnika przy różnych zabawach i nagle zaczął udawać idiotę, wiesz, mówił, że nie potrafi tego czy tamtego, nawet jeśli doskonale by sobie poradził. To było jak śniegowa kula, a ja przegapiłam moment, kiedy zrobiło się naprawdę źle. Na początku jeszcze się łudziłam, że to nieszkodliwe żarty, potem próbowałam rozmawiać z klasą, ale chyba nie bardzo mi wychodziło. Aż wreszcie było za późno. Dalej jednak chciałam coś zrobić, jakiś czas temu nawet zaprosiłam Wojtka na herbatę, żeby porozmawiać z nim tak od serca. Nie mów nikomu, dyrektorka nie lubi, kiedy nauczyciele spoufalają się z uczniami.

- Ale to nie pomogło?

- Nie, nie pomogło. Mówiłam Wojtkowi, że pięknie rysuje, że wszyscy ci, którzy się z niego śmieją, nigdy by tak nie potrafili, i że kiedy pójdzie do zawodówki, będzie lepiej, bo tam umiejętność czytania czy pisania nie jest najważniejsza. Ale on mnie chyba nie słuchał, nie patrzył mi w oczy, tylko od czasu do czasu coś dukał. Czułam się tak, jakbym zupełnie straciła z nim kontakt. Szkoda chłopaka... Naprawdę miał talent, wiesz?

- Wiem. Narysował na mojej lekcji obrazek: czwórkę dzieci z jakimś potworem w lesie. Dziwaczny, ale na swój sposób rzeczywiście ładny.

Ala westchnęła.

- Nie mogę sobie wybaczyć, że nie zrobiłam dla niego więcej...

„Ja też”, pomyślała Maria, a potem, ponieważ nie miała pojęcia, co powiedzieć, z wahaniem wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń Alicji. Młodsza kobieta uśmiechnęła się smutno.

- Dość tych żalów - oznajmiła po chwili, wstając energicznie. - Muszę wracać do domu, bo Piotrek będzie się niepokoił.

Kiedy pożegnały się na przystanku, Maria odprowadziła ją

wzrokiem. Miło było wiedzieć, że istniała choć jedna osoba, która czuła do Wojtka sympatię. Z drugiej strony to, czego się dowiedziała, czyniło historię chłopca na swój sposób jeszcze bardziej tragiczną. Wojtek zaradny i samodzielny? Cieszący się szacunkiem wśród innych dzieci?

Jak nazywali się przyjaciele, których wymienił wtedy w klasie? Paweł, Jasna i ten trzeci, którego imienia wciąż nie potrafiła sobie przypomnieć?

Jeszcze wczoraj Maria mogłaby przysiąc, że to fikcyjne postacie, ale teraz wcale nie była tego pewna.

Część II: Paweł

Październik 1955 roku

Przyszli po południu, później niż Emilia się spodziewała. Grubas machnął przed wizjerem milicyjną legitymacją, ale i bez tego zgadłaby, z kim ma do czynienia. Otworzyła drzwi.

- Chorąży Zdzisław Kurzeja - przedstawił się zwalisty mężczyzna w koszuli ledwie dopiętej na piwnym brzuszysku. Guziki wyglądały tak, jakby lada moment miały odpaść, w miejscach, gdzie rozchylał się naprężony materiał, widać było fragmenty owłosionej skóry. - Musimy porozmawiać, obywatelko.

- Sierżant Leonard Nawrocki - wymruczał drugi, znacznie szczuplejszy, z żółtą i nieszczęśliwą twarzą kogoś, kto cierpi na bóle wątroby.

- Proszę wejść. - Zaprowadziła ich do kuchni i posadziła przy stole. - Napiją się panowie herbaty? A może czegoś mocniejszego?

- Jesteśmy na służbie - chrząknął Kurzeja, kręcąc się niespokojnie na taborecie, który niemal całkiem zniknął pod wielkim zadkiem. Pośladki zwisały po bokach jak półcie tłustej szynki.

Emilia musiała użyć całej siły woli, by nie skrzywić się na ten widok.

- Mam domową nalewkę - powiedziała.

- To może po jednym kieliszeczku - zgodził się łaskawie chorąży.

Nalała, po czym w milczeniu usiadła przy stole. Wpuściła niechcianych gości do domu i potraktowała, jak przystało na dobrą gospodynię, ale to przecież nie znaczyło, że musi im cokolwiek ułatwiać.

Kurzeja przechylił kieliszek i wlał nalewkę do gardła niczym wódkę, sierżant za to powąchał, ostrożnie upił łyk i wreszcie wysączył resztę, krzywiąc się, jakby dostał lekarstwo.

Chorąży znowu chrząknął.

- Tydzień temu zgłosiła pani zaginięcie małoletniej Marii Lenarczyk, siostrzenicy pozostającej pod pani opieką, zgadza się?

Skinęła głową.

- Protokół wypełniony był, milicja rozpoczęła poszukiwania, a teraz się dowiaduję, że dziecko całe i zdrowe wróciło do domu. Tak nie można, obywatelko. O takich rzeczach trzeba powiadamiać władze. Inaczej tylko marnujecie nasz czas.

Emilia nadal milczała. Plecy miała wyprostowane, dłonie na stole, usta zaciśnięte. Kurzeja odruchowo poluzował kołnierzyk ciasnego munduru.

- Dziecko trzeba przesłuchać, dowiedzieć się, gdzie było - oznajmił. - Raport sporządzić.

- Moja siostrzenica ma sześć lat i z pewnością nikt nie będzie jej przesłuchiwał. - Wzrok Emilii mówił: „Spróbuj mi się sprzeciwić. Tylko na to czekam”.

Poznała wielu ludzi w mundurach: carskich, z czerwonymi gwiazdami, a potem brunatnych. Wszyscy myśleli, że są panami świata, choć na butach mieli jeszcze gnój z obory, w której przierzucali widłami krowie gówno.

Chorąży Kurzeja poczerwieniał.

- Chcemy z nią po prostu porozmawiać. - Nawrocki, ten chudy i dotąd milczący, próbował załagodzić sytuację. - Oczywiście w przypadku dziecka nie może być mowy o oficjalnym przesłuchaniu. Wystarczy nam pięć-dziesięć minut.

- Marysia teraz śpi.

Wielki bawarski zegar zachrobotał, po czym majestatycznie, jakby z lekkim ociąganiem, wybił godzinę trzecią. W przylegającym do kuchni pokoju dało się słyszeć szmer, a po chwili dziecięcy głosik zawołał:

- Jest tu ktoś?!

Kurzeja lekko uniośł brwi. Emilia mocniej zaciśnęła szczęki, aż napięły się mięśnie. W progu stanęła dziewczynka ubrana w

długą koszulę nocną.

- Powinnaś być w łóżku - upomniała ją kobieta.

Marysia spoglądała niepewnie na dwóch obcych mężczyzn. Kurzeja wstał, podszedł do niej i przyklęknął, by znaleźć się na odpowiedniej wysokości.

- Powiedz mi, malutka, gdzie byłaś? - zapytał sztucznie słodkim tonem. - Spotkałaś kogoś w lesie? Może ktoś cię skrzywdził? Zły pan zrobił ała małej dziewczynce? Powiedz, nie wstydz się.

- Dość tego. - Emilia również podniosła się z krzesła, w jej głosie zabrzmiała ostrzegawcza nuta. - Proszę zostawić moją siostrzenicę w spokoju.

Kurzeja uniósł dłoń.

- Chwila. - Z powrotem przeniósł wzrok na dziecko. - To jak, zdradzisz miłemu panu, co się stało? Kto zabrał cię do lasu? Dam ci cukierka, jeśli wszystko ładnie mi opowiesz. Pewnie lubisz cukierki, co? A jeśli się wstydzisz, możesz szepnąć mi do ucha.

Dziewczynka powoli pokręciła głową.

- Boisz się mnie?

- Nie-e-e. - Marysia spuściła głowę i wbiła spojrzenie w gołe stopy.

- W takim razie powiesz mi, gdzie byłaś?

- W lesie - szepnęła.

- Ale nie sama, prawda? Ktoś się tobą zajmował, dawał jeść...

Potrząsnęła ściętymi krótko jak u chłopca włosami.

- Zgubiłaś się i nie potrafiłaś znaleźć drogi do domu? A może...

Emilia podeszła do Kurzei i położyła mu rękę na ramieniu.

- Proszę wyjść - powiedziała, ale mężczyzna nie zwracał na nią uwagi.

- Przecież musisz coś pamiętać - naciskał, jednak dziecko uparcie kręciło głową, patrząc w podłogę. Chorąży zmarszczył brwi. - Jak masz na imię? Powiesz mi?

Dziewczynka milczała i po chwili zorientował się, że mała płacze. Łzy wielkie jak groch spływały po jej policzkach, chudymi ramionami wstrząsał szloch. Emilia odepchnęła mężczyznę.

- Proszę zostawić ją w spokoju. Natychmiast. Dość już miała przeżyć, nie musicie jeszcze dokładać do tego waszych barbarzyńskich metod przesłuchiwania.

Tym razem poskutkowało, bo chorąży wyprostował się niechętnie. Marysia przytuliła się do uda ciotki i szepnęła:

- Proszę pani - a kiedy zdziwiona Emilia pochyliła się, dziecko zarzuciło jej ręce na szyję i zbliżyło usta do ucha - nie pamiętam, jak mam na imię. Czy to bardzo źle?

- Nie, kochanie, to nie jest źle. Pomożemy ci sobie przypomnieć. - Kobieta spojrzała na Kurzeję, który patrzył to na nią, to na Marysię, jakby podejrzewał w tym wszystkim pułapkę.

- Amnezja? Nonsens. - Parsknął, podczas gdy stojący za jego plecami Nawrocki mruknął, że takie przypadki się zdarzają. - Dziewczynki nie było przez tydzień. Nie ma mowy, żeby sześćoletnie dziecko tak długo przeżyło samo w lesie. W nocy temperatura spada do kilku stopni, mała by zamarzła albo przynajmniej złapała porządne zapalenie płuc. A ona nawet nie wygląda na wychudzoną. Ktoś się nią opiekował i pewnie przy okazji niezłe sobie použíwał.

- Wynocha. - Głos Emilii był tak ostry, że można by nim kroić powietrze. - Nie życzę sobie żadnych tego typu insynuacji. To niewinne dziecko.

- Przede wszystkim to dziecko powinien zbadać lekarz - wtrącił się Nawrocki.

- Oczywiście, że wezwałam do mojej siostrzenicy lekarza. Za kogo mnie uważacie? Doktor Szymański był tu jeszcze przed południem, obejrzał Marysię i nie znalazł żadnych... śladów. Jeśli mi nie wierzycie, możecie z nim porozmawiać, podam wam adres jego gabinetu.

- W takim razie skąd na ciele dziecka wzięła się krew? - Kurzeja nie ustępował. - Obywatel Jan Peczek wspomniał, że cała sukienka była nią przesiąknięta.

- Peczek to pijak i fantasta, wszyscy o tym wiedzą. Marysia ma sporo zadrapań, owszem, niektóre z nich musiały krwawić, ale to nic poważnego.

- Czy ma pani tę sukienkę?

- Nie, spaliłam ją.

- Spaliła pani?

Wzruszyła ramionami.

- Po co miałabym ją trzymać? Była brudna i podarta. Patrzyli sobie w oczy jak dwaj przeciwnicy oceniający się na ringu.

- I taka jest pani wersja? Dziecko zgubiło się w lesie, błąkało przez jakiś czas samotnie, spało na gołej ziemi i żywiło się Bóg wie czym, aż wreszcie szczęśliwym trafem ktoś je odnalazł?

Gdyby Emilia Orawska wdała się teraz w dyskusję, gdyby zaczęła tłumaczyć, że przecież podobne przypadki się zdarzają, być może mógłby pokonać ją odpowiednimi argumentami. Ona jednak powiedziała jedynie: „Taka jest moja wersja”, i chorąży skapitulował. Podniósł leżącą na stole czapkę, strzepnął ją i włożył na głowę.

- Powinna pani się cieszyć, że nie oskarżamy pani o utrudnianie pracy milicji - oznajmił, zmierzając w stronę wyjścia. - Będziemy o pani pamiętać.

Emilia zamknęła za nimi drzwi, po czym wróciła do siostrzenicy.

- Naprawdę niczego nie pamiętasz? - zapytała, dotykając jej policzka gestem, który bardziej niż przejaw czułości przypominał sprawdzanie temperatury. Westchnęła. - Pewnie tak, dlaczego miałabyś udawać?! Może to i lepiej. Trzeba pójść do kościoła, świecę zapalić. Teraz chodź, dam ci coś na sen.

Gdy napojona herbatą z mlekiem oraz domową wiśniówką dziewczynka spała, posapując cicho przez nos, Emilia usiadła przy łóżku z dłońmi złożonymi na kolanach i wyprostowanymi plecami. Patrzyła na siostrzenicę, dziecko, które zabrała do siebie, gdy zmarła jego matka, a ojciec spakował walizkę i zniknął, rozpluwając się w powojennym chaosie. Dziecko, które karmiła i wychowywała i którego szukała przez cały ten straszny tydzień. Z którego śmiercią niemal się już pogodziła.

Dziecko to przyprowadzono jej nad ranem, brudne, drżące z zimna, z oczami pustymi i ciemnymi jak wnętrza wyschniętych studni. Emilia nagrzała wody i wsadziła do niej rozebraną dziewczynkę - wcześniej jednak zadbała o to, by spalić jej

sukienkę. Niektóre rzeczy nie powinny się zdarzać. O niektórych rzeczach lepiej nie pamiętać. Marysia milczała przez cały czas, bierna i cicha jak lalka. Emilia wyszorowała ją, a potem, gdy siostrzenica wciąż siedziała w wannie, próbowała rozczesać jej niegdyś piękne włosy, które teraz pełne były gałęzi, brudu, czegoś... obrzydliwego. Grzebień utknął w splątanych lokach, kobieta wyjęła go więc i rozgarnęła kołtun palcami. Zmarszczyła brwi.

Pięć sekund później klęczała na zimnej posadzce, wymiotując do muszli klozetowej. Po jej twarzy spływały łzy, przed oczami tańczyły mroczki. Wyrzuciła z siebie wszystko, co dzisiaj zjadła, i przetarła spoconą twarz. Pora wziąć się w garść. To nie potrwa długo. Zajmie się tym, co trzeba, a potem zapomni, pozbędzie się z głowy tych paru minut, tak jak pozbyła się treści żołądka.

Wyszła z łazienki, by po chwili wrócić z wielkimi krawieckimi nożycami.

- Rozumiesz, że muszę to zrobić, prawda?

Styczeń 1985 roku

1

- Zaczekajcie! - krzyknął Paweł, ale oczywiście nie posłuchali. Śnieg spod ich butów wpadł mu do oczu i chłopak zaklął. Kiedy wspinał się mozolnie, metalowe szczeble dygotały pod jego ciężarem. Siedemdziesiąt pięć kilo to dużo jak na mierzącego metr sześćdziesiąt osiem czternastolatka. Zdecydowanie za dużo, jak uznał ostatnio Paweł.

Zatrzymał się na chwilę, przetarł spocone czoło i podjął wspinaczkę. Łżywy, związane sznurówkami i przewieszone przez ramię, obijały mu się o plecy. Zerknął w górę, gdzie zniknęli już jego koledzy, a potem w dół na rozciągający się kilkanaście metrów niżej nieczynny kamieniołom. Na dnie w zachodzącym słońcu połyskiwała zamarznęta woda. Latem kąpały się tu całe rodziny, zimą dzieciaki urządzały sobie

lodowisko.

Od widoku prostopadłych granitowych ścian Pawłowi zakręciło się w głowie. Oczywiście rodzice nie pozwalali im tu przychodzić, zwłaszcza o tej porze roku, zwłaszcza samym. „Za wysoko, zbyt niebezpiecznie” - powtarzali do znudzenia. Przerdzewiałe drabinki mogły pęknąć, lód w każdej chwili mógł się załamać. Paweł puszczał ich ostrzeżenia mimo uszu, tak samo jak jego przyjaciele. Zresztą jedyny jak dotąd wypadek w kamieniołomie zdarzył się latem, kiedy grupa pijanych chłopaków z technikum poszła popływać.

Dotarł do ostatniego szczebla i sapiąc niczym parowóz, wygramolił się na platformę obserwacyjną. Czekający tam Sebastian wyszczerzył zęby.

- Ostatni! - oznajmił radośnie, składając palce w kształt pistoletu. - Pif-paf.

- Debil - burknął Paweł. Dopiero teraz do niego dotarło, że łyżwy od jakiegoś czasu podejrzenie mocno wbijają mu się w bok. Zerknął na nie i jęknął w duchu. - Cholera, zostawiłem na dole ochraniacze.

- Mogę po nie skoczyć - zaproponował Sebastian. Był dwa razy szczuplejszy niż Paweł, a po drabinkach biegł jak wiewiórka.

- Serio?

- Jasne, nie ma problemu. W zamian opowiesz mi, jak było wczoraj z Majką w kinie. Macałeś jej cycki?

- Nie twoja sprawa.

- Nie to nie. - Sebastian wzruszył ramionami. - Sam sobie złaź.

Paweł stanął na krawędzi platformy i spróbował zebrać wystarczająco dużo sił, by jeszcze raz przebyć drogę w dół, a potem w górę. Sebastian podszedł do niego cicho.

- Dobra. - Strzyknął śliną w głąb kamieniołomu. - Przyniosę ci te ochraniacze, moja strata.

Jednak w Pawle zdążyła obudzić się ambicja. Postanowił przecież, że będzie ćwiczył, a to była idealna okazja.

- Nie trzeba. Sam sobie poradzę.

- Jak chcesz. - Sebastian spojrział z powątpiewaniem. - Ale ja nie czekam. Muszę jeszcze zrobić matkę na jutro. Widzimy się w budzie?

- Pewnie.

Paweł odprowadził kolegę wzrokiem. Przez chwilę kusił go, żeby za nim zawołać, ale duma zwyciężyła. Powiedział, że sobie poradzi, to sobie poradzi.

Zaczął schodzić, starając się ignorować ból mięśni. Jeden szczebel, drugi, trzeci... Liczenie pozwalało zapomnieć, ile jeszcze drabinek go czeka. Słońce było coraz niżej, zza skał wystawał już tylko rąbek ognistej kuli. Szarość granitu nabrała odcieni purpury, na dnie kamieniołomu zgromadziły się miękkie szare cienie. Jaskrawa do niedawna biel śniegu przegrywała z mrokiem zapadającej nocy.

Paweł próbował nie myśleć, co zrobi, jeśli w powrotnej drodze będzie się musiał wspinać po ciemku. Skupił się na tym, ile kalorii spali. Odkąd pamiętał, zawsze miał nadwagę, ale wcześniej nigdy się nią nie przejmował – matka powtarzała, że z tego wyrośnie, a on jej wierzył. Niedawno jednak Majka wspomniała, że przydałoby mu się zrzucić parę kilo, uznał więc, że nie ma na co czekać. Od tamtej pory połowę obiadu oddawał ukradkiem psu, starał się nie jeść słodczy, a kiedy w pawlaczu znalazł stare łyżwy - trochę za duże, ale przecież wystarczyło założyć dodatkową parę skarpetek - dołączył do grających w hokeja chłopaków. Efekty było już widać, bo spodnie w pasie stały się odrobinę luźniejsze.

Paweł zastanawiał się, czy mama kupiłaby mu nowe łyżwy, gdyby ją poprosił, szanse jednak były marne, zwłaszcza że wtedy musiałby przyznać, gdzie na tych łyżwach jeździ. Może znowu powinien zagrać na jej poczuciu winy i przypomnieć, jaką krzywdę mu kiedyś zrobiła? Niestety ten argument z każdym rokiem coraz bardziej tracił moc i Paweł, co prawda materialista, ale rozsądny, niechętnie doszedł do wniosku, że najwyższy czas go porzucić.

Zostawał więc ojczym. Tak, to był całkiem dobry pomysł. Nowy mąż matki na pewno zrozumie, że chłopcu w wieku Pawła potrzebny jest ruch, żeby wyrósł na prawdziwego mężczyznę. Razem trzymali przecież sztamę przeciwko babskiemu światu ciepłych szalików i pożywnych zupek. Trzeba tylko poczekać, aż Tadeusz wróci z podróży służbowej, i

porozmawiać z nim na osobności.

Chłopak z ulgą zeskoczył z ostatniego szczebla i rozejrzał się. Lód poznaczony był śladami łyżew; bliższe widział jeszcze wyraźniej, dalsze ginęły w szybko gęstniejącym mroku. W kamieniołomie panowała dziwna, naciskająca na uszy cisza jak pod wodą, aż trudno było uwierzyć, że niedaleko znajduje się gwarne miasto. W coraz chłodniejszym powietrzu z ust Pawła unosiła się mgielka wilgotnego oddechu. Chłopak kopnięciami rozgarnął zdeptany śnieg, znalazł wełnianą rękawiczkę - odda ją Sebastianowi jutro w szkole - i pięć złotych, które schował do kieszeni. Ochraniacze leżały kilka metrów dalej. Podniósł je, założył na łyżwy, po czym usiadł ciężko na kamieniu. Nie zaszkodzi, jeśli trochę odpocznie; i tak by nie zdążył, zanim zapadnie zmrok.

Oddychał ciężko, wsłuchany w protest mięśni, które dopiero teraz, gdy dał im chwilę wytchnienia, zaczęły naprawdę rwać bólem. Przepocona koszulka lepiła się do pleców pod gryzącym swetrem i kurtką, łydki pulsowały, jakby przebiegł maraton. Niech to szlag, naprawdę miał fatalną kondycję. Ale nic to - jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, do wakacji zdąży nadrobić.

Przymknął oczy, pogrążając się w marzeniach. Przed oczami przewijały mu się umięśnione postacie z plakatów, które wisały u niego w pokoju. Rambo, Rocky, Mad Max - to byli jego idole.

Z zamyślenia wyrwało go ciche skrzypnięcie. Paweł uniósł powieki i zmarszczył brwi, usiłując przebić wzrokiem otaczającą go szarość. Skrzypnięcie powtórzyło się, tym razem głośniejsze, słyszał też coraz wyraźniej dudnienie metalu pod czyimiś stopami. Ktoś szedł po drabinkach. W pierwszej chwili poczuł przypływ strachu - może przez tę ciszę i mrok - ale zaraz uznał, że to pewnie Sebastian zmienił zdanie i zdecydował się wrócić.

- Już idę - rzucił w ciemność. - Nie musiałeś schodzić.

Jednak postać, która wynurzyła się z mroku, nie przypominała Sebastiana. Paweł widział już wyraźnie zarys sylwetki. Jeszcze niedawno nie poznałby jej w ciemności, ale po spotkaniu w

ostatni czwartek przeszłość wróciła i chłopak bez trudu zrozumiał, kogo ma przed sobą.

Instynkt ostrzegał, żeby zmywać się stąd, póki czas, ale przecież Paweł nie był już dzieckiem, tylko dużym i silnym chłopakiem, który nigdy się nie cofał. Wszyscy w klasie o tym wiedzieli. Paweł Kurzeja rzadko się bił, lecz jeśli już to robił, parł naprzód, wykorzystując całą swoją masę i młócąc pięściami, jakby to były cepy. Dlatego nikt nie ważył się wyśmiewać z jego tuszy.

Chłopiec wstał więc, odetchnął i wyprostował się, gotów stawić czoła temu, co wychodziło z mroku, jak przystało na prawdziwego mężczyznę.

2

Kilkanaście godzin później stojący w pierwszych promieniach zimowego świtu porucznik Adam Bogusz odtwarzał przebieg następnych wydarzeń.

Przed dziewiątą coraz bardziej zaniepokojona Natalia Kurzeja zaczęła obdzwaniać przyjaciół syna, którzy zgodnie twierdzili, że Pawła ostatni raz widzieli w szkole.

O dziewiątej trzydzieści kobieta zawiadomiła milicję, jednak oficer dyżurny zlekceważył ją - uznał, że czternastolatek to już nie małe dziecko, nie ma sensu wszczynać natychmiastowych poszukiwań, skoro chłopak pewnie zasiedział się u kolegi.

Dziesięć minut później zapłakana pani Kurzeja wypadła z mieszkania i przez następne trzy godziny bez większego sensu błąkała się po mieście, zaglądając we wszystkie miejsca, gdzie chłopak zwykł przesiadywać, choć większość i tak była zamknięta. Przed pierwszą wróciła do domu, po czym kolejnym, telefonem wyrwała ze snu państwa Wolskich, oznajmiając, że Sebastian jako najbliższy przyjaciel Pawła musi wiedzieć, gdzie jej syn się podziewa, i że ona nie odejdzie od aparatu, póki się tego nie dowie. Przyciśnięty do muru rozespany nastolatek przyznał wreszcie, że poszli pojeździć na łyżwach w nieczynnym kamieniołomie. Dalej wydarzenia toczyły się coraz szybciej. Ojciec Sebastiana obudził

mieszkającego dwie klatki dalej szwagra, wzięli latarki i ruszyli na poszukiwania.

Ciało Pawła zostało znalezione około wpół do drugiej, a przed drugą wpłynęło zgłoszenie o popełnieniu przestępstwa. Para milicjantów z wilkowickiego posterunku przybyła na miejsce zbrodni i wstępnie zabezpieczyła ślady - co prawdopodobnie znaczyło tyle, że jeden pobiegł do telefonu, a drugi starał się rzygać daleko od zwłok.

Dwie następne godziny zajęło obudzenie i ściągnięcie technika, prokuratora oraz lekarza, który potwierdził to, co i tak wszyscy już wiedzieli - że Paweł Kurzeja zginął, ponieważ ktoś kilkoma ciosami rozwalil mu czaszkę. Rozważano nawet przetransportowanie do kamieniołomu specjalnych lamp, które oświetliłyby miejsce zbrodni, jednak zanim ktokolwiek zdołał wymyślić, jak to zrobić, problem rozwiązał się sam, bo zaczęło świtać.

Błysnął flesz, wydobywając z szarości świtu ciało zamordowanego chłopca. Obok powbijane w ziemię, opisane kredą tabliczki oznaczały kolejne ślady: rozbryzgi krwi, odbite w śniegu podeszwy męskich butów, z których już zrobiono odlewy, porzucone łyżwy... Bogusz omiótł wszystko spojrzeniem, po czym wrócił do tego, co zostało z twarzy zmarłego. Z satysfakcją odnotował, że widok nie wywarł na nim większego wrażenia. Gdy oficer dyżurny zawiadomił go, że w kamieniołomie leży martwy nastolatek, w pierwszej chwili pomyślał, że to kolejne samobójstwo, jednak ta sprawa zapowiadała się znacznie ciekawiej.

Podszedł do łysiejącego mężczyzny, który stał odwrócony plecami, jakby uznał, że kłębiąca się nad stawem mgła jest znacznie bardziej interesująca niż zmasakrowane zwłoki.

- Poczęstuje się pan papierosem? - Bogusz wyciągnął w jego stronę paczkę carmenów.

- Dziękuję, staram się rzucić. - Doktor Trębicki nie odrywał wzroku od mgły. - Wie pan, pracuję w tym zawodzie od trzydziestu lat, a ciągle nie mogę się przyzwycząić. To takie bezsensowne, kiedy ginie ktoś młody.

- Rozumiem. - Bogusz nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy

konkrety. - Co może mi pan powiedzieć o czasie zgonu?

- Piąta-szósta wieczorem, moim zdaniem. Dokładniejszy czas podam po sekcji.

- A morderca?

Trębicki wzruszył ramionami.

- Najprawdopodobniej wysoki mężczyzna. Chłopiec był jak na swój wiek wyrosnięty, nie wyglądał na ułomka, a zabójca uderzał z góry, miażdżąc mu czaszkę.

- Nie rówieśnik zamordowanego?

- Nie sądzę. Szuka pan dorosłego, nie dziecka.

- W porządku, dziękuję.

Matka chłopca czekała na Bogusza w mieszkaniu. Towarzyszyla jej sierżant Beata Drzymala, która zaparzyła mocną słodką herbatę, niezawodny środek na wszystkie wstrząsy, a potem owinęła siedzącą na tapczanie kobietę kocem. Niczego więcej zrobić nie mogła i niczego ponad to od niej nie oczekiwano. Natalia Kurzeja na twarzy miała wyraz oszołomienia, najwyraźniej prawda o losie syna jeszcze niezupełnie do niej dotarła, ale coś w niej musiało już wiedzieć, bo z oczu wyzierało cierpienie, zupełnie jakby ktoś na ich dnie krzyczał i krzyczał. Pod tapczanem leżał rudy pies, chyba skundlony seter irlandzki. Patrzył na panią z niepokojem, ale nikt nie zwracał na niego uwagi.

Bogusz podziękował Beacie spojrzeniem, po czym przysunął sobie krzesło i usiadł po drugiej stronie stołu, na którym stygła herbata. Chrząknął. Natalia Kurzeja powoli odwróciła się w jego stronę. Miała niebieskie oczy i kontrastujące z nimi ciemne, prawie czarne włosy, które spływały na ramiona dwiema gładkimi falami. Było w niej coś cudzoziemskiego, niepasującego do niewielkiego miasta na południu Polski. Stosowniej wyglądałaby na obrazach mistrzów włoskiego renesansu niż na kanapie w gierkowskim M4.

- Przepraszam, że niepokoję panią w takiej chwili, jednak rozumie pani, że im szybciej porozmawiamy, tym większą mamy szansę złapać mordercę.

Przytaknęła obojętnie, a zachęcony tym Bogusz kontynuował:
- Co mogłaby mi pani powiedzieć o Pawle? Popadł ostatnio z kimś w konflikt? Ktoś mógł mieć do niego żal?

- To dobry chłopiec.

- Tak, wiem. - Starał się zdobyć na cierpliwość. - Ale czy ten chłopiec miał jakichś wrogów?

Potrząsnęła głową.

- Wszyscy go lubili. Wszyscy.

- W porządku. - Nie do końca dał się przekonać, ale uznał, że na przyciśnięcie pięknej Natalii przyjdzie czas później. - A jak Paweł dogadywał się z ojcem?

Kobieta na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością i zagapiła się w ścianę. Poruszały się tylko jej palce, długie i blade jak odnóża jakiegoś osobliwego pająka. Wyrывała nimi nitki z koca i owijała je sobie wokół kłykci.

- Ma pan na myśli ojczyrna Pawła? Mojego drugiego męża? - zapytała wreszcie.

- Jego i biologicznego ojca też - odpowiedział dyplomatycznie Bogusz.

Powoli, za pomocą kolejnych pytań, udało mu się wyciągnąć z matki chłopca historię jej życia. Natalia Kurzeja wyszła za mąż zaraz po studiach i urodziła dziecko, jednak małżeńska sielanka nie trwała długo, bo nim chłopiec zdążył pójść do szkoły, mąż w najbanalniejszy z możliwych sposobów rzucił żonę dla jasnowłosej sekretarki. Natalia bardzo przeżyła rozwód, nawet leczyła się z powodu depresji, a z dołu wyciągnął ją dopiero drugi mężczyzna, tym razem sporo od niej starszy inżynier chemik. Z byłym mężem nie utrzymywała kontaktów.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest, i nie chcę wiedzieć - oznajmiła. - Po rozwodzie nie interesował się ani mną, ani naszym synem. Pewnie ma teraz nową kobietę i dzieci. Dla Pawła ojcem był zawsze Tadeusz. Świetnie się dogadywali. Pawła wszyscy lubili.

- Tak, wiem. A gdzie jest teraz pani mąż?

- Na delegacji w Berlinie. On często wyjeżdża służbowo. Miał wrócić dopiero po weekendzie, ale wysłałam mu telegram. Będzie tu jutro rano.

- To dobrze. Nie powinna pani być teraz sama.

Potrząsnęła głową. Bogusz nie miał pojęcia, czy oznacza to zgodę, czy może sprzeciw.

- Mogę obejrzeć pokój chłopca?

- Tak, proszę. - Wciąż patrzyła w ścianę, podczas gdy jej palce pracowicie pruły koc.

Chciał poprosić ją o wskazanie drogi, ale uznał, że poradzi sobie sam. Kiedy wychodził, wydało mu się, że Natalia Kurzeja porusza ustami, jakby prowadziła rozmowę z kimś niewidzialnym.

Pokój Pawła znalazł bez problemu, trudno było pomylić to pomieszczenie z jakimkolwiek innym. Na ścianach wisiały plakaty filmowych bohaterów i blondynek z fryzurami jak u pudła, ubranych w dżinsowe szorty oraz bluzki, które odsłaniały opalone brzuchy. Na szafce stała imponująca kolekcja puszek po zachodnich napojach, niżej królowały przenośny telewizor i magnetofon Kapral. Sporo kaset, w tym takich, których w Polsce nie można było kupić - pewnie przywoził je Pawłowi ojczym, podobnie jak puszki i zachodnie czasopisma z plakatami. Trochę książek, głównie encyklopedie i podręczniki, parę zabawek wciśniętych w kąt, jakby nastolatek już zaczął się ich wstydzić, ale jeszcze nie dojrzał do tego, żeby wynieść je na strych czy do piwnicy.

Na korkowej tablicy wisiało kilka zdjęć: z jakiejś wycieczki klasowej (Bogusz rozpoznał zamek w Książu), z urodzin oraz największe i jedyne kolorowe, które przedstawiało Pawła obejmującego ciemnowłosą dziewczynę.

Odpiął je i przyjrzał się twarzy zamordowanego. Gdyby go trochę odchudzić, byłby uderzająco przystojnym chłopcem, ale nawet z dodatkowymi kilogramami wyglądał ładnie. Miał urodę matki: łagodną, trochę jakby włoską. Ciemne kręcone włosy, duże błękitne oczy. Dziewczyna przy jego boku uśmiechała się, prezentując do obiektywu młodzieńcze ciało w różowej bluzeczce i modnych dżinsach.

Bogusz przypiął zdjęcie z powrotem do tablicy. Sprawdził jeszcze kilka szuflad, ale niczego ciekawego w nich nie znalazł, i wrócił do salonu. Natalia Kurzeja wciąż siedziała na tapczanie ze szklanką wystygłej herbaty w ręku.

- Muszę się pożegnać, praca czeka. Gdyby pani czegoś potrzebowała...

Spojrzała na niego, a on znowu odniósł wrażenie, że głęboko na dnie jej oczu ktoś krzyczy. Jakby patrzył na człowieka wołającego o pomoc zza dźwiękoszczelnej szyby.

- Umarł w styczniu - powiedziała. - To źle, prawda? Myśli pan, że będzie mu zimno w takiej lodowatej ziemi?

3

Maria o śmierci Pawła dowiedziała się w bibliotece. Właśnie przeglądała nowości, kiedy w ucho wpadły jej strzępy rozmowy toczonej przy półce z romansami.

- Czternaście lat chłopak miał - mówiła starsza kobieta trzymająca w rękach książkę Rodziewiczówny. - Ludzie to teraz zupełnie bez sumienia są, że takie dziecko...

- Podobno po głowie go bił kamieniem - odpowiedziała druga, nieco młodsza. - Matka syna nie poznała, kiedy pokazali jej ciało.

Maria złapała na chybił trafił grubą powieść i podeszła z nią do biurka, za którym urzędował mężczyzna w okularach. Zbliżał się do czterdziestki, miał włosy piaskowego koloru z wyraźnymi zakolami i twarz, która odlegle kojarzyła się z twarzą jakiegoś aktora. Zwracał uwagę, bo odkąd Maria pamiętała, w bibliotece zawsze pracowały same kobiety.

Podala mu kartę biblioteczną i książkę.

- Lubi pani powieści historyczne? - zapytał, zerkając na tytuł, po czym rzucił jeszcze okiem na kartę. - Pani Mario?

- Tak. - Maria daleka była w tej chwili od myślenia o jakichkolwiek powieściach. - Podobno zginęło jakieś dziecko? Wie pan coś o tym?

Mężczyzna w okularach skinął głową.

- Chłopak, czternaście lat, z Wilkowic. W „Głosie” o tym dziś piszą.

Wyszła, upychając książkę w torbie, po czym skierowała się w stronę kiosku, gdzie kupiła gazetę. Nie myślała o niczym, poruszała się niemal bez świadomości tego, co właściwie robi,

jak lunatyk.

Na przystanku postawiła torbę na ławce i rozłożyła „Głos Mgielnicy”. Informację znalazła na czwartej stronie: czarno-białe, niezbyt wyraźne zdjęcie młodego chłopca, pozbawiona drastycznych szczegółów notka o niespodziewanej śmierci i prośba milicji, żeby zgłaszali się wszyscy, którzy 18 stycznia między godziną piętnastą a dziewiętnastą przebywali w pobliżu nieczynnego kamieniołomu w dzielnicy Wilkowice.

Autobus nadjechał, zwinęła więc gazetę w rulon, włożyła do torby i wsiadła. Jeszcze niezupełnie wierzyła w to, co właśnie zobaczyła, jeszcze musiała się upewnić.

W domu, nawet się nie rozbierając, położyła na stole „Głos” otwarty na zdjęciu chłopca, a obok rysunek Wojtka. Czy zabity Paweł mógł być tym Pawłem? Imię się zgadzało, naszkicowany chłopczyk też miał nadwagę i kręcone ciemne włosy. Z twarzy co prawda niezbyt przypominał młodego Kurzeję, ale dzieci przecież szybko się zmieniają, a rysunek nie był zbyt dokładny.

Maria siedziała przy stole, podczas gdy głodny kot ocierał się o jej nogi. Nie zwracała na niego uwagi. Było tak, jakby nagle świat wokół niej wywrócił się na nice, ukazując to, co kryło się pod podszewką, czego obecność przeczuwała, ale wołała ignorować. Jakby śniony każdej nocy koszmar nagle okazał się prawdą.

Czas płynął wolno, odmierzany tykaniem zegara i kapaniem wody z niedokręconego kranu. Maria zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do uszu. Nie widzieć niczego, nie słyszeć, po prostu zniknąć. Gdyby mogła, zostałyby w ciszy i ciemności na zawsze.

Kot miauknął przynaglająco i dopiero to sprawiło, że się poruszyła. Odruchowo pogłaskała wygięty czarny grzbiet. Tym razem zwierzę się nie cofnęło.

- Musisz poczekać. - Wstała, włożyła do garnka kostkę dorsza i zalała ją ciepłą wodą, żeby się odmroziła.

Kot wskoczył na krzesło i węszył w powietrzu. Maria pogłaskała go jeszcze raz. Skoro zdecydował się jej zaufać, powinna zabrać zwierzątko do weterynarza, może nadać jakieś imię. „Później - pomyślała z odrobiną poczucia winy - zajmę się

tym później”.

- Wróć szybko - obiecała tylko.

4

Od rana przez komendę przewijał się sznurek najbliższych kolegów i koleżanek Pawła Kurzei. Przychodzili z rodzicami, wszyscy absurdalnie młodzi, patrzący na Adama Bogusza wielkimi dziecięcymi oczami. Niektórzy płakali, innym brutalna śmierć chłopca wydawała się chyba niezbyt realna, jak scena z amerykańskiego filmu. Kilku sprawiało wrażenie niezdrowo podnieconych i z uporem wypytywało o krwawe szczegóły. Jednak wyglądało na to, że nawet ci, którym marzyło się odegranie roli Sherlocka Holmesa, szczerze Pawła lubili.

Do popołudnia porucznik miał już w głowie ukształtowany obraz zmarłego: solidny czwórkowy uczeń (piątki miał tylko z chemii i fizyki), zdecydowanie bardziej ściśle- wiec niż humanista. Łasy na pieniądze, jednak nie na tyle, żeby miało to powodować większe konflikty. Rozsądny, pewny siebie, z jasno sprecyzowanymi planami na przyszłość: po podstawówce miał iść do technikum, a potem na chemię na uniwersytet jak ojczym. Od czterech miesięcy chodził z dziewczyną z równoległej klasy, co niewątpliwie imponowało jego kolegom.

Bogusz nie miał pojęcia, jak cokolwiek z tego, czego się dowiedział, może pomóc w znalezieniu mordercy.

Gdy drzwi zamknęły się za Majką i jej mamą, sierżant Beata Drzymała opadła na krzesło przy biurku Bogusza.

- To dzieciaki - powiedziała. - Próbują udawać dorosłych, ale tak naprawdę to jeszcze dzieci. Widziałeś tę dziewczynę? Nosi spódniczkę tak krótką, że prawie widać jej majtki, a we włosach spinki z biedronkami. Na swój sposób to wzruszające, nie sądzisz?

Bogusz nie sądził, pomiął więc uwagę koleżanki milczeniem. Sierżant Drzymałę przydzielono do śledztwa kilka godzin temu, gdy Łaskiewicz uznał, że podczas rozmów z nieletnimi przyda się odrobina kobiecej łagodności. Porucznik nie miał nic przeciwko temu, wołałby jednak, żeby dziewczyna ograniczyła

się do uspokajania młodocianych świadków.

- Oni nic nie wiedzą. - Beata zignorowała brak odpowiedzi. - Żadne z nich nie ma pojęcia, kto mógł zabić chłopaka. To musiał być jakiś szaleniec...

- Który akurat przypadkiem znalazł się w kamieniołomie? - Bogusz był sceptyczny. - Nie, to zabójstwo zostało zaplanowane. Ktoś szedł za tymi chłopcami, obserwował ich, a kiedy Paweł został sam, uznał, że trafiła mu się doskonała okazja.

- Jedno nie wyklucza drugiego - zwróciła uwagę Beata. - Szaleniec też mógł obserwować i czekać, prawda?

Bogusz mruknął coś niezobowiązująco.

- Co z ojczymem chłopaka? - zapytał po chwili. -1 jego biologicznym ojcem?

- Ojca próbuje namierzyć Kurzeja, a ojczym przyjeżdża dziś o 17.55 pociągiem z Berlina. Wyjdę po niego na dworzec i sprawdzę, czy w paszporcie wszystko się zgadza. Na upartego mógł przekroczyć granicę, tak żeby nikt w Mgielnicy się nie dowiedział, zabić, a potem wrócić nocnym ekspresem z powrotem do NRD, ale nie sądzę, żeby to był on.

- Dlaczego?

Sierżant roześmiała się.

- Bo go znam, moja kuzynka z nim pracuje. To niewielkie miasto. Tadeusz Kurzeja ma sześćdziesiątkę na karku, niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu i nosi okulary ze szklami grubymi jak denka od butelek. Wątpię, żeby był w stanie zejść po tych drabinkach, zwłaszcza po zmroku, a potem zamordować wyrosniętego czternastolatka.

- Rozumiem. - Bogusz westchnął. - Ale i tak trzeba go sprawdzić.

- Pewnie. Popytam jeszcze na wszelki wypadek na dworcu.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wetknął głowę sierżant Krupa, jak zwykle ostatnio smętny, w wymiętym mundurze.

- Przyszła jakaś kobieta. Mówi, że chce rozmawiać z oficerem prowadzącym sprawę Pawła Kurzei.

- W porządku, przyprowadź ją. Z dziećmi i tak na dzisiaj skończyliśmy.

- Zostanę, co? - Beata uniosła ciemne brwi. - Może to coś ciekawego.

Bogusz zawahał się. Sierżant Drzymala jak na jego gust za dużo mówiła i zbyt łatwo się wzruszała, ale musiał przyznać, że czasem bywała przydatna.

- Spiszę jej zeznania. - Dziewczyna przysunęła stojącą na stoliku erikę.

To przesądziło sprawę, bo Bogusz nie znosił stukania w tę cholerną maszynę. Zawsze potem bolały go palce.

Ku zdumieniu porucznika do pokoju weszła ciemnowłosa nauczycielka Wojtka Kapuściaka. Maria Lenarczyk - przypomniał sobie. W rękę ścisnęła jakiś świstek i sprawiała wrażenie zdeterminowanej.

Beata pomogła jej zdjąć płaszcz i wskazała miejsce przy biurku. Nauczycielka przesunęła w stronę Bogusza kartkę, na której znajdował się rysunek. Zaczęła mówić, a porucznik wyglądał na coraz bardziej zdezorientowanego.

- Moment - przerwał jej w pewnym momencie, unosząc dłonie. - Twierdzi pani, że Paweł Kurzeja został zabity, ponieważ znał Wojtka Kapuściaka? I że być może Wojtek nie popełnił samobójstwa, tylko też padł ofiarą morderstwa?

- Tego nie wiem - wyjaśniła cierpliwie. - Ale ci chłopcy byli kiedyś przyjaciółmi, a to musi mieć znaczenie. Proszę spojrzeć. - Wskazała naszkicowaną postać. - To Paweł, imię też się zgadza.

- W każdej szkole jest co najmniej kilku Pawłów, a dziecko z tego obrazka może być kimkolwiek. Zresztą niedawno twierdziła pani, że Wojtek oddał pustą kartkę, a teraz mówi pani, że narysował scenkę w lesie.

Zarumieniła się i nerwowo potarła zaczerwienione dłonie. Stukanie maszyny na chwilę ucichło, Maria Lenarczyk milczała.

- Skłamałam - przyznała wreszcie. - To nie było naj-
mądrzejsze, ale...

- Wydawało się łatwiejsze - dokończył za nią. - Często się to pani zdarza, prawda?

Przez jej twarz przemknął ledwie uchwytny wyraz gniewu, zaraz zastąpiony rezygnacją.

- Tak, chyba tak. Ale to nie ma znaczenia. Mówimy o tym, co mogło się przydarzyć tym chłopcom.

- Sprawdzimy wszystkie możliwe powiązania - obiecał Bogusz. Bardzo chciał, żeby Maria miała rację, bo wtedy morderstwo Pawła Kurzei byłoby jeszcze ciekawsze i bardziej skomplikowane, jednak nie zamierzał dać się ponieść entuzjazmowi.

- Dziękuję.

Beata podsunęła jej zeznanie do podpisu, a kiedy za nauczycielką zamknęły się drzwi, spojrzała na porucznika.

- Co o tym sądzisz?

- Zmyśla - powiedział z niechęcią. - Prawdopodobnie czuje się samotna i chce zwrócić na siebie uwagę.

- Może. A może coś w tym jest?

Bogusz podszedł do tablicy, na której wciąż jeszcze niczym wyrzut sumienia wisiało zdjęcie Wojtka, i powiesił obok dużą, profesjonalnie wykonaną fotografię Pawła Kurzei.

- Co mogło łączyć tych dwóch? Poza tym, że byli w tym samym wieku? Wojtek regularnie dostawał od ojca lanie, Paweł miał ojczyrna, który traktował go jak własne dziecko i szykował na swojego następcę. Paweł uczył się dobrze, Wojtek z trudem zdawał do następnej klasy, a poza tym był kozłem ofiarnym. Ciekawe swoją drogą, czemu to samo nie spotkało Pawła. Chłopak był gruby; dlaczego nikt się z tego powodu nad nim nie znęcał?

- Moim zdaniem to nie tyle kwestia konkretnych cech, ile sposobu wychowania. Paweł miał rozsądną matkę, która nauczyła go pewności siebie.

- To wystarczy?

- Czemu nie? - Uśmiechnęła się, pokazując ładne zęby. - Ja też byłam w szkole pulpetem i nie miałam z tym problemów.

- Naprawdę? - Trudno było uwierzyć, że Beata kiedykolwiek miała nadwagę. Teraz można było o niej powiedzieć najwyżej tyle, że jest miło zaokrąglona we właściwych miejscach.

- Naprawdę.

Bogusz chrząknął.

- Dobra, wróćmy do Pawła i Wojtka. Mieszkali na dwóch

różnych krańcach miasta, chodzili do różnych szkół...

- Co nie znaczy, że nie mogli się spotkać.

- Co nie znaczy, że nie mogli się spotkać - potwierdził. - Pytanie, gdzie. W jakim miejscu może się poznać dwóch chłopców? Jakies zajęcia pozalekcyjne? Świetlica? Kolonie czy obóz?

- Dzieci na tym obrazku są chyba trochę za małe na coś takiego. - Beata spojrzała na pozostawioną przez Marię kartkę.

- Wyglądają na jakieś pięć-sześć lat, jak myślisz?

- W takim razie może coś organizowanego przez przedszkole? Trzeba będzie sprawdzić.

- Ja się tym zajmę. - Zgarnęła z biurka rysunek. - Bo jeśli ta nauczycielka sobie tego wszystkiego nie wyobraziła...

- Mamy poważny problem - dokończył za nią Bogusz.

5

Maria dotarła do domu zła i upokorzona. „Często się to pani zdarza, prawda?”, zapytał młody milicjant, a ona nie potrafiła zaprzeczyć. Mogła od razu przyznać, że Wojtek naszkicował obrazek, ale to wiązałoby się z koniecznością tłumaczenia, co narysował, czy opowiadaniem o jego talencie, prościej więc było żelgać, że oddał pustą kartkę. Maria miała skłonność do takich drobnych, na pozór niewiele znaczących kłamstw, które ułatwiały jej życie. Poniekąd też dlatego ciotka była nią rozczarowana: lenistwo, kręactwo i tchórzostwo mieściły się wysoko na liście grzechów znienawidzonych przez Emilię Orawską.

Maria wyjęła z garnka rozmrożoną rybę, nakarmiła kota, a potem wypuściła go na dwór. Jeszcze po południu planowała zrobić makaron, jednak nie miała teraz siły na walcowanie ciasta. Przygotowała na kolację tylko parę kromek z serem, a i tak połowę wyrzuciła do śmieci. Marnowanie jedzenia - kolejna rzecz, która z pewnością nie spodobałaby się ciotce. Próbowwała czytać książkę, ale zorientowała się, że ciągle wraca do tego samego fragmentu. Właściwie powinna być zadowolona. Spełniła swój obowiązek, zawiadomiła milicję, a co oni z jej

informacją zrobią, to już ich sprawa. Nieważne, że przy okazji wyszła na idiotkę, dobrze chociaż, że nie wspomniała o Kartoflanym Człowieku - dopiero by na nią dziwnie patrzyli. Dlaczego więc czuła się, jakby po raz drugi zawiodła Wojtka?

Spała źle i rano przyszła do szkoły jeszcze bardziej zmęczona niż zwykle. Piątoklasistom usiłowała dać zadanie z działu, którego jeszcze nie przerabiali, a kiedy uczeń z 7b odpowiadał przy tablicy, wyłączyła się tak kompletnie, że zaalarmowała ją dopiero nagła, nienaturalna cisza, w której dwadzieścioro sześcioro dzieci gapiło się na nią z wyraźnym zaciekawieniem. Tym razem zdołała jakoś wybrnąć, lecz miała świadomość balansowania na bardzo cienkiej linii. Już nawet uczniowie wiedzieli, że dzieje się z nią coś złego. Wyszła z klasy spocona, z mocno bijącym sercem, jak ktoś, kto o włos uniknął upadku z dużej wysokości. Na szczęście niedługo miały się zacząć ferie zimowe, w szkole wystawiono większość ocen, lekcje były wyraźnie luźniejsze. „Wytrzymam”, pomyślała.

Po południu odwiedziła ją milicjantka, ta miła, która siedziała w kącie i spisywała zeznania. Maria zaprowadziła ją do salonu. Czarny kot parsknął, niechętnie ustąpił gościowi miejsca na tapczanie, po czym wymaszerował z zadartym ogonem.

- Wpadłam tylko na chwilę - tłumaczyła sierżant Beata Drzymała. - Pomyślałam sobie, że może chciałaby pani wiedzieć, co udało nam się ustalić.

- Tak?

- Paweł Kurzeja i Wojciech Kapuściak chodzili do różnych przedszkoli i szkół, należeli do różnych parafii, nigdy nie pojechali razem na kolonię czy obóz, nie spotkali się też w harcerstwie, domu kultury, klubie młodzieżowym ani na jakichkolwiek zajęciach pozalekcyjnych. Nie było to trudne do ustalenia, bo Wojtek w ogóle nie chodził na żadne dodatkowe zajęcia, tylko na religię, a wakacje spędzał w mieście. Rodzina i koledzy Pawła nie kojarzą, żeby wśród jego znajomych był jakiś Wojtek, natomiast Wojtek...

- Wojtek kolegów i tak nie miał.

- Zgadza się. - Młoda milicjantka uśmiechnęła się przeprasząco. - Przykro mi. Oczywiście to jeszcze nic nie znaczy,

chłopcy mogli się zetknąć gdziekolwiek: w lodziarni, na odpuszcie czy po prostu włócząc się po Mgielnicy. Ale nawet jeśli kiedyś się poznali, to musiała być przelotna znajomość, inaczej ktoś by o tym wiedział. Szukanie takiego spotkania jest jak szukanie igły w stogu siana.

- Rozumiem. - Maria wolałaby, żeby gość już sobie poszedł, jednak sierżant wyraźnie zwlekała.

Sięgnęła do torebki i z lekkim wahaniem podała Marii szkic Wojtka.

- Może chciałaby pani to sobie zatrzymać? Adam, to znaczy porucznik Bogusz, chciał włączyć rysunek do akt, ale skoro i tak nie idziemy tym tropem, to nie ma większego sensu, prawda? Zostanie pani pamiątka po chłopcu.

Przez chwilę Maria pragnęła mieć na tyle odwagi, żeby powiedzieć tej miłej młodej kobiecie, że nie potrzebuje pamiątki, tylko czegoś, co pozwoli jej pozbyć się wyrzutów sumienia, ale jak zwykle wybrała łatwiejsze rozwiązanie - wyciągnęła rękę i wzięła rysunek.

6

W grubej szarej kopercie z pieczęcią instytutu medycyny sądowej przysły materiały z sekcji Pawła Kurzei. Bogusz wysypał je na biurko. Znajdowały się tam szczegółowy protokół oględzin, zdjęcia, a także schematyczne rysunki ukazujące rozmieszczenie ran na głowie zmarłego. Pięć ciosów, z których dwa okazały się śmiertelne. Zabójca był praworęczny i wysoki, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu. Żadnych śladów szarpaniny czy walki - prawdopodobnie już leżąc na ziemi, Paweł jedynie zasłonił głowę rękami, a kolejne uderzenie strzaskało mu pałce lewej dłoni. Porucznik zapalił papierosa i zastanowił się, czemu chłopak nie próbował się bronić. Może znał zabójcę i nie kojarzył go z zagrożeniem? Albo po prostu było ciemno i nie zauważył, że człowiek, który do niego podchodzi, ma w ręku niebezpieczne narzędzie?

To ostatnie martwiło Bogusza. W ranach Pawła znaleziono rdzę, prawdopodobnie było to więc coś w rodzaju starego pręta

zbrojeniowego o długości mniej więcej pół metra i średnicy dwunastu milimetrów. Bogusz nakazał przeszukanie okolicznych krzaków, gruzowisk i śmietników, jednak niczego podobnego nie znaleziono. Wyglądało na to, że morderca zabrał narzędzie zbrodni ze sobą. Czemu nie? Panował mróz, pod grubym płaszczem czy kurtką człowiek mógł przenieść taki pręt choćby i przez całe miasto. Niemniej była to kolejna poszlaka wskazująca na zabójstwo z premedytacją. Ktoś wszedł w głąb kamieniołomu po to, żeby zabić, z przygotowaną bronią, a potem nie stracił głowy, nie próbował w panice pozbyć się narzędzia zbrodni, tylko spokojnie odszedł.

Na ubraniu i ciele Pawła nie znaleziono śladów wskazujących na „czynności seksualne”, jak eufemistycznie określono to w protokole, ale porucznik i tak rozważał, czy nie aresztować paru miejscowych homoseksualistów, którzy interesowali się młodymi chłopcami. Dzięki temu Bogusz i jego ludzie zyskaliby trochę czasu, uspokoili napływające z góry żądania jak najszybszych wyników. „W porządku, zrobmy to”, postanowił, choć nie wierzył, że Pawła zabił zboczeniec. Pięć ciosów, a przecież dwa w zupełności by wystarczyły. Tak mocno bije się kogoś, kogo się nienawidzi. Kto mógł nienawidzić czternastolatka?

Do pokoju weszła Beata i porucznik podzielił się z nią swoją teorią. Dziewczyna nie wyglądała na przekonaną.

- Może morderca zwyczajnie chciał mieć pewność, że chłopak nie żyje? Wbrew pozorom ludzie są twardzi i potrafią sporo przetrzymać. Ojciec opowiadał mi o człowieku, któremu w czasie wojny granat wybuchnął w twarz. Facet przeżył, chociaż z jego czaszki wyciągnęli ćwierć kilo metalu.

Bogusz potrząsnął głową.

- Nie, to musiało być bardziej... osobiste. Złość, zemsta, coś w tym rodzaju.

- Zemsta za co? Przecież to dziecko.

- Ale wcale nie takie małe. Czternaście lat wystarczy, żeby mieć wrogów. Zresztą może nie chodziło o chłopca, tylko na przykład o jego matkę? Ktoś chciał ją zranić, zabierając syna. *A propos*: namierzylście biologicznego ojca?

- Właśnie miałam ci powiedzieć. Facet nazywa się Szczepan Jarosa i mieszka całkiem niedaleko, bo w Jedlinach. Ma tam chatę na skraju wsi i podobno żyje z pisania wierszy. Pomyślałbyś o czymś takim? Prawnik! Drukowali go w paru gazetach; gdyby nie to, pewnie byśmy człowieka nie znaleźli. Ci z jedlinieckiego posterunku zgodzili się podrzucić nam go samochodem, bo facet własnego transportu nie ma, musiałby na autobus czekać. Nawiasem mówiąc, poprosiłam przez telefon o krótki opis podejrzanego; bystra jestem, nie? I wyobraź sobie, że pasuje. Niecała czterdziestka, metr osiemdziesiąt dwa wzrostu, dobra kondycja. Nie mam pojęcia, po co miałby zabijać własne dziecko, ale niewątpliwie mógł to zrobić.

Adam Bogusz poczuł dreszcz podniecenia. Nareszcie coś zaczynało się układać. Jego pierwsza duża sprawa. „Nie spieprz tego - myślał, kiedy dwie godziny później wpadł na chwilę do domu. - Jeśli dobrze to rozegrasz, awans masz w kieszeni”.

Przygotował szybki obiad i zjadł przy ładnie nakrytym stole w małej kuchni. Forma była ważna, zachowywanie jej różniło go od kolegów, którzy po kilku latach pracy za biurkiem i byle jakiego, chwytanego w biegu żarcia błyskawicznie zaczynali tyć. Bogusz w miarę możliwości starał się zdrowo odżywiać, ćwiczył codziennie, wypoczywał, jeśli tylko miał okazję, i czytał rozwijające umysł książki, nie gazety sportowe czy przemycane z RFN pornograficzne szmatławce, które czasem przynosili na komendę milicjanci. Jedyłą jego słabością były papierosy, ale wwiecznie zadymionych pomieszczeniach po prostu nie dało się nie palić. „Dyscyplina ciała i ducha”, tak brzmiałoby jego hasło, gdyby je miał.

Koledzy mogli żartować z wypastowanych butów, porządnie zawiązanych krawatów czy zamawianej w knajpach oranżady, jednak Bogusz wiedział, że ostatecznie to on wygra. Został przeznaczony do większych celów niż praca prowincjonalnego gliniarza. A inni? Łaszkiwicz może kiedyś był niezły, ale najlepsze lata miał za sobą. Krupie brakowało polotu, sierżant nadawał się do wykonywania poleceń, a nie do samodzielnej pracy, zresztą ostatnio widać było, że nawet proste obowiązki

sprawiają mu problem. Beata za parę lat wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, a wtedy jej kariera tak czy inaczej się skończy. Krauze... myśl o nim Bogusza zaniepokoiła. Staszek miał świetną opinię i był starszy stopniem, dlatego to on powinien prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa Pawła. Na szczęście dla porucznika zatrucie córki Krauzego okazało się poważniejsze, niż lekarze myśleli, toksyny z grzybów uszkodziły nerki i dziecko leżało teraz na internie, podłączane dwa razy dziennie do stacji dializującej. Staszek niby urlopu nie wziął, niby w pracy bywał, ale wszyscy wiedzieli, że nie ma głowy do żadnej większej sprawy - przez cały czas tkwił przy telefonie, gotów pędzić do szpitala, jeśli stan córki się pogorszy. Bogusz nie życzył dziewczynce źle, uważał jednak, że dla dobra śledztwa powinna chorować jeszcze przez tydzień-dwa. Tyle wystarczy, żeby znaleźć zabójcę.

Gdy wrócił na komendę, Szczepan Jarosa już na niego czekał. Bogusz na dobrą sprawę sam nie wiedział, kogo powinien się spodziewać. Rozczochranego ascety w typie rosyjskiego jurodiwego, romantycznego poety czy może zwyczajnego wariata? W każdym razie z pewnością nie oczekiwał tego, co zobaczył. Mieszkający w chatce na skraju wsi i żyjący z pisania wierszy Jarosa okazał się bowiem wysportowanym mężczyzną, na oko trzydziestoletnim, choć przecież zbliżał się do czterdziestki. Miał rudawe gładko zaczesane włosy, niewielki wąsik i twarz łasicy, która Boguszowi od razu się nie spodobała. Siedział w pokoju przesłuchań z nogą założoną na nogę, prezentując włoskie buty i modne wąskie spodnie.

- Mogę zapalić? - zapytał, kiedy porucznik przygotowywał maszynę do pisania.

- Tu nie wolno.

To nie była prawda, niektórym świadkom, a nawet podejrzany na to pozwalano, ale Jarosa nie musiał o tym wiedzieć. „Niech się pomęczy - pomyślał Bogusz, który sam miał ochotę na papierosa. - Może szybciej zmięknie”.

Rozłożył na stole stos papierów - nie było w nich nic ciekawego, jednak przesłuchiwanie na widok grubych teczek robili się nerwowi i bardziej skorzy do współpracy. Zazwyczaj,

bo na Jarosę ta metoda nie działała. Mimo to porucznik nie tracił nadziei. Było w tym człowieku coś, co kazało wierzyć, że jego pewność siebie to w dużej mierze poza.

- Przesłuchanie z 21 stycznia, godzina 17.30 - czytał głośno to, co wystukiwał na maszynie. - Świadek: Szczepan Jarosa, przesłuchujący: porucznik Adam Bogusz.

- Świadek? - Mężczyzna uniósł cienkie rudawe brwi. - Nie jestem podejrzany?

- Jest pan tu z własnej woli, prawda? Nie musiał pan do nas przyjeżdżać.

- Nie musiałem, ale ten młody milicjant z Jedlin dał mi do zrozumienia, że jeśli nie okażę się chętny do współpracy, to mogę mieć kłopoty. - Skrzywił się lekko. - To chyba podpada pod paragraf 1 z artykułu 246.

- W żadnym razie. Nasz kolega chciał tylko powiedzieć, że jeśli zgłosi się pan z własnej woli, będziemy... znacznie mniej podejrzliwi co do pana udziału w całej tej sprawie, rozumie pan?

To również nie była prawda - czasem winni okazywali się właśnie ci najbardziej gorliwi, ale tego Jarosa też nie musiał wiedzieć.

- W porządku. - Ojciec Pawła usadowił się wygodniej na krześle. - Miejmy to za sobą. Niech pan pyta.

- Zaczniemy od tego, co pan robił 18 stycznia wieczorem.

- Nic. Byłem w domu.

- Sam?

- Sam. Co pan sugeruje?

- Nic nie sugeruję, chcę tylko wiedzieć, czy ktoś może to poświadczyć - oznajmił Bogusz łagodnie.

- Gdybym wiedział, że będziecie mnie podejrzewać o zabicie własnego dziecka, zaprosiłbym do siebie jakąś kobietę. Nie narzekam na powodzenie wśród płci pięknej, poruczniku. - Pozornie nadal mówił swobodnie, ale zdradzały go lekko drgający mięsień na policzku i kiwająca się stopa w skórzanym bucie.

- Dlatego rozpadło się pana małżeństwo z matką Pawła? Z powodu tego powodzenia?

- Co to ma do rzeczy?

- Ja tutaj zadaję pytania.

Jarosa westchnął, demonstrując nieistniejącym świadkom ogrom tego, co musi znosić.

- Rozwiedliśmy się, bo miałem romans, prawda. Nigdy tego nie ukrywałem. Ona była moją sekretarką. Śliczna, jasnowłosa, z długimi nogami, a do tego chętna. Grzechem byłoby nie skorzystać.

- A jednak i z kochanką pan się rozstał, bo teraz mieszka pan sam?

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem stworzony do trwałych związków.

- A do relacji z własnym dzieckiem?

- Nie rozumiem...

- Rozwiódł się pan osiem lat temu i przez cały ten czas nie utrzymywał kontaktów z synem. To dosyć dziwne, nie sądzi pan? Zwłaszcza że przecież mieszkaliście niedaleko. Ludzie rozstają się codziennie, jasna sprawa, nie żyjemy w średniowieczu, żeby tkwić w nieudanym małżeństwie. Ale byli małżonkowi zazwyczaj jakoś się później dogadują, dziecko zostaje przy matce, ojciec odwiedza je i pomaga w wychowaniu... Pan jednak zupełnie odciął się od rodziny. Czyja to była decyzja, pana czy pana byłej żony? Bo nie wygląda pan na załamanego śmiercią Pawła.

- Kochałem tego chłopca. - Jarosa poczerwieniał lekko, a w jego głosie zabrzmiał ton wyższości. - Pan nie ma dzieci, prawda? Tak myślałem. W takim razie nie zrozumie pan, jak wygląda taka miłość, i nie zamierzam tego tłumaczyć. Ale potem żona mi go zabrała, a każda więź, nawet najsilniejsza, może się zerwać, jeśli się jej nie podtrzymuje. Tyle chyba potrafi pan pojąć. Czy to też za trudne? Nie wyglądam na załamanego, bo chłopiec, który zginął, był mi obcy. Mój Paweł wciąż żyje, we wspomnieniach, w wierszach, które o nim pisałem. Mogę przynieść tomik, jeśli interesują pana moje uczucia.

- Bardziej interesuje mnie odpowiedź na pytanie, dlaczego żona nie chciała, żeby widywał się pan z synem, skoro tak

bardzo go pan kochał.

Jarosa powiódł spojrzeniem po ścianach, jakby szukał tam czegoś, na czym można zawiesić wzrok. Niczego nie znalazł, bo używane do przesłuchań pomieszczenie celowo było całkowicie pozbawione charakteru: tylko malowany na żółto, lekko zszarzały tynk, na którym jaśniejsze kwadraty znaczyły miejsca po zdjętych plakatach, wykładzina w zielonkawym kolorze i prosty drewniany stół. Mężczyzna sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę papierosów i obracał ją przez chwilę. Palce też go zdradzały: długie, nerwowe, co chwila uciekające, żeby skubnąć mankiet czy poprawić kołnierzyk kraciastej marynarki.

- Naprawdę nie mogę tu zapalić? - Ojciec Pawła najwyraźniej należał do tych, którzy palą, żeby zająć czymś dłonie.

- Nie może pan. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czemu żona odcięła pana od syna? Bił go pan? A może ją?

Mięsień na policzku drgał teraz wyraźniej, palce raz jeszcze szarpnęły kołnierzyk, żeby go poluznić. Na czole mężczyzny wykwitła kropla potu.

- Nigdy... nie... zrobiłem... mojej... żonie... niczego... złego - skandował słowa, jakby stemplował listy. - Ani jej, ani dziecku. Nie mógłbym... Nie jestem zdolny do przemocy, nie znoszę widoku krwi.

- Każdy jest zdolny do przemocy - oznajmił Bogusz. - To tylko kwestia odpowiednich okoliczności. Nawet święty potrafiłby zabić, gdyby odpowiednio go sprowokować.

Jarosa poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Nie wiem, co ona panu nagadała. Natalia leczyła się psychiatrycznie. Niech pan sprawdzi jej kartę w przychodni, jeśli pan nie wierzy. Prawie miesiąc na oddziale zamkniętym. Moja była żona nie dość, że jest córką pijaczki, to jeszcze wariatką. Dlatego zabroniła mi widywać syna.

- Wariatka czy nie, to bardzo piękna kobieta. Może był pan na nią zły, bo przyciągała męskie spojrzenia? Pan miał kochanki, więc może i ona zaczęła rozglądać się za innymi mężczyznami? Rozumiem, jeśli nie potrafił pan tego znieść: my możemy pozwolić sobie od czasu do czasu na drobne przyjemności, taka już nasza natura, ale kobieta powinna znać swoje miejsce. A

może - Bogusz pochylił się - może chodziło o coś więcej niż tylko skok w bok? Bo wie pan, co przyszło mi do głowy od razu, kiedy tylko pana zobaczyłem?

Jarosa pokręcił głową.

- Że dzieciak, Paweł, za diabła nie był do pana podobny. Jasne, zdarza się, że chłopak wda się w matkę, ale zawsze jednak coś po ojcu weźmie: kształt brwi, oczy, cokolwiek. A tu nic. Jakby wcale nie był pana synem.

Mężczyzna zamrugał z niedowierzaniem.

- Mówi pan... - To, co usłyszał, docierało do niego opornie, wreszcie jednak usta Jarosa rozciągnął uśmiech. - Ze moja żona... że Natalia mogłaby... Ato dobre, niech mnie!

Porucznik zrozumiał, że stracił swoją szansę. Ryba prawie połknęła haczyk, w ostatniej chwili jednak udało jej się umknąć. To nic, trzeba będzie spróbować jeszcze raz - bo Adam Bogusz mógłby się założyć o prawą rękę, że Szczepan Jarosa łże jak z nut.

7

Z przejścia podziemnego wynurzyła się jasnowłosa kobieta ciągnąca po oblodzonych schodach wózek z dzieckiem. Wspinała się wolno, idąc tyłem. Jedną ręką ścisnęła poręcz, a drugą rączkę wózka.

- Proszę poczekać, pomogę pani. - Maria oderwała się od studiowania tablicy odjazdów i ruszyła z odsieczą.

W odwróconej plecami blondynce było coś znajomego, jednak nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Schyliła się i złapała wózek od spodu.

- Dziękuję - wysapała młoda kobieta, kiedy znalazły się na przystanku.

Maria wyprostowała się i dopiero teraz mogła spojrzeć jej w twarz. Masa szarych włosów, wodniste, lekko wyłupiaste oczy. Niezbyt ładna, ale z wyglądu na tyle sympatyczna i energiczna, że za ładną mogła uchodzić - w przeciwieństwie do brata, który po prostu był brzydki.

W oczach dziewczyny także pojawił się błysk rozpoznania.

- Spotkałyśmy się już, prawda? Na pogrzebie Wojtka, pani była jego nauczycielką.

- Tak. - Maria czuła się lekko zakłopotana, jak zawsze gdy miała do czynienia z ludzkim nieszczęściem. - Maria Lenarczyk - przedstawiła się odruchowo.

- Agata Nelec. Autobus już odjechał?

- Przed chwilą. Też się spóźniłam.

Młoda kobieta zakłęła. Kolejny miał przyjechać dopiero za godzinę, do tego czasu czekało ją sterczenie z małym dzieckiem na mrozie.

Marię coś podkusiło, żeby powiedzieć:

- Może da się pani zaprosić na kawę? Właściwie od jakiegoś czasu chciałam porozmawiać z panią albo z pani rodzicami.

- Z moimi rodzicami? - Agata zmarszczyła brwi.

- Tak, tylko jakoś nie miałam odwagi. Pani ojciec nie wygląda zbyt przyjaźnie...

Przez moment myślała, że dziewczyna się obrazi, ale ku jej zdumieniu Agata odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Jak cholera nie wygląda - przyznała. - Nie jest pani żadnym łowcą sensacji, co? Po śmierci Wojtka ludzie do nas przychodzili, niby ze współczucia, ale tak naprawdę po to, żeby wypytywać, wyciągać różne wstrętne szczegóły. Jakby nie mogli nawet w trumnie dziecka zostawić.

- Nie chodzi mi o sensację. Ale chciałabym, jeśli nie ma pani nic przeciwko, porozmawiać o Wojtku. Myślę... myślę, że jego śmierć może mieć coś wspólnego z tym zabitym chłopcem, o którym pisali w „Głosie”.

Agata obrzuciła Marię podejrzliwym spojrzeniem. Badanie musiało wypaść pomyślnie, bo młoda kobieta wzruszyła ramionami.

- W porządku, możemy pogadać, czemu nie. Dziecku przynajmniej ciepło będzie, a pani na wariatkę nie wygląda. Ale o tego chłopaka z Wilkowic to już milicja rodziców pytała. Czy Wojtek kolegował się z jakimś Pawłem, nazwiska nie pamiętam. Tyle że on nikogo takiego nie znał, mama i tata przecież by wiedzieli.

Niedaleko przystanku nie było kawiarni, jedynie bar mleczny, w którym unosiła się woń przypalonej jajecznicy. Maria i Agata usiadły przy stoliku nakrytym kraciatą ceratą i zamówiły dwie herbaty. Kobieta przy kasie spojrzała na wózek nieprzychylnie, ale nic nie powiedziała. Agata posadziła sobie córeczkę na kolanach i zaczęła rozbierać ją z kolejnych warstw kombinezonów, swetrów i koszulek, w które mała była owinięta niczym miniaturowa mumia. Dziecko zносиło to z niesamowitą cierpliwością.

- Ma sześć miesięcy - oznajmiła Agata. - Duża, prawda?

- Duża - przyznała Maria, choć nie miała pojęcia, jak powinno wyglądać sześciomiesięczne niemowlę.

- Wojtek się nią czasem zajmował. Miał rękę do dzieci, zwłaszcza najmłodszych, które nie wyrosły jeszcze na tyle, żeby się nad nim znać. Bo rówieśnicy się z niego śmiali, ale to pani przecież wie. Niewiele zrobiliście dla niego w szkole, co?

- Niewiele - przyznała pokornie Maria.

Agata zaśmiała się gorzko.

- Niech się pani nie przejmuję, i tak większość ludzi myśli, że Wojtek powiesił się z powodu ojca. Dlatego, że go bił. Na wszystkich nas tato wyciągał pasa, ale Wojtek obrywał najgorzej. Może dlatego, że chłopak, i to środkowy, a może dlatego, że zdaniem ojca z tą nauką to Wojtek złośliwie robił, chociaż jemu pisanie i czytanie zwyczajnie do głowy nie wchodziło. Starał się, nie był leniem, tylko jakoś nie mógł spamiętać, które literki są które. Ojciec zawsze powtarza, że jak się dziecka nie trzepnie parę razy, to nie wyrośnie na porządnego człowieka. Ja tam nie wiem. Czasem mi się wydaje, że to nie po bożemu bić kogoś, kto się nawet obronić nie może. No, ale tatę tak w domu nauczyli, dziadek też lekkiej ręki nie ma...

Maria czekała cierpliwie, na wszelki wypadek się nie odzywając. Agata najwyraźniej była na tyle wrażliwa, by zauważyć, że w jej rodzinie działo się źle, a jednocześnie wystarczająco lojalna, by szukać dla ojca usprawiedliwień.

- Ale pani nie o naszym tacie chciała porozmawiać, prawda? - Dziewczyna wypila łyk herbaty, a potem, ponieważ dziecko

zaczęło marudzić, wyciągnęła z kieszeni przy wózku kajzerkę i wcisnęła kawałek w pulchną rączkę. - Tylko o tym drugim chłopcu, którego zabili?

Maria powiedziała jej o rysunku - trochę niepewnie, bo pamiętała przecież, z jakim niedowierzaniem patrzył na nią porucznik Bogusz. Agata jednak przyjęła całą tę historię znacznie lepiej.

- Tak, do Wojtka pasuje, żeby coś takiego narysować - przyznała. - Może i naprawdę kiedyś spotkał tamtego chłopca. Ale jeśli nawet, to nie była żadna wielka przyjaźń. Pewnie bawili się raz czy dwa jako dzieci.

- I Wojtek pamiętałby go po tych wszystkich latach?

- Czemu nie? Mój brat nie był bystry, ale miał pamięć do twarzy. I czasem wyobrażał sobie różne rzeczy, na przykład kiedyś mu się увидziało, że mieszkająca u nas w klatce dziewczyna, parę lat starsza, się w nim kocha. A ona tylko była dla niego miła, nic więcej. Może tak samo było z tymi dziećmi. Wystarczyło, że go nie odpychały, a on uznał je za przyjaciół.

- Musiał się czuć bardzo samotny - powiedziała Maria.

Agata skwitowała tę oczywistość wzruszeniem ramion.

- Miał swoje rysunki, a kiedy był mniejszy, wymyślał różne zabawy. W czterech pancernych, jakieś podchody i bitwy, jak to chłopcy. Opowiadał potem, że strzelał się z Niemcami w parku czy gonił bandytów. Może gdybym go słuchała... Ale kończyłam wtedy szkołę, miałam swoje problemy, pierwszego chłopaka. Wie pani, jak to jest.

- Wiem - przytaknęła Maria, choć była jedynaczką, a umawiać zaczęła się dopiero na studiach. Podejrzewała jednak, że nastoletnie siostry rzadko interesują się młodszymi braćmi, zwłaszcza jeśli są zakochane. - Właściwie chciałam zapytać, czy nie ma w domu więcej jego rysunków. Może na jakimś dałoby się rozpoznać twarz Pawła albo któregoś z pozostałych dzieci?

Agata uśmiechnęła się gorzko.

- W domu żadnych rysunków Wojtka nie ma. Ani tata, ani mama nigdy jego malowania nie pochwalali i wszystko lądowało w piecu.

- Och. - Maria nie znalazła lepszej odpowiedzi. Wydało jej się

to okrucieństwem większym niż sama śmierć. Jak ostateczne wymazanie, zaprzeczenie jedyne go talentu, jaki chłopiec miał.

- Niech pani da spokój. - Agata spojrzała na zegarek i zaczęła z powrotem ubierać córeczkę. - Wierzę, że chce pani dobrze, jest pani miłą kobietą, ale... proszę dać spokój. Wojtkowi to życia nie wróci, a pani tylko będzie się zadręczać.

Marii zrobiło się wstyd - to ona powinna pocieszać Agatę, nie odwrotnie. Z drugiej strony siostra Wojtka nie wyglądała na bardzo przybitą. Smutną tak, ale nie załamana. Kochała brata, jednak jego śmierć nie sprawiła, że jej świat się zawalił. Agata miała męża i dziecko, dla których po okresie żałoby wróciła do normalnego życia. Być może jedyną osobą, która nie zdołała tego zrobić, była matka chłopca, a może i ona za jakiś czas zapomni o najmniej udanym ze swoich dzieci.

Przed wyjściem Maria skorzystała jeszcze z toalety i myjąc ręce, spojrzała w pokryte czarnymi plamami lustro. Może to była wina tych plam albo po prostu kiepskiego oświetlenia, ale wyglądała źle: cerę miała zmęczoną, oczy zaczerwienione, jakby niedawno płakała, na policzkach od mrozu popękały żyłki. Agatę musiała chyba przekonać jej pozycja „pani nauczycielki”, bo raczej nie budząca zaufanie aparycja.

Zakręciła wodę, wróciła myślami do Wojtka i zastanowiła się, czy po jej śmierci ktoś by płakał.

„Oczywiście, że nie”, odpowiedziała sama sobie. Ciotka umierała w szpitalu, innych bliskich krewnych Maria nie miała, przyjaciel też nie. Może koleżanki z pracy wspomniałyby ją od czasu do czasu, ale to tyle. Było w tej myśli coś kojącego - roztopić się w pustce nieistnienia, jakby nigdy się nie urodziła, jakby całe jej życie było pomyłką, którą zgon zdołał naprawić. Dlaczego nie? Jednak dzieci powinny odchodzić inaczej, ich śmierć powinna wyrywać w czyimś życiu dziurę nie do załatania.

Czy właśnie tak stało się w przypadku Pawła Kurzei? Czy tak będzie, kiedy zginie dziewczynka nazywana Jasną i chłopiec, którego imienia czy też przezwiska Maria nie potrafiła sobie przypomnieć?

- Gdy tylko zrobi się ciepiej, zabieram 8a w góry. Na Szczeliniec, może na Śnieżkę. Piękne trasy, mówię ci. Dzieci potrzebują jakiejś odmiany po tej tragedii. - Ewa Baran energicznie wytarła ręce w wiszący obok umywalki ręcznik.

Maria dokładnie spłukała mydło i również sięgnęła po ręcznik, powstrzymując się od stwierdzenia, że 8a żadnej tragedii nie przeżyła. Jednak dla Ewy Baran każdy pretekst był dobry, żeby wybrać się w ukochane góry. Nawet teraz młoda nauczycielka geografii, ubrana w ciężkie, ubłocone buty, spodnie i rozciągnięty sweter, wyglądała, jakby właśnie wróciła z wycieczki.

- Może wybierzesz się z nami?

- Nie przepadam za górami.

- Nonsens. Trasa ze Śnieżki...

Ewa wciąż mówiła. Marii to nie przeszkadzało, właściwie nawet lubiła tę kobietę. W jej towarzystwie nie musiała się obawiać mniej lub bardziej zawołowanych aluzji, że kiepsko ostatnio wygląda czy dziwacznie się zachowuje. Ewa Baran była tak bardzo skoncentrowana na swojej pasji, że nic poza nią jej nie obchodziło.

- Muszę jeszcze zajrzeć do pokoju nauczycielskiego - przypomniała sobie Maria, gdy dotarły do drzwi wyjściowych. - Zostawiłam tam notes.

- Jasne.

Minęła szesnasta, szkoła była niemal pusta. Jedyne z klasy na drugim piętrze dochodziły słowa śpiewanej *Katiuszy* - niewątpliwy znak, że 6b pilnie ćwiczy rosyjski. Na parterze sprzątaczką zabrała się już za wycieranie podłogi.

W pokoju nauczycielskim Rysiek Stenzel stał przy swojej szafce i patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Maria podniosła ze stołu notes, schowała go do torebki i na wszelki wypadek przejrzała jeszcze jej zawartość, by się upewnić, że niczego więcej nie zapomniała.. Wyglądało na to, że wszystko jest na swoim miejscu.

Rysiek zamknął szafkę.

- Nie widziałaś przypadkiem moich tabletek? Takich małych w białym opakowaniu?

- Nie, przykro mi.

Nadal marszczył brwi i wyglądał na zagubionego. Jasnowłosey, z ciepłymi brązowymi oczami, był uderzająco przystojny, miał jednak feler: mówił wysokim, niemal kobiecym głosem. Maria czasem się zastanawiała, czy uczniowie się z niego śmieją. Przypuszczała, że tak.

- Mam nadzieję, że nikt nie wziął ich przypadkiem. To silne leki, tylko na receptę. Mogą komuś zaszkodzić.

- Może po prostu zostawiłeś je w domu?

- Taaa, pewnie tak.

Maria zawahała się. Miała okazję, żeby porozmawiać z nim sam na sam, czy jednak na pewno tego chciała? Rozsądek podpowiadał, żeby dać spokój, wrócić do domu, nakarmić kota, pojechać z nim wreszcie do weterynarza i zaszczepić.

Została.

- Zastanawiałam się... - zaczęła niepewnie, podczas gdy Rysiek pakował do torby pokaźny plik zeszytów.

Część z nich spadła na podłogę. Schylił się, omal nie uderzył głową o kant stołu i na koniec upuścił teczkę. Z jakichś powodów nawet jego niezręczność wydawała się Marii rozbijająca, jakby obserwowała dużego niezgrabnego psa.

- Tak?

- Pamiętasz może, co rysował Wojtek Kapuściak?

- Kapuściak? Rysował? - Przez chwilę wydawało się, że Rysiek zapomniał nie tylko o istnieniu Wojtka, ale i o tym, że prócz historii uczy również plastyki. - Jasne, pamiętam. Zdolny chłopiec, bardzo zdolny.

- Tak, ale co rysował? - Maria doskonale wiedziała, że Stenzel gotów jest nazwać zdolnym nawet największego nieudacznika.

- Dawalesz klasie jakieś konkretne zadania czy każdy rysował, co chciał?

- Różnie. Po wakacjach oczywiście rysowali wakacje, zimą zimę... A czasem mogli sami wybierać.

Marii przemknęło przez głowę, że temat „Jak spędziłem wakacje” jest może dobry dla dziesięciolatków, ale z pewnością

nie dla ósmoklasistów. Z drugiej strony, jakie to właściwie miało znaczenie? Wychowanie plastyczne było jednym z tych przedmiotów, których nikt nie traktował poważnie - ani nauczyciele, ani uczniowie, zwłaszcza starsi.

- A co rysował Wojtek, kiedy dawałeś im wolną rękę?

- Nie pamiętam - przyznał Rysiek po chwili zastanowienia. - Chyba jakieś przygody w lesie. Jeśli chcesz, będziesz mogła obejrzyć jego rysunki podczas Dni Miasta. Wybrałem na nasze stoisko najciekawsze prace. Asia maluje prześliczne...

- Moment. Gdzie są teraz te wszystkie obrazki?

- Wysłałem je do Wrocławia do oprawy, żeby ładnie wyglądały. Może nawet któryś się sprzeda.

- Poczta?

- Tak, oczywiście. Powinny już wrócić, ale przesyłka się spóźnia. Boję się, czy poczta jej nie zgubiła. Szkoda by było, niektóre są naprawdę bardzo ładne. Asia Grabkowska namalowała statek na morzu, żagle wykleiła srebrnym papierem, a fale zrobiła z niebieskiej włóczki...

Maria wyobraziła to sobie i wzdrygnęła się lekko. Rysiek już nie sprawiał wrażenia zagubionego, mówił teraz z wyraźnym zaangażowaniem, oczy mu błyszczały, a głos załamywał się niebezpiecznie w wysokich rejestrach. Pomyślała o tym trochę nieśmiały, miłym mężczyźnie stojącym przed gromadą dojrzewających dziewcząt, wystarczająco dorosłych, żeby kusić krótkimi spódniczkami czy obcisłymi bluzkami, i wystarczająco młodych, żeby nie mieć litości dla cudzych słabostek. Nagle zrobiło jej się go żal.

Rysiek włożył sfatygowany płaszcz i wsunął teczkę pod ramię. W drzwiach odwrócił się jeszcze i zmarszczył brwi.

- Właściwie dlaczego interesują cię rysunki Wojtka?

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- To tylko taka luźna myśl. Wydawało mi się... Właściwie sama nie wiem. Nieważne, zapomnij o tym. Przesyłka na pewno przyjdzie przed Dniami. Będziemy mieli najlepsze stoisko ze wszystkich szkół.

- Niech pan zacznie jeszcze raz, od początku-zaproponował porucznik Adam Bogusz. - Tylko do rzeczy. Wyszedł pan na spacer z psem około szesnastej trzydzieści...

- Tak, około szesnastej trzydzieści. - Siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna pokiwał gorliwie głową. Był drobny, niemal całkiem łysy, co zakrawało na ironię, pracował bowiem jako fryzjer. Na komendę zgłosił się sam i od kwadransa ze starokawalerską pedanterią rozwodził się nad tym, o jakich godzinach zwykła się wypróżniać jego suczka, nad temperaturą panującą feralnego dnia pod wieczór oraz innymi bzdurami, z których Bogusz próbował wyłowić przydatne informacje.

- Bo widzi pan, moja Mimi...

- Nieważne, co Mimi. Znalazł się pan razem z psem w okolicy kamieniołomów i tam zobaczył pan...?

- Mężczyznę, wysokiego, szczupłego. Nie wiem, czy bym go poznał, od dzieciństwa mam kiepską pamięć, nawet w szkole...

Chwilę trwało, nim Boguszowi udało się znów naprowadzić fryzjera na właściwy temat.

- Stał tam i wyglądał... podejrzenie.

- Czyli jak?

- Czaił się w krzakach i chował przede mną twarz. Specjalnie tak się odwracał, żebym nie mógł zobaczyć, jak wygląda.

Bogusz spojrział na drobnego mężczyznę z namysłem. Nie miał wątpliwości, że w tym przypadku świadek każde, nawet najbardziej niewinne zachowanie zinterpretowałby po czasie jako „podejrzone”. Jaka była jednak szansa, że ktoś naprawdę niewinny kręcił się w wieczór zabójstwa przy kamieniołomach? Nie był to teren zachęcający do spacerów, zwłaszcza zimą, nie przebiegał tamtędy żaden skrót. Nawet pijaczki szukające ustronnego kąta, gdzie dałoby się wypić pół litra, znały cieplejsze i mniej wietrzne miejsca. Nie, Bogusz podejrzewał, że jeśli „wysoki, szczupły mężczyzna” istniał naprawdę, z dużym prawdopodobieństwem był mordercą, którego szukali.

- A jak był ubrany? Może rozpoznałby pan choć ubranie?

- W płaszcz, jasny, krótki i taki jakby trochę damski. Teraz jest taka moda, tak? Z dwoma rzędami guzików i szerokim

kołnierzem. Przyjrzałem się dobrze, bo kiedyś...

Bogusz już nie słuchał. Odsunął maszynę do pisania, czując, jak przez jego ciało przebiega dreszcz podniecenia.

W bardzo podobnym płaszczu na przesłuchanie przyjechał Szczepan Jarosa.

10

Było po czwartej lekcji, większość klasy już wyszła. W pomieszczeniu zostały tylko Asia, Karolina i Sylwia. Maria nie widziała ich, ale wiedziała, że tu są. Szafka pod ścianą aż dygotała od stłumionych chichotów.

- Zbierajcie się. Nie będę na was czekać. - Maria zamknęła dziennik.

Kilka dni temu dziewczyny z 8a zaczęły urządzać sobie nową zabawę: nie chciały wychodzić podczas przerwy na zimno i wiatr, wołały zostać w ciepłej klasie, a ponieważ żaden nauczyciel im na to nie pozwalał, chowały się w różnych miejscach. Odkryte, uciekały ze śmiechem pomiędzy ławkami. Czasem takie przepychanki potrafiły trwać nawet dziesięć minut.

Maria miała dość.

- Przecież wiem, że tam jesteście. Nie wstyd wam? Zachowujecie się jak dzieci. No już...

Szafka zadygotała jeszcze bardziej. Maria podeszła do niej i otworzyła drzwi. Wciśnięte między zakurzone portrety wieszczów i wywieszaną na i maja flagę stały trzy rozbawione ósmoklasistki. Karolina wyprysnęła z wnętrza i przemknęła obok Marii. Asia nie była tak szybka. Maria wyciągnęła rękę, kiedy nagle dziewczyna potknęła się i z całej siły uderzyła głową o kant ławki.

To, co wydarzyło się później, Maria pamiętała jak zły sen, z którego nie sposób się obudzić. Uśmiechy znikające z twarzy Karoliny i Sylwii, jakby ktoś zmazał je wilgotną gąbką. Zduszony, bolesny okrzyk Asi i jej zszokowane spojrzenie, kiedy dotykała czoła, a potem patrzyła na ubrudzone krwią rękę. Maria miała dziwne wrażenie nierealności całej tej

sytuacji i przez kilka sekund po prostu stała jak sparaliżowana, wreszcie jednak - wciąż jak we śnie - chwyciła Asię za ramię i zaciągnęła do gabinetu higienistki, która zdecydowała, że dziewczynę trzeba zawieźć na pogotowie, bo nie obejdzie się bez szycia.

Godzinę później zwolniona z lekcji ósmoklasistka była już w domu, a Maria siedziała w gabinecie dyrektorki.

Za oknem padał śnieg, mimo palącej się pod sufitem lampy w pomieszczeniu zalegał zimowy półmrok, który kładł się na piersi Marii ciężarem nie do zniesienia. Oczy Czesławy Sikory za grubymi szklami okularów miały kolor niedojrzałego agrestu, purpurowe paznokcie postukiwały w blat biurka, umalowane na czerwono wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

- Nie wiem, jak to się stało - powiedziała Maria. - Straciłam cierpliwość...

- Nonsens - ucięła dyrektorka. - Asia biegła i nagle się potknęła, bywa. Tak to już jest z głupimi kozami, które nie patrzą pod nogi. Te dziewczyny powinny mieć więcej rozumu. Może ten wypadek je czegoś nauczy.

- Ale...

- Rozmawiałam z Karoliną i Sylwią. Obie powiedziały mi, że Asia sama się przewróciła.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Ton głosu Czesławy Sikory nie znosił sprzeciwu.

Maria milczała. Może naprawdę dziewczynka po prostu się potknęła? Sama już nie była pewna. Przeszłość rozmazywała się w pulsującym bólu głowy. Pamiętała, że wyciągnęła rękę, pamiętała szorstkość szkolnego fartuszka pod palcami, kiedy dotknęła ramienia Asi. Próbowwała ją chwycić po to, żeby popchnąć w stronę drzwi, czy może żeby uchronić dziewczynkę przed upadkiem? Nie potrafiła sobie przypomnieć. „Nie zrobiłabym krzywdy dziecku”, myślała, ale nawet dla niej brzmiało to mało przekonująco. „Byłaś zmęczona - podpowiadał złośliwy głosik w tyle głowy - jak przez cały czas ostatnio. Zmęczona i zła. Po prostu straciłaś cierpliwość. Właśnie tego się najbardziej boisz, prawda? Ze któregoś dnia

przestanieś poznawać samą siebie, że pęknie jak spróchniałe drzewo, ukazując światu wszystko to, o czym nie chcesz myśleć ani pamiętać”.

- Pani Mario? - Głos dyrektorki wyrwał ją z zamyślenia. - Czy ma pani jakieś problemy? Może zdrowotne albo rodzinne? Nie ukrywam, że trochę mnie pani ostatnio martwi. Proszę mnie źle nie zrozumieć: taki wypadek jak dzisiaj może zdarzyć się każdemu, ale naprawdę wołałabym, żeby to się nie powtórzyło. Czy mogę na panią liczyć?

Miała ochotę odpowiedzieć: „Nie, przecież sama sobie nie ufam”. Kiedy siedziała w gabinecie higienistki z zakrwawioną Asią, poczuła nawet pewnego rodzaju ulgę. Jakby więcej nie musiała udawać, jakby teraz wreszcie mogła po prostu wrócić do domu, położyć się do łóżka, zamknąć oczy i tam zostać.

- Pani Mario?

- Może pani na mnie liczyć - powiedziała cicho. Udawanie było jej drugą naturą, skórą, w którą wskakiwała za każdym razem, kiedy wychodziła z domu. Niełatwo było się z niej wyzwolić.

- Co się z panią dzieje? Przez pierwszych kilka miesięcy była pani świetną nauczycielką, a potem...

- Mam ciężko chorą ciotkę. Jest w szpitalu, lekarze nie dają jej nadziei na przeżycie. To moja jedyna bliska krewna, zastępowała mi matkę, kiedy byłam dzieckiem.

Instynkt musiał podpowiedzieć Marii właściwe słowa, bo twarz dyrektorki rozjaśniła się we współczującym uśmiechu.

- Emilia Orawska, oczywiście. Poznałam ją kiedyś. Bardzo mi przykro. Proszę pozdrowić ciocię, może będzie mnie pamiętać. Ale rozumie pani, że takie tragedie nie mogą wpływać na naszą pracę?

- Tak.

Czesława Sikora wyciągnęła rękę i delikatnie poklepała Marię po dłoni.

- To świetnie. Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia.

Maria wróciła do pokoju nauczycielskiego. Za chwilę miała się zacząć kolejna lekcja. Ala myła szklankę po herbacie, Renia Banaśkiewicz zbierała ze stołu rozrzucone ołówki. Z Ryśkiem Maria minęła się w drzwiach. Bała się, że znów będą na nią

dziwnie patrzeć, ale mało kto zwrócił uwagę na jej wejście. Tylko Alicja uśmiechnęła się pokrzepiająco znad zlewu. „Może zwyczajnie jestem przewrażliwiona”, pomyślała Maria, kiedy nagle ciężka ręka wylądowała na jej ramieniu.

- Nie rób takiej ponurej miny - zahuczał koło ucha wesoły bas. Karol Górny był chudy, żylasty, praktycznie same mięśnie i ani grama tłuszczu, jednak głos miał zaskakująco głęboki. - Pokazałaś tym dziewczuchom, gdzie ich miejsce, co? Więcej nie będą ci się naprzykrzać.

- Nie naprzykrzały mi się - zaprotestowała. - I nie...

- Zawsze uważałem, że młodzież należy trzymać krótko. Dyscyplina, tego im brakuje. Dzieciaki teraz strasznie rozwydrzone są. I leniwe, ćwiczyć im się nie chce. Ale jak ja je biorę w obroty, to chęć jakoś zawsze się znajduje. - Zaśmiał się z żartu, który chyba tylko jemu wydawał się zabawny.

Ala rzuciła Marii współczujące spojrzenie, po czym wymknęła się z pokoju nauczycielskiego. Renia też wyszła, podczas gdy Karol wciąż trzymał Marię za ramię.

- Słowo daję, postawiłbym ci kielicha, ale tu nie wypada, a do baru pewnie ze mną nie pójdziesz, co? Tak myślałem. Szkoda. Szkoła to taki babiniec, nawet napić się nie ma z kim.

- Muszę już iść.

- Masz teraz lekcje?

- Nie, ale chcę wrócić wcześniej do domu. Zostawiłam tam głodnego kota.

- Kota? - Roześmiał się. - No tak, to do ciebie pasuje. Odprowadzę cię na przystanek, mam teraz okienko.

Już przy wzmiance o kocie Maria poczerwieniała, zła na samą siebie, a teraz jej frustracja jeszcze się pogłębiła. Oczywiście mogła odmówić, powiedzieć, że nie życzy sobie jego towarzystwa, ale wtedy Karol poczułby się urażony. Ostatecznie nie chodziło przecież o randkę, tylko o przejście kilkudziesięciu kroków dzielących szkołę od przystanku. Znowu zaczęłoby się gadanie, że Maria to nietowarzyska dziwaczka, lepiej więc było zacisnąć zęby.

Gdy walczyli z podmuchami śnieżycy, czuła niemal fizycznie, jak otacza ją dusząca chmura testosteronu. Karol wciąż mówił:

o zaletach ćwiczeń i surowej dyscypliny, o tym, że szkodliwość palenia to przesąd, bo jego dziadek palił i dożył w świetnym zdrowiu dziewięćdziesiątki. Maria pomyślała o Wojtku, narażonym dwa razy w tygodniu na kontakt z tym człowiekiem. Może właśnie on doprowadził chłopca do samobójstwa? Ani przez chwilę nie wątpiła, że byłby w stanie to zrobić i nawet nie przyszłoby mu do głowy, że w czymkolwiek zawinił.

Ofiarami Karola padali grubi, nieruchawi uczniowie, a zwłaszcza uczennice. Górny nie uznawał usprawiedliwień z powodu comiesięcznego „niedysponowania” i chwalił się, że kiedyś na jego lekcji jedna dziewczynka zwymiotowała z wysiłku. Maria, która za WF-em nigdy nie przepadała - w szkole lubiła tylko zajęcia na basenie - szczerze nie cierpiała tego typu i nie miałyby nic przeciwko temu, żeby obarczyć go winą za śmierć Wojtki. Jednak plastyka i WF były jedynymi przedmiotami, z których młody Kapuściak miał dobre oceny. Nie, przyczyn śmierci chłopca trzeba było szukać gdzie indziej - prawdopodobnie w ogóle poza szkołą.

„Może w lesie?”, pomyślała, kiedy autobus odjechał z przystanku, na którym skulony pod wiatą Karol Górny zapalał papierosa. Nie zdziwiłaby się, gdyby wyjaśnienie śmierci Wojtki leżało w miejscu, które chłopiec tak chętnie rysował.

11

Uzbrojony w prokuratorski nakaz sierżant Krupa stanął przed domem Szczepana Jarosy w towarzystwie dwóch pomocników. Właściciela nie było - siedział teraz na komendzie w Mgielnicy i z pewnością przeżywał ciężkie chwile. Krupa miał nadzieję, że to, co tutaj znajdą, wystarczy, żeby z przesłuchania został przewieziony prosto do aresztu.

Dom Jarosy znajdował się pięć kilometrów od centrum wioski - sporo dla kogoś, kto nie ma samochodu, może jednak ojciec Pawła lubił długie spacery po świeże pieczywo czy codzienną gazetę. Nie była to wiejska chałupa, raczej weekendowa chatka z gatunku tych, jakie stawiali sobie bogaci prywaciarze. Do

połowy murowana, wyżej drewniana, trochę w góralskim stylu. Ciężkie okiennice na parterze i piętrze były zamknięte, drzwi przesłaniała solidna krata.

Krupa przestał się dziwić wszystkim tym zabezpieczeniom, kiedy zobaczył wnętrze, w którym królował kolorowy telewizor, a obok stał magnetowid. W barku znaleźli zapas zagranicznych alkoholi, na stolyczku leżała skórzana papierośnica z wytłoczonym złotem imieniem i nazwiskiem właściciela.

- Facet zarobił na to, pisząc pieprzone wiersze? - mruknął Krupa. On sam prędzej z powrotem uwierzyłby w Świętego Mikołaja niż w coś takiego.

Nad telewizorem wisały dwa obrazy w ciemnych barwach: jeden przedstawiał martwego koguta na stole pełnym warzyw i owoców, drugi pustą leśną drogę, dziwnie posepną mimo przebijającego przez korony drzew słonecznego światła. Kolejną ścianę zdobiło imponujących rozmiarów poroże jelenia.

Przeszukiwali dom pomieszczenie po pomieszczeniu, zaczynając od salonu, jednak nigdzie nie znaleźli nic oprócz dalszych oznak luksusu. Obudowana mahoniem wanna w łazience, na półce droga woda kolońska, modne, nieco przesadnie młodzieżowe ubrania w szafie. Krupa zanotował, żeby sprawdzić, skąd podejrzany naprawdę ma na to wszystko pieniądze, ważniejszym pytaniem jednak było, dlaczego facet zdecydował się zamieszkać na takim odludziu. Sierżant sam był daleki od elegancji, ale doświadczenie mówiło mu, że ludzie nie wkładają włoskich butów ani spodni z Peweksu po to, żeby spacerować po lesie i podziwiać przyrodę. Jeśli ktoś wybulił kupę kasy na ekstraciuchy, to chciał, żeby inni je podziwiali - najlepiej zamożni inni, a nie gromada wiejskich przygłupów popijających piwo pod spożywczakiem. Człowiek w typie Szczepana Jarosy zdecydowanie powinien mieszkać w mieście.

A jeśli już z jakichś powodów zdecydował się na wieś, czemu przynajmniej nie kupił sobie samochodu?

Krupa zapalił papierosa. Coś jeszcze nie dawało mu spokoju, coś ważniejszego niż kwestia mieszkania na odludziu czy brak auta. Broń. Czy było tu coś, co mogłoby zostać użyte jako

narzędzie zbrodni przy morderstwie Pawła?

Zmarszczył brwi, po czym wrócił do kuchni i jeszcze raz otworzył szuflady. Łyżki, widelce, wszystko, czego można się spodziewać. Nie było tu niczego, co wyglądałoby podejrzanie.

Nie chodziło jednak o coś, co znajdowało się w domu, lecz o to, czego brakowało.

12

W środę rano Maria zadzwoniła do szkoły i powiedziała, że niestety nie będzie mogła dziś przyjść. Bardzo źle się czuje, chyba złapała grypę. Głos sekretarki brzmiał sucho, podejrzliwie, kiedy mówiła, że zaraz przekaże wiadomość dyrektorce.

Maria odłożyła słuchawkę i wróciła do łóżka. Mimo zmęczenia nie potrafiła zasnąć, leżała więc tylko, wpatrując się w półmrok. Miała wrażenie, że taka sama ciemność spowija jej myśli, tkwi w gardle i za oczami jak zastarzały kłęb rozpacz. Czasami żałowała, że nie jest naprawdę chora. Nie na banalną grypę, ale na coś poważniejszego, może nawet śmiertelnego. Przynajmniej miałyby usprawiedliwienie, dlaczego nie radzi sobie z własnym życiem.

Kot wskoczył na łóżko i trącił ją w ramię zimnym nosem, miaucząc przy tym ponagląco. Maria wiedziała, co powinna zrobić. Wstać, przede wszystkim. Dać kotu jeść, umyć się i ubrać. Jeśli spędzi cały dzień w koszuli nocnej i szlafroku, będzie się tylko obijała o meble albo siedziała przed telewizorem, patrząc w ekran nic nierozumiejącym wzrokiem. Zjeść coś, choć nie miała na to najmniejszej ochoty. Potem mogłaby włożyć płaszcz i przejść się na spacer, póki jeszcze jest jasno. Pomyślała o polach pokrytych śniegiem, od którego odbija się słońce. Całe połacie oślepiająco jasnej bieli. Tęskniła za tym widokiem, ale nie była w stanie wykonać pierwszego kroku. Jakby ktoś nappełnił całe jej ciało ołowiem.

Kot miauczał coraz donośniej, a do trącania nosem doszło drapanie. Maria zepchnęła go, ale uparte zwierzę znowu wskoczyło na łóżko. Zegar wybił dziesiątą.

Pora wstać.

Jednak minął jeszcze kwadrans, zanim udało jej się wreszcie zwlec. Była osłabiona, za oczami wciąż coś ją ścisnęło, jakby lada moment miała się rozpląkać. Od kilkunastu dni czuła ten ucisk bezustannie, czasem słabszy, czasem mocniejszy.

Nakarmiła kota, zmieniła nocną koszulę na spodnie i sweter - na tyle było ją stać. Potem wyniosła krzesło i przez jakiś czas siedziała przed domem, patrząc na pokrywający ogródek śnieg. Słońce grzało ją w twarz i kiedy zamykała oczy, prawie czuła, jak wraca jej coś w rodzaju chęci do życia. Szybko jednak niebo znowu zaciągnęło się chmurami i musiała wrócić do środka.

Było po piątej, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Maria nie ruszyła się z kanapy, zdecydowana udawać, że jej nie ma. Może to był ktoś ze szkoły, może znowu milicja - tak czy inaczej, nie chciała nikogo widzieć. Jednak gość okazał się uparty i zadzwonił jeszcze raz, bardziej natarczywie, a potem w całym domu rozległo się głośne stukanie. Wreszcie jasny, dziewczęcy głos zawołał:

- Jesteś tam?!

Alicja.

Po chwili wahania Maria poszła otworzyć drzwi.

Ala wyglądała uroczo: zarumieniona, z przyprószonymi śniegiem włosami, które wymykały się spod czapki. Ściągnęła ją, patrząc na koleżankę rozszerzonymi oczami.

- Rany, ty naprawdę jesteś chora.

- Tak - odparła Maria. A potem: - Nie. Sama nie wiem.

Alicja zmarszczyła brwi.

- Martwiłam się, więc spytałam w sekretariacie o twój adres. Nie masz nic przeciwko temu? Przyniosłam ci coś, na wypadek gdybyś nie dała rady zrobić zakupów. - Uniosła rękę, w której trzymała pełną siatkę.

Maria milczała.

- Słuchaj - powiedziała Ala. - Wiem, że niektórzy uważają, że jestem zbyt bezpośrednia albo nawet wścibska. Trudno, taką mam naturę. Jeśli chcesz, żebym sobie poszła, po prostu powiedz. Nie obrażę się.

- Nie chcę, żebyś sobie poszła. - Maria odsunęła się, by wpuścić ją do domu. Miała wrażenie, jakby razem z dziewczyną do zimnego wnętrza weszła odrobina życia.

- Jadłaś dziś coś? - zapytała młodsza kobieta i nie czekając na odpowiedź, zabrała się za rozpalanie ognia, a potem nastawiła wodę na herbatę.

Maria siedziała w kuchni i cieszyła się bijącym od pieca ciepłem, podczas gdy koleżanka mówiła, nie oczekując niczego poza okazjonalnymi pomrukami zgody. Może właśnie tego było Marii trzeba.

Dziewczyna zdjęła z pieca gwizdzący czajnik, sięgnęła do szafki i dopiero wtedy, tknięta nagłą myślą, odwróciła się w stronę gospodyni.

- Jeśli przeszkadza ci, że tak się rządę...

- Nie przeszkadza. - Maria ze zdumieniem odkryła, że to prawda. A przecież powinno, bo nie należała do osób przesadnie towarzyskich.

Zjadły jajecznicę - Ala z apetytem, Maria bardziej po to, żeby zrobić koleżance przyjemność, a potem ze szklankami herbaty usiadły w pokoju, który Emilia Orawska trochę na wyrost nazywała salonem. Gdy czarny kot otarł się o nogi Ali, dziewczyna schyliła się, by go pogłaskać.

- Ładny. Jak się nazywa?

- Nie ma imienia. Przybłąkał się do mnie niedawno.

- Musisz go jakoś nazwać. Może Pirat?

- Czemu Pirat?

- Bo jedno ucho ma naderwane.

- Pirat powinien chyba nie mieć oka?

- Fakt. - Alicja zakłopotana się.

- Pirat jest w porządku - uspokoila ją Maria. - Podoba mi się.

W pokoju przez chwilę panowała cisza, słychać było tylko tykanie zegara i drapanie w fotel, na którym Pirat ostrzył sobie pazurki.

- Czy Asia Grabkowska była dziś w szkole? - zapytała Maria.

- Nie, ma zwolnienie.

Maria wpatrywała się w parującą powierzchnię herbaty.

- Chciałabym ją przeprosić - powiedziała wreszcie.

Ala poruszyła się niespokojnie w fotelu.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Bo wszyscy uznają to za przyznanie się do winy? - Maria uśmiechnęła się gorzko.

- Coś w tym rodzaju. - Ala westchnęła. - Nie wierzę, że zrobiłaś jej krzywdę. Nie wydajesz się tego typu osobą.

- A jakiego typu osoby krzywdzą dzieci? Sama nie jestem sobie pewna. Wszystko wydarzyło się tak szybko...

- Daj spokój, nikt nie ma do ciebie pretensji.

- Dlaczego właściwie tu przyjechałaś, Alicjo? Od czasu do czasu dzwonię do szkoły i mówię, że jestem chora, ale do tej pory jeszcze nikt nie przyszedł sprawdzić, jak się czuję, ani tym bardziej nie przyniósł mi jedzenia.

- Już mówiłam, lubię cię. A poza tym... - Dziewczyna zawahała się. - Poza tym ostatnio dowiedziałam się, że jednak masz tajemnicę. W porządku. - Uniosła ręce w obronnym geście. - Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać...

- Wszyscy wiedzą, co mi się kiedyś przydarzyło. - Maria wzruszyła ramionami. - Dziwne, że do ciebie dotarło to tak późno.

- Rzadko słucham plotek - przyznała Ala. - Może dlatego, że o mnie i moim bracie też opowiadają niestworzone rzeczy. Piotrek jest chory, mówiłam ci, dlatego rzadko kogoś widuje i już to wystarcza, żeby ludzie wzięli go na języki. Ale w twoim przypadku to coś innego, nie takie zwykłe głupie gadanie, tylko prawdziwa tajemnica. Naprawdę jako dziecko zniknęłaś na tydzień w lesie? I nikt nie wiedział, gdzie byłaś?

- Naprawdę. - Entuzjazm Ali był na swój sposób odświeżający, jej ciekawość sprawiała, że cała ta historia wydawała się mniej tragiczna, a bardziej intrygująca, jak coś, o czym można przeczytać w książce. Maria nigdy wcześniej nie patrzyła na to w ten sposób.

- I niczego nie pamiętasz?

- Nie. To znaczy...

- Wiedziałam! To znaczy, że jednak coś pamiętasz?

- Nie - zaprzeczyła Maria. - Zresztą to było dawno temu.

- W porządku. - Alicja najwyraźniej jej nie uwierzyła, ale

mimo całej swojej bezpośredniości była zbyt dobrze wychowana, żeby nalegać. Spojrzała na zegarek. - Muszę lecieć, zaraz mam ostatni autobus.

Gdy za koleżanką zamknęły się drzwi, Maria wróciła do salonu, żeby zabrać szklanki. Powiedziała prawdę - rzeczywiście niczego nie pamiętała. Nie w taki sposób, w jaki zazwyczaj pamięta się rzeczy z przeszłości. Czasem tylko śniła o czymś, co wydawało się mieć związek z tamtymi wydarzeniami: o lesie, zimnie i głodzie. I o czyjejs obecności, bo wiedziała, że nie była wtedy sama.

13

Szczepan Jarosa nosił wymięte wczorajsze ubranie, w którym spędził noc w celi, ruchy miał ostrożne i sztywne. Nie wyglądał już na pewnego siebie, a gdy siadał na krześle, przez jego twarz przemknął grymas bólu. Bogusz nie chciał wiedzieć, co w ramach wstępnej obróbki mu zrobiono. Brzydził się przemocą.

- Mamy świadka, który rozpoznał pana na miejscu zbrodni - powiedział. - Co pan na to? Nadał będzie się pan upierał, że spędził wieczór 18 stycznia sam w domu?

- Byłem... w domu. - Jarosa wytrzymał przez chwilę wzrok porucznika, a potem wbił spojrzenie w stół. Jego ramiona drżały lekko.

- My też byliśmy w domu. W pana domu. I wie pan, co tam znaleźliśmy? A może raczej czego nie znaleźliśmy?

Jarosa pokręcił wolno głową.

- Podobno jest pan poetą, tak? W takim razie gdzie jest pana gabinet czy choćby maszyna do pisania?

Wzruszył ramionami i chyba trochę się odprężył. Zdołał nawet przywołać na twarz blady uśmiech.

- Piszę piórem, najczęściej przy stole w kuchni. Taki mam zwyczaj. Niewiele pan wie o pracy poety, prawda? Nie każdy potrzebuje maszyny.

- Noży też pan nie potrzebuje?

- Słucham?

- Noży, zwyczajnych kuchennych noży, do krojenia chleba,

mięsa, takich tam. Każdy normalny człowiek ma w domu kilka noży. Ale pan nie ma. To zastanawiające, nie sądzi pan?

- Ja...

- Tak?

- Mam... specyficzną dietę, jadam tylko półpłynne potrawy. Nie muszę niczego kroić.

- Naprawdę? A może pozbył się pan tych noży, bo użył pan ich jako broni?

Jarosa dygotał coraz wyraźniej. Głowę miał spuszczone, wzrok wbity w stół. Po chwili coś wymamrotał.

- Głośniej.

- Jestem złym człowiekiem.

Część III: Blanka

Październik 1955 roku

Kościół był pusty, w ciszy unosił się zapach wilgotnych starych murów i wody zbyt długo stojącej w chrzcielnicy. Było w nim coś żelazistego, jak woń monety trzymanej w spoconej dłoni. Blżej ołtarza wyczuwało się delikatną nutę kadzidła zmieszaną z zaduchem więdnących kwiatów. Przez okna wpadały promienie popołudniowego słońca, zapalając złote refleksy w ciemnym drewnie ławek.

Emilia Orawska każdej niedzieli stawiała się karnie na mszy, najbardziej jednak lubiła puste kościoły, kiedy mogła klęknąć w ławce i pobyć sam na sam ze swoimi myślami. W takich chwilach miała wrażenie, że Bóg naprawdę ją słyszy. Czasami.

Przeżegnała się, stojąc przed figurą ukrzyżowanego, nader realistycznie oddaną, z krwią spływającą spod cierniowej korony na wykrzywioną męką twarz. Małe dzieci czasem płakały na jej widok, ale Emilii podobizna konającego Chrystusa zawsze przynosiła ukojenie. Jeśli jego cierpienie miało sens, to być może jej także.

Modliła się, wspominając minione lata. Niewiele w nich było szczęścia, może tylko na samym początku, gdy dorastała w rodzinnym majątku. Pamiętała, że ojciec uczył ją powozić, a matka śmiała się, kiedy konie skręcały w złą stronę. To było tak dawno temu, że trudno uwierzyć, by tamta dziewczynka w sztywnej białej sukience miała cokolwiek wspólnego z kobietą siedzącą teraz w kościele.

Potem urodziła się Lena. Emilia do dziś pamiętała złość, jaka ją ogarnęła, gdy zza drzwi patrzyła na grono ciotek szczebiocących nad ustrojonym wstążeczkami łóżeczkiem. Zazdrość jednak szybko minęła i Emilia pokornie wzięła na

siebie rolę starszej siostry. Trzeba dźwigać swój krzyż, jak mawiał znajomy ksiądz, a krzyżem Emilii była Lena, nieposłuszne, urocze dziecko, które bezustannie pakowało się w kłopoty. Emilia zawsze była tą ładniejszą, ale z jakiegoś powodu ludzie zwracali uwagę właśnie na Lenę - wysoką, niezgrabną, z potarganymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami. Lenę, która była wcieleniem słodyczy, kiedy ją rozpieszczano, i która zmieniała się w potwora, gdy tylko ktoś ośmielił się jej czegoś zabronić. Jej napady złości budziły popłoch wśród służących, doprowadzały matkę do płaczu i przerażały ojca. Tylko Emilia miała śmiałość wejść do pokoju, w którym młodsza siostra wyla i rzucała przedmiotami. Na Lenę nic nie działało - ani razy skórzanego pasa z żelazną sprzączką, ani kary w rodzaju klęczenia w ciemnej komórce, ani przestrogi księdza czy nauczycieli. Dziewczyna robiła, co chciała, a chciała najczęściej tego, co niebezpieczne. Nim skończyła siedem lat, zdążyła dwa razy połamać nogi i raz poparzyć się tak paskudnie, że do końca życia zostały jej blizny na szyi i piersiach.

Kiedy Emilia podrosła, kręciło się wokół niej sporo przystojnych młodych mężczyzn, którzy jednak zaskakująco szybko zrywali znajomość, gdy tylko poznali jej siostrę. Emilia lubiła ich wszystkich, ale tylko raz była naprawdę zakochana - w młodym lekarzu, jasnowąsym i pełnym fantazji, który jeździł konno, jakby urodził się w siodle. Nie pamiętała już, co się z nim stało. Pewnie po prostu odszedł jak wszyscy w jej życiu.

Potem przysły ciężkie wojenne lata, depesza zawiadamiająca, że ojciec zginął na froncie, choroba matki. Emilia patrzyła, jak rodzinny majątek popada w ruinę, jak kwaterują tam żołnierzy, którzy zrywają posadzki i palą w piecach starymi obrazami. Patrzyła, jak jej matka chudnie i blednie, jak umiera, kaszląc krwią, ze szklistymi oczami. Przed śmiercią kobieta wymusiła jeszcze przysięgę, że starsza córka zaopiekuje się młodszą, i Emilia dotrzymała słowa.

Skończyła studia, choć w nowym, obcym dla niej świecie pierwszeństwo miały dzieci robotników i chłopów, znalazła pracę, a większość zarobionych pieniędzy oddawała siostrze.

Trzeba dźwigać swój krzyż.

Był czas, kiedy miała jeszcze nadzieję, że dostanie wreszcie własną porcję szczęścia. Lena wyszła za mąż, urodziła dziecko, trochę się uspokoiła. Wydawało się, że wszystko zmierza ku dobremu, ale potem coś się zepsuło - Lena znowu znikała na całe noce, jej mąż coraz więcej czasu spędzał w pracy, córeczka płakała głodna.

Kiedy pewnego grudniowego ranka Lenę znaleziono na poboczu drogi, sztywną od mrozu oraz śmierci, bez płaszcza i cuchnącą alkoholem, Emilia pomyślała, że to prawdziwa łaska. Teraz mała Marysia wreszcie miała szansę na normalny dom. Wtedy jednak jej ojciec spakował walizkę i odszedł. Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia zamknął za sobą drzwi, zostawiając za nimi śpiące w łóżeczku niemowlę. Emilia nigdy nie próbowała go odnaleźć. Są winy, które tylko Bóg może wybaczyć.

Często łapała się na tym, że spogląda na siostrzenicę z niepokojem, szukając w niej cech młodszej siostry. Lenie brakowało dyscypliny, dlatego Emilia na wszelki wypadek wolała być dla Marii zbyt surowa niż przesadnie pobłażliwa. Jeśli w dziecku było cokolwiek z matki, zamierzała to zabić, zanim będzie za późno. Szczęśliwie dziewczynka charakter odziedziczyła raczej po ojcu - była słaba, nie miała w sobie gwałtowności Leny.

Łaska.

Emilia zapaliła świecę. Jasny płomień tylko podkreślił panujący w kościele mrok.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi i po chwili rozległ się stukot butów na kamiennej posadzce. Poczekała, aż ksiądz wejdzie do konfesjonału, a potem uklękła przy kracie.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - powiedziała.

- Na wieki wieków. Amen - odpowiedział znajomy pokrzepiający głos.

Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Chciała rzucić z ramion ciężar tego, co zobaczyła dziś rano, kiedy rozebrała siostrzenicę, włożyła ją do wanny, a potem próbowała rozczesać jej włosy. Dziewczynka zapomniała - i to

była kolejna, być może największa łaska, ale Emilia nie mogła jej dostąpić.

Styczeń 1985 roku

1

Blanka patrzyła, jak po ścianie przesuwają się świetliste plamy z okien przejeżdżającego pociągu - szereg żółtych kwadratów sunących jeden za drugim w mrok. Często leżała tak w ciemności, słuchając stukotu kół, i wyobrażała sobie, że odjeżdża w siną dal, do innego życia. Zawsze wiedziała, że kiedyś wreszcie spakuje cały swój skromny dobytek, pójdzie na dworzec i zabierze się stąd w cholerę.

Nie sądziła tylko, że będzie musiała to zrobić akurat teraz. Dziś, najdalej jutro, bo potem może być za późno.

Blanka wciąż się wahała. Jej koledzy i koleżanki często uciekali, ale w końcu milicja i tak sprowadzała ich z powrotem. Byli za głupi, żeby nie dać się złapać, a ona nie zamierzała być głupia. Jeśli miała zniknąć, musiała najpierw wszystko starannie przemyśleć.

W ciemności Zosia przekreśliła się pod kołdrą i wymamrotała coś przez sen. Na korytarzu rozległ się dźwięk kroków, gdzieś trzasnęły drzwi, ktoś się zaśmiał, a potem do uszu Blanki dotarł ostry głos dyżurującej dziś siostry Małgorzaty. Dziewczynka nasłuchiwała z bijącym sercem, lecz w gruncie rzeczy nie bała się za bardzo. Za grubymi murami klasztoru była przecież bezpieczna. Jako dziecko wierzyła w potwory potrafiące fruwać i przenikać przez ściany, ale dawno z tego wyrosła. Teraz wiedziała, że potwory to po prostu ludzie, których zatrzymują kraty w drzwiach i oknach. Co innego na zewnątrz - tam czaiło się zagrożenie, ale Blanka przecież nie mogła spędzić życia zamknięta w domu dziecka.

Dlatego należało wreszcie podjąć jakąś decyzję. Jeśli tego nie zrobi, on prędzej czy później ją dopadnie. Przez chwilę zastanawiała się, jak to jest, kiedy się umiera. Oglądała w kinie

mnóstwo filmów dla dorosłych i tam ofiary zawsze konały, wybałuszając oczy i krwawiąc. Blanka lubiła filmy, w których lała się krew. Czy gdyby i ona zginęła, ktoś by jej pożałował? Na przykład ta stara kurwa, która jej nie chciała?

Przez chwilę wyobrażała sobie własny pogrzeb, tłum rozslochanych żalobników i załamaną przybraną matkę, która dopiero teraz zrozumiała, jaki błąd popełniła. Śmierć nie przerażała Blanki: to tylko cisza, ciemność i spokój, niezależnie od tego, co gadają zakonnice. Dziewczynka nie bała się też bólu - czasem zamykała drzwi do łazienki na klucz, wyciągała przyklejoną pod umywalką żyletkę i nacinała sobie ramiona. Przerażało ją jednak umieranie, zwłaszcza myśl, że w ostatnich chwilach nie będzie potrafiła złapać oddechu, a przede wszystkim nie chciała, żeby potwór wygrał.

Za drzwiami znów rozległ się odgłos kroków i tym razem Blanka gwałtowniej drgnęła pod kołdrą. Mieszkała w bidulu od lat i bez trudu potrafiła rozpoznać, kto chodzi po korytarzu: zakonnice w sandałach z miękkimi podeszwami sunęły cicho, klekocząc przy tym paciorkami różańców, pan Miecio, stróż i złota rączka w jednym, lekko powłóczył lewą nogą, a młodsze dzieciaki biegały, tupiąc niczym stado słońi. Te kroki jednak brzmiały inaczej, wydawały się ostrożne i zwinne, a jednocześnie w nieuchwytny sposób znajome, aż dziewczyna poczuła, że zaczynają jej się pocić dłonie.

Może to po prostu któryś z nowych starszych chłopaków i tyle?

A może nie?

Może się myliła i potwory naprawdę istnieją - takie, których nie powstrzymają ani kraty, ani grube mury?

Wyślizgnęła się z łóżka, podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Potwór na korytarzu zatrzymał się, słyszała teraz jego oddech, równy i spokojny. Czekał, być może zastanawiając się, do którego pokoju wejść. Nie miał wielkiego wyboru, bo cały dom dziecka składał się z kilkunastu pomieszczeń.

Blanka cofnęła się, wzięła krzesło i podłożyła je pod klamkę. Nie sądziła, by to go powstrzymało, ale przynajmniej zyska trochę czasu. Potem pośpiesznie zaczęła wkładać ubranie. Gdy

klamka poruszyła się nieznacznie, miała już na sobie spodnie i sweter, a kiedy krzesło drgnęło po raz pierwszy, właśnie otwierała okno, wpuszczając do środka lodowate powietrze styczniowej nocy.

2

„Kolejna babka, która wyobraża sobie niestworzone rzeczy”, pomyślał Bogusz, jednak bez złości czy niechęci, bo siedząca po drugiej stronie biurka dziewczyna była wyjątkowo ładna. Ciemna blondynka z włosami spiętymi w sięgający łopatek kucyk i piegami na słodkiej buzi. Nazywała się Teresa Scholz i pracowała jako psycholog w domu dziecka prowadzonym przez franciszkanki. Sama zakonnica nie była, jednak klasztorne życie musiało wywrzeć na nią wpływ, bo ubierała się wyjątkowo staroświecko: w sięgającą łydek spódnicę z grubego materiału i luźny szary sweter. Bogusz lubił skromnie wyglądające kobiety.

- Blanka to dobre dziecko - powiedziała, podczas gdy porucznik z przyjemnością obserwował cień rzucany na policzki przez długie rzęsy. - Jest odrobinę... trudna, ale ma dobre serce. Bardzo bym nie chciała, żeby coś jej się stało.

- Dziewczynka sama się znajdzie - uspokoił ją. - To nie pierwsze zgłoszenie o ucieczce z tego miejsca. Pani niedługo pracuje u siostr, prawda?

- Dwa miesiące.

- No właśnie, inaczej by pani wiedziała, że nie należy się za bardzo przejmować takimi dzieciakami. Powłóczy się trochę, zgłodnieje i zmarznie, a potem wróci.

- Blanka nigdy wcześniej nie uciekała, a poza tym...

- Tak, wiem, jakiś obcy człowiek chodził nocą po korytarzu. Ale czy widział go ktoś dorosły i wiarygodny?

- Tylko dwójka młodszych dzieci.

- Które mówią, że po Blankę przyszła Baba-Jaga. Sama pani widzi, jak to brzmi.

Dziewczyna zaczerwieniła się lekko. Wyglądała na pełną dobrych chęci, ale najwyraźniej brakowało jej doświadczenia.

- Poza tym czy obcy człowiek mógłby wejść nocą na teren klasztoru? - ciągnął Bogusz.

- Nie wiem, chyba nie - przyznała z ociąganiem. - Bramę zawsze zamykamy na noc, a wejścia pilnuje jeszcze siostra furtianka. Może przez okno... ale nie wiem, jak ktoś dałby radę otworzyć je od zewnątrz.

- Za to dziewczynka bez trudu mogła otworzyć je od środka, a potem ześlizgnąć się po rynnie. Dla wysportowanej nastolatki to żaden wyczyn. Sam w tym wieku skakałem po drzewach jak pawian. Proszę się nie martwić, Blance nic nie będzie.

- Ale poszukacie jej?

- Oczywiście, od tego tu jesteśmy. Proszę opowiedzieć coś więcej o tej dziewczynce. Ma jakichś krewnych czy przyjaciół?

- Nie. - Teresa pokręciła głową. - Wie pan, dawniej mówiło się „sierociniec” i teraz starsi ludzie ciągle jeszcze używają tego określenia. Ale tak naprawdę nasi podopieczni mają rodziców, tyle że dysfunkcyjnych...

- Niech pani mówi po ludzku. - Bogusz roześmiał się.

- Takich, którzy z różnych powodów nie mogą się nimi zająć. Albo nie chcą. Blanka to wyjątek, bo naprawdę jest sierotą. Trafiała do nas jako małe dziecko, pięcioletnie, potem...

- No?

- Została adoptowana, ale jej przybrana matka po mniej więcej roku poprosiła o rozwiązanie umowy. To się czasem zdarza, nie każdy rodzic wie, na co się decyduje, biorąc sierotę, a nasi podopieczni miewają trudne charaktery. Blanka mocno to przeżyła, zaczęła się moczyć w nocy, bywała agresywna w stosunku do innych i do siebie. Opuściła nawet dwie klasy, powinna być teraz w ósmej, a nie w szóstej. Ale to nie jest głupie ani złe dziecko, potrzebuje tylko...

- Zaraz, moment. Ile lat właściwie ma Blanka? Nie dwanaście?

- Niedawno skończyła czternaście. - Teresa zmarszczyła brwi.

- Czy to coś zmienia?

- Wpadnę po południu obejrzeć pokój, z którego zniknęła, w porządku?

- Tak, oczywiście. Bardzo dziękuję.

„Czternaście lat”, pomyślał Bogusz, kiedy za kobietą zamknęły

się drzwi. Ten sam rocznik co Wojtek i Paweł. To mógł być zbieg okoliczności i prawdopodobnie był, ale porucznik nie potrafił ukryć frustracji. Miał już przecież w areszcie podejrzanego, który prawie się przyznał. Prawie, bo powtarzał tylko, że jest złym człowiekiem, jednak Bogusz był pewien, że to kwestia godzin, kiedy ojciec Pawła opowie im wszystko aż do najdrobniejszego szczegółu.

3

-Co o tym myślisz? - zapytał, kiedy po południu podjechali pod klasztor.

Spodziewał się miejsca jak z powieści Dickensa, tymczasem okazało się, że dzieci sypiają w schludnych kilkusobowych pokojach z białymi ścianami, na których wisiały obrazki o religijnej treści.

- Kto chciałby stąd uciekać, co? - Beata przyglądała się dużej kolorowej ilustracji, na której Jezus wypędzał kupców ze świątyni.

- Moim zdaniem całkiem tu ładnie.

- Ale jakoś tak bezosobowo, nie uważasz?

- Przesadzasz - mruknął Bogusz, choć jego koleżanka trochę racji miała.

W porównaniu z pokojem Pawła zaskakująco mało było tu indywidualizmu. Identyczne kapy na łóżkach, identyczne małe szafki, w których dzieci mogły trzymać swoje rzeczy, nawet rozrzucone na wspólnym stole szkolne przybory i zeszyty wyglądały, jakby pochodziły z jednej dostawy towaru do miejscowego sklepu.

Beata stanęła przy oknie. Było już zamknięte, ale w pokoju nadal wyczuwało się ślad zimna, które nad ranem wyrwało ze snu współlokatorki Blanki. Obie twierdziły, że niczego w nocy nie słyszały.

- Gdyby ktoś tu wszedł i porwał dziewczynkę, przecież by się obudziły, prawda? - Bogusz zgadł, o czym Beata myśli. - Poza tym Blanka zabrała kurtkę, czyli sama uciekła.

- Teraz, w styczniu? Na dworze nocą jest minus piętnaście

stopni, a w dzień niewiele cieplej. W dodatku nad ranem zaczęło porządnie sypać.

Bogusz zagryzł wargi. Niech to diabli, miała rację. Dzieciaki wiały zazwyczaj na wiosnę, kiedy robiło się wystarczająco ciepło, żeby przekimać w parku czy altance na działkach. Skoro Blanka zdecydowała się na ucieczkę teraz, to znaczyło, że miała gdzieś metę, kogoś zaprzyjaźnionego, do kogo mogła pojechać. Albo z jakiegoś powodu była na tyle zdesperowana, żeby nie przejmować się zimnem.

- Chodźmy porozmawiać z furtianką czy jak jej tam.

Siostra Anastazja była tęga, młoda i nawet całkiem ładna, choć trochę szpeciło ją znamię na brodzie, z którego wyrastały trzy sztywne czarne włosy. Niewiele miała do powiedzenia - tyle że na jej dyżurze nikt nie zdołałby zakraść się niepostrzeżenie do klasztoru. Nie, nie zwykła sypiać przy furcie, czytać książek ani nic takiego. Odmawiała różaniec i przez cały czas zachowywała czujność, choć w zasadzie nie było takiej potrzeby, bo nocą i tak nikt tu nie przychodził. Siostra Anastazja jednak traktowała swoje obowiązki poważnie, za co matka przełożona często ją chwaliła.

Bogusz zostawił Beatę, żeby porozmawiała z dziećmi, a sam zapytał siostrę Anastazję o gabinet psychologa. Teresa siedziała tam w otoczeniu stosów dokumentów, zza których ledwie było widać jej drobną sylwetkę. Na widok Bogusza uśmiechnęła się lekko.

- Cieszę się, że pan przyszedł.

- Zawsze dotrzymuję słowa. Niech się pani nie martwi, zguba szybko się znajdzie. Proszę mi tylko powiedzieć, czy dzieci tutaj mają jakieś pieniądze.

- Dostają kieszonkowe, pięćset złotych na miesiąc. Krewni też mogą im coś przesyłać, ale mało kto to robi. Nasi podopieczni pochodzą z bardzo ubogich rodzin. Niektórzy sprzedają puste butelki wyciągnięte ze śmietników, żebrzą albo nawet kradną. Oczywiście staramy się z tym walczyć, ale złe nawyki trudno wykorzenić, a jak mówiłam, to dzieci z patologicznego środowiska.

- Jasne. A co z Blanką? Też żebrała albo kradła?

- Nic o tym nie wiem. Mogła...
- Tak?
- Parę razy zdarzyło się, że zmusiła którąś z młodszych dziewczynek do oddania jej kieszonkowego - przyznała niechętnie Teresa. - Ale to było pół roku temu, od tego czasu nikt nie zgłaszał takich incydentów.
- Czyli teoretycznie dziewczynka mogła mieć przy sobie całkiem spory zapas gotówki?
- Teoretycznie.
- W porządku, to już jest jakaś informacja. Jeśli miała pieniądze, prawdopodobnie pojechała pociągiem. Popytamy na dworcu. Niech mi pani jeszcze powie, czy ktoś mógł wiedzieć, co Blanka planuje. Jakaś serdeczna przyjaciółka?
- Blanka nie miała przyjaciółek, a przynajmniej nie w swoim wieku. Trzymała się z młodszymi.
- Czemu?
- Była dość dziecinna jak na swój wiek, nie interesowali jej jeszcze chłopcy ani strojenie się, wołała zabawy, i to raczej chłopięce. Poza tym młodszy wychowanek jej słuchali, a ona...
- Lubiała rządzić?
- Trochę tak.
- Nie wygląda sympatycznie ta pani Blanka.
- Niech pan jej nie ocenia. - Teresa zaczerwieniła się. - Ta dziewczynka dużo przeszła.
- W porządku, skoro pani tak mówi. I jeszcze jedno...
- Tak?
- Umówiłaby się pani ze mną na kawę? Czy osoby pracujące w klasztorze obowiązują celibat tak jak zakonnice?

4

Beata czekała przed klasztorem oparta o samochód. Wokół niej rozciągała się biała połać śniegu, przecięta jedynie prowadzącymi do malucha śladami stóp.

- Rozmawiałam z dziećmiakami - powiedziała dziewczyna, otrzepując buty.

- Niech zgadnę: niczego się nie dowiedziałaś.

- Wręcz przeciwnie, dowiedziałam się mnóstwa rzeczy, tylko nie wiem, czy cokolwiek z tego nam się przyda. Podobno Blanka kogoś się bała. Albo czegoś, jakiegoś potwora, który miał po nią przyjść. Straszyla młodsze dzieci opowiadaniem, jak ten potwór zabija. Wiesz, poderżnięte gardło, wybałuszone oczy, tryskająca wszędzie krew, mnóstwo szczegółów. Blanka była wielbicielką filmów sensacyjnych. Swoją drogą, ktoś z naszych powinien się tym zainteresować.

- Potworami?

- Kinem, gdzie dzieciaki wpuszczają na seanse dozwolone od osiemnastu lat.

- Nie wiedziałem nawet, że sieroty chodzą do kina.

- W soboty mają wolne popołudnie i starsi wychowankowie mogą wtedy sami wychodzić. A czasem po prostu urywają się ze szkoły. Widziałam ich rozkład dnia i szczerze mówiąc, wygląda to dla mnie cholernie przygnębiająco. Pobudka o szóstej, modlitwa, śniadanie, nauka, godzina skupienia. Co to jest, u licha, godzina skupienia? Po co skupienie dziesięciolatkom?

- Nie mam pojęcia.

Beata patrzyła na klasztor. Jeszcze wczoraj śniegu było najwyżej kilka centymetrów, teraz na stromych dachach leżały białe czapy, a pod murami z czerwonej cegły utworzyły się zaspas sięgające dorosłemu człowiekowi do połowy uda. Gałęzie otaczających budynek sosen ugiwały się pod ciężarem zimnego puchu. Niedaleko rozległ się dziecięcy śmiech, który utonął w mroźnym powietrzu jak wrzucony w wodę kamień. Poza tym panowała cisza. Zimowy krajobraz wyglądał pięknie, niemal bajkowo, ale dziewczyna wzdrygnęła się nagle.

- Mam nadzieję, że Blanka uciekła, zanim zaczęło padać - powiedziała.

- Spokojnie, stąd na stację jest pięć minut drogi - mruknął Bogusz. - Doszłaby tam nawet w śnieżycy.

Mimo to zrobiło mu się trochę nieprzyjemnie. Co, jeśli Blanka wcale nie pojechała pociągiem? Jeśli wyszła na szosę i próbowała nad ranem łapać autostop? Trzeba będzie rozejrzeć

się po najbliższej okolicy. Nie uśmiechała mu się myśl o zamarznętym dziecku leżącym gdzieś pod śniegiem. Nie sądził wprawdzie, żeby martwa nastolatka mogła poważnie zaszkodzić jego karierze, lepiej jednak nie ryzykować.

5

W czwartek rano autobus przyjechał z dziesięciominutowym opóźnieniem, a potem włókł się, z trudem pokonując zaspę. W rezultacie Maria dotarła do szkoły kwadrans po ósmej, tylko po to, by zastać niedobitki 5a goniące się w kurtkach po nieogrzejanej klasie. Stróż znów dziś zapili i zapomniał napalić w piecach. Nim wreszcie przyczłapał, cały cuchnący przetrawionym alkoholem, było wpół do dziewiątej. Wkrótce pomieszczenie wypełniły kłęby gryzącego dymu, dzieci trzęsły się w ławkach z czapkami naciągniętymi na uszy, kaszlały i przecierały łzawiące oczy. Maria przez jakiś czas próbowała prowadzić lekcję, ale nie miało to sensu, zwolniła więc uczniów do domów. Za dwa dni i tak miały zacząć się ferie, połowa klasy, prawdopodobnie za cichą zgodą rodziców, nawet nie przyszła do szkoły, a dyrektorka rozważała, czy z powodu śniegu w ogóle nie odwołać piątkowych zajęć.

Maria siedziała w pokoju nauczycielskim, grzejąc palce o szklanekę z kawą, i myślała, że nie miałyby nic przeciwko temu. Czekały ją dwa tygodnie wolnego. Jeśli na jakiś czas oderwie się od pracy, może uda jej się choć trochę uporządkować swoje życie, odpocząć, nabrać sił. Z doświadczenia wiedziała, że styczeń i początek lutego są najgorsze, potem, kiedy dni stopniowo robiły się dłuższe, Maria czuła się coraz lepiej. Wiosna już blisko, pocieszała się, choć na razie to słowo brzmiało płasko, bez wyrazu, jakby nie miało żadnego znaczenia.

Zamyślona ledwie zwracała uwagę na toczącą się w pokoju nauczycielskim rozmowę. Mówiono oczywiście o zbliżających się Dniach Miasta, które organizowano co roku w drugim tygodniu ferii. Maria czasem się zastanawiała, dlaczego władze Mgielnicy nie wybrały terminu w jakiejś cieplejszej porze roku.

Może jednak luty miał sens, bo nawet kiedy pogoda nie dopisywała, była to chwila oddechu w czasie długiej szarej zimy. Stawiano wtedy na rynku namioty, w których gotowała się grochówka i piekły kielbaski, grzaniec łał się strumieniami, a na straganach można było kupić miejscowe rękodzieło. Zgodnie z wieloletnią tradycją każda szkoła miała własne stoisko, na którym oferowała wyroby uczniów. Najczęściej były to karmniki zrobione w czasie lekcji przez chłopców, wydziergane dziewczęcymi rękami szaliki czy proste czapki, niekiedy wazony oklejone przez pierwszaków kolorowymi kamykami. Maria zawsze podejrzewała, że kupują to głównie rodzice dzieci lub ich znajomi, ale tak czy inaczej, wszystkie te rzeczy sprzedawały się zaskakująco dobrze, a zebrane w ten sposób pieniądze przeznaczano potem na szkolne wycieczki albo wyjścia do kina. Kiedyś, dawno temu, Maria sama kroїła na takim stoisku ciasto i nalewała herbatę z wielkiego wojskowego termosu.

Odstawiła na stół pustą już szklanę i złapała spojrzenie Reni Banańkiewicz, siwowłosej matematyczki, która uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie bierzesz udziału w przygotowaniach?
- Swoje już zrobiłam - wykrętnie odparła Maria.
- To tak jak ja. Miło wiedzieć, że jest się wolnym, prawda?

Między obiema kobietami przeskoczyła iskra porozumienia, bo zbliżająca się do emerytury Renia, zajęta głównie troską o coraz bardziej szwankujące zdrowie oraz wnukami, unikała dodatkowych obowiązków, jak tylko mogła.

Starsza kobieta pochyliła się do Marii.

- W zeszłym roku Jadzia zaproponowała, żebyśmy zrobili stoisko z jakimiś suszonymi ziołami czy innymi amuletami. Oczywiście dyrektorka wybiła jej to z głowy. To wyglądałoby zbyt... pogańsko, nie sądzisz? Ale Jadzia miewa takie pomysły.

- Naprawdę? - Maria rzuciła krótkie spojrzenie w stronę wysokiej i kościstej nauczycielki biologii.

Siwiejące włosy miała upięte w kok, spódnica skromnie zasłaniała wykręcone artretyzmem kolana, a w czarnym zakiecie śmiało można by iść na pogrzeb. Jedynym bardziej

ekscentrycznym elementem stroju kobiety był drewniany naszyjnik.

- Kiedyś przyniosła karty i wszystkim nam wróżyła - szepnęła konfidencko pani Renia. - Nie wierzę w takie rzeczy, ale się skusiłam, bo i dlaczego nie? To przecież tylko zabawa. Jadzia przepowiedziała mi wtedy, że doczekam się jeszcze trójki wnucząt. Gdybyś ją poprosiła, pewnie i tobie by powróżyła. Tylko nie mów o tym dyrektorce, ona jest bardzo zasadnicza. Gdyby się dowiedziała, że ktoś w szkole zajmuje się takimi głupstwami, byłaby niezła awantura.

- Nie powiem - obiecała Maria.

Jadzia Siwczyk właśnie wsypywała do swojej kawy czubatą łyżkę cukru. Gdy się schyliła, naszyjnik na jej piersiach zaklekotał cicho. Maria przyglądała się przez chwilę rzeźbionym kawałkom drewna, zastanawiając się, co właściwie przedstawiają. Jakież tajemnicze symbole albo litery starożytnego alfabetu?

Nauczycielka biologii usiadła niedaleko i Maria bez trudu mogła teraz dostrzec, że naszyjnik składa się zwyczajnie z rzeźbionych w drewnie główek kwiatów. Cóż, Jadzia Siwczyk była tak daleka od stereotypowego wizerunku czarownicy, jak tylko można.

Zmierzając do domu w trzęsącym się autobusie, Maria wróciła myślami do wróżb. Może gdyby Jadzia odczytywała z kart nie przyszłość, ale przeszłość, byłoby warto zwrócić się do niej o pomoc. Uśmiechnęła się lekko, wyobrażając sobie nobliwie wyglądającą nauczycielkę tłumaczącą jej, co wydarzyło się w lesie, przywołującą wszystkie wspomnienia, które straciła mała Marysia. Lecz dorosła Maria nie wierzyła w czary. Cokolwiek się wtedy stało, będzie musiała przypomnieć to sobie sama, bez pomocy magii.

Autobus znowu utknął w zaspie, a siedząca obok staruszka sapnęła z niezadowoleniem. Na kolanach trzymała brudną siatkę, z której wyzierały smętne zimowe warzywa: trochę bladej marchwi i pietruszki, do tego przywiędły por. W siatce było też coś twardego i kanciastego, co przy każdym poruszeniu starszej pani wbijało się Marii w udo.

Chuchnęła w szybę i narysowała na niej dwie dziecięce postacie. Zdecydowanie nie miała talentu plastycznego Wojtka - jej ludziki składały się z kilku kresek jak na rysunku pięciolatka. Dodała im czupryny z falistych linii i kilkoma dziabnięciami zaznaczyła oczy. Obok dorysowała drzewa.

Bawiące się w lesie dzieci.

„Moi przyjaciele”, powiedział Wojtek Kapuściak.

Mała Marysia, z natury zgodna i spokojna, miała sporo koleżanek i kolegów, ale żadnej prawdziwej przyjaciółki czy przyjaciela, nikogo naprawdę bliskiego. Z wyjątkiem tygodnia, kiedy zniknęła. Marii pozostały z tamtego okresu ledwie strzępy wspomnień, jak cień snu rozmywającego się tuż po przebudzeniu: zapach nadciągającego deszczu i dymu z ogniska, drzazgi wbijające się w skórę, kiedy zasypiała na zbitej z desek pryczy. Odległe zimne niebo nad czubkami kołyszących się sosen i smak mięsa, na zewnątrz czarnego od spalenizny, a wewnątrz niemal surowego. Do licha, nawet nie była pewna, czy części z tego po prostu sobie nie wymyśliła. Ale mimo wszystkich wątpliwości gdzieś tkwiło przekonanie, że nie była wtedy sama. Ktoś jej towarzyszył, nie groźny potwór, jak słyszała później od dorosłych, ale ktoś dobry, kto się nią zaopiekował.

Ręka wyciągnięta w ciemności i zaciskająca się na jej dłoni.

Przyjaciel.

Czy przyjaciółka? Przez chwilę rozważała tę kwestię, ale instynkt podpowiadał, że to był on - chłopiec, nie dziewczynka.

Dodała jednej z postaci krótkie spodenki, a drugiej sukienkę. Staruszka z siatką chrząknęła, jakby jej sąsiadka rysowała straszne zberezeństwa. Maria przetała szybę i wyjrzała na zewnątrz. Autobus wreszcie ruszył, lecz za chwilę znowu się zatrzymał. Przed nimi był przejazd kolejowy, niedaleko na tle kobaltowego nieba wznosiły się ciemne zabudowania stacji. Maria usłyszała gwizd nadjeżdżającego pociągu, a potem jej uwagę zwróciła para milicjantów, którzy szli wzdłuż drogi, brodząc w śnieżnych zaspach niczym czaple. Coś zakłuło ją w piersi - dziwne, zimne uczucie, które równie dobrze mogło być strachem, jak i smutkiem.

- Z klasztoru zniknęła dziś w nocy dziewczynka - powiedziała staruszka. - Pewnie jej szukają.

Milicjanci zostali w tyle, Maria przeniosła spojrzenie na resztki rysunku, który spływał powoli po szybie. Przez chwilę widziała jeszcze kawałek sylwetki w krótkich spodenkach, a potem chłopiec przepadł, jakby nigdy nie istniał, g

6

„Co z tym facetem jest nie tak?”, zastanawiał się Bogusz, kartkując protokoły z przesłuchań Szczepana Jarosy. Ostatni był wyjątkowo krótki: same pytania, żadnych odpowiedzi. Z wyjątkiem jednej, bo Jarosa od czasu do czasu powtarzał, że jest złym człowiekiem. Porucznik tego nie pojmował. Zazwyczaj, gdy przesłuchiwni się załamywali, to kompletnie, po czym zaczynali śpiewać jak z nut, wyznając wszystkie grzechy aż do pierwszej kradzieży jabłek w wieku pięciu lat. Jarosa natomiast, choć pozbawiony całej wcześniejszej pewności siebie, choć rozdygotany i wyczerpany, wciąż zachował resztki uporów, niczym samotny żołnierz broniący się bez nadziei na gruzach twierdzy.

„Jestem złym człowiekiem”. Musiał przecież mieć na myśli zamordowanie własnego syna, bo cóż by innego?

Bogusz przejrzał życiorys Jarosy. Inteligencka rodzina, jednak, studia, krótka praca w kancelarii, nieudane małżeństwo, a po rozwodzie wyjazd, najpierw do Legnicy, a potem ostatecznie na wieś, gdzie zaszył się w domu i pisał wiersze. Żył z pieniędzy przesyłanych mu przez stryja, który po wojnie został w Anglii, dokąd trafił z armią Andersa. Porucznik wątpił, czy Jarosa sprzedaje funty legalnie, ale to był w tym wszystkim najmniejszy problem.

Jaki przystojny mężczyzna, zamożny, elegancki i podobno lubiący kobiety, zamyka się dobrowolnie w domu na zapadłej wsi?

Pół godziny wcześniej rozmawiał z oficerem dyżurnym z komendy w Legnicy, który obiecał, że przejrzą akta, sprawdzą, czy nie ma tam nic na temat Jarosy, i oddzwonią. Teraz

porucznik czekał na telefon i żeby jakoś zabić czas, przeglądał notatki.

Zniechęcony, odsunął protokoły i przymknął oczy. Kiedy je otworzył, jego wzrok padł na tablicę korkową, do której przypięto trzy zdjęcia: Wojtka Kapuściaka, Pawła Kurzei i Blanki Janik. Fotografie dziewczynki porucznik przyczepił wczorajszego wieczoru. Nie powinien tego robić, taki układ bowiem wyraźnie sugerował, że samobójstwo, morderstwo i zniknięcie są w jakiś sposób ze sobą powiązane, a to przecież była zbyt szalona teoria, by brać ją poważnie. Sprawa Wojtka została zamknięta, zabójca Pawła siedział w areszcie i lada moment miał się przyznać, a Blanka wkrótce się znajdzie. Jednak z jakiegoś powodu Bogusz nie potrafił powstrzymać się przed umieszczeniem tych trzech zdjęć obok siebie i patrzeniem na nie od czasu do czasu.

Zniknięcie Blanki też go niepokoiło. Kiedy wysłał Krupę na dworzec, okazało się, że nikt tam dziewczynki nie widział. To jeszcze nie musiało o niczym świadczyć - może młodociana uciekinierka jednak nie miała pieniędzy, pojechała więc na gapę i jakimś sposobem udało jej się schować przed konduktorem. Dzieciaki bywają sprytnie w takich kwestiach. Bogusz sam kiedyś, dawno temu, przejechał kilka stacji ukryty w śmierdzącej toalecie.

Był to jednak kolejny drobiazg, który wzmagał w nim uczucie niepokoju. Miał wrażenie, że wokół narasta coś wielkiego, czego jeszcze nie dopuścił do świadomości. Sprawa, która może zmienić jego życie, wynieść go na szczyt albo pograżyć. O tej drugiej możliwości wolał nie myśleć. Sporadycznie, kiedy pozwalał sobie uwierzyć w możliwość - tylko możliwość - że ta szalona teoria jest prawdziwa, czuł jednocześnie niemal bolesne podniecenie i mdlący lęk. A ponieważ bał się naprawdę rzadko, mocno wytrącało go to z równowagi.

Postanowił dla świętego spokoju sprawdzić, czy Blanka mogła znać Wojtka albo Pawła. Choć i tak mógłby się założyć, jaka będzie odpowiedź: żadnych punktów stycznych, inne szkoły, inne kręgi kolegów, inne środowiska. Nie był pewien, czy to rozwieje jego wątpliwości, czy wręcz przeciwnie - jeszcze je

pogłębi.

Drgnął na dźwięk telefonu i błyskawicznie wyciągnął rękę po słuchawkę.

- Z komendy w Legnicy do pana, poruczniku - poinformowała nowa sekretarka, która nie tylko parzyła świetną kawę, ale też znakomicie radziła sobie z innymi obowiązkami.

- Proszę łączyć.

Coś zatrzeszczało i porucznik przez moment bał się, że śnieżycy znów uszkodziła linię, ale na szczęście po chwili w słuchawce rozległ się męski głos.

- Porucznik Adam Bogusz? No więc przejrzelismy te akta, jak prosiliście, i faktycznie mamy gościa spisane go. To cholernie dziwaczna sprawa była, z pięć, nie, sześć lat temu. Nazwisko wyleciało mi z głowy, ale jak zobaczyłem zeznania, zaraz wszystko wróciło. Facet zjawił się u nas jakoś tak rano, cały roztrzęsiony, i mówi: „Szukajcie ciała”. Myślimy sobie: „Szląg, zaciukał kogoś, kiepska sprawa, ale dobrze przynajmniej, że sam przylazł, mniej roboty będzie”. Chcieliśmy zaraz gościa wypytać, co, gdzie i jak, ale on w kółko tylko gadał, że ciało i ciało, no więc dla świętego spokoju wsiedliśmy z nim w radiowóz i pojechaliśmy do lasu. Łaziliśmy tam, żeby nie skłamał, chyba ze dwie godziny, listopad był, zimno jak diabli, wszędzie pełno błota i zgniłych liści. Prowadził nas to tu, to tam, a nigdzie żadnego trupa ani widu, w końcu kumpel się deczko wnerwił i przycisnął faceta, a ten jak nie zaleje się łzami. Siedział na ziemi, szlochał i powtarzał...

- Że jest złym człowiekiem?

- Jakbyś pan zgadł. Myślimy sobie: „Nie jest dobrze, to jakiś świr”. Wsadziliśmy gościa z powrotem do auta i gazem do wariatkowa. Tam go doktor przeba dał, dał pigułki i facet zasnął jak niemowlę. Podobno jakieś załamanie nerwowe czy coś. Wam też taki numer wykreślił?

- My podejrzewamy go o morderstwo.

- Ha! To może jednak w końcu kogoś zaciukał.

- Może. - W głosie Bogusza zabrzmiało powątpiewanie.

„Kto mógłby coś wiedzieć o ojcu Pawła?”, zastanowił się,

kiedy odłożył słuchawkę. Lekarz? Możliwe, choć akurat

przedstawiciele służby zdrowia wołał zostawić sobie na koniec - bez nakazu trudno było z nich coś konkretnego wyciągnąć. Rodzina? Jedynym krewnym Szczepana Jarosy był bogaty stryjek w Anglii, w Polsce mężczyzna miał tylko ekszönę i... kogoś jeszcze?

„Tak - odpowiedział sam sobie - kochankę, dla której swego czasu porzucił rodzinę. Tę długonogą blond sekretarkę, której podobno nie można się oprzeć”.

Bogusz zaczął kartkować akta w poszukiwaniu jej nazwiska.

7

W piątek odbyły się tylko trzy pierwsze lekcje, które Maria poświęciła na luźną rozmowę z uczniami. Właściwie oni rozmawiali, a ona tylko pilnowała, by dyskusja nie zdryfowała na boczne tory, i od czasu do czasu podrzucała nowe zagadnienia. Asi Grabkowskiej nadal nie było - Maria z jednej strony poczuła odrobinę wstydlivej ulgi, z drugiej lekko się zaniepokoiła. Oddałaby sporo, żeby zobaczyć dziewczynkę całą i zdrową, argumentującą z charakterystycznym dla niej zaangażowaniem. Asia, dziecko ocytane, inteligentne i pełne fantazji, najbardziej lubiła takie właśnie luźne lekcje, a nie znosiła kucia na pamięć. Maria nie mogła jej za to winić. Gdy zabrzmiał ostatni dzwonek, uczniowie, którzy od dawna myślami byli na feriach, pośpiesznie zaczęli pakować tornistry. Patrzyła, jak wylewają się falą z bramy, w biegu dopinając kurtki, śmiejąc się i przepychając. Kiedy ona ostatnio tak się cieszyła?

Szkoła opustoszała błyskawicznie, po chwili w pustych korytarzach słyhać było już tylko kroki dozorecy, który podzwaniając kluczami, obchodził wszystkie sale, by sprawdzić okna i piece. Maria wróciła do pokoju nauczycielskiego, gdzie Rysiek Stenzel właśnie wkładał płaszcz. Mężczyzna posłał jej niepewny uśmiech.

- Zobaczmy się na Dniach Miasta, prawda?

- Tak, oczywiście. Obrazy dotarły?

- Jeszcze nie. Ale nie tracę nadziei. Bardzo miła pani z poczty

obiecała mi, że spróbuje ich poszukać.

- Znajdą się - pocieszyła go, choć w gruncie rzeczy wątpiła, by prace Wojtka Kapuściaka oraz innych uczniów kiedykolwiek dotarły do szkoły. Jeśli coś ginęło na poczcie, to zazwyczaj na dobre.

- Do widzenia.

- Do widzenia.

Maria dziwnie się czuła w pustym pokoju nauczycielskim ze świadomością, że prócz niej w całej szkole są jeszcze może dwie osoby. Za ścianą słyszała kroki krzątającej się sekretarki, ale poza tym w budynku panowała cisza. Tym mocniej zabrzmiał w niej terkotliwy dźwięk telefonu. Spojrzała na aparat - świeciła się niebieska lampka, co oznaczało, że to rozmowa wewnętrzna. Po chwili wahania podniosła słuchawkę.

- Słucham.

- Pani Maria? Dobrze, że pani jeszcze jest. Ktoś ze szpitala chce z panią rozmawiać. Przełączyć?

- Tak, proszę.

Szpital? Czekając na rozmowę, przypomniała sobie, że podała lekarzowi także numer szkoły, na wypadek gdyby ciotce się pogorszyło, kiedy Maria będzie w pracy.

- Pani Lenarczyk? - Głos był młody, pełen energii.

- Przy telefonie.

- Nie chcę pani martwić, ale... no... myślę, że powinna pani przyjechać i zobaczyć się z ciocią.

- Złe się czuje? - Zabrzmiało to idiotycznie. Ciotka Emilia od bardzo dawna nie czuła się dobrze.

- Powiem pani wszystko na miejscu.

- Zaraz przyjadę.

Cudem udało jej się złapać jedyną w Mgielnicy taksówkę, dzięki czemu dotarła do szpitala w dwadzieścia minut. Lekarz już na nią czekał. Na jego milej, dość przystojnej twarzy gościł wyraz zakłopotania, jakby młody doktor nie przywykł jeszcze do przekazywania złych wiadomości.

- Pani ciocia... - zaczął.

- Umiera, tak? - Maria postanowiła mu pomóc.

- Przykro mi. Nie zostało jej wiele czasu. - Chrząknął,

najwyraźniej desperacko szukając czegoś pozytywnego, co mógłby powiedzieć w takiej chwili. - Miała długie, dobre życie - oznajmił wreszcie.

Co do drugiego przymiotnika Maria miała pewne wątpliwości, ale nie zamierzała zaprzeczać. Biedny doktor bardzo się starał.

Emilia Orawska oddychała z trudem, jednak sprawiała wrażenie przytomniejszej niż wtedy, kiedy Maria była tu ostatnim razem. Spojrzała na siostrzenicę wyblakłymi oczami i wyglądało na to, że nawet ją poznała. Potem przeniosła wzrok na młodego lekarza.

- Chcę... rozmawiać... z księdzem... - szepnęła.

- Zaraz go...

- ... Grzegorzem. - Wypowiedzenie ostatniego słowa kosztowało ją tyle wysiłku, że na dłuższą chwilę straciła oddech.

Lekarz spojrzał pytająco na Marię, która wyjaśniła:

- To ksiądz z naszej parafii, stary przyjaciel rodziny. Ochrzczył mnie i uczył do komunii. Właściwie jest już na emeryturze, ale myślę, że przyjedzie, jeśli się go poprosi.

- W porządku, załatwię to. Proszę zostać z ciocią.

Emilia Orawska przymknęła oczy - spała albo straciła przytomność, Maria nie miała pojęcia. Ale przynajmniej starszuszka wciąż oddychała, choć z coraz większym wysiłkiem.

Mijały minuty kapiące powoli niczym płyn z kroplówki. Ciotka od czasu do czasu budziła się i spoglądała na siedzącą przy jej łóżku siostrzenicę. Raz poruszyła ustami, chcąc coś powiedzieć, ale kiedy Maria pochyliła się nad nią, z ust umierającej wydobył się tylko cichy świst, brzmiący trochę jak gwizdanie wiatru w kominie.

Wzięła chudą, poznaczoną niebieskimi żyłami dłoń i pogłaskała ją. Ciotka wciąż patrzyła, jej palce kurczyły się i rozkurczały, drapiąc lekko wewnątrz dłoni Marii, aż wreszcie pod wpływem impulsu kobieta zbliżyła usta do starczego ucha i szepnęła:

- Wiesz, co się wtedy ze mną stało, prawda? Kiedy zniknęłam w lesie. Albo przynajmniej się domyślasz.

Chora mrugnęła powoli, niemal sennie.

Do pokoju wszedł ksiądz, zasuszony staruszek, w którym Maria ledwie poznała przyjaciela ciotki. Musiała wyjść. Czekwała na korytarzu, podczas gdy Emilia Orawska spowiadała się po raz ostatni. Trwało to długo - ani umierająca, ani wiekowy kapłan, sam bliski przejścia na drugą stronę, nie zamierzali się śpieszyć.

Gdy ksiądz wyszedł, Maria znowu została z ciotką sama. Wokół łóżka Emilii rozstawiono biały parawan oddzielający ją od reszty sali, na której leżały dwie inne pacjentki, te wciąż żywe, wciąż mające szansę. Maria widziała ich cienie przesuwane się po płótnie, słyszała niespokojne szepty. Parawan był znakiem: „Tutaj się umiera, proszę nie przeszkadzać”. Zastanawiała się przez chwilę, jak by się czuła, gdyby przyszło jej spać w jednym pokoju z czymś takim. Pewnie nie najlepiej.

O szóstej wieczorem Emilia wciąż żyła, a Maria coraz częściej myślała o szalejącym z głodu Piracie. Sięgnęła do torebki, wyjęła czarny notes i przekartkowała go. Numer był zapisany na ostatniej stronie, tak jak pamiętała.

Zeszła do hallu i znalazła telefon. Chwilę musiała czekać, ale wreszcie w słuchawce rozległ się znajomy głos:

- Mieszkanie Danielewskich. Słucham.
- Alicja?
- Maria! Miło cię słyszeć.
- Dzwonię ze szpitala.
- O rany, coś się stało?
- Ze mną wszystko w porządku, ale moja ciocia jest umierająca.
- Przykro mi. Chcesz, żebym przyjechała i dotrzymała ci towarzystwa?
- Nie, właściwie chciałam prosić o coś innego. Nie wiem, jak długo tu jeszcze zostanę, a w domu mam głodnego kota... Gdybyś przyjechała, dałabym ci klucze i mogłabyś go nakarmić. Jeśli to dla ciebie nie kłopot. Zwrócę ci za taksówkę.
- Wątpię, czy znajdę ją gdzieś o tej porze - zaśmiała się Alicja.
- Ale mogę wziąć samochód Piotrka. On i tak już go nie używa, więc nie będzie miał nic przeciwko.

- Masz prawo jazdy?
- Mam, chociaż dawno nie jeździłam.
- Bądź ostrożna. - Maria poczuła nagle ukłucie w sercu na myśl o śliskich drogach i padającym śniegu.
- Spokojnie, teraz i tak drogi w większości są puste, a jak już ktoś wyjedzie z domu, to wlecze się w tempie ślimaka.
- Nie chcę cię mieć na sumieniu.
- Będę uważać - obiecała Ala.

Zjawiała się kwadrans później, wzięła klucze i pojechała. Maria wróciła do ciotki, a potem, ponieważ stan chorej się nie zmieniał, poszła na kawę. Sprzedawano ją na parterze w małym barze, gdzie można było kupić także oranżady w butelkach z zastępczymi etykietami, zeschnięte kanapki oraz leżące na najwyższej półce bombonierki, najwyraźniej przeznaczone na prezenty dla pacjentów, bo równie drogie, jak ładne.

To była długa noc. Maria czasem siedziała przy łóżku ciotki, a czasem, kiedy staruszka odpływała, szła się czegoś napić albo po prostu kręciła się po korytarzach. Poznała wówczas starszego pana, który czekał na wiadomość o stanie „niedomagającej” żony. Tak właśnie powiedział: „niedomagająca”, a Maria nie dociekała, co konkretnie miało to znaczyć. Mężczyzna nie wydawał się smutny, raczej oszołomiony, jak ktoś, kto zderzył się z samochodem i teraz idzie poboczem nieświadomy, że ciągnie za sobą smugę krwi. Maria od pierwszej chwili poczuła do niego sympatię, może dlatego, że wyglądał na jeszcze bardziej zagubionego niż ona. Podnosiła drobne, które wysypywały mu się z portfela, gdy płacił w barze, pilnowała, żeby nie pił kawy na pusty żołądek, i wysłuchiwała jego nieskładnych opowieści o żonie i dorosłych już dzieciach. Nie miała nawet pojęcia, jak starszy pan się nazywa, ale na tych kilka ciemnych, cichych godzin zostali przyjaciółmi, niczym dwójka rozbitków dryfujących solidarnie po morzu beznadziei.

„Jakim cudem się tu znalazłam?”, zastanawiała się, patrząc o trzeciej nad ranem na własną bladą twarz w łazienkowym lustrze. Nie miała na myśli szpitala, ale punkt życia, w którym utknęła. Odnosiła wrażenie, że zimą kurczy się, jakby resztki

dawnej Marii wyciekały z niej z każdym mroźnym dniem. Myślała o dziecku, którym kiedyś była, niemal jak o kimś obcym. Dziewczynka podobna w pewnym sensie do małej Asi Grabkowskiej, co prawda spokojniejsza, ale też odczytana, z głową pełną planów, ciekawa świata. Gdzie to wszystko się podziało? Maria marzyła o wycieczce do Egiptu i zobaczeniu piramid, chciała nauczyć się francuskiego. Czytała książki popularnonaukowe, chodziła do teatru. Teraz ledwie starczało jej sił, żeby sięgnąć po ambitniejszą lekturę, a myślenie męczyło, jakby każde zdanie musiała wykuwać w kamieniu. Większość energii pochłaniała jej walka z codziennością: wstać, kupić coś do jedzenia, zapłacić rachunek za prąd. Nie szła przez życie, tylko pełzła niczym zagrzebany pod ziemią robak. Czasem nienawidziła za to samej siebie.

Nie pamiętała już nawet, dlaczego właściwie zdecydowała się zostać nauczycielką. Może dlatego, że dla dziewczyny z prowincji, bystrej, ale nie uzdolnionej w żadnym konkretnym kierunku, była to najlepsza możliwa ścieżka kariery? A może chodziło o coś więcej? Niejasno przypominała sobie rojenia o uczniach, wybitnych poetach i pisarzach, którzy podczas odbierania jakiejś ważnej państwowej nagrody dziękują ze łzami w oczach ukochanej pani od polskiego. Naiwna wtedy była, ale nawet ta naiwność wydawała się lepsza niż to, co miała teraz.

Wróciła do ciotki i przesiedziała przy niej następne pół godziny. Emilia Orawska zmarła przed szóstą rano, gdy za oknem było jeszcze ciemno, ale pacjenci już zaczęli się budzić i kręcić pod kołdrami w oczekiwaniu na poranny obchód. Przed śmiercią nie odzyskała przytomności, nie zdradziła żadnej tajemnicy. Nie odpowiedziała na żadne z dręczących Marię pytań, nawet na to, dlaczego ścięła odnalezioną siostrzenicy jej piękne długie włosy.

Przed wyjściem ze szpitala Maria wstąpiła jeszcze na chwilę do baru. Starszego pana tam nie było, tylko przy ladzie leżało parę zgubionych złotych. Podniosła je i włożyła do kieszeni płaszcza. Podzwaniały cicho, kiedy wsiadała do pierwszego porannego autobusu, który miał ją zawieźć do domu.

Adam Bogusz wyjechał z miasta po drugiej. Na przednim siedzeniu położył termos z gorącą kawą i mapę drogową. Wycieraczki pracowały jak szalone, zgarniając z szyby śnieg; samochody na drodze pełzły wolno, z prędkością żuków wybałuszających w białej kurzawie żółte ślepie światła. Z grzejników buchało ciepło o lekko metalicznym zapachu rozgrzanego kurzu. Bogusz zatrzymał się dwa razy na poboczu, by napić się i sprawdzić dalszą trasę. Za Opolem zaczął szukać miejsca, gdzie mógłby zjeść obiad, ale trafiał jedynie na przydrożne bary serwujące pierogi, fasolkę po bretońsku albo bigos. Coraz bardziej głodny jechał dalej, od czasu do czasu ratując się słodką kawą z termosu. Przed Tarnowskimi Górami znalazł wreszcie porządną restaurację, zamówił sznycel cielęcy z jajkiem i popił go coca-colą. Do celu pozostało mu parę kilometrów.

Zofia Wajda mieszkała niedaleko rynku, na trzecim piętrze przedwojennej kamienicy. Bogusz spodziewał się platynowej *femme fatale* jak z amerykańskich filmów, a tymczasem otworzyła mu kobieta, owszem, jasnowłosa i ładna, ale zdecydowanie bardziej w typie biuściastej Helgi. Nosila strój do ćwiczeń, choć Bogusz nie odniósł wrażenia, że przeszkodził jej w gimnastyce.

- Napije się pan kawy, co? - Było to coś pomiędzy pytaniem a stwierdzeniem. - I zje kawałek ciasta.

Podawała mu to wszystko z szerokim uśmiechem zdrowej wiejskiej dziewczyny. Porucznik bez trudu mógł wyobrazić ją sobie roznoszącą piwo podczas Oktoberfest. Kawy miał dość, ale drożdżowiec okazał się naprawdę dobry, niemal jak ten, który robiła jego matka.

- Chce pan porozmawiać o Szczepanie, tak? - Gospodyni zachichotała. - To było tak dawno temu. Jak ten czas leci, co?

- Miała pani z nim romans?

- Nic poważnego. - Zbyła pytanie kokieteryjnym machnięciem.

- Wie pan, jego żona, była żona, to taka melancholijna natura, a

każdy potrzebuje czasem jakiejś odskoczni, nie?

- Porzucił dla pani rodzinę - przypomniał Bogusz.

- Och, no cóż - zamrugła - może biedaczek traktował ten związek poważnie.

- Mam przez to rozumieć, że to pani zerwała znajomość? Dlaczego?

- Dlaczego?

- Właśnie, dlaczego? Jasne, rozumiem, może znudził się pani, ale to jednak mężczyzna z klasą, sama pani przyzna, zamożny i przystojny. W dodatku rozwiódł się dla pani. Kogoś takiego nie rzuca się ot tak sobie.

Kręciła się, jakby siedziała na szpilkach.

- Chyba... chyba po prostu za bardzo do siebie nie pasowaliśmy. To się zdarza, prawda?

- I zorientowała się pani dopiero po jego rozwodzie?

- Nooo...

- Może wtedy wyszły na jaw inne cechy? Okrucieństwo? Bił panią, poniżał?

- Szczepan? - Parsknęła śmiechem. - On by muchy nie skrzywdził.

- Wie pani co? Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zjem jeszcze kawałek tego pysznego ciasta, a pani zastanowi się i powie mi całą prawdę, dobrze?

Milczała przez chwilę, skubiąc w zamyśleniu skórę przy paznokciu, podczas gdy Bogusz delektował się drożdżowcem. Wreszcie westchnęła.

- Właściwie to chyba mogę panu powiedzieć. Bo nie będę miała z tego powodu żadnych nieprzyjemności, co? To już tyle lat...

- Z jakiego powodu?

- No, że skłamałam. W czasie rozprawy rozwodowej, na temat tego romansu. Nigdy nie spałam ze Szczepanem. On mnie poprosił, żebym zeznała, że jestem jego kochanką i zamierzamy się pobrać. Chciał się rozwieść i mówił, że najszybciej pójdzie, jak weźmie winę na siebie i powie, że ma kogoś na boku. Ja się nadawałam, bo byłam wolna.

- Dlaczego chciał się rozwieść?

Wzruszyła ramionami.

- Podobno się bał, że zrobi komuś krzywdę. Mówił, że ma obsesję, hysia takiego, że jak widzi nóż albo coś innego ostrego, to zaraz sobie wyobraża, że to komuś wtyka w oko albo gardło podrzyna. Nie potrafił przestać o tym myśleć. Od małego tak miał, tyle że przez jakiś czas było spokojnie, a potem, jak mu dzieciak podrósł, znowu się nasiliło. Wtedy zdecydował, że lepiej będzie, jak się odetnie od rodziny.

- Uwierzyła mu pani?

- Niespecjalnie, szczerze mówiąc. To złoty człowiek, w pracy nigdy na nikogo głosu nie podniósł, a co dopiero mówić o mordowaniu. Myślałam...

- Tak?

- Przyszło mi do głowy, że może on z tych, co wołają chłopców, i dlatego chciał się rozwieść. Ale po co wymyślał do tego taką idiotyczną historyjkę, to ja nie wiem.

- Jego żona wiedziała?

- Że tak naprawdę nie miał ze mną romansu? - Zmarszczyła brwi. - Chyba nie, bo kiedy ją spotykałam, patrzyła na mnie jakoś tak... strasznie smutno, nawet nie z nienawiścią, ale właśnie smutno. Co za kobieta pozwala w ten sposób odebrać sobie mężczyznę? Gdybym ja kiedyś zobaczyła kochankę swojego faceta, wydrapałabym jej oczy. Żartuję oczywiście. - Zachichotała. - Niech mnie pan nie zakuwa w kajdanki.

- Jarosa wspominał, że jego żona miała problemy psychiczne?

- Natalia? Nie, gdzie tam. No, chyba żeby wziąć pod uwagę te jej skłonności do depresji. Kiedy Szczepan ją rzucił, całkiem się załamała, biedaczka. Wie pan - znowu zachichotała - to w sumie byłoby zabawne, gdyby się okazało, że on jednak tego hysia miał. Dobraliby się z Natalią jak w korcu maku, co? Ona z depresją, on z fiołem. Aż dziw, że dzieciak z tego wyszedł normalny. Bo jest normalny, nie?

- Był. Nie żyje.

- Och. - Została z otwartymi ustami.

- Właśnie w sprawie jego morderstwa tu przyjechałem.

- Nie wiedziałam.

- Nie zapytała pani.

- Szczepan go zadźgał?

- Nie sądzę. Myślałem, że tak, ale teraz mam coraz więcej wątpliwości.

- Aha.

Zostawił ją stojącą w drzwiach ze zmarszczonymi brwiami i skomplikowanym problemem do rozwiązania.

9

Załatwienie formalności po śmierci cioci było łatwiejsze, niż podejrzewała. W gruncie rzeczy zrobienie czegoś prostego i pożytecznego okazało się w pewien sposób uspokajające. Może dlatego, że wreszcie miała prawo być blada, źle wyglądająca i rozkojarzona. Kobieta w urzędzie stanu cywilnego taktownie nie zwracała uwagi na jej drżące ręce, a przedsiębiorca pogrzebowy cierpliwie trzy razy powtórzył pytanie o rodzaj trumny. Panie w sklepie, sąsiedzi - wszyscy zachowywali naznaczony współczuciem i jednocześnie odrobiną zabobonnego lęku dystans, jaki zazwyczaj otacza osobę w żałobie. W tej pustce Maria czuła się zaskakująco bezpiecznie.

W sobotnie popołudnie przejrzała kalendarz ciotki i zastanowiła się, kogo powiadomić o pogrzebie. Znalazła adresy kilku dawnych koleżanek, a także kuzynki mieszkającej w Łebie. Wysłała im telegramy, choć wątpiła, by którakolwiek z tych osób się zjawiała. Emilia Orawska nie miała bliskich krewnych ani przyjaciół. Była za to w Mgielnicy znaną postacią - sporo mieszkańców, zwłaszcza starszych, pamiętało ją z czasów, kiedy prowadziła miejską bibliotekę, Maria podejrzewała więc, że na pogrzebie będzie trochę ludzi. Przez chwilę zastanawiała się nad zdjęciem, tym znalezionym niedawno, na którym ciocia siedziała w ogrodzie i uśmiechała się do kogoś stojącego poza kadrem. Czy Emilia Orawska przyjmowała w domu znajomych, o których istnieniu jej siostrzenica nie miała pojęcia? Cóż, jeśli tak, dowiedzą się o śmierci starszej pani z gazety albo z wywieszonych przed kościołem nekrologów.

Z poczty poszła prosto na parafię, gdzie poprosiła o możliwość

widzenia się z księdzem Grzegorzem. Duchowny przyczłapał, jeszcze mniejszy i bardziej przygarbiony niż Maria zapamiętała z poprzedniego dnia. Przez chwilę wahała się, czy jej prośba ma sens, ostatecznie jednak zdecydowała, że w razie czego staruszek po prostu odmówi.

- Chciałabym, żeby to ksiądz pochował moją ciocię. Ona bardzo księdza lubiła.

Mężczyzna osunął się w głąb skórzanego fotela, trzęsąc siwą głową. Wydawał się kruchy jak jesienny liść, który lada moment spadnie z drzewa.

- Oczywiście jeśli ksiądz nie czuje się na siłach...

- Nie odprawiam już mszy ani pogrzebów. Ale myślę - uśmiechnął się blade - że dla pani Emilii zrobię wyjątek. Opowiedz mi, dziecko, co u ciebie słychać. Wciąż pracujesz w szkole?

- Tak.

- I nadal jesteś samotna?

- Tak.

- Rzadko widuję cię w kościele.

- Czasem bywam na wieczornych mszach. - Nie dodała, że niechodząca do kościoła nauczycielka w miasteczku takim jak Mgielnica szybko zostałaby wzięta na języki.

- To dobrze, wiara pomaga w życiu.

Skinęła głową, nie zamierzając się sprzeczać. Odkąd pamiętała, jej stosunek do Boga był dość skomplikowany.

- Czy moja ciocia... Czy wspominała coś o tym, co mi się przydarzyło, kiedy byłam dzieckiem? Spowiadała się księdzu?

Uśmiechnął się znowu, a w wyblakłych oczach pojawił się błysk, który na chwilę, krótką jak mrugnięcie, odmłodził sędziwego kapłana o dwadzieścia lat.

- Dobrze wiesz, że nawet jeśli tak było, nie mogę niczego powiedzieć.

- Może zwierzyła się księdzu tak zwyczajnie, jak przyjacielowi?

- Próbowала cię chronić, Mario.

- Wiem. Zawsze powtarzała, że to łaska, że nic nie pamiętam. Tak właśnie mówiła, kiedy ją pytałam, czy kiedyś wróci mi pamięć. „Nie myśl o tym, nie próbuj grzebać w przeszłości. Pan

dał ci łaskę zapomnienia”. Jakby samo to, że starałam się cokolwiek sobie przypomnieć, było aktem niewdzięczności wobec Boga. Dlatego w dzieciństwie niemal przez cały czas czułam się winna. Ale to moje życie, prawda? Ciocia nigdy nie ufała milicji, a poza tym wychowała się w świecie, w którym o pewnych rzeczach się nie mówi, bo tak jest dla wszystkich lepiej...

- Myślisz, że teraz mamy inny świat?

- Myślę, że od dawna już nie jestem dzieckiem, i wołałabym, żeby moja zmarła ciocia nie decydowała o tym, co wolno mi pamiętać. Jak mogę poradzić sobie z własnym życiem, skoro nie znam podstawowych faktów?

Patrzyła mu w oczy i przez chwilę zdawało jej się, że staruszek zaczyna mięknąć. Wrażenie jednak szybko minęło, a ksiądz Grzegorz uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Przykro mi, dziecko, nie mogę ci pomóc. Nie w tym przypadku.

- Tak - powiedziała Maria, kierując się w stronę drzwi. - Tego właśnie się spodziewałam.

10

„ Mogłaby być macierzyńskim typem, gdyby sobie na to pozwoliła”, pomyślał porucznik Bogusz na widok kobiety, która adoptowała, a potem oddała małą Blanę. Judyta Korczewska miała pełną figurę, okrągłą twarz i ładne brązowe oczy, wrażenie ciepła psuły jednak włosy ciasno zwinięte w kok, zaciśnięte usta i stalowoszary sweter zapięty pod szyją niczym pancierz.

- Nic nie wiem o tej dziewczynie. Zajmowałam się nią do momentu, kiedy skończyła siedem lat, potem straciłyśmy kontakt - oznajmiła, podczas gdy Beata wystukiwała jej słowa na maszynie.

- Potem oddała ją pani z powrotem do sierocińca.

- Do domu dziecka - poprawiła Korczewska, po czym po chwili wahania niechętnie przyznała mu rację. - Tak, oddałam ją.

- Dlaczego?

- Blanka wymagała znacznie więcej troski, uwagi i dyscypliny, niż mogłam jej dać. Nie radziłam sobie z nią.

- Co złego robiła?

- Kłamała, kradła, biła mniejsze i słabsze dzieci.

- Nic, czego nie można by się spodziewać po pochodzącej z fatalnego środowiska wychowance domu dziecka, prawda?

Usta kobiety zacisnęły się w jeszcze węższą kreskę.

- Widać miałam przesadnie romantyczne wyobrażenie o sierotach.

- Wymarzyła sobie pani Anię z Zielonego Wzgórza, a dostała małego Fagina?

- Jeśli chce pan tak to określić... - Porównanie chyba nie spodobało się pani Korczewskiej.

- Czy może mi pani powiedzieć coś więcej o tej dziewczynce? O jej zainteresowaniach, przyjaciółach, może wrogach?

Większość osób uniosłaby brwi na myśl, że kilkuletnie dziecko mogłoby mieć wrogów. Pani Korczewska jedynie pokręciła głową.

- Nie pamiętam imion jej koleżanek, a zainteresowania miała takie jak wszystkie dziewczynki w jej wieku. Zabawy lalkami, bajki, ładne sukienki. Nic szczególnego.

- Nie bardzo się pani nią zajmowała, nawet kiedy Blanka była pani córką, co?

Nie zareagowała na tę oczywistą prowokację. W ciszy słychać było jedynie stukanie maszyny do pisania.

- Czy mogę już iść? - odezwała się po chwili. - Nie widziałam Blanki od lat i naprawdę nie mogę w niczym pomóc.

- Tak, jest pani wolna.

Gdy za Korczewską zatrzasnęły się drzwi, Bogusz odwrócił się w stronę Beaty.

- Zamknięta jak ostryga - powiedział. - Ale pewnie rzeczywiście niewiele wie.

Beata pokręciła głową.

- Sądzę, że wie. Nie zauważyłeś? Moim zdaniem przede wszystkim bardzo się czegoś boi.

Alicja wpadła w niedzielę, żeby pomóc Marii przejrzeć rzeczy zmarłej. Wyglądała na równie ożywioną i radosną jak zazwyczaj, tylko oczy miała podkrążone, a na lewej dłoni bandaż.

- Drobiazg. - Machnęła ręką w odpowiedzi na pytanie. - Jakies dzieciaki rzuciły nam w okno śnieżką i zbiły szybę. Skaleczyłam się, kiedy zbierałam szkło.

Maria pomyślała o twardej, zmrożonej skorupie zalegającego wszędzie śniegu. Nie dałoby się z niego ulepić śnieżki, ale skoro ona miała swoje tajemnice, Ala również mogła je mieć.

- Jesteś pewna, że chcesz mi pomóc? - zapytała tylko. - Może to odłożymy?

- Dam sobie radę.

Spędziły popołudnie, wywlekając z szaf pachnące kulkami na mole ubrania, a z szuflad poźółkłe papiery. Były tam stare kalendarze z przepisami kulinarnymi, zakurzone numery „Przyjaciółki”, świadectwa szkolne sprzed lat, dyplom ukończenia studiów czy wreszcie pochwała od władz miasta za dwadzieścia pięć lat pracy „na rzecz socjalistycznej ojczyzny”. Ala kładła wszystko na wielką stertę pośrodku pokoju, Maria segregowała: osobno rzeczy, które chciała zatrzymać, osobno te do wyrzucenia, osobno to, co można było komuś oddać.

Około czwartej poszła nastawić wodę na herbatę i przy okazji dała Piratowi jeść. Głaszcząc kota, myślała, jak dom, z którego usuwała rzeczy ciotki, stał się jaśniejszy i bardziej przyjazny, jak od razu łatwiej było w nim oddychać. Miała z tego powodu poczucie winy. Oglądając się przez ramię, odnosiła wrażenie, że wyganiany z mrocznych kątów duch Emilii spogląda na nią z dezaprobatą.

W pokoju rozległ się łomot spadających książek, a potem soczyste przekleństwo.

- Wszystko w porządku?! - zawołała Maria.

- Tak! - odkrzyknęła Ala.

- Zaraz ci pomogę!

Maria schyliła się i raz jeszcze pogłaskała Pirata.

Gdy ciocia znalazła się w szpitalu, jej siostrzenica wpuściła do

domu zapchlonego przybędę, a kiedy wreszcie umarła, zaprosiła obcą kobietę, która klnie jak szewc. Emilia Orawska z pewnością nie byłaby z tego zadowolona, ale też jej zdanie liczyło się coraz mniej, w miarę jak na środku pokoju rosła sterta rzeczy do wyrzucenia, a duch ciotki bladł we wpadających przez okno promieniach zachodzącego słońca.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła Alicja, gdy siedziały przy herbacie i kruchych ciasteczkach. - Trochę ją znałam, ale to było dawno, kiedy chodziłam do podstawówki. Pamiętam, że organizowała różne zajęcia dla dzieciaków, spotkania z autorami czy teatryki. Wydawała się... miła.

- Była miła na swój sposób. - Maria wróciła myślami do kobiety, która przez ćwierć wieku odgrywała rolę podpory lokalnej społeczności.

Wymogła na władzach miasta budowę placu zabaw niedaleko parku, organizowała pomoc dla najbiedniejszych rodzin i półkolonie dla dzieci, które w wakacje nie miały się gdzie podziać. Żadna większa impreza nie mogła odbyć się bez jej udziału. Była prawdziwą społeczniczką, trochę jeszcze w przedwojennym stylu, gdy w eleganckiej garsonce i nieodłącznym kapeluszu pochylała się nad losem maluczkich.

- Na swój sposób?

Maria wzruszyła ramionami.

- Czasem wydawało mi się, że ciotka jest miłsza dla obcych niż dla własnej rodziny. - Roześmiała się. - Jestem okropna, prawda?

- Nieprawda.

- Nie chodzi o to, że się skarżę. Ciotka nigdy nie podniosła na mnie głosu, nie mówiąc o biciu. Tylko... Nie wiem, jak to wyjaśnić... Chyba nie przepadała za dziećmi. Wiem, że to brzmi dziwnie, jeśli weźmie się pod uwagę, ile dla nich zrobiła, ale zawsze miałam takie wrażenie. Potrafiła się nimi zająć przez jakiś czas, zaśpiewać piosenkę czy zorganizować zabawę, ale na dłuższą metę dzieci ją męczyły. A może tylko ja ją męczyłam?

- Daj spokój, załóż się, że wcale nie chodziło o ciebie. Nawiasem mówiąc, co się stało z twoimi rodzicami?

- Matka umarła, kiedy byłam mała, a ojciec ruszył gdzieś w

Polskę. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest, o ile w ogóle żyje.

- Ja mam tylko brata.

- Twoi rodzice zmarli?

Ala skinęła głową.

- Byłam późnym dzieckiem, mama urodziła mnie, kiedy przekroczyła już czterdziestkę. Zanim skończyłam studia, była już mocno schorowana.

- A ojciec?

- Mój? Umarł wkrótce po mamie, na serce. Romantyczna wersja wygląda tak, że nie mógł bez niej żyć, i może coś w tym jest. To mama zawsze podejmowała wszystkie decyzje, tato był łagodnym i roztargnionym człowiekiem, trochę nie z tego świata. Po jej śmierci nie potrafił się odnaleźć.

- Piotrek jest starszy od ciebie?

- Sporo. Kiedy byłam mała, uważałam go za bohatera. Chyba wszystkie młodsze siostry tak mają. - Roześmiała się. - Z początku mnie nie cierpiał i próbował odganiać, kiedy wszędzie za nim chodziłam. Zostałam jego ukochaną małą siostrzyczką, dopiero jak trochę podrosłam i poszłam do szkoły.

- Wygląda na to, że dobrze się dogadujecie. - Maria wyczuła we własnym głosie odrobinę zazdrości.

Ala zamoczyła ciasteczko w herbacie i przeżuła je w zamyśleniu.

- Wiesz - odezwała się po chwili - ludzie mi współczują, bo zajmuję się chorym bratem. Myślą, że jestem jakąś cholerną Florence Nightingale czy kimś w tym rodzaju. Mało komu przychodzi do głowy, że taki układ może odpowiadać obu stronom. Piotrek bywa humorzasty, jasne, pewnie każdy, kto nie wychodzi z domu, tak się czasem zachowuje. Ale na co dzień jest naprawdę uroczy. Wieczorami gramy w szachy, oglądamy telewizję i robimy razem mnóstwo fajnych rzeczy. Poza tym kiedy przychodzę z pracy, zawsze mu o wszystkim opowiadam. O tobie też mówiłam. Piotrek bardzo się tobą zainteresował.

- Naprawdę? - mruknęła Maria. Nie była pewna, czy to jej pochlebia.

- No, w jakimś sensie jesteś tutaj atrakcją; nie obraż się. Poza

tym jesteś miła, a przynajmniej Piotrek uważa, że tak wynika z moich opowieści. Ja nie zaprzeczam. - Ala wyszczerzyła zęby. - Może wpadłabyś kiedyś do nas? Piotrek niechętnie przyjmuje obcych, coś jednak czuję, że dla ciebie zrobi wyjątek.

- Jasne, czemu nie. - Maria obracała w dłoniach szklankę z resztkami herbaty. Zastanawiała się, na ile Ala mówi prawdę, a na ile po prostu próbuje przekonać samą siebie.

Może opieka nad kalekim bratem wcale nie była tak niewdzięcznym zajęciem, jak mogłoby się wydawać? Co Maria mogła o tym wiedzieć?

Może Alicja naprawdę była szczęśliwa?

12

Spotkali się w najlepszej kawiarni w mieście - Adam Bogusz nie pozwoliłby sobie na nic innego. W skromnej granatowej sukience w białe groszki i z włosami spiętymi w kucyk Teresa wyglądała trochę jak uczennica. Urocza i nieco nieśmiała uczennica. Bogusz zamówił dla nich obojga kawę, bo dziewczyna niczego więcej nie chciała.

- Wiadomo coś o Blance? - zapytała, sypiąc do szklanki łyżeczkę cukru.

Porucznik poczuł się odrobinę rozczarowany - w tym momencie wolalby nie rozmawiać o pracy. Jeśli jednak Teresa miała na to ochotę, nie zamierzał zmieniać tematu.

- Przeszukaliśmy okolice stacji i sierocińca... Przepraszam, domu dziecka... I niczego nie znaleźliśmy. Prawdopodobnie dziewczyna jest już daleko. Proszę się nie przejmować, pani Tereso... A może po prostu „Tereso”? Mogę mówić do pani po imieniu?

Skinęła głową w roztargnieniu i zamieszała kawę.

- Blanka to zaradna dziewczyna, ciągle to sobie powtarzam, ale nie potrafię przestać się martwić. Jest zimno. Dokąd poszła? Gdzie śpi?

- Masz dobre serce. - Bogusz zwalczył pokusę, żeby wziąć ją za rękę. Na to było jeszcze za wcześnie.

- Poza tym im dłużej myślę, tym bardziej wydaje mi się, że

Blanka naprawdę się kogoś bała. Nie jakiegoś wymyślonego potwora, ale osoby z krwi i kości. A my wszyscy ją zlekceważyliśmy.

- Dzieciaki wygadują różne głupstwa. Trudno wszystko brać poważnie.

- Ale ja właśnie powinnam takie rzeczy brać poważnie. Moja praca polega na słuchaniu. - Potrząsnęła głową. - Zawiedliśmy to dziecko. Co gorsza, zrobiliśmy to po raz drugi. Wie pan... Wiesz, wczoraj przejrzałam papiery rozwiązania adopcji i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że coś z nimi jest nie tak.

- Nie tak? - W Boguszu obudziła się zawodowa czujność. - W jakim sensie?

- Była tam mowa o rozluźnieniu więzi, wadliwym funkcjonowaniu rodziny i trudnościach wychowawczych. Mnóstwo gładkich zwrotów, a mało konkretów, jakby ktoś usiłował ukryć prawdę. Ale pewnie przesadzam; może po prostu urzędnik był leniwy, więc użył gotowych formulek. To całkiem prawdopodobne, tyle tylko... Sama nie wiem... Po prostu się martwię. I w dodatku sprawa tego chłopca z Wilkowic, którego zamordowano. Jeszcze nie znaleźliście sprawcy, prawda?

- Nie, ale to kwestia czasu.

Teresa odruchowo, z roztargnieniem upiła łyk kawy. Myślami najwyraźniej była zupełnie gdzie indziej. „Jest taka słodka, kiedy coś ją niepokoi”, Bogusz się rozczulił.

- Myślisz, że te sprawy są ze sobą jakoś powiązane?

- Bystra z ciebie osóbką - pochwalił. - Tak, bierzemy pod uwagę taką możliwość, choć za wcześnie jeszcze na wnioski.

- Ale to mogłoby znaczyć, że Blanka... że ona też nie żyje?

- Niekoniecznie. Może zorientowała się zawczasu i związała. Sama mówiłaś, że to zaradna dziewczyna.

Przytaknęła, ale nie wyglądała na przekonaną.

Boguszowi przyszło coś do głowy.

- Właściwie mogłabyś mi w czymś pomóc. Jaki kolor włosów ma Blanka? Na czarno-białym zdjęciu widać tylko, że nie jest blondynką.

Teresa zmarszczyła brwi.

- To szatynka, taka szarawa. Mało uprzejmi ludzie używają

określenia „mysi kolor”. Blanka jest całkiem ładną dziewczyną, ale włosy nie należą do jej największych atutów.

- Możliwe, że z wiekiem jej ściemniały? Ze w dzieciństwie była blondynką?

- Nie wiem, może. Musiałabym zapytać którejs z sióstr. Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Tajemnica śledztwa. - Uśmiechnął się. - A teraz porozmawiajmy o czymś weselszym. Opowiedz mi o sobie.

Teresa jednak okazała się zbyt nieśmiała, ostatecznie więc mówił głównie on: o swojej pracy i perspektywach na awans, o latach w szkole średniej z internatem i dzieciństwie spędzonym na wsi. Te ostatnie wspomnienia trochę podkoloryzował. Opowiadał o sielskich widokach, rzece płynącej niedaleko domu i chłopięcych zabawach, ale pominął smród gnoju, dojenie krowy o świcie czy wreszcie to, jak trudno mu było pozbyć się wiejskiego akcentu, kiedy poszedł do technikum.

- To urocze - uznała Teresa. - Zawsze chciałam mieszkać na wsi. Często odwiedzasz rodziców?

- Moi rodzice nie żyją.

- Przykro mi.

Przyjął jej współczucie z odpowiednio melancholijnym uśmiechem. Jego matka dzwoniła co tydzień na komendę, by zapytać, jak syn się miewa, i opowiedzieć mu najświeższe sąsiedzkie plotki. Porucznik długo usiłował ją tego oduczyć, w końcu jednak poddał się zrezygnowany. Lecz Teresa nie musiała o tym wiedzieć, przynajmniej jeszcze nie teraz. Kobieta bez wykształcenia, która spędziła życie, karmiąc świnie obierkami z kartofli i wybierając jajka spod brudnych kur, nie była odpowiednim towarzystwem dla dziewczyny na poziomie. Bo porucznik był już pewien, że właśnie znalazł swoją drugą połowę. Teresa miała wszystkie cechy jego wymarzonej żony i nie zamierzał wypuścić jej z rąk.

Przez cały ranek Maria miała upiorne *déjà vu*. Najpierw msza w zimnym kościele, gdzie żałobnicy kulili się w ławkach,

pokasływali podczas podniesienia i wycierali nosy, potem droga na cmentarz, powolne wleczenie się za konduktem pogrzebowym i dźwięk dzwonów szybujący nad miastem w czystym mroźnym powietrzu. Wreszcie cmentarz, inny, niezwykle jednak podobny do tego, na którym pochowano Wojtka. Obsypane białym puchem drzewa, kamienne anioły patrzące oczami zasnutymi przez szron. Tylko śniegu było więcej, nie cienka warstwa zalegająca na zmrożonej ziemi, lecz zasy, przez które z trudem przedzierał się karawan. Maria zawsze lubiła śnieg - jego obecność uważała za bodaj jedyną pozytywną stronę zimy, ale taka ilość bieli przerażała nawet ją. To nie było już miasto, które znała, tylko martwy arktyczny krajobraz, jakby wszystko wokół zastygło, schwywane w lodowaty uścisk stycznia.

Ceremonia zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Kwiaty na trumnie, stukot żwiru uderzającego o wieko. Potem tłum żałobników obejmujących Marię, chwytających jej ręce i poklepujących po plecach. Miała rację - przyszło sporo ludzi. Niektórzy obcy, ale część twarzy rozpoznawała z dzieciństwa. Elegancka, już mocno posunięta w latach pani ćwierć wieku temu wpadała do cioci na kawę, a równie wiekowy mężczyzna w szarym płaszczu kilka razy przyjechał po Emilię czarną warszawą. Jak duchy, które nagle wychynęły z przeszłości. Nawet ci, których nie poznawała, naj wyraźniej pamiętali ją.

Maria rozplakała się w pewnym momencie. Nie kochała zmarłej ciotki szczególnie mocno, nawet teraz nie zamierzała się w tym. wzglądzie oszukiwać, ale tęskniła za nią i za dniami, które razem spędziły. Niedzielne poranki, kiedy Emilia siedziała w ulubionym fotelu, rozwiązując krzyżówki i słuchając radia, a mała Marysia bawiła się lalkami, popołudniowe wyprawy do kościoła i na lody. Ciepłe wspomnienia z dzieciństwa, gdy miała przed sobą całą przyszłość. Oplakiwała teraz tamte czasy i dziewczynkę, którą niegdyś była.

Ktoś dyskretnie podsunął jej chusteczkę. Maria wytarła oczy i podziękowała skinieniem głowy. Alicja jako ostatnia złożyła jej kondolencje, a potem objęła serdecznie. Większość żałobników zmierzała już w stronę bramy cmentarza.

- Chodź, pójdziemy napić się czegoś ciepłego - zaproponowała Alicja.

Maria uznała, że to niezły pomysł. Oficjalnej stypy postanowiła nie urządzać, bo zaproszeni i tak wykręciliby się domowymi obowiązkami czy pozostawionymi bez opieki dziećmi. Pogrzeb był dla wszystkich, stypa tylko dla rodziny i bliskich przyjaciół, a tych Emilia nie miała. Zmarłej jednak należało się choć tyle, żeby przez pół godziny powspominać ją przy herbacie, nawet jeśli jedną ze wspominających miałyby być dziewczyna, która ledwie starszą panią znała.

Po drodze przyłączyły się do nich dwie starsuszki. Alicja jak zwykle przejęła inicjatywę i zaprowadziła grupkę do Bajki. Maria zamówiła kawę, pozostałe panie herbatę. Przez jakiś czas rozmowa toczyła się wokół zmarłej, a potem - Maria nawet nie zorientowała się kiedy - zeszła na temat morderstwa Pawła Kurzei. Właściwie mogła się tego spodziewać, to była najgorętsza wiadomość ostatniego tygodnia.

- Mają już podejrzanego - powiedziała jedna ze starszych pań.
- To ojciec chłopaka, ten prawdziwy, nie ojczym, z którym mieszkał. Zrobił to, żeby odegrać się na żonie, która zabrała mu syna i z kochankiem uciekła. Co za diabelska podłość to musi być, droga pani, żeby dziecko za grzechy matki karać.

- Ja słyszałam, że ojca Pawła mają wypuścić - zaprotestowała druga. - Podobno znaleźli dowody, że jednak jest niewinny. To musiał jakiś zboczeniec zrobić. Pani Kazia z drogerii mówiła mi, że milicja aresztowała paru takich... odmieńców, co do wszystkiego są zdolni.

- W takim razie może się okazać, że to ten sam zabójca, który porwał tę dziewczynkę - oznajmiła beztróska Ala.

Maria aż się skuliła na krześle, za to starsuszki nadstawiły uszu.

- Z domu dziecka zniknęła dziewczynka - wyjaśniła usługnie Alicja. - Może sama uciekła, a może ktoś ją zabrał. Milicja pytała, czy przy klasztorze nie kręcił się ktoś obcy, więc pewnie zakładają, że to drugie. Jeśli tak, mała pewnie jest już martwa i zakopana gdzieś pod śniegiem. Może ją też morderca tłukł po głowie, aż mózg jej wyciekł z czaszki? Albo dusił, aż zsiniała i opuchnięty język na wierzch wyszedł?

Jedna pani zrobiła się lekko zielona, druga wyglądała na zniesmaczoną, oburzoną i zafascynowaną jednocześnie.

- Przesadziłam, wiem - powiedziała skruszona Ala kwadrans później, kiedy odprowadzała Marię na przystanek. - Ale nie znoszę takich starych plotkar.

- Naprawdę milicja pytała o obcych kręcących się przy klasztorze?

- Tak słyszałam.

- Wiesz coś jeszcze?

- Na przykład co?

- Ta zaginiona dziewczynka była blondynką? Ktoś nazywał ją Jasną?

Ala roześmiała się.

- Nie mam pojęcia. Wiesz, Mario, zaczynam dochodzić do wniosku, że masz znacznie więcej tajemnic, niż mi się wydawało. Podzielisz się nimi ze mną? Kiedyś?

- Kiedyś - obiecała Maria, wsiadając do autobusu. Gdy odjeżdżała, przez tylną szybę widziała sceptyczną twarz Alicji.

Wysiadła dwa przystanki wcześniej, przy klasztorze Franciszkanek. Coś, czego nie potrafiła określić, ciągnęło ją pod tę ciężką żelazną bramę osadzoną w murze z czerwonej cegły. Stała przed nią. Powoli zapadał zmierzch i w budynku paliły się już światła - Maria widziała dziecięce sylwetki przesuwające się w jasno oświetlonych oknach, ale była za daleko, żeby dobrze się im przyjrzeć. Zresztą i tak nikogo tu nie znała.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała z czołem opartym o zimny metal. Mróz wślizgiwał się pod cienki płaszcz, stopy zmieniały w dwie grudy lodu. Ciemność coraz bardziej rozmazywała kontury stojącego przed nią budynku: wieżę kaplicy, spadzisty dach i dobudówkę, aż wreszcie zostały tylko okna płonące w mroku ciepłą żółcią.

Drgnęła, gdy dostrzegła pękatą sylwetkę idącą w stronę bramy. Kobieta - bo musiała to być kobieta - nosiła długą suknię, a może po prostu habit? „Zdecydowanie habit”, uznała Maria, gdy zakonnica stanęła po drugiej stronie bramy.

- Niech będzie pochwalony - przywitała się.
- Na wieki wieków - odparła odruchowo Maria.
- Możemy w czymś pomóc? - W głosie siostry brzmiała zupełnie niechrześcijańska podejrzliwość.
- Nie, nie wydaje mi się. - Maria zawahała się. Dlaczego właściwie tu stała? Teraz to wydawało się jeszcze bardziej bezsensowne. Choć skoro już przysłała... - Ta dziewczynka, która zniknęła... Mogłaby mi siostra powiedzieć, czy ona ma jasne włosy?

Niemal namacalnie wyczuwała u zakonnicy narastającą dezaprobatę.

- Myślę, że powinna pani już iść.
- A może z innego powodu dzieci nazywają ją Jasną?
- Jeśli pani nie odejdzie, zadzwonię po milicję.
- To proste pytanie. Obiecuję, że jeśli siostra odpowie, zaraz sobie pójdę.

Zakonnica przez chwilę rozważała wszystkie za i przeciw. Rachunek widać wypadł na korzyść Marii.

- Dziewczynka ma ciemne włosy i z tego, co mi wiadomo, nikt nigdy nie nazywał jej inaczej niż Blanka.
- Dziękuję. Z Bogiem.
- Z Bogiem. - Głos siostry był suchy, bez odrobiny ciepła.

Odchodząc, Maria wciąż czuła na plecach jej podejrzliwy wzrok.

Przeszła pieszo dwa przystanki i kiedy dotarła do domu, była już porządnie zmęczona. Nakarmiła Pirata, zmieniła mu piasek w pudełku po butach, które służyło za kuwetę, a potem zrobiła sobie szybki obiad. Jadła przy oknie, podczas gdy kot ocierał się o jej łydki. W którymś momencie zwierzę wskoczyło na parapet i zapatrzyło się w ciemność, tam, gdzie za dnia byłoby widać las. Maria wyczuwała go w mroku. Kiedy po raz ostatni odważyła się wejść sama między drzewa? W liceum? W szkole podstawowej? Pamiętała wyprawy na grzyby i palenie ognisk na polanie, ale zawsze wtedy była z kimś. Zawsze też wybierała najszersze, najbezpieczniejsze ścieżki i nigdy nie zapuszczała się w głąb lasu. Jak Czerwony Kapturek, który zmyślał po spotkaniu wilka.

Kogo spotkała Maria?

Blanka zniknęła z domu dziecka tej nocy, gdy zaczęły się śnieżyce. Porywacz mógł odjechać z nią pociągiem, ale wtedy milicja by się o tym dowiedziała. Chyba że miał inny środek transportu, na przykład ukryty gdzieś samochód. Albo wcale mu nie zależało, żeby dokądkolwiek Blankę zabrać, może chciał ją po prostu zabić. W takim przypadku Ala miałyby rację - ciało dziewczynki leżało gdzieś pod śniegiem, na polu albo w lesie. Maria z jakiegoś powodu sądziła, że właśnie w lesie.

Spała niespokojnie, śniąc o martwym dziecku. Sztywne od szronu rzęsy, oczy, z których śmierć wysłała cały błękit. Dziewczęce ciało tak białe, że zdaje się wtapiać w śnieg, krew zastygła w żyłach, włosy w kolorze starego lodu. A nad tym wszystkim strzeliste czarne sosny.

Gdy się obudziła się, wciąż było ciemno. Miała wrażenie, że mrok usiadł jej na piersi, że gniecie ją i dusi. Oddychała z trudem, wciągając w płuca zgęstniałe nagle powietrze. Wstała, na chwiejnych nogach podeszła do drzwi i zapaliła światło. Blask lampy wydawał się blady, w kątach wciąż zalegały cienie, za oknem noc była czarna i nieprzenikniona, jakby ktoś narzucił na świat koc. Maria zwinęła się w fotelu i czekała na świt niczym na wybawienie, starając się oddychać spokojnie, podczas gdy kolejne fale lęku targwały jej ciałem i pozbawiały tchu. Mokra od potu koszula nocna lepiała się do pleców, wilgotne włosy spadały na oczy. Gdy jeszcze mieszkała w Warszawie, miała zwyczaj wieczorami wypijać pół butelki wina, żeby zasnąć, i budziła się wtedy nad ranem z kołoczącym sercem i suchością w ustach. W Mgielnicy nie miała śmiałości kupować alkoholu, bo wszyscy zaraz by się o tym dowiedzieli. Nocny lęk jednak powrócił, silniejszy niż kiedykolwiek.

Ciemność za oknem jaśniała, jakby ktoś wlewał mleko do kawy, i Maria zaczęła oddychać nieco swobodniej. Kiedy było już na tyle widno, że mogła zgasić światło, ubrała się, podrzuciła Piratowi na miskę trochę ryby i wyszła z domu.

Blade słońce wisiało nisko nad horyzontem, na wschodzie ółowianoszare niebo przecinały pasma różu. Była to jedyna plama koloru w świecie przypominającym czarno- -białą

fotografię. Biel śniegu, czerń lasu. Maria ruszyła w stronę drzew. Jej stopy zapadały się, gdy szła przez pole, syпки, zmrożony puch z wierzchu pokryty był zlodowaciałą skorupą, która łatwo pękała pod butami. Kiedy weszła między sosny, za gardło znowu złapał ją strach. Musiała przystanąć, poczekać, aż oddech jej się uspokoi, a kolana przestaną drżeć. Wiedziała przecież, że prędzej czy później tu wróci. Las wydawał się obcy, a jednocześnie znajomy, jak coś zapamiętanego ze snu. Przez jakiś czas jeszcze rozpoznawała okolicę - tu chodziła na grzyby, tędy szło się do paśnika. Potem porzuciła znane ścieżki i zapuściła się na obcy teren - od dawna już dorosły Czerwony Kapturek, który odnalazł się kiedyś, a teraz znowu zagubił. Czy jej życie od początku nie zmierzało właśnie do tego? Może to, że jako dziecko wyszła z lasu, zawsze było pomyłką? Może te trzydzieści lat darowano jej przez przypadek?

Usiadła na zwałonym pniu, żeby chwilę odpocząć. Która mogła być godzina? Straciła rachubę czasu, ale sądząc po słońcu, musiała zbliżać się dziewiąta, może nawet dziesiąta. Maria rozbiła lód na zamrożonym strumieniu i napiła się wody tak zimnej, że raniła gardło. Potem ruszyła dalej, pozwalając, żeby prowadziła ją intuicja, wspomnienia zagrzebane tak głęboko, że nawet nie wiedziała, iż wciąż je ma. Była jak człowiek, który zapomniał numeru telefonu, ale wciąż odruchowo potrafi go wykręcić, jeśli tylko podsunie mu się tarczę i jeśli nie będzie myślał nad tym, co właściwie robi. Nogi miała przemoczone i przemarznęte, pod płaszczem dla odmiany zgrzała się i spociła. Wokół panowała cisza, czasem tylko nad głową przemknęła wiewiórka albo coś zaszeleściło w krzewach. Widziała na śniegu tropy zwierząt, a raz dostrzegła grupę saren, które czmychnęły na jej widok.

Dochodziło południe, kiedy wreszcie znalazła zagubioną pośród lasów polankę przykrytą śniegiem jak białym obrusem. Obrus ten wybrzuszał się tylko w dwóch miejscach - tam, gdzie czworokątny zarys ujawniał przysypane ruiny szałas, i nieco dalej, gdzie wznosił się niewielki kopczyk. Maria klękła przy nim i kalecząc palce o twardą skorupę, zaczęła rozgrzebywać śnieg. Nie trwało to długo, ciało zakopane było płytko.

Bezkrwista dziewczęca dłoń, rozdarty rękaw swetra, włosy.
Kopała dalej, szukając twarzy. Znalazła ją wreszcie, palce trafiły
na zimny policzek, oszronione rzęsy, wyblakłe martwe oczy.
Maria zaczęła krzyczeć.

Część IV: Asia

Październik 1955 roku

Chłopiec patrzył, jak mężczyzna z koszykiem pełnym grzybów zabiera dziewczynkę. Schował się w krzakach tak blisko, że gdyby któraś z tamtych dwojga spojrzało w jego stronę, może nawet by go dostrzegło. Było to jednak mało prawdopodobne - po pierwsze, tamci raczej nie zamierzali się rozglądać, a po drugie, chłopiec miał wprawę w ukrywaniu się i jeśli nie chciał być widziany, to nikt go nie widział. „Jak duch albo leśne zwierzę”, mawiał jego ojciec.

Na myśl o tacie zagryzł wargę i poruszył się lekko. Liście zaszeleściły, chłopiec znowu zamarł. Mężczyzna z koszykiem i dziewczynka w zakrwawionej sukience kierowali się w stronę miasta. On trzymał ją za rękę, ona pozwalała się prowadzić. Szła trochę sztywno, niezgrabnie, niczym ożywiona lalka. Chłopiec miał ochotę pobiec i ich zatrzymać. Dziewczynka należała do niego i patrzenie, jak ciągnie ją za sobą jakiś głupi wieśniak, bolało tak bardzo, jakby ktoś wyrwał mu serce. Przygryzł wargę jeszcze mocniej, tłumiąc narastający w gardle płacz. Był za duży, żeby beczeć jak dzieciak, właściwie w wieku dwunastu lat uważał się za prawie dorosłego. Wystarczająco dorosłego, żeby wiedzieć, że czasem trzeba pozwolić odejść komuś, kogo się kocha.

Zrobił dla niej wszystko, co tylko mógł. Przynosił jedzenie i picie, okrywał kocem, żeby nie zmarzła, chciał się z nią bawić w jej ulubione zabawy. Ale ona siedziała w milczeniu i tylko patrzyła wielkimi, przerażonymi oczami. Nie pozwalała nawet się umyć, choć cała była brudna. Chłopiec wołałby, żeby płakała - to mógłby zrozumieć, małe dzieci często darły się jak syreny

strażackie, a potem cichły i wszystko było dobrze. Jednak od tamtej chwili dziewczynka nie odezwała się ani słowem i chłopiec wreszcie pojął, że nie zdoła jej pomóc. Może ktoś w mieście będzie wiedział, jak ją wyleczyć? Ojciec by się z nim nie zgodził - nigdy nie ufał obcym - ale z oczywistych powodów nie miał wiele do powiedzenia.

Kiedy mężczyzna i dziewczynka zniknęli za drzewami, chłopiec poczuł, że coś w nim pęka. Rzucił się na wilgotną ziemię i rozplakał. Nie dbał już, czy to dziecinne, czy nie. Szlochając, bił rękami w ściółkę, wydierał z podłoża mech i opadłe jesienne liście. Trwało to długo, wreszcie jednak uspokoił się, usiadł, spazmatycznie łapiąc powietrze, i wysmarkał nos. Głupio mu było teraz z powodu tego wybuchu. Ojciec też by się wstydził, gdyby zobaczył, co wyprawia jego syn. Na szczęście nikt chłopca nie widział.

Przetarł twarz brudnymi rękami. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz porządnie się umył - chyba latem, potem zrobiło się za zimno na kąpiele w potoku. Co z tego? I tak pachniał ładniej niż dziewczynka.

Tęsknił za nią i chciał, żeby wróciła - nawet jeśli miałyby wciąż być brudna, nawet gdyby milczała i tylko na niego patrzyła. Żałował, że pozwolił jej odejść. Może się mylił, może zdołałby ją jakoś wyleczyć?

Ruszył wolno w stronę szałas, po drodze zbierając grzyby i sprawdzając pułapki, które zastawił wczoraj. Większość była pusta, tylko w jednej szamotał się niemrawo mocno już osłabiony zając. Chłopiec z wprawą skrzył mu kark. Będzie na obiad i od razu na kolację. Gdy dotarł na polanę, rozpalil ogień, a potem wypatroszył martwego szaraka. Obdarte ze skóry mięso nabił na patyk i powiesił nad ogniskiem. Wkrótce nad polaną rozszedł się smakowity zapach, tłuszcz skapywał z czerniejącej powoli tuszki, płomienie posykiwały. Dawniej chłopiec bardzo lubił chwile, kiedy czekali, aż jedzenie będzie gotowe, ale teraz nawet nie czuł głodu. Robił to, co zawsze, trochę odruchowo, a trochę z nudów, i tak przecież nie miał innego zajęcia.

Przyniósł w menażce wody z potoku i pokroił do niej pod-

grzybki. Gotowane nie będą dobrze smakowały - mama zawsze smażyła je na maśle - ale lepsze takie niż surowe, bo od nich bolał brzuch. Ojciec dużo go nauczył: co można jeść, a czego nie można, jak chwycić w samodzielnie zrobione sidła małe leśne zwierzęta, jak zabijać je tak, żeby nie cierpiały, a potem zdierać z nich skórę. Chłopiec był mu wdzięczny, ale czasem, zwłaszcza przed zaśnieciem, tęsknił za dawnym życiem. Za chlebem z dżemem, który przygotowywała mu mama, mlekiem „prosto od krowy”, ciągutkami ze sklepu... Gdyby je miał, może udałoby mu się rozweselić dziewczynkę. Wszystkie dzieci uwielbiają cukierki.

Może ojciec się mylił, może miasto wcale nie było takie złe?

Chłopiec siedział skulony przy ognisku, od czasu do czasu dorzucając gałęzi. Robiło się chłodno, poszedł więc do szałasu po koc. Owinięty nim, zsunął zająca z patyka na drewniany talerz, poczekał, aż trochę ostygnie, a potem zjadł połowę. Szkoda, że skończyła się sól. I ziemniaki, które mógłby upiec w popiele. Na samą myśl zaburzało mu w brzuchu. Może znów wybrałby się na skraj lasu i ukradł z pola parę kartofli? O ile jeszcze gdzieś były - nie bardzo wiedział, jaki jest miesiąc. Wrzesień czy październik? Chyba raczej październik, czyli z ziemniaków nici. Za to powinien martwić się nadciągającą zimą. Już teraz noce bywały tak chłodne, że dygotał skulony pod dwoma kocami. A co zrobi, jak spadnie śnieg? Mógłby uszczelnić szałas mchem i wybić w dachu dziurę, żeby służyła za komin. Traperzy, o których czytał, potrafili przeżyć w takich warunkach, więc dlaczego jemu miałyby się nie udać? Przez chwilę czuł podniecenie. Wyobraził sobie, że dziewczynka wraca do niego - bo przecież znała drogę - a on opiekuje się nią jak dorosły. Zastawiałby sidła i chwycił w nie zwierzęta, wygrzebywałby spod śniegu jadalne korzonki i rozbijał lód na strumieniu, żeby nabrać wody. Ojciec patrzyłby na to wszystko i byłby z syna dumny.

Mijały jednak godziny, powoli zapadał zmierzch, a miłe ciepło zjedzonego zająca przestało ogrzewać ciało. Chłopiec czuł się coraz bardziej samotny i znowu zbierało mu się na płacz. Nie myślał już o tym, żeby być jak dzielny traper, tylko o długich

godzinach, kiedy siedziałby skulony przy niskim ogniu, podczas gdy na zewnątrz szalał wiatr miota płatkami śniegu. Dwie osoby mogłyby wtedy opowiadać sobie różne historie i śmiać się z potworów zaczajonych w ciemności. Ale co, jeśli dziewczynka nie przyjdzie i chłopiec zostanie całkiem, zupełnie sam? Wcale mu się to nie podobało.

Może powinien wrócić do rodziny?

Rozejrzał się niespokojnie, jakby ojciec chował się gdzieś za drzewem i mógł odgadnąć, co synowi chodzi po głowie. Chłopiec starał się o tym nie myśleć, naprawdę próbował, ale natrętne słowa wciąż tkwiły w zakamarkach świadomości.

Wrócić do rodziny.

Tyle że przecież nie miał już rodziny. Nie tak naprawdę. Jego matka wzięła sobie nowego męża i urodziła nowe dziecko. To też wcale mu się nie spodobało.

Zrobiło się całkiem ciemno, kiedy zjadł resztkę zimnego zajęcia i popił wodą ze strumienia. Słyszał szelesty i widział połyskujące w mroku oczy, kiedy lisy przekradały się pod obozowisko. Ostatnio stały się zdecydowanie śmielsze, a chłopiec doskonale wiedział, co je tu przyciąga.

Wziął kilka kamieni, które trzymał na takie okazje, i rzucił. Musiał czystym przypadkiem trafić, bo w ciemność ci rozległ się urywany skowyt; zwierzę zaszamotało się w krzakach i umknęło z powrotem w las.

Chłopiec zgasił ognisko i zwinął się na pryczy w szałasie. Było mu teraz ciepłej, bo mógł wziąć koce, którymi okrywał dziewczynkę, ale wołałby dziesięć razy, żeby obok była sama dziewczynka. Zasypiał ze świadomością, że jutro czeka go bardzo długi samotny dzień, a potem kolejna, jeszcze dłuższa i bardziej samotna noc.

Luty 1985 roku

1

- Kurwa mać - powiedział z uczuciem sierżant Krupa. - Żeby to wszystko chuj strzelił.

Adam Bogusz zgodził się z nim w milczeniu.

Ciało wciąż było częściowo zakopane, z zasy wystawały jedynie dłoń, kawałek ramienia w rozdartym swetrze i twarz biała jak mąka, bezkrwista twarz trzynasto- czternastoletniej dziewczynki. Doktor Trębicki nałożył rękawiczki, pochylił się i kilkoma ruchami odkopał całą głowę. Dziecko miało długie jasne włosy, teraz zlepione zamarznąłą brunatnoczerwoną mazią i częściowo wgniecione w czaszkę, która w dotyku przypominała skorupkę stłuczonego jajka. Rozległ się dźwięk zwalnianej migawki aparatu.

- Zginęła tutaj? - zapytał Bogusz.

- Nie sędzę. Za mało krwi.

- Przyniósł ją? - Krupa spojrzął nad ramieniem Bogusza. - To spory kawałek...

- Zależy, od której strony się idzie - odparł porucznik. - Na północ stąd jest droga. Gdyby tam stanąć gdzieś na poboczu, a potem wejść w las, dałoby się tu chyba dotrzeć w jakieś dwadzieścia-dwadzieścia pięć minut.

- I mówi mi pan to teraz, kiedy przez półtorej godziny przedzierałem się przez ten cholerny śnieg? - oburzył się lekarz.

- Od północy to ja bym tu nie trafił. Niech się pan cieszy, że nie szedł pan jak my za pierwszym razem, po śladach tej kobiety. Ona krążyła po tym cholernym lesie jak zagubiona we mgle sarna.

- Dwadzieścia minut to i tak kawałek do przejścia. - Krupa nadal był pełen wątpliwości. - Zwłaszcza jeśli idzie się po kolana w śniegu i niesie na rękach zwłoki.

- Ona jest bardzo drobna - mruknął Bogusz na widok całkiem już odsłoniętej dziewczynki. - Założę się, że waży nie więcej niż czterdzieści kilo... Ale w sumie racja, facet równie dobrze mógł zakopać ciało gdzieś bliżej. Po co wchodził tak głęboko w las?

- Może się bał, że bliżej drogi ktoś się na nie przypadkiem natknie? - zasugerował Krupa, a porucznik przez moment zastanawiał się, czy nie wyczuwa aby od podwładnego woni wczorajszego alkoholu. Jednak sierżant pracował bez zarzutu, więc postanowił odpuścić.

- W przypadku Pawła w ogóle nie kłopotał się ukrywaniem

zwłok. Bo to ten sam morderca, prawda? - porucznik zwrócił się do Trębickiego.

Technik oznaczył już wszystkie ślady, fotograf skończył pstrykać. Z boku stało dwóch najniższych stopniem funkcjonariuszy, którzy mieli przenieść zapakowane w czarny worek zwłoki.

Lekarz mruknął coś o tym, że bez dokładnych badań nie może niczego powiedzieć.

- Nie jesteśmy w sądzie. - Bogusz zirytował się. - Poza tym sam widzę, że dziewczyna została zamordowana w ten sam sposób co chłopak.

- Skoro pan widzi, to po co pan pyta? - Lekarz spojrzał na porucznika i trochę zmiękł. - Dobra, niech będzie. Nieoficjalnie mogę powiedzieć, że moim zdaniem to ten sam facet. Rany są podobne, wiek ofiary też by się zgadzał. Teraz wy się nią zajmijcie, ja muszę zapalić. Chyba nigdy nie uda mi się rzucić, nie w takich warunkach.

Bogusz patrzył, jak funkcjonariusze pakują ciało dziewczynki i zacierają w stronę drzew. Gdy przedzierali się przez śnieg, worek kołysał się między nimi jak dziwaczny czarny hamak. Porucznik też miał ochotę zapalić, na razie jednak się wstrzymał. Technik wkładał sprzęt do skrzynki, doktor ćmił z boku śmierdzącego papierosa. Minę miał nieprzeniknioną i wydawał się zainteresowany głównie zielenią ośnieżonych sosen. Na polanie, gdzie jeszcze przed chwilą panował rozgardiasz, nagle zapadła cisza, jakby natura upomniała się o swoje i w ciągu paru minut przywróciła właściwy stan. Idąc tutaj, Bogusz uważał Marię Lenarczyk za wariatkę i prawie mógłby się założyć, że żadnych zwłok nie znajdzie, a teraz z trudem wierzył, że ciało kiedykolwiek tu było.

Zaczął padać śnieg. Miękkie, wirujące płatki spadały z nieba, zasypując ślady Marii Lenarczyk i milicyjnej ekipy. Za kwadrans nikt by już nie odgadł, że po polanie kręcił się jakikolwiek człowiek. Zagubione w lesie miejsce znów będzie białe i nieskalane, a droga do niego zniknie pod warstwą świeżego puchu.

Prawdopodobnie ten sam facet. Jeśli to się potwierdzi - a

Bogusz był pewien, że tak - trzeba będzie zwolnić z aresztu Szczepana Jarosę i przyjąć nową linię śledztwa. Taką, która zakładała, że w Mgielnicy grasuje morderca brutalnie zabijający nastolatki.

Kurwa mać, jak powiedział sierżant Krupa.

Porucznik sięgnął wreszcie po papierosa i zapalił. Ręce lekko mu drżały - trochę ze strachu, trochę z podniecenia. Nie wątpił, że sobie poradzi, ale pytanie brzmiało, czy będzie miał na to wystarczająco dużo czasu. Dwa zabójstwa to poważna sprawa, a jeśli dojdą następne, ani się obejrzy, jak przyślą tu z Wrocławia jakąś szychę i odbiorą mu śledztwo. Do tego nie mógł dopuścić.

Zaciągnął się po raz ostatni i wrzucił niedopałek w śnieg. Dość przyjemności, pora się skoncentrować i odpowiedzieć na parę pytań. Pierwsze zdążył już zadać Krupa: dlaczego morderca przeniósł zwłoki? Pawła zostawił tam, gdzie go zabił. Bo miejsce zamordowania chłopca nie wskazywało na nic - do kamieniołomu każdy mógł zejść, podczas gdy miejsce, gdzie zginęła dziewczynka, wskazywało... właśnie, na co? Na mordercę? Czy tym razem zabójca okazał się nieostrożny i zabił w pobliżu swojego domu albo swojej pracy? A jeśli tak, jeśli musiał przenieść zwłoki, dlaczego zaniósł je tak daleko?

Może dlatego, że to miejsce z jakichś powodów miało dla niego szczególne znaczenie, tak jak miało je niewątpliwie dla Marii Lenarczyk?

2

- Dziękuję - wyszeptała Maria, gdy miła młoda miłośniczka Beata jakaś tam podsunęła jej kolejną szklankę gorącej herbaty z dużą ilością cukru.

- Niech pani zje chociaż drożdżówkę. Przez cały dzień nie miała pani nic w ustach.

Skinęła głową jak posłuszne dziecko, oderwała kawałek słodkiej bułki i wsunęła między zęby. Przeżuwała z trudem, zmuszając się do każdego poruszenia szczękami, ale kiedy wreszcie przełknęła, rzeczywiście poczuła się odrobinę lepiej.

Nie miała już tego upiornego wrażenia, że zaraz zemdleje, a ściśnięty w supeł żołądek nieco się rozluźnił.

- Dziękuję.

- Mogła pani zamarznąć w tym lesie, pani Mario. Tak nie można. - Milicjantka pokręciła głową.

- Wiem.

- Przynieść pani jeszcze jeden koc?

- Nie, dziękuję.

Maria dotarła na komendę przemoczona i przemarznięta, ale od tego czasu zdążyła wysuszyć przy kaloryferze ubranie, a także trochę się rozgrzać. Przesłuchano ją po raz pierwszy już wtedy, na samym początku, gdy ledwie potrafiła sklecić rozsądnie brzmiące zdanie, po czym zapytano, czy wróci do lasu i pokaże miejsce, gdzie znalazła zwłoki. Maria wpadła w histerię, na szczęście jednak porucznik nie nalegał i pełen dezaprobaty oznajmił jedynie, że w takim razie powinna „pozostać do dyspozycji Milicji Obywatelskiej” i nigdzie się nie oddalać. Siedziała więc przez kilka godzin w pokoju przesłuchań, na przemian częstowana herbatą i traktowana jak stary mebel w zależności od tego, czy ktoś akurat sobie o niej przypomniał, czy nie. Za oknem zdążył zapaść zmrok, kiedy porucznik Bogusz wreszcie wrócił. Jego mina nie wróżyła niczego dobrego.

- Możemy zaczynać? - zapytał, patrząc niecierpliwie na Beatę, która poprawiła jeszcze koc na ramionach przesłuchiwaney, po czym skinęła głową i siadła przy maszynie.

- Czy to długo potrwa? - zapytała Maria. - Powinam wracać do domu.

- Niedługo - zapewnił Bogusz.

- Odpowiadałam już na pytania.

- Musi pani odpowiedzieć jeszcze raz, przykro mi. Takie są procedury. Zaczniemy od początku, czyli od imienia, nazwiska i wieku.

- Maria Lenarczyk, lat trzydzieści sześć. Pracuję jako nauczycielka języka polskiego w Szkole Podstawowej imienia Róży Luksemburg. Mieszkam przy ulicy Porcelanowej 41.

- Dziś rano wyszła pani z domu, zgadza się?
- Tak.
- O której dokładnie?
- Nie wiem, nie jestem pewna... Chyba po ósmej.
- I skierowała się pani w stronę lasu?
- Tak.
- Dlaczego?

Milczała. Beata patrzyła wyczekująco z dłońmi zawieszonymi nad maszyną do pisania. Na twarzy porucznika... Co właściwie widziała Maria na tej twarzy? Pogardę? Niechęć? Zadowolenie ze schwywania przestępcy? „Bo on mnie podejrzewa - uświadomiła sobie. - Nawet jeśli nie sądzi, że zabiłam, z pewnością jest przekonany, że miałam z tym coś wspólnego. Trudno, żeby było inaczej, prawda?”

Zacisnęła dłonie na krawędzi stołu tak mocno, że zaboląły ją palce. Ból uspokajał, przywracając poczucie realności.

- Ja... Wczoraj rozmawiałam o tej zaginionej dziewczynce z domu dziecka, a potem... chyba o niej śniłam. Że leży zakopana pod śniegiem w lesie. Chciałam... chciałam ją odnaleźć.

- A więc poszła pani do lasu, spodziewając się tam znaleźć zwłoki zaginionej Blanki Janik?

- Tak, chyba tak się ta dziewczynka nazywa.

- I zupełnie przypadkiem trafiła pani na miejsce, gdzie rzeczywiście zostało pochowane ciało? Nie sądzi pani, że to odrobinę dziwne? Jest pani jasnowidzem? To właśnie chce nam pani powiedzieć? Potrafi pani wyśnić miejsce, gdzie znajduje się trup?

- Nie, niczego takiego nie sugerowałam. Widzi pan... - Rzuciła przelotne spojrzenie w stronę Beaty, która uśmiechnęła się pokrępiąco. Trwało to krótko, ledwie ułamek sekundy, młoda milicjantka zaraz wróciła do pisania, jednak Maria poczuła się odrobinę lepiej. - Jestem prawie pewna, że kiedyś na tej polanie byłam, dawno temu, jeszcze jako dziecko. Wtedy zniknęłam na parę dni w lesie, a kiedy wróciłam, niczego nie pamiętałam. To stara sprawa, sprzed trzydziestu lat, ale w archiwum powinny być akta.

- I to pani zniknięcie ma coś wspólnego z dzisiejszym

morderstwem?

- Tak.

- Na jakiej podstawie tak pani sądzi?

- Z powodu... z powodu rysunku Wojtka, który wam pokazywałam. Jest na nim ktoś, kogo wtedy, w lesie, nazywałam Kartoflanym Człowiekiem. Tak mi się wydaje. Wojtek i pozostałe dzieci też musiały go spotkać.

- Sugeruje pani, że Kartoflany Człowiek jest mordercą?

- Nie wiem, ale myślę, że powinniście go poszukać.

- Z rysunkiem upośledzonego nastolatka jako portretem pamięciowym?

Skuliła się, trafiona ironią porucznika. Mężczyzna wciąż patrzył na nią uważnie.

- Nie wspominając o tym, że jeśli facet był dorosły w czasach pani dzieciństwa, to teraz miałby jakieś pięćdziesiąt-sześćdziesiąt lat. Trochę kiepski materiał na mordercę biegającego ze zwłokami ofiary. Zresztą mniejsza z tym, wróćmy do dziewczynki. Znała ją pani, prawda?

- Ja... tak.

- Kogo więc znalazła pani w lesie?

Maria otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Spojrzała w stronę Beaty, tym razem jednak nie doczekała się żadnego przyjacielskiego gestu.

- Proszę podać do protokołu imię i nazwisko ofiary, którą odkopła pani na polanie - ponaglił Bogusz.

Chciała zniknąć, rozpląnąć się w nagrzanym od kaloryferów powietrzu. Przez chwilę realne były tylko duchota ciasnego pokoju i ból wciąż zaciśniętych palców. Przesunęła językiem po wyschniętych wargach. Ta twarz... Boże, ile by dała, żeby znów doznać łaski i zapomnieć. Miała absurdalne wrażenie, że jeśli w końcu wypowie to imię, uczyni śmierć dziewczynki rzeczywistą. Przeciągała więc ciszę, jakby chciała dać dziecku jeszcze kilka sekund życia.

- Pani Lenarczyk?

Maria zamknęła oczy jak przed skokiem na głęboką wodę. Nie sądziła, że będzie to w stanie powiedzieć, a jednak powiedziała:

- Asia... Joanna Grabkowska. Moja uczennica.

Sierżant Beata Drzymala patrzyła na szarą niczym popiół twarz leżącego w łóżku mężczyzny i po raz pierwszy w całej swojej milicyjnej karierze czuła, że brakuje jej właściwych słów. Obok na krześle kołysała się kobieta. Szeptala coś cicho albo się modliła, trudno było zrozumieć. Dwie godziny wcześniej była uśmiechniętą, zadbaną trzydziestokilkulatką. Od tego czasu postarzała się o ćwierć wieku, a jej mąż z podejrzeniem rozległego zawału został odwieziony do szpitala. Siedziała przy nim teraz z posepną determinacją w oczach, jakby czuwała przy zwłokach, które ktoś zamierza jej odebrać. Odmówiła przyjęcia środków uspokajających, nie chciała niczego pić ani jeść. Nie odchodziła od łóżka ani na moment, a na wszystkie pytania odpowiadała, potrząsając głową.

Beata widziała wielu ludzi złamanym nieszczęściem, ale nie aż do tego stopnia. Nawet tragedia Natalii Kurzei zdawała się mieć mniejszy ciężar. Grabkowscy sprawiali wrażenie rodziny, po której przetoczył się pociąg, niszcząc wszystko, co w niej dobre. Asia była jedynaczką i Beata pomyślała, że nawet jeśli ojciec dziewczynki przeżyje, jego małżeństwo prawdopodobnie i tak nie przetrwa. Mogła spróbować porozmawiać z matką, ale prawdę mówiąc, nie miała sumienia. Jagoda Grabkowska zasługiwała na chwilę spokoju.

- Proszę zająć się mężem - powiedziała więc tylko, delikatnie dotykając jej ramienia. - Będę na zewnątrz.

Na kory tarzu stała kobieta wyglądająca jak nieco starsza, nieco brzydsza kopia Jagody - tej sprzed dwóch godzin, kiedy nie wiedziała jeszcze o śmierci córki. Palila papierosa, zaciągając się desperacko, jakby wciągała w płuca życiodajny tlen.

Beata podeszła bliżej.

- Pani jest z rodziny? - zapytała.

Kobieta skinęła głową, po czym przełożyła papierosa do lewej ręki, a prawą wytarła o bluzkę i podała. Uścisk miała silny, prawie męski.

- Krystyna Nowak, siostra Jagody.

- Chciałabym z kimś porozmawiać, ale rodzice Asi...
- Ze mną może pani porozmawiać. Mieszkam niedaleko i często bywam u siostry. Asia jest... była moją chrześnicą.
- W porządku. Będę wdzięczna, jeśli odpowie pani na kilka pytań. - Beata poczuła lekką treść. Co prawda wiedziała, że znalazła się tu sama jedynie dlatego, że Bogusz nie miał ochoty oglądać kolejnych złamanych nieszczęściem rodziców, ale nie zmieniało to faktu, że po raz pierwszy samodzielnie prowadziła przesłuchanie. - Zaczniemy może od tego, kiedy ostatni raz widziała pani Asię.
- W sobotę - odpowiedziała Krystyna bez namysłu. - Jagoda i Staszek wtedy też po raz ostatni ją widzieli.
- Mamy wtorek. Jakim cudem nikt nie zauważył, że dziecka nie ma?
- Asia miała spędzić ferie u koleżanki, która mieszka na wsi, w Świerczynach. Wcześniej rodzice zawsze zabierali ją na narty, ale ona nie bardzo to lubiła, odkąd dwa lata temu na stoku złamała sobie nogę, i w tym roku się zbuntowała.
- Zna pani adres tej koleżanki?
- Na pamięć nie, ale mogę poszukać w domu, w notesie Jagody. Zaraz będę tam jechać. Psu trzeba dać jeść.
- W porządku, możemy pojechać razem moim samochodem. Ale to za chwilę. Zakładam, że na tej wsi telefonu nie ma?
- Nie, oczywiście, że nie.
- Czyli rodzice Asi nawet nie wiedzieli, czy ich córka dotarła na miejsce?
- Krystyna po krótkim zastanowieniu skinęła głową.
- I jechała tam sama?
- Tak, autobusem. Ale to prosta droga. - Kobieta wzięła w obronę siostrę i jej męża. - Asia wsiadała na przystanku niedaleko domu i pół godziny później wysiadała w Swierczynach. Często tak jeździła i nigdy nic złego się nie działo. To zresztą już duża dziewczyna była, trudno, żeby przez cały czas trzymała się rodziców.
- Rozumiem. Czyli Asia wyszła z domu w sobotę...
- O której?
- Około czternastej? Chyba, nie pamiętam dokładnie.

Piekłyśmy z Jagodą ciasto na niedzielę, a w telewizji leciało *W Starym Kinie*. Można zresztą sprawdzić rozkład jazdy. Na pewno było wtedy jeszcze jasno.

- Miała coś przy sobie? Plecak, walizkę?

- Plecak, taki niewielki, turystyczny, jak do chodzenia po górach. Zielony.

- Jak była ubrana?

- W granatową kurtkę i spodnie, chyba dzinsowe. Mogę sprawdzić w jej szafie, czego brakuje.

Beata skinęła głową. Przy ciele nie znaleziono plecaka, dziewczynka nie miała też na sobie kurtki. Będzie trzeba się rozejrzeć za jednym i drugim.

- Myśli pani... - Krystyna zawahała się. - Myśli pani, że ona nigdy do Swierczyn nie dotarła?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Da mi pani adres, to pojedę i sprawdzę.

- Mogę jechać z panią? - Kobieta zdusiła energicznie papierosa w stojącej na parapecie doniczce z rachitycznym kwiatkiem. Wszystkie ruchy miała zamaszyste, jakby pełne tłumionej złości. - Proszę. Jagodzie na nic się teraz nie przydam, a muszę się czymś zająć. Jak będę siedzieć sama w domu, to zwariuję.

- W porządku, może pani jechać.

„Bogusz by się nie zgodził”, pomyślała Beata z odrobiną poczucia winy. Lubiała Adama za to, że nie klepał jej po pośladkach jak jego koledzy, nie uważał, że kobieta w milicji nadaje się tylko do parzenia kawy, i nie robił erotycznych aluzji. Nie zmieniało to faktu, że porucznikowi brakowało... odrobiny empatii? Tak, chyba właśnie tego. Czasem trzeba bezinteresownie pomóc ludziom. „Zresztą - usprawiedliwiła się Beata - jeśli zabiorę Krystynę, po drodze mogę przecież pociągnąć ją za język”.

Zatrzymały się na chwilę przy domu Grabkowskich, a potem ruszyły w stronę Swierczyn.

- Opowie mi pani o Asi? - zapytała Beata, kiedy samochód minął tablicę z przekreśloną nazwą „Mgielnica” i wjechał w las.

Kobieta roześmiała się sucho, bez śladu wesołości.

- Chce pani usłyszeć prawdę czy to, co lepiej brzmi?

- Prawdę. - Beata ostrożnie wyprzedziła wlokący się poboczem nieoświetlony wóz. Właściwie powinna się zatrzymać i wlepić woźnicy mandat.

- Dziewczyna była miła, inteligentna i zdolna. W szkole same piątki...

- Ale?

- Była też kompletnie postrzelona .

- To znaczy?

- Miewała pomysły jak z Księżycą. Kiedyś na przykład przeczytała o człowieku, który przepłynął tratwą z Afryki do Ameryki, i sama zaczęła taką tratwę budować, żeby też popłynąć. Próbowwała przyrządzać trucizny na podstawie tego, co wyczytała w kryminałach, razem z kolegą planowała przerobić stary motocykl na motolotnię i przelecieć nad granicą do Niemiec. Przebierała się w jakieś dziwaczne stroje, a potem razem z koleżankami odgrywała przedstawienia. Raz napisała scenariusz filmu i chciała go wysłać do Hollywood do Stevena Spielberga.

- Wysłała?

- Nie wiem, raczej nie. Z większości planów Asi na całe szczęście nic nie wychodziło. Choć kiedyś założyła się z koleżankami, że spędzi noc na cmentarzu, i rzeczywiście to zrobiła.

- Naprawdę?

- O tak. Jagoda mało nie zemdląła, kiedy przez przypadek się o tym dowiedziała.

- Jak dziewczynka wytłumaczyła rodzicom, że nie będzie jej całą noc?

- Powiedziała, że będzie spać u koleżanki. Często tak robiła. Mówiła, że idzie w jedno miejsce, a tak naprawdę... Cholera. - Krystyna uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała.

Beata pokiwała głową.

- Myśli pani - ciągnęła kobieta - że Asia wcale nie miała zamiaru wsiąść do tego autobusu?

- Nie wiem. - Światła samochodu wyłowiły z ciemności napis „Świerczyny”. - Zaraz się dowiemy. A ten scenariusz?

- Scenariusz?

- Czytała go pani? O czym był?

- Jakiś horror. Zabójcy, potwory, wariaci, wszystko to strasznie ją fascynowało. Kiedyś nawet zaciągnęła mnie do kina na film o mordercy, który udawał własną matkę. Dla mnie to bzdury były, ale jej się bardzo podobało. Ironia losu - Krystyna znowu się zaśmiała bez odrobiny wesołości - że ostatecznie padła ofiarą takiego zwyrodnialca.

Beata zastanawiała się, na ile to rzeczywiście był przypadek. Czy Asia z jakichś powodów szukała kontaktu z mordercą po zabójstwie Pawła? Czy wiedziała coś o zabitym chłopcu? Z kolei zamiłowanie do krwawych filmów mogło łączyć ją z Blanką. Może dziewczynki spotkały się kiedyś w kinie?

Krażyła wolno po wsi, szukając właściwego numeru. Droga była wąska, po jednej i po drugiej stronie piętrzyły się zwały śniegu. Beata miała wrażenie, że lada moment jej stary maluch utknie w zaspie i zamiast rozmawiać ze świadkami, będzie musiała szukać traktora, żeby go wyciągnąć.

- Proszę się zatrzymać - powiedziała nagle Krystyna.

- Tutaj?

- Tak.

Beata znalazła niewielką zatoczkę, zatrzymała się i zgasiła silnik. Wsiadły z samochodu. Dopiero teraz sierżant zorientowała się, że zaparkowała na przystanku, sądząc jednak z rozkładu jazdy, ostatni autobus odjechał przed godziną, uznała więc, że może sobie na to pozwolić. Rozejrzała się, wciągając w płuca powietrze, mroźniejsze i ostrzejsze niż w mieście. Spod zapachu świeżego śniegu i sosen przebijał ciepły smród końskich odchodów, w stojących wzdłuż drogi domach paliły się światła, ale wokół było pusto, jakby obie kobiety wylądo wały na Księżycu. Gdzieś niedaleko rozszczękał się pies, któremu zaraz odpowiedziały kolejne, i po chwili mrok rozbrzmiewał kakofonią jazgotów i wycia.

- Mam wrażenie, że to tamten dom. - Krystyna wskazała chałupę majaczącą w ciemności na niewielkim wzgórzu pod lasem. - Asia wspominała, że do Chmielarzów nie da się dojechać, tylko trzeba iść pod górkę. Mogę pójść z panią czy powinnam zostać w aucie?

- Jak pani woli.

„Mam zbyt miękkie serce - myślała Beata, kiedy wspinały się na wzgórze. - Ot co”. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że po prostu nie potrafiła zostawić tej kobiety samej w samochodzie, na pustej drodze i w ciemności, żeby rozpamiętywała śmierć siostrzenicy.

Chałupa pod lasem okazała się piętrowa i całkiem spora, obok stało coś, co było chyba oborą, a może stajnią - urodzona w mieście sierżant nie bardzo odróżniała jedno od drugiego. Przywiązany do budy pies wyrywał się i szczekał chrapliwie, kiedy uważając, żeby się nie poślizgnąć na oblodzonej ścieżce, szły w stronę wejścia. Palila się nad nim lampa z wypisanym czarną farbą numerem „41”. Beata odnalazła dzwonek i wcisnęła guzik. Za drzwiami rozległ się odgłos niepewnych kroków.

- Kto tam? - spytał zalekniony kobiecy głos.

- Milicja.

Przez chwilę panowała cisza, potem sierżant wychwyciła ledwie słyszalne, pełne niepokoju szepty.

- W jakiej sprawie? - odezwała się znowu kobieta.

- Asi Grabkowskiej.

- Jej tu nie ma.

- Wiem, dlatego chcę z panią porozmawiać. Mogę wejść do środka?

Kobieta jeszcze przez chwilę naradzała się z kimś - prawdopodobnie z mężem.

- Pewnie bimber tu pędzą i dlatego się boją - mruknęła Krystyna.

Beacie również przyszło to do głowy, choć musiała przyznać, że i najdoskonalej niewinni ludzie czasem bali się milicji jak diabeł święconej wody.

Wreszcie szczęknął zamek i drzwi się otworzyły. Stała w nich pulchna kobieta w średnim wieku, ubrana w rozciągnięty sweter i gumki, jakby przed chwilą wróciła z obory. Za nią stał wysoki, chudy mężczyzna o pociągłej twarzy.

- Zapraszam do kuchni, napijecie się panie ciepłej herbaty - bąknęła.

Beata nie miała ochoty na herbatę, wiedziała jednak, że takie proste rytuały uspokajają ludzi, dlatego nie protestowała.

Wkrótce siedzieli wokół drewnianego stołu. Na piecu gotowała się zupa, sądząc po zapachu chyba ogórkowa. Na ścianach wisiały tanie święte obrazki z rodzaju takich, jakie można kupić na odpustach - przy czym posrebrzana Madonna sąsiadowała z podkową na szczęście, a Chrystus z zawieszonym na gwoździu pękiem suszonych ziół. W drzwiach stała dziewczynka wyglądająca na jakieś dwanaście-trzydzieści lat, równie pulchna jak matka, ale w przeciwieństwie do niej mająca w ciemnych oczach błysk niewątpliwej inteligencji.

- Joanna Grabkowska miała przyjechać do państwa w sobotę i zostać do końca ferii, czy to się zgadza? - zapytała Beata.

Pani Chmielarz skinęła głową, jej mąż burknął coś niezrozumiale. Córka patrzyła tylko okrągłymi oczami i sierżant odniosła wrażenie, że mała domyśliła się, skąd ta nagła wizyta milicji.

- Ale nie przyjechała?

- Nie. Przysłała tylko kartkę. Izuniu?

Dziewczynka zniknęła na chwilę i wróciła z wyrwaną z zeszytu stroną, na której było napisane: „Nie czekaj na mnie. Przyjadę później”.

Krystyna potwierdziła, że to pismo Asi.

- Wysłałam po nią na przystanek, tak jak się umówi łyśmy, ale nikt nie wysiadł - wyjaśniła Iza. - Tylko pan kierowca dał mi tę kartkę. Powiedział, że jakaś dziewczyna w Mgielnicy prosiła, żeby ją przekazał.

Beata zanotowała w myślach, że trzeba będzie znaleźć tego kierowcę i porozmawiać z nim, po czym spojrzała na panią Chmielarz, która w tym małżeństwie miała, zdaje się, patent na prowadzenie rozmowy.

- Nie martwili się państwo, co się z Asią dzieje?

- No przecież napisała, że później przyjedzie. - Kobieta bawiła się łyżeczką do herbaty. Oczy miała wystraszone i wyglądała jak dziecko przyłapanie na podbieraniu cukierków. - W niedzielę jeszcze myśleliśmy, że zaraz się zjawi, a wczoraj kazałam Staszкови ze sklepu zadzwonić do pracy do Asi ojca,

żeby się wywiedział, co i jak. Bo może, takeśmy sobie myśleli, dziewczyna jednak wolała z rodzicami na narty jechać. Ale najpierw linia była zerwana przez ten śnieg, a potem pani Pastusiowa sklep zamknęła, bo do syna do szpitala pojechała, więc jakoś okazji nie było... Coś się stało? Coś z Asią?

Beata westchnęła. Nie istniał sposób, żeby powiedzieć to delikatnie.

- Asia Grabkowska została zamordowana, dlatego musimy się dowiedzieć, gdzie przebywała przez kilka ostatnich dni.

Pani Chmielarz wybuchnęła płaczem, jej mąż zgarbił się nad szklanką z nietkniętą herbatą. Beata patrzyła jednak na Izę, która znowu tkwiła nieruchomo w drzwiach. Poblądła tylko, a jej oczy zrobiły się jeszcze większe.

- Przykro mi - powtórzyła sierżant łagodnie. - Lubiałaś ją?

Iza skinęła głową.

- Gdzie się poznałyście?

- Tutaj - szepnęła dziewczynka. - Tato kupił trzy lata temu konia pod siodło i czasem przyjeżdżały do nas dzieci z miasta, żeby się nauczyć jeździć. Ale tylko Asia była fajna.

- Spędzała u was dużo czasu?

- Latem zawsze tydzień albo dwa. Teraz pierwszy raz miała przyjechać na ferie. - Iza pociągnęła nosem. - Tata obiecał, że pozwoli nam przywiązać do wozu sanki i zrobi kulig...

- A ty do niej jeździłaś?

- Parę razy.

- To może wiesz coś o jej życiu w Mgielnicy? Co robiła, z kim się przyjaźniła?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Jej koleżanki myślały, że jestem głupia, bo ze wsi. Dlatego nie lubiłam do Asi jeździć, lepiej było, jak ona przyjeżdżała tutaj. Czasem pisałyśmy do siebie listy.

- Pokażesz mi je?

Iza znowu zniknęła, a Beata, korzystając z okazji, zwróciła się do jej matki:

- Czy państwo Grabkowscy płacili wam za pobyt Asi?

Pani Chmielarz przetarła oczy.

- Coś dawali - przyznała z lekkim ociąganiem - bo przecież to

dodatkowa gęba do wyżywienia. Ale niedużo, zawsze traktowaliśmy tę dziewczynę jak gościa.

- Wychodząc w sobotę z domu, Asia miała przy sobie dwa tysiące złotych. - Krystyna najszybciej zorientowała się, do czego sierżant zmierza.

Beata zakłęła w duchu. To nie było dużo pieniędzy, ale wystarczająco, żeby połakomił się na nie jakiś pijaczek czy inny żul.

Iza wróciła z plikiem listów. Wszystkie wyglądały bardzo dziewczęco - koperty wyklejane w serduszka, kartki ozdobione starannie wyrysowanymi kwiatkami. Beata odszukała ostatni i przejrzała pobieżnie. Była tam mowa, że Asia przyjedzie autobusem o 14.40, ale nic, co mogłoby mieć związek z morderstwem. Mimo to sierżant zapytała, czy może zatrzymać listy na jakiś czas.

Iza skinęła głową, a potem odprowadziła obie kobiety do wyjścia. Milczała, kiedy wkładały płaszcze. Odezwała się, dopiero otwierając drzwi.

- Wie pani - powiedziała - mnie się wydaje, że Asia tak by wolała. Znaczy skoro już miała umrzeć, to właśnie, żeby ją ktoś zabił.

Beata szczerze w to wątpiła, ale dziewczynka najwyraźniej znajdowała w tej myśli osobliwą pociechę.

- A najbardziej by chciała sama takiego mordercę złapać. - Iza znowu pociągnęła nosem. - Może teraz wróci jako duch i będzie go straszyć, aż on się przyzna?

- Mam nadzieję, że wcześniej go znajdziemy. - Beata uściskała ją. - Uważaj na siebie.

Gdy odpalała malucha, w głowie wciąż rozbrzmiewały jej słowa Izy: „Najbardziej by chciała sama takiego mordercę złapać”. „W co ty się wpakowałaś? - zapytała w myślach nieżyjącą dziewczynkę. - Dokąd poszłaś w sobotę i co próbowałaś zrobić?”

3

Jajko wypadło jej z rąk i z mokrym plaśnięciem rozbiło się na podłodze. Maria schyliła się odruchowo.

- Proszę zostawić, ja posprzątam. - Tęga sprzedawczyni w fartuchu, który kiedyś zapewne był biały, a teraz pożółkły i poplamiony, spojrzała na nią nieprzychylnie.

- Przepraszam.

- Niech się pani pośpieszy, zaraz zamykamy.

Maria zerknęła na zegarek - do piątej zostało dziesięć minut. Chciała zaprotestować, ale zrezygnowała, zresztą pawilon handlowy rzeczywiście był już pusty. Włożyła do koszyka butelkę śmietany i podeszła do kasy. Za jej plecami tęga kobieta pochyliła się do koleżanki i obie zaczęły szeptać. Maria nie rozumiała słów, jednak wyczuła intonację tej cichej rozmowy. Była w niej ciekawość, niechęć i sporo lęku. Musiała się już roznieść wieść, że Maria znalazła następne ciało, i to w mocno podejrzanych okolicznościach. Po prostu poszła do lasu i jak po sznurku trafiła na zwłoki martwego dziecka. W dodatku to była jej uczennica. Czy coś takiego nie daje do myślenia, droga pani?

Kiedy płaciła za zakupy, kasjerka przypadkiem dotknęła jej palców i zaraz cofnęła dłoń. Jakby ostatnia tego dnia klientka roznosiła zakaźną chorobę, jakby wciąż miała na rękach krew.

Maria wepchnęła do siatki jajka, śmietanę i mrożonego dorsza. Tylko konieczność kupienia jedzenia dla kota zmusiła ją dziś do wyjścia z domu.

„Czy one naprawdę myślą, że byłabym zdolna zabić dziecko?”

Przypomniała sobie Asię siedzącą z zakrwawioną twarzą w gabinecie higienistki. Taka drobna i ufna. Nawet po tym, co się stało, nie miała pretensji do kobiety, która być może ją popchnęła.

Gdyby Asia spotkała wieczorem na ulicy swoją nauczycielkę, z pewnością zgodziłaby się z nią pójść. Maria była wysoka i mimo wychudzenia wciąż dość silna; Asia wyglądała na dwunastolatkę i ważyła niewiele więcej niż dobrze oskubany kurczak. Maria mogłaby ją zabić bez trudu.

Lecz przecież tego nie zrobiła, oczywiście, że nie. Lubiała Asię, a poza tym od początku ferii albo załatwiała formalności związane z pogrzebem ciotki, albo siedziała w domu. Na przykład w niedzielę wieczorem...

Próbowała sobie przypomnieć, co robiła w niedzielę wieczorem, ale w głowie miała czarną dziurę. Dni ostatniego tygodnia zlewały się w ciąg jednolicie szarych godzin, pośród których wyróżniała się tylko śmierć Emilii i jej pogrzeb. Co jeszcze? Wizyta Ali, tylko kiedy to było? W sobotę czy w niedzielę? „Nie pamiętam”, uświadomiła sobie Maria.

Wychodziła z pawilonu handlowego tak szybko, że poślizgnęła się na oblodzonych schodach. W ostatniej chwili ktoś złapał ją za łokieć i podtrzymał.

- Proszę uważać - powiedział znajomy głos.

Maria zmarszczyła brwi. Przed nią stał łysiejący mężczyzna z twarzą podobną do twarzy jakiegoś aktora. Dopiero po chwili zorientowała się, że patrzy na nowego bibliotekarza. Dziwnie wyglądał w jasnym eleganckim płaszczu i bez okularów, w których widywała go za biurkiem.

- Dziękuję - powiedziała.

- Dobrze się pani czuje? Bardzo pani pobladła.

- Nic mi nie jest, tylko... - Co właściwie mogła powiedzieć? „Właśnie się dowiedziałam, że podejrzewają mnie o morderstwo”? „I w dodatku nie pamiętam, co ostatnio robiłam”?

- Może panią odprowadzić? Pani jest z Jelonek, prawda? Zapamiętałem adres, bo sam mieszkam niedaleko.

- Nie, naprawdę nie trzeba... Poradzę sobie.

- Jeśli tak pani uważa. - Cofnął się odrobinę, ale wciąż patrzył wzrokiem, którego Maria nie znosiła: badawczo i ze współczuciem.

„Nie wierzy mi - przemknęło jej przez głowę. - Wszyscy mają mnie w najlepszym razie za wariatkę. A w najgorszym za morderczynię” - pomyślała, łapiąc w szybie wystawowej spojrzenie własnych przerażonych oczu.

4

Trzy dziewczyny kręciły się niepewnie na brzeźkach krzesel niczym sroki, które na chwilę tylko przysiadły na gałęzi. Gapiły się na Bogusza ze strachem i fascynacją, jakby wyrosła mu druga głowa albo jakby mówił do nich po chińsku. Nie były do

siebie podobne - blondynka ubrana w zachodnie ciuchy i dwie brunetki w przeciętnej polskiej konfekcji - ale porucznikowi i tak wydawały się identyczne z tą swoją młodością i ze zdziwionymi oczami. Kilkanaście lat różnicy wystarczyło, żeby były dla niego niczym przedstawicielki obcego gatunku. Nie miał pojęcia, czy traktować je jak dzieci, czy może jak młode kobiety.

Karolina pochyliła się do ucha koleżanki i coś jej szepnęła. Sylwia - ta modnie ubrana - wybuchnęła płaczem, ale Bogusz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że było w tym coś teatralnego. Spojrzał na Beatę, która pośpieszyła na pomoc z chusteczką.

- Byłyście najbliższymi koleżankami Asi, zgadza się? - zapytał.

Karolina skinęła głową, a blondynka smarknęła na potwierdzenie. Druga brunetka ze zmarszczonymi brwiami skubała skórkę przy paznokciu.

- Kiedy widziałyście ją po raz ostatni?

Spojrzały na siebie, najwyraźniej niezdecydowane, która ma odpowiedzieć. Bogusz zdążył już pożałować, że zgodził się na propozycję Beaty, żeby przesłuchać je razem, nie osobno. Sierżant twierdziła, że dzięki temu dziewczyny poczują się pewniej, ale wyglądało na to, że będzie z tym tylko więcej kłopotów.

- W sobotę. - Karolina zdecydowała się odpowiedzieć.

- O której godzinie?

Znowu spojrzały na siebie. Bogusza zaczęło to porządnie irytować, Beata, wprost przeciwnie, wykazywała się anielską cierpliwością i tylko uśmiechała zachęcająco.

- O dwunastej - oznajmiła wreszcie Karolina. - To znaczy ja i Patrycja widziałyśmy się z nią u Patrycji w domu. Sylwii z nami nie było.

Zapłakana blondynka wytarła nos i pokiwała głową.

- Ja ostatni raz widziałam ją w piątek w szkole. - Chyba trochę żałowała, że przegapiła okazję do skupienia na sobie uwagi.

- I co robiliście? - Bogusz przenosił wzrok z Karoliny na Patrycję.

- Nic. - Tym razem odezwała się Patrycja. - Trochę gadałyśmy.

- O czym?

- O szkole, chłopakach, takie tam - odparła znowu Karolina.

- Asia miała chłopca, który by się jej podobał? - Bogusz wymacywał drogę na oślep. Nie miał pojęcia, czy odpowiedź na to pytanie cokolwiek mu da.

- Lubiała Łukasza, ale on woli mnie - oznajmiła Karolina z nastoletnią pewnością siebie. - W sumie żaden chłopak nie interesował się Aśką na poważnie. Wie pan, ona wyglądała jak dziecko i czasem też tak się zachowywała. Kiedyś to było fajne, jasne, Asia miała te wszystkie swoje niesamowite pomysły i w ogóle. Ale jak człowiek za pół roku ma zdawać do liceum, to pora trochę wydorosnąć, nie?

- Asia nie chciała wydorosnąć?

Karolina znowu pochyliła się do ucha Patrycji i coś jej szepnęła. Druga dziewczyna potrząsnęła głową.

- Wolałbym, żebyście mówiły głośno.

Patrycja zaczerwieniła się i wróciła do skubania skórki przy paznokciach.

- No więc? Co takiego robiła ostatnio Asia, że nie chciała wydorosnąć? Karolina?

- Mówiła coś o jakimś potworze - powiedziała z ociąganiem dziewczyna. - Że niby w Mgielnicy mieszka potwór i że ona może nam to udowodnić. Założyłyśmy się nawet o dwie stowy.

- Na czym dokładnie ten zakład polegał?

- Asia miała przyjść do mnie wieczorem i przynieść zdjęcia potwora.

- Przyszła?

Karolina pokręciła głową.

- Czekaliśmy na nią, ale się nie zjawiała. Byliśmy przekonane, że wszystko zmyśliła i teraz jej głupio. Przecież potwory nie istnieją.

5

- Nie powinnaś zamykać się w domu - oznajmiła Alicja, zdejmując w przedpokoju kurtkę. Od razu schyliła się i pogłaskała Pirata. - To niezdrowe.

- Całe miasto jest przekonane, że to ja zabiłam Asię.
- Przesadzasz, ludzie po prostu lubią plotkować. Zrobię kawę i pogadamy.

Maria odsunęła się, wpuszczając ją dalej. Jak wcześniej, czuła, że wraz z Alą do domu wkracza życie.

Piętnaście minut później siedziały przy stoliku z parującymi szklankami w rękach. Młodsza kobieta upiła łyk i spojrzała na Marię.

- Słuchaj, nie mam zamiaru do niczego cię zmuszać. Zrozumiem, jeśli nie chcesz o tym mówić. Ale moim zdaniem najwyższa pora wziąć byka za rogi i zastanowić się, co te morderstwa mają wspólnego z twoim zniknięciem sprzed lat. Podobno mówiłaś milicji, że Aşkę zabił ten sam człowiek, który kiedyś cię porwał?

Marię zawsze zdumiewało, jak szybko rozchodzą się wieści w małym miasteczku.

- Niezupełnie - zaprotestowała. - Ale tak, myślę, że morderstwa Asi i tego chłopca z Wilkowic mają coś wspólnego z tym, co kiedyś mi się przydarzyło.

- Dlatego że znalazłaś Asię w lesie?

- To też, ale przede wszystkim z powodu rysunku Wojtka. Pokazałabym ci, ale milicja zabrała go dziś rano.

- Opowiesz?

- W porządku, niech będzie. - Maria westchnęła. - Chyba masz rację, nie ma sensu chować głowy w piasek. Zaczęło się od obrazka, który narysował Wojtek...

Z początku mówiła chaotycznie, z wysiłkiem, stopniowo jednak formułowanie zdań przychodziło jej coraz łatwiej, a historia stawała się bardziej spójna. Opowiedziała o rysunku Wojtka, o wizycie na milicji po śmierci Pawła i o tej strasznej nocy, kiedy śniła o pochowanej w śniegu zaginionej dziewczynce. Alicja słuchała uważnie, nie przerywając. Wreszcie Maria zamilkła. Czuła się wyczerpana i zawstydzona, wszystko to wydawało się... zbyt intymne, zbyt dziwaczne, by mówić o tym na głos. Ale jednocześnie była też spokojniejsza, jakby przekroczyła wreszcie granicę, zza której nie można się cofnąć.

Młodsza kobieta dopiła kawę.

- Uporządkujmy to jakoś - powiedziała, stawiając szklanę na stoliku. - Wojtek rysuje czwórkę dzieci w lesie z kimś, kogo nazywałaś Kartoflanym Człowiekiem, i popełnia samobójstwo. Zaraz potem zostaje zabity Paweł, z domu dziecka znika Blanka, a jeszcze później ginie Asia. Czwórka dzieci na obrazku, czwórka dzieci w rzeczywistości...

- Tylko że to nie ma sensu - dokończyła Maria. - Wojtek narysował trzech chłopców i dziewczynkę, a tu mamy dwie dziewczynki i dwóch chłopców.

- Jesteś pewna, że jeden z tych chłopców na obrazku nie był po prostu dziewczynką z krótkimi włosami i w spodniach?

- Możliwe - przyznała z ociąganiem.

- Albo dziewczynka z domu dziecka po prostu uciekła i nie ma z tą sprawą nic wspólnego. W takim razie Jasna to Asia? Była blondynką...

Maria potrząsnęła głową.

- Wojtek dobrze ją znał, chodzili przecież do jednej klasy, a o dzieciach na rysunku mówił jak o kimś, kogo od dawna nie widział.

- Tak powiedział? Jesteś pewna?

- Nie, ale wtedy wydawało mi się to dość oczywiste.

Ala wzruszyła ramionami.

- Bez urazy, ale pewnie nie słuchałaś zbyt uważnie, a Wojtek miał problem z jasnym formułowaniem myśli. Może źle zrozumiałaś albo on coś pokręcił.

- Może.

- Tyle że to nadal nie pasuje, bo Asia i Wojtek przecież się nie przyjaźnili.

Maria poruszyła się niespokojnie.

- Przyszło mi do głowy...

- Tak?

- Agata, siostra Wojtka, mówiła mi, że chłopak czasem źle interpretował pewne zachowania. Wiesz, odruchową uprzejmość brał za przyjaźń albo nawet miłość. Coś w tym rodzaju. Asia co prawda nie była dla niego miła, ale też nie dręczyła go jak inne dzieci. Raczej... po prostu nie zwracała na

Wojtka uwagi.

- I on mógł uznać tę obojętność za przejaw sympatii? Jest to jakaś teoria, zwłaszcza jeśli ta dwójka przyjaźniła się we wczesnym dzieciństwie.

- Nie pamiętasz, czy Wojtek i Asia trzymali się razem w pierwszych klasach?

- Nie wiem... Chyba nie, Asia zawsze miała sporo koleżanek, a Wojtek raczej stał z boku. Ale mogę nie pamiętać, minęło przecież trochę czasu.

Maria potrząsnęła głową.

- To wszystko brzmi tak absurdalnie. Asia i Wojtek, oni wydawali się...

- Jak z dwóch różnych światów?

- Tak, trochę tak. - Maria uśmiechnęła się smutno. - Sama wiesz, jak to jest. Udajemy, że wszyscy uczniowie są tacy sami, że mają równe szanse, ale przecież to nieprawda. Dzieci inteligentów trzymają się z dziećmi inteligentów, ci z bogatych rodzin z tymi z bogatych rodzin, prymusi z prymusami...

- Ale takie podziały tworzą się zazwyczaj w wyższych klasach. Małe dzieci nie mają uprzedzeń.

- Czyli jeśli Wojtek przyjaźnił się z kimś, powiedzmy... - Maria urwała.

- Nie ze swojej klasy społecznej? - podsunęła Ala.

Maria parsknęła śmiechem.

- Brzmi strasznie kapitalistycznie, ale tak, chyba o to mi chodziło. Prawdopodobnie więc poznał tego kogoś przed okresem dojrzewania, może nawet zanim poszedł do szkoły.

- Jako kilkulatek?

- Czemu nie? Tylko co nam to daje? Dzieci w tym wieku mogą się zetknąć w różnych miejscach: na placu zabaw, podczas odpustu na karuzeli... Jeśli milicja nie znalazła żadnego powiązania, tym bardziej nie znajdziemy go my.

- Mam pomysł - powiedziała Ala. - Wpadnij do nas jutro wieczorem, opowiemy o wszystkim Piotrkowi. On jest niesamowicie inteligentny i na pewno coś wymyśli. Co ty na to?

- Sama nie wiem. - Maria zawahała się. Gościć Alę w domu to jedno, a chodzić z wizytami do jej rodziny to zupełnie coś

innego. Nie była pewna, czy jest gotowa na spotkanie z obcym człowiekiem, w dodatku kaleką.

- Proszę! Zobaczysz, nie pożałujesz. Przyjadę po ciebie, żebyś nie musiała tłuc się autobusem.

- W porządku - zgodziła się z lekkim ociąganiem.

Entuzjazm Ali był zaraźliwy jak entuzjazm małego dziecka - nie sposób jej było odmówić. Poza tym Maria pomyślała, że wyjście z domu może rzeczywiście dobrze jej zrobić.

- To jesteśmy umówione. - Ala spojrzała na zegarek. - Muszę się zbierać. Obiecałam Piotrkowi, że dziś po kolacji zagramy w szachy. Jest trochę marudny, chyba bierze go grypa.

- Jasne.

Umyły szklanki i talerzyki po cieście. Ala na pożegnanie pogłaskała jeszcze Pirata, a potem objęła Marię.

- Uważaj na siebie.

- Zawsze na siebie uważam.

Maria wróciła do salonu i siedziała tam przez chwilę, wsłuchana w ciszę. Dom bez Ali wydawał się bardzo pusty. Nie zmieniało to faktu, że teraz, kiedy nie działał już na nią urok koleżanki, zaczęła żałować, że się zgodziła. Było jednak za późno, żeby się wycofać.

6

W pomieszczeniu wisiał gęsty papierosowy dym, przez który przebijał nieprzyjemny zapaszek spoconych ciał i przetrawionego alkoholu. Bogusz zakaszłał i poruszył się niespokojnie. Nie dla wszystkich starczyło krzesel, część ekipy siedziała na biurkach, inni tkwili pod ścianami. Porucznik rozejrzał się i krótko skinął głową Beacie, a potem Krupie, który z przymkniętymi oczami stał przy drzwiach.

Był tu także Krauze oraz kilkoro młodszych stopniem milicjantów w mundurach.

Porucznik przeniósł wzrok na Łaskiewiczza, który przypinał właśnie do tablicy zdjęcie Asi Grabkowskiej. Na jego pokrytej zmarszczkami twarzy widać było ślady nieprzespanych nocy, siwe włosy miał rozwichrzony, mundur wymięty. Mimo to

wyglądał na pełnego energii, jak ktoś, kto nagle wybudził się z długotrwałego letargu.

- Mamy dwa morderstwa, a może nawet trzy, jeśli okaże się, że Blanka Janik również nie żyje, plus samobójstwo, które prawdopodobnie się z tym wszystkim wiąże. Trójka albo czwórka martwych nastolatków. To już nie jest jedna banalna sprawa, tylko ciąg zbrodni, które zwracają na nas uwagę całego kraju. Dziś rano dzwonił do mnie naczelnik miasta i pytał, kiedy złapiemy mordercę, a ja mu obiecałem, że uporamy się z tym w ciągu tygodnia. Dlatego chcę, żeby ta sprawa miała absolutny priorytet. Adamie, możesz wziąć wszystkich wolnych ludzi, jacy się znajdują, i będziesz dalej prowadził śledztwo. Chyba że Staszek ma coś przeciwko?

- Nie mam - mruknął Krauze. - Adam zna szczegóły znacznie lepiej niż ja.

Bogusz odetchnął z ulgą.

- Poradzę sobie - zapewnił. - Tydzień w zupełności wystarczy. Przymknę tego drania nawet wcześniej.

Ktoś z tyłu szepnął coś kpiąco, ale porucznik nie zamierzał się odwracać.

- Mamy wstępny raport patologa - kontynuował Łasz- kiewicz - z którego wynika, że Asię z dużym prawdopodobieństwem zabił ten sam człowiek co Pawła. Narzędzie zbrodni było inne, krótsze i szersze, ale kąt, pod którym zadano rany, a także siła oraz ilość obrażeń są bardzo podobne. To zwalnia z podejrzeń Szczepana Jarosę. Wiemy też, że Asia zginęła w sobotę nie później niż o dwudziestej drugiej, a być może nawet niedługo po tym, jak wyszła z plecakiem z domu. Daliśmy już do prasy informację, że szukamy tego plecaka, granatowej kurtki oraz aparatu fotograficznego marki Smiena. Kierowca PKS-u rozpoznał na zdjęciu Asię jako dziewczynkę, która w sobotę po południu dała mu kartkę z informacją o spóźnieniu. To oznacza, że ofiara celowo oszukała rodziców, powiedziała, że wybiera się na wieś do przyjaciółki, a tak naprawdę udała się w inne miejsce, może na spotkanie z mordercą. Mamy zeznanie koleżanek Asi, które twierdzą, że dziewczynka założyła się, że przyjdzie do nich wieczorem i pokaże zdjęcie potwora. Ojciec

jednej z tych koleżanek ma ciemnię, więc mogłyby od razu wywołać film. Zakładamy roboczo, że to właśnie sfotografowanie „potwora” było powodem, dla którego Asia nie pojechała na wieś. Może zamierzała złapać ostatni autobus, ten o dziewiętnastej. Zdążyłaby, zakładając, że wywoływanie filmu nie zajęłoby dużo czasu. Możliwe także, że Asia wybierała się potem jeszcze gdzieś, może na całą noc albo nawet na kilka dni. Na kartce napisała jedynie „przyjadę później”, nie podała dokładnej daty. Mamy więc kilka kwestii do rozważenia: Gdzie dziecko było w sobotę po południu i wieczorem? Czy „potwór” to morderca Pawła? Czy Asia wiedziała coś o tamtym zabójstwie, a jeśli tak, to skąd? Musimy się także zastanowić, co łączy ze sobą wszystkie cztery ofiary - jeśli za ofiary uznamy również Wojtka Kapuściaka oraz Blankę Janik. Adamie, mogę cię prosić?

Bogusz zerwał się z biurka.

- Tak - chrząknął, po czym powiódł wzrokiem po zebranych. Patrzyli wyczekująco, co mile polechtało jego próżność. Sięgnął do teczki i obok zdjęcia Asi powiesił rysunek Wojtka, po czym pokrótce streścił to, co przekazała mu Maria Lenarczyk. - Być może ten obrazek nie ma niczego wspólnego ze sprawą, a może ma. Na wszelki wypadek musimy brać taką ewentualność pod uwagę.

Beata podniosła rękę jak uczennica w szkole.

- Tak?

- Czy to oznacza, że Wojtek też został zamordowany?

- Zastanawiałem się nad tym, ale nic nie wskazuje na zabójstwo. Zresztą lekarz sądowy upiera się przy śmierci z własnej ręki.

- Może chłopak tak bardzo bał się mordercy, że wołał się powiesić, zamiast czekać, aż tamten go dopadnie? - zasugerował Krupa, otwierając oczy. Jeszcze przed chwilą wyglądał, jakby odsypiał wyjątkowo ciężką noc, najwyraźniej jednak słuchał uważnie.

- Jest to jakaś teoria - przyznał Bogusz. - Mamy więc cztery potencjalne ofiary. Łączy je wiek, wszystkie miały po czternaście lat. Asia oraz Paweł najprawdopodobniej zginęli z

ręki tego samego mordercy. Asia i Wojtek chodzili razem do szkoły. Blanka, podobnie jak Asia, wspominała o „potworze”, obie dziewczyny lubiły też krwawe filmy i były dość dziecinne, przynajmniej pod tym względem, że wciąż interesowały je raczej zabawy i przygody, podczas gdy Paweł wprost przeciwnie, myślał już poważnie o przyszłości. Wojtek, gdyby go kiedykolwiek przebadano, pewnie zostałby uznany za upośledzonego umysłowo, Paweł oraz Asia uczyli się dobrze albo nawet bardzo dobrze, Blanka była trudnym dzieckiem, ale podobno całkiem bystrym... Tak? - Przerwał, bo jedyna w pomieszczeniu kobieta znowu podniosła rękę.

- Proponuję nie mówić o Blance w czasie przeszłym. Nie wiemy przecież, czy dziewczynka nie żyje.

- W porządku. - Bogusz z trudem ukrył irytację. Kobiety! - A więc Blanka jest całkiem bystrą dziewczynką. Może to oznaczać, że wyczuła pismo nosem i zwała, zanim zabójca po nią przyszedł, a może zwyczajnie uciekła i nie ma z pozostałymi dziećmi nic wspólnego. Beata, pogadaj z dzieciakami z sierocińca. Może któreś powie ci coś konkretnego, zamiast opowiadać głupoty. Mała szansa, ale zawsze jakaś. Przed wszystkim interesuje nas, czy potwór, o którym mówiła Blanka, był człowiekiem z krwi i kości, czy postacią z filmu, a jeśli to pierwsze, czy możliwe, że potwór Asi oraz potwór Blanki to ta sama osoba.

Beata skinęła głową. Porucznik mówił dalej, rozdzielając zadania. Nareszcie był w swoim żywiole, nareszcie robił to, do czego czuł się powołany. W pewnym momencie przypomniał sobie, że nie zdąży na spotkanie z Teresą, ale nie miał wątpliwości, że dziewczyna mu wybaczy. Jego przyszła żona musiała przecież rozumieć, jak ważną Adam Bogusz ma pracę.

7

„Bez sensu - pomyślała Maria, siadając na łóżku i chowając twarz w dłoniach. - Po co ja to robię?”

Na krześle wisiało kilka sukni i spódnic - wszystkie w tym samym stylu, proste i właściwie niemal identyczne, ale i tak

wybranie którejkolwiek z nich było ponad jej siły. Kołysała się przez chwilę, przyciskając dłonie do skroni. Głowę miała ciężką, była zirytowana i znów zbierało jej się na płacz, a jednocześnie czuła nieodpartą senność. Zdecydowanie działało się z nią coś złego. Gdy jadła śniadanie, ukruszył jej się ząb - nic poważnego, ale Marię nagle dopadł gwałtowny, paraliżujący lęk. „Boże, zaczynam się rozpadać”, myślała, wypluwając kawałek bułki z fragmentem trzonowca. Kilka godzin później cień tamtego strachu wciąż nad nią wisiał, niemal mogła zobaczyć otaczającą ją ciemność. Nawet światło wiszącej pod sufitem lampy wydawało się przyćmione, a na obrzeżach pola widzenia krążyły mroczki jak zawieszony w powietrzu węglowy pył. Maria żałowała, że śnieżycą znów zerwała linię - gdyby telefon działał, zadzwoniłaby do Ali i wyjaśniła jej, że źle się czuje i nie może dzisiaj przyjechać. Proste. Dziewczyna oczywiście by nie uwierzyła, ale jakie to miało znaczenie? Maria nie miała najmniejszej ochoty poznawać Piotra. Choroby i kalectwo dodatkowo ją przygnębiały, więc unikała ich, jak tylko mogła. Nie była pewna, czy stacją w tej chwili na współczucie komukolwiek poza sobą. I raczej nie będzie dzisiaj dobrym towarzyszem.

Pięć minut przed umówioną godziną wstała wreszcie, włożyła pierwszą z brzegu spódnicę i sweter, nie zwracając uwagi na to, czy do siebie pasują, a potem w łazience przeczesła włosy. Oczy miała zaczerwienione i z całą pewnością nie sprawiała wrażenia szczęśliwej czy choćby zadowolonej.

Minuty mijały, Alicja nie przyjeżdżała. Maria, która czekała, gapiąc się bezmyślnie w telewizor, już doszła do wniosku, że koleżanka jednak się rozmyśliła, i zdążyła nawet poczuć ulgę, kiedy zadzwieczał dzwonek do drzwi.

Poszła otworzyć, zanim tchórzliwy głosik w tyle głowy przekona ją, by siedziała cicho i udawała, że jej nie ma.

- Przepraszam za spóźnienie - wysapała Ala. - Nie mogłam się przedrzeć przez ten cholerny śnieg. Gotowa?

- To nie jest dobry pomysł...

- Daj spokój. Będzie fajnie.

- Naprawdę. Nie czuję się dobrze. Nie będziecie mieć ze mnie

żadnego pożytku.

- Niczego od ciebie nie oczekujemy. Nie musisz się nawet odzywać, jeśli nie będziesz miała ochoty. Mówię poważnie, Piotrek bez problemu to zrozumie. Sam potrafi milczeć przez parę dni z rządu, więc dla mnie to żadna nowość. - Ala roześmiała się. - No już, wkładaj buty. Jeśli będzie bardzo źle, po prostu mi powiesz, a ja odwiozę cię wcześniej.

Maria przymknęła oczy. Pod powiekami coś ją piekło, może łązy, a może po prostu zmęczenie. Nadal nie miała ochoty na tę wizytę, ale wymyślenie jakiegokolwiek sensownego argumentu okazało się trudniejsze niż bierne poddanie żywiołowej serdeczności koleżanki.

Ala mieszkała w małym piętrowym domku. Gdy wprowadzała samochód do garażu, Maria obrzuciła spojrzeniem ścianę, po której latem piał się winobluszcz, pomalowaną na czerwono rynnę i białe firanki. Domek wyglądał uroczo i przytulnie, dobre wrażenie psuła jedynie wybita szyba w ostatnim oknie na parterze.

Maria spodziewała się, że wewnątrz będzie takie, jak zapowiadał front, czyli urocze i przytulne. Rzeczywiście było, aczkolwiek zdecydowanie w stylu lat czterdziestych czy pięćdziesiątych, nie osiemdziesiątych. Ciężkie dębowe meble, a na nich lilipucie serwetki z kordonka, mnóstwo porcelanowych bibelotów - jakieś amorki i dziewczątka z parasolkami - na ścianach sielskie obrazy z pastereczkami czy pulchnymi aniołkami przeprowadzającymi dzieci przez kładkę. Maria odniosła wrażenie, że cofnęła się w czasie. Ala miała taki gust czy nic tu się nie zmieniło od czasów młodości jej rodziców?

- Pójdę do Piotra zobaczyć, czy nie śpi. Zaczekaj, proszę.

Czekała cierpliwie, nasłuchując tykania wielkiego zegara z kukulką i czując się coraz bardziej głupio. Z nudów i trochę też ze zdenerwowania przeszła się wzdłuż półek z książkami. *Potop, Nad Niemnem, Faraon*. Same starocie. Z pierwszego piętra dobiegały dźwięki czegoś, co brzmiało jak kłótnia. Jasny sopran Ali przeciwko jęklivemu barytonowi kaleki. Maria nie rozróżniała słów i wcale nie chciała słuchać, ale nawet gdy stanęła w najdalszym kącie pokoju, wciąż dolatywały do niej

odgłosy gwałtownej wymiany zdań.

Po chwili Ala pojawiła się w progu. Wyglądała na zakłopotaną.

- Przepraszam cię bardzo, ale Piotrek nie chce dziś nikogo widzieć. Po prostu uparł się jak osioł. Kiedy wyjeżdżałam z domu, był w dobrym humorze, a teraz nie wiem, co go ugryzło. Mówiłam, że bywa kapryśny. Trudno, jego strata. Przykro mi, bo wygląda na to, że niepotrzebnie wyciągnęłam cię z domu, równie dobrze mogliśmy napić się kawy u ciebie. Przepraszam.

- Rozumiem. - Maria naprawdę rozumiała. Może chory Piotr był jej bratnią duszą, może pasował do niej bardziej, niż mogłoby się wydawać.

- Usiądź, przyniosę coś do picia.

- Pomóc ci?

- Nie trzeba, w razie czego zawołam.

Maria znów zajęła się oglądaniem pokoju. W gruncie rzeczy - choć sytuacja była trochę niezręczna - czuła ulgę.

Na ścianie naprzeciwko wisiał wielki ślubny portret z lat pięćdziesiątych. „Rodzice Alicji i Piotra - uznała Maria. - Ładna z nich była para i wyglądali na szczęśliwych”. Poza tym uderzyło ją, że w pokoju właściwie nie ma nowych rzeczy, wszystkie bibeloty, poduszki i książki sprawiały wrażenie, jakby liczyły co najmniej dwie dekady, jeśli nie więcej. Utrzymanie takiego domu z nauczycielskiej pensji Ali i renty Piotra prawdopodobnie nie było łatwe.

Wróciła do przeglądania biblioteczeki. *Czarodziejska góra, Anna Karenina...* Gdy sięgnęła po Carrolla i zaczęła kartkować *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, do pokoju weszła dźwigająca ciężką tacę Ala.

- Co tam masz? Lewisa Carrolla? - Roześmiała się. - Piotrek dał mi to kiedyś na urodziny. Powiedział, że skoro mam na imię Ala, powinnam dostać książkę o Alicji.

- W takim razie masz szczęście. Ja na twoim miejscu pewnie dostałabym *Sierotkę Marysię i siedmiu krasnoludków*.

Młodsza kobieta zręcznie rozstawiła na stoliku talerzyki, filiżanki i dzbanek.

- Nie wyglądasz na Marysię. - Potrząsnęła głową. - Założę się, że od czasów dzieciństwa nikt cię tak nie nazywa. Dla mnie

zawsze byłaś Marią. To piękne imię. Znaczy „ukochana przez Boga”, wiedziałaś?

- Nie.

- Moje imię jest po prostu zdrobnieniem od Adelajdy. Nic w tym romantycznego, żadnych ukrytych znaczeń.

- Za to możesz powiedzieć, że przeszłaś na drugą stronę lustra - powiedziała przekornie Maria.

- O tak. - Ala zachichotała. - A poważnie to nigdy nie lubiłam tej książki. Jest zbyt dziwaczna, nie uważasz?

- A co lubisz? - Maria usiadła przy stoliku i wzięła lukrowanego pierniczka. Był twardy i na chwilę znów opanował ją absurdalny lęk, że jeśli spróbuje go ugryźć, rozsypie się niczym szklana figurka. Dłonie jej się spociły, serce kołatało w piersi. Odetchnęła głęboko kilka razy, a potem zamoczyła pierniczek w herbacie i dopiero wtedy włożyła do ust. Lęk powoli się cofał. Nie zniknął zupełnie, wciąż jeszcze wyczuwała go na obrzeżach świadomości, dopóki jednak Ala podtrzymywała rozmowę, wszystko było w porządku.

- Chyba romanse. - Alicja roześmiała się. - Tylko nie łzawe, a takie bardziej z ikrą, wiesz, porwania nocą na czarnych koniach, pościgi, karoce mknące po gościńcu w świetle księżycy, tego typu rzeczy. Bzdury, wiem, ale co na to poradzę?

- Masz romantyczną naturę.

- Może. Pewnie dlatego jeszcze nikogo sobie nie znalazłam, bo w porównaniu z czarnowłosymi łotrami z książek zwyczajni faceci wydają się strasznie nudni. A co z tobą?

- Pytasz o mój gust literacki czy o mężczyzn?

- Jedno i drugie. - Ala przekrzywiła głowę.

- Czytam klasykę, wiesz, wszystkie te grube obyczajowe powieści. - To nie do końca była prawda, ostatnio głównie oglądała telewizję albo zadowalała się przeglądaniem prasy. - A z mężczyznami nie umawiałam się od czasu studiów. Chyba jestem stworzona do tego, żeby zostać starą panną.

To też nie do końca była prawda. Maria miała sporo letnich romansów, z których żaden nie przetrwał jesieni. W chwilach uczciwości przyznawała sama przed sobą, że tak naprawdę potrzebuje od czasu do czasu seksu, a nie bliskości czy broń

Boże małżeństwa, jednak nigdy nie znalazła właściwego partnera do takiego układu. Choć w powszechnym przekonaniu to kobiety zawsze chciały czegoś więcej, Maria uparcie trafiała na mężczyzn, którzy po kilku gorących nocach napomykali o zamieszkanu razem i czasem nawet zaczęli zastanawiać się nad imionami dla przyszłych dzieci. Ironia losu. Wspólne mieszkanie może potrafiłaby znieść, mimo że po latach samotnego życia trudno byłoby przyzwyczaić się do drugiej osoby kręcącej się po domu i naruszającej wieloletnie przyzwyczajenia. Ale dziecko? Jakie życie miałby maluch z matką taką jak Maria? Raz jeden w wyniku letniego szaleństwa zaszła w ciążę i zaraz ją usunęła. Czasem zdarzało jej się żałować, choć w głębi serca wiedziała, że postąpiła rozsądnie. Nie były to jednak rzeczy, o jakich opowiada się koleżance z prowincji. Co prawda Ala nie wyglądała na dewotkę i Maria była prawie pewna, że nie spotkałaby się z potępieniem - ale tylko prawie pewna. Może kiedyś jej o tym opowie. A może nie, ostatecznie bycie nauczycielką w miasteczku takim jak Mgielnica zobowiązywało do dyskrecji w pewnych sprawach.

- Ja miałam kiedyś narzeczonego - powiedziała Alicja. - Chociaż nie, oszukuję się, nie narzeczonego, tylko chłopaka, w którym chętnie bym tego narzeczonego widziała. W każdym razie podobał mi się, a ja chyba podobałam się jemu.

- I co się stało?

- Nic dobrego. - Tym razem w śmiechu Alicji słyhać było smutek. - Historia, jakich wiele, dziewczyna i chłopak, sama wiesz. Ona go kocha, on okazuje się draniem. Zwyczajna małomiasteczkowa tragedia. A może i niezwykła, biorąc pod uwagę zakończenie. Tak czy inaczej, prawa do współczucia nie mam, bo w końcu nawet nie był moim narzeczoną, prawda?

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie, to było dawno temu. - Wzruszyła ramionami.
- Porozmawiajmy o czymś miłym. A jeśli nie masz ochoty mówić, to ja mogę. Chcesz?

Maria chciała.

- Uporządkujmy to sobie - powiedziała sierżant Beata Drzymała, patrząc zamyślonym wzrokiem na front klasztoru.

Obok Teresa Scholz tkwiła po kolana w śniegu i dla rozgrzewki rozcierała sobie ramiona.

- Budynek otacza gruby mur, po którym na upartego ktoś silny i zręczny mógłby się wspiąć, choć nie byłoby to łatwe. Jest też brama, zamykana na noc, z żelaza. Ale wejście do ogrodu to połowa problemu, bo potem trzeba jeszcze dostać się do środka. Kiedyś były tu tylne drzwi, jednak parę lat temu zamknięto je na stałe i zabito gwoździami, żeby dzieciaki nie wymykały się na zewnątrz. Teraz jedynym wejściem do klasztoru jest to główne, gdzie dyżuruje furtianka. Siostra Anastazja, która siedziała przy furcie w noc zniknięcia Blanki, twierdzi, że nikt obok niej nie przechodził, a podobno była tam cały czas. Jasne, może kłamie, może wyszła na chwilę, choćby do ubikacji. Ale po pierwsze, toaleta jest niedaleko i człowiek siedzący w niej słyszałby kogoś wchodzącego głównym wejściem, a po drugie, i tak pozostaje problem, jak ten ktoś miałby otworzyć drzwi, które są zamknięte na klucz i solidny łańcuch. Mam rację?

- Tak. - Teresa skinęła głową.

- Latem można by jeszcze przypuszczać, że porywacz wszedł przez okno, choć podobno siostry pilnują, żeby nocą te na parterze były zamknięte, a do tych na piętrze trudno się wspiąć. Ale mamy środek zimy, nikt teraz nie otwiera okien...

- Chyba że ktoś z klasztoru specjalnie otworzył jedno, żeby porywacz mógł wejść - zauważyła Teresa. - Może ten... potwór był w zмовie z kimś stąd?

Beata po raz pierwszy spojrzała na nią z szacunkiem. A więc Teresa Scholz nie była taką bezmyślną myszą, na jaką wyglądała.

- To jest jakiś pomysł. Może porywacz spotkał na mieście któreś z dzieci i w zamian za pieniądze czy cukierki poprosił je o przysługę? Inna rzecz, że dorośli idący na taki układ sporo by ryzykował, bo przecież nie mógłby mieć pewności, że jego mały wspólnik czy tam wspólniczka wszystkiego nie wypaple.

- Dzieci potrafią dochowywać tajemnic. Zdziwiłaby się pani.

W tym momencie drzwi klasztoru otworzyły się i do ogrodu wysypała się grupa podopiecznych. Najmłodszy miał pięć, może sześć lat, najstarsi mogliby już chyba chodzić do liceum. Beata obserwowała ich przez chwilę. Dwie starsze dziewczynki objęły się i ruszyły na spacer, szepcząc do siebie z przejęciem, paru przyszczytanych chłopaków chyłkiem zmierzało w stronę przybudówki, pewnie po to, żeby wypalić po papierosie. Maluchy goniły się z wrzaskiem, rzucając śnieżkami. Tylko jeden stał z boku i smętnie patrzył na rówieśników. Podeszła do niego siostra zakonna, pochyliła się i coś zaczęła mówić, ale chłopczyk uparcie odwracał głowę.

- Krzysiek Skowroński - powiedziała Teresa. - Pijani rodzice tłukli go, aż mały nie mógł ustać na nogach, a on wciąż za nimi tęskni i nienawidzi nas, bo zabraliśmy go z domu. Życie jest paskudne, prawda?

Beata zgodziła się, że zasadniczo owszem, jest paskudne.

Jeden ze starszych chłopców przechodził właśnie koło rozbawionej grupy młodszych dzieci, kiedy wpadła na niego ciemnowłosa dziewczynka. Powiedział jej coś, po czym dziecko zaczęło uciekać z piskiem. Chłopak gonił je z rozcapierzonymi palcami, stąpając ciężko i krzycząc „u-huu!”.

- A to kto? - zapytała Beata, która wpadła na pewien pomysł.

- Damian Redlak.

- Mogę obejrzeć jego rzeczy?

- Nie wiem. - Teresa stropiła się. - Musiałabym zapytać siostrę przełożoną...

Sierżant odwróciła się i ścisnęła jej łokieć.

- Dajmy spokój siostrze przełożonej. Po co zawracać jej głowę? Tylko zerknę.

Teresa nie wyglądała na przekonaną, skinęła jednak i kobiety ruszyły w stronę klasztoru. W środku było niemal pusto, jedynie w pomieszczeniu nazywanym furtą siedziała zakonnica, a z kuchni dobiegały odgłosy krzątaniny, szcęk talerzy i skwierczenie tłuszczu na patelni. „Na obiad będą kotlety z mizerią”. Beata rozpoznała po zapachu.

Damian mieszkał w pokoju do złudzenia przypominającym

ten, w którym spała Blanka. Białe ściany, święte obrazki, równo zaścielone łóżka. Tylko na stole zamiast kredek i zeszytów leżały podręczniki do chemii i fizyki.

- Śpi tutaj. - Teresa wskazała łóżko pod oknem, przy którym stała niewielka szafka.

Beata pośpiesznie przejrzała jej zawartość. Nie było tego dużo: kilka par spodni, koszule i swetry, trochę bielizny rozciągniętej od częstego prania i pachnącej ostro szarym mydłem. W szufladzie znalazła grzebień, ręczną latarkę, rozkład jazdy pociągów i wycięte z gazety zdjęcie blondynki, która wyglądała na zagraniczną piosenkarkę czy aktorkę.

Nic więcej.

Zagryzła wargę. Może się pomyliła, może chłopak już dawno wyrzucił obciążające go dowody?

A może wciąż miała szansę?

- Z kim przyjaźni się Damian?

- Z Kubą - odpowiedziała bez namysłu Teresa. Może i wyglądała jak mysz, ale o wychowankach domu dziecka rzeczywiście sporo wiedziała. - Śpi przy drzwiach.

Sierżant zabrała się za przeszukiwanie kolejnej szafki. Tu rzeczy było więcej: podarte ubrania, rozdeptany kłapek, kapsle od piwa, jakieś kamienie - czy Kuba interesował się mineralogią? - parę komiksów o przygodach kapitana Żbika, cieknąca bateria i coś, co wyglądało na części rozłożonego mechanizmu, może niewielkiego silnika. Czy ten chłopak nigdy niczego nie wyrzucał? Jeśli tak, Beata mogła nabrać nadziei.

Wsunęła dłoń pod skarpetki i wymacała coś miękkiego. Chwyliła, jej palce zapadły się w chłodną masę.

- Co to? - zapytała Teresa, gdy sierżant wyciągnęła owalny kartonik, który z jednej strony oblepiała plastelina. Ktoś wyciął w nim otwory na oczy, a do brzegów przyszył zwykłą białą gumkę, tak by kartonik można było założyć na twarz niczym maskę.

- Podejrzewam, że to potwór, który w noc zniknięcia Blanki chodził po korytarzu. Zawoła pani Kubę? Chcę z nim porozmawiać.

- Powinnam powiedzieć siostrze przełożonej...

- Więc niech pani jej powie.

Pięć minut później chłopak siedział na łóżku naprzeciwko Beaty i wyzywająco patrzył jej w oczy. Był to chudy nastolatek z jasnymi włosami opadającymi na przyszczatą twarz. Miał cwaniacki uśmiech, pod którym usiłował ukryć zdenerwowanie.

- Co to jest? - zapytała Beata.

- A co, pani nie widzi? - Szczerzył zęby, ale z jego oczu wyglądał niepokój.

- Widzę, ale wolę, żebyś sam mi powiedział. Co to jest?

Wzruszył ramionami.

- No, zabawka, nie?

- Twoja?

- Nie.

- Skąd się tu wzięła?

- Nie mam pojęcia.

- Była w twojej szafce, pod twoją bielizną. Rozumiem, że każdy może tu wejść, obejrzeć twoje brudne gacie i włożyć do nich, co mu się podoba?

W oczach chłopaka znów coś błysnęło, tym razem chyba złość. Przez moment wyglądał, jakby miał zamiar strzyknąć śliną na podłogę, ale opanował się w ostatniej chwili.

- Dobra, niech będzie, to moje. Całkiem o tym zapomniałem. To była głupia zabawa, nie?

- Polegająca na czym?

- No, żeby wyjść na korytarz w tej masce i postraszyć dzieciaki.

- Zrobiłeś to?

Znowu wzruszył ramionami.

- Tej nocy, kiedy zniknęła Blanka?

- Jak pani wie, po co pani pyta?

- Synu, zapewniam cię, że nie chcesz zwracać się do mnie tym tonem.

Zamrugał i uniósł dłonie.

- W porządku, nie wiedziałem, że pani taka drażliwa.

- To jak było?

- No, wyszedłem w tej masce i trochę pochodziłem po

korytarzu. Tyle. Jakies dzieciaki zobaczyły mnie i zaczęły piszczeć.

- Wchodziłeś do pokoju Blanki?

Odwrócił wzrok.

- Wchodziłeś? - przycisnęła go Beata. - Jeśli powiesz mi teraz uczciwie, jak było, może nie będę potem pamiętała, żeby wspomnieć o tym siostrze przełożonej.

- Na chwilę tylko - przyznał z ociąganiem. - Drzwi zastawiła krzesłem, więc je odsunąłem. Ale jej już nie było.

- Uciekła przez okno?

- No.

- Skąd wiedziałeś, jak ten potwór ma wyglądać?

- Co? - Chłopak zmarszczył brwi.

Beata pokazała mu maskę. Zrobiona z plasteliny twarz była zdeformowana, pełna narośli, z wąskimi ustami i niekształtnym nosem.

- Czemu wybrałaś takie rysy, a nie inne? Czemu bulwiasty nos, a nie na przykład haczykowaty, czemu wąskie usta zamiast szerokich?

- Bo tak go Blanka opisała, nie? Ona ciągle gadała o tym potworze. Mówiła nam, jak wygląda, jak się porusza, takie tam. Ja i Damian myśleliśmy, że w jakimś filmie go zobaczyła.

- I postanowiliście ją dla żartu nastraszyć?

- To był dowcip, naprawdę. Nie chcieliśmy zrobić nic złego.

Beata westchnęła.

- W porządku, możesz iść. Maskę zatrzymam.

„Przynajmniej jedno się wyjaśniło”, pomyślała, patrząc na ulepioną z plasteliny twarz. Przenikające przez zamknięte drzwi potwory nie istnieją, są tylko głupie dzieciaki, które lubią znęcać się nad młodszymi.

Maria obracała list w dłoniach. Pismo na kopercie było eleganckie i jednocześnie rozedrgane - tak mógłby pisać ktoś, kto uczył się kaligrafii jeszcze w przedwojennej szkole, a teraz oczy i ręce już go zawodzą.

Obróciła kopertę i spojrzała na nadawcę: G. Suchocki. Nic jej to nie mówiło. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że tak ma na nazwisko ksiądz Grzegorz. Powinna natychmiast rozerwać kopertę i przeczytać zawartość, a jednak tego nie zrobiła - tchórzliwa część jej umysłu podpowiadała, żeby wrzucić list do pieca i zapomnieć o nim. Bo przecież wcale nie chciała wiedzieć, prawda? Co by to dało po tych wszystkich latach? Deklaracje o kierowaniu swoim życiem, kiedy człowiek ma wszystkie informacje, to tylko deklaracje. W gruncie rzeczy Maria była przekonana, że gdyby wiedziała, co przydarzyło się małej Marysi, jej życie byłoby tak samo beznadziejne.

Może ciotka miała rację, może Maria powinna dziękować Bogu za łaskę zapomnienia i o nic nie pytać?

Lecz odpowiedź miała prawdopodobnie w rękę, tak blisko... Po cóż innego ksiądz Grzegorz miałby do niej pisać?

Usiadła przy stole, położyła kopertę obok szklanki z herbatą i patrzyła na nią przez chwilę. Potem wstała, przeszła się po kuchni. Zaparzyła jeszcze jedną herbatę, zmyła talerz po śniadaniu, zaczęła czytać gazetę. Próbowwała zająć się czymkolwiek, ale każdą czynność zaraz przerywała, a jej oczy wciąż uciekały w stronę leżącej na stole koperty.

Chcesz wiedzieć czy nie?

„Dość tego - pomyślała. - Albo to wyrzucić, albo przeczytać”.

Usiadła i rozerwała kopertę.

Droga Mario,

zapewne domyślasz się, w jakiej sprawie do Ciebie piszę. Pytałaś mnie ostatnio, czy Twoja ciocia rozmawiała ze mną o tym, co Ci się przydarzyło, tak zwyczajnie jak z przyjacielem. To prawda. Emilia wyznała wszystko podczas spowiedzi, a potem powtórzyła to jeszcze raz - tylko raz - podczas rozmowy i nigdy nie prosiła o dyskrecję, do mnie więc należy decyzja, czy potraktować tę informację jako tajemnicę, czy nie. A decyzje są tak trudne, prawda? Może Emilia nie wspomniała o dyskrecji, bo było to dla niej oczywiste, może w tej chwili jedynie wyobrażam sobie, że zmarła nie miałaby nic przeciwko temu, abym po-

wtórzył Ci to, co powiedziała dawno temu mnie. Mówiąc „zmarły by tego chciał”, ludzie zaskakująco często mają na myśli to, czego sami by chcieli.

Tak czy inaczej, ja decyzję już podjąłem i jestem gotów ponieść jej konsekwencje - czy to tutaj, na ziemi, czy przed sądem boskim w niebie.

Być może przeczytawszy ten list, dojdiesz do wniosku, że lepiej byłoby, gdybym milczał. Nie będę Cię za to winił. To, co zamierzam napisać, nie będzie przyjemne, ale jak sama mówiłaś, człowiek ma prawo znać prawdę na swój temat.

Ostrzegam Cię jednak, że potem nie będzie już odwrotu. Nie sądzę, żeby udało Ci się zapomnieć po raz drugi.

Zanim przejdę do rzeczy, chcę jeszcze tylko napisać, że gdyby coś takiego wyznała mi inna kobieta, prawdopodobnie pomyślałbym, że poniosła ją wybujała wyobraźnia. Emilia jednak nie tylko zawsze była wzorem rozsądku i trzeźwości umysłu, ale też sporo podczas wojny widziała - w tym rzeczy, jakich nie powinien oglądać żaden człowiek. Dlatego wierzę, że prawidłowo rozpoznała to, co miała przed oczami.

Nie istnieje delikatny sposób przekazania tego, napiszę więc wprost: Gdy wróciłaś z lasu, miałaś zakrwawioną sukienkę, nie lekko zaplamioną jak od niewielkiej rany, ale całą sztywną od zaschniętej posoki. Miałaś także w splątanych włosach odłamki czaszki oraz strzępy materii mózgowej, najprawdopodobniej ludzkiej. Pytałem Twoją ciotkę, a ona potwierdziła, że ma pewność, iż to właśnie widziała. Uwierzylem jej.

Przykro mi, że mój list sprawił Ci ból, bo z pewnością tuk się stało. Uczyniłem jednak zadość Twojej prośbie i napisałem prawdę. Mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku przyniesie Ci ona oczyszczenie.

Z Bogiem, Moje Dziecko, z Bogiem
Grzegorz Suchocki

Część V: Szmaja

Październik 1955 roku

Chłopiec doskonale pamiętał moment, gdy po raz pierwszy zobaczył dziewczynkę. Było to rankiem w zimny jesienny dzień, kiedy usiłował rozpalić ognisko z wilgotnych po nocy gałęzi. Udało mu się wreszcie skrzesać nikły płomień i nad polaną rozpełzł się ciężki szary dym.

Chłopiec zakaszał, a potem uniósł głowę, usłyszawszy odgłos kroków.

Ojciec podszedł, trzymając za rękę dziewczynkę w cienkiej sukience i lichych bucikach, które nie nadawały się do chodzenia po lesie.

- Kto to? - zapytał chłopiec.

- Twój urodzinowy prezent - oznajmił ojciec. - Pamiętasz? Mówiłeś, że nie masz się z kim bawić.

- Urodziny miałem dwa miesiące temu.

- W takim razie to spóźniony urodzinowy prezent.

- Skąd ją wzięłeś?

- Znalazłem i teraz zostanie z nami. Zaopiekujemy się nią, pokażemy, jak walczyć z potworami.

Chłopiec przyjrzał się dziewczynce krytycznie.

- Jest za mała i za słaba. Nie da sobie rady.

- Jeszcze zobaczysz. Daj jej jeść.

Wzruszył ramionami, a potem rzucił dziewczynce kawałek pieczonej wiewiórki. Musiała być głodna, bo jadła szybko i nawet ogryzła kostki.

- Jak ci na imię? - zapytał, kiedy skończyła.

- Marysia - odpowiedziała.

- Umiesz strzelać?

- Nie.

- A zastawiać sidła?
- Nie.
- Gotować albo rozpalać ogień?
- Nie.
- W takim razie jaki z ciebie pożytek? - Chłopiec parsknął i zniknął w szalasię, skąd po chwili wynurzył się z kocem. - Masz, ogrzej się, bo zmarzniesz.
- Mogę zostać z wami? - zapytała.
- Jesteś z miasta - powiedział. - Miejsce takich jak ty jest tam, a nie w lesie.
- Moja ciotka mnie nie lubi.
- Uciekłaś jej?
- Nie, zbierałyśmy grzyby i się zgubiłam. Ale nie chcę wracać. Ciocia znowu kazałaby mi klęczeć przed świętym obrazkiem, a potem poszłabym spać bez kolacji.
Chłopiec z zaciśniętymi ustami patrzył w ciemny las. Wcale nie chciał takiego urodzinowego prezentu. Po co mu dziewczynka, która niczego nie potrafi?
- Mogę zostać?
Odwrócił się niechętnie. Marysia wciąż na niego patrzyła. Miała bardzo ładne błękitne oczy, ufne jak oczy kociaka, którego kiedyś przyniósł do domu ojciec, a którego matka utopiła w beczce z deszczówką, mówiąc, że zwierzęta tylko zarazki roznoszą.
- Pod warunkiem że będziesz mnie we wszystkim słuchać, rozumiesz?
Pokiwała gorliwie głową - i chyba właśnie w tym momencie zaczął ją lubić.

Luty 1985 roku

1

Ten pogrzeb był inny - w zawiei, gdy pod płaszczę i kurtki wciskały się lodowate podmuchy, a drobiny zmarzniętego śniegu cięły twarze niczym małe ostrza. Maria ledwie

słyszała porywane przez wiatr słowa księdza. Mówił o tym, że Bóg najchętniej doświadcza tych, których najbardziej kocha, o nagrodzie za cierpienie i nowym, lepszym życiu w niebie. Brzmiało pięknie, lecz matka Asi nie chciała takich pocieszeń - jej potrzebna była żywa córka, dziecko, które leżało teraz zimne w ziemi, a nie puste słowa. Maria widziała to wyraźnie w jej pełnej rozpacz i gniewu twarzy. Gdy trumnę opuszczano na pasach, z gardła kobiety wydarł się szloch, który przypominał wycie zranionej wilczycy. Dwie osoby musiały ją przytrzymać, kiedy słała się nad otwartym grobem. Maria odwróciła wzrok. Jagoda Grabkowska wydawała się w tej chwili naga, w jej oczach nie było nic ludzkiego, tylko czysta zwierzęca groza spotkania z okrucieństwem przekraczającym pojęcie.

Kondolencje brzmiały płasko i fałszywie, zresztą matka Asi nawet ich nie słuchała. Ktoś za plecami Marii szepnął, że podobno ojciec dziewczynki wciąż żyje, ale rokowania lekarzy nie są optymistyczne, ktoś inny dodał, że mężczyzna prawdopodobnie umrze, bo stracił całą chęć do życia. Maria objęła spojrzeniem żałobników. Na pogrzebie zjawilo się zaskakująco dużo osób, więcej niż na ceremonii poświęconej pamięci Emilii Orawskiej. Demonstracja solidarności czy zwykła ciekawość?

W tłumie wyczuwała narastające napięcie. Jedno brutalne morderstwo było tragedią, dwa prawdopodobnie oznaczały początek serii, która już kładła się nad miastem mrocznym cieniem. Ludzie wydawali się nawet nie tyle pogrążeni w smutku, ile raczej... gniewni? Tak, Maria wyraźnie czuła ich wściekłość. Gdyby morderca wpadł im w ręce, nie ręczyłaby za jego życie.

Po plecach przebiegł jej dreszcz, gdy patrzyła na zacięte twarze żałobników. Wokół zrobił się ścisk, ktoś M[^]rię popchnął, ktoś inny wbił łokieć pod zebra. Syknęła z bólu. Starszy mężczyzna obrócił się, mówiąc odruchowo „przepraszam”, ale kiedy zobaczył, kto za nim stoi, w jego oczach pojawił się chłód. Ludzie zachowywali wobec niej dystans. Owszem, odpowiadali na powitania, a nawet podawali ręce, ale ich uściski były krótkie i niechętne. Szybko też kończyli rozmowy. Już nie

zagadywali, co u Marii słyhać, nie dopytywali o jej zdrowie i nie opowiadali codziennych ploteczek. Nie była wyrzutkiem - jeszcze nie, ale znalazła się na najlepszej do tego drodze.

Dwa czy trzy razy wyłapała strzępy rozmów toczonych za jej plecami: „Nie byłaby przecież zdolna...”, „Ja myślę...”. Brutalność obu zabójstw działała na jej korzyść - mało kto wierzył, że kobieta, nawet wysoka i silna, zdołałaby rozbić głowę nastolatka. Jednak to, że właśnie ona znalazła zwłoki, w pewien sposób ją napiętnowało. Jak w prymitywnych społecznościach, gdzie kontakt z martwym ciałem sprawia, że człowiek staje się nieczysty. Czy w jej świecie istniały rytuały, dzięki którym mogłaby to piętno zmyć? Jakies sąsiedzkie pogaduszki, przyniesienie samodzielnie upieczonego ciasta? Może powinna o wszystkim opowiedzieć, nie mieć już żadnych więcej tajemnic? Maria uśmiechnęła się gorzko. Nigdy nie była dobra w towarzyskich niuansach i teraz to ją gubiło. Łatwo mogła sobie wyobrazić ludzi szepczących do siebie: „Zawsze była inna, dziwna, zadzierała nosa, bo niby z wielkiego miasta przyjechała, nie chciała się z nami zadawać...”.

Wypatrywała w tłumie przyjaznej twarzy Ali, ale koleżanki nie było. Marię to lekko zaniepokoiło. Przypomniała sobie dom, w którym dziewczyna mieszkała, ten staroświecki salonik, dobiegający z piętra szept... Przez moment niemal uwierzyła w scenariusz jak z wiktoriańskiej powieści: Ala w roli uciśnionej i niewinnej panny, Piotr jako tyranizujący ją, przykuty do łóżka potwór kaleka.

Zaraz jednak przywołała się do porządku. Alicja przecież chodziła zwyczajnie do pracy, spotykała się z przyjaciółmi. Trudno przypuszczać, żeby ktoś zamykał ją w domu. Może miała dziś inne zajęcia, a może po prostu zaraziła się od brata grypą. Przy tej pogodzie to nic dziwnego, połowa obecnych na pogrzebie kaszlała albo smarkała w wyciągnięte z kieszeni zmięte chusteczki.

Ktoś z tyłu położył rękę na jej ramieniu. Maria odwróciła się gwałtownie.

- Przepraszam, nie miałem zamiaru cię wystraszyć. Chciałem się tylko przywitać.

Rysiek Stenzel stał z zakłopotaną miną, jakby dotykając Marii, dopuścił się poważnego nietaktu. Zaraz cofnął rękę i przeczesał nią od dawna niemyte włosy.

- Sporo ludzi, prawda? - zapytał.

- Tak, nie spodziewałam się, że przyjdzie aż tyle.

Nie tylko jego włosy wyglądały kiepsko. Rysiek pod oczami miał głębokie cienie, a wokół oczu na poszarzałej skórze rysowały się zmarszczki, których nie widziała jeszcze tydzień temu.

- Rodzina Asi jest tu znana, a sama Asia... - Głos mu się załamał i Maria przez chwilę bała się, że mężczyzna wybuchnie płaczem. Opanował się z trudem. - Masz wolną chwilę? Może moglibyśmy porozmawiać?

Między grobami dostrzegła sierżant Beatę Drzymałę. Była ubrana po cywilnemu, ale stała w pewnej odległości, jakby demonstrując, że zjawiała się tu nie po to, żeby opłakiwać zmarłą. „Szuka mordercy? - zastanowiła się Maria. Podobno oni często przychodzą na pogrzeby swoich ofiar”.

- Masz chwilę? - powtórzył Rysiek.

- Nie teraz, przepraszam. Może później.

- Tak. - Uśmiechnął się smutno. - Może później.

Czuła na plecach jego wzrok, gdy kierowała się w stronę milicjantki, ostrożnie lawirując między grobami i żałobnikami. Podmuchy wiatru niosły ze sobą śnieg i słowa składanych kondolencji: „Wyrazy współczucia...”, „Takie nieszczęście...”, „Urocze dziecko...”. Niekończący się sznur ubranych na czarno postaci przesuwających się przed Jagodą Grabkowską. Maria od czasu do czasu widziała jej twarz ponad ramieniem kolejnej osoby - była blada, niemal przezroczysta, jak twarz przybywającej z zaświatów zjawy.

Sierżant Drzymała wciąż stała w pewnej odległości od reszty zebranych, teraz odwrócona plecami.

- Przepraszam, ja...

Obejrzała się i Maria zrozumiała, że popełniła błąd: to nie była milicjantka, tylko obca kobieta, zresztą szczuplejsza od sierżant i ładniejsza. Podobne miały tylko szare płaszcze i ciemne włosy.

- Proszę wybaczyć. Nie wiedziałam...

Kobieta miała piękne błękitne oczy i do Marii nagle dotarło, na kogo patrzy - pamiętała zdjęcie równie ładnego chłopca, które jakiś czas temu widziała w gazecie.

- Pani jest matką Pawła Kurzei - powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Tak.

- Przepraszam, wzięłam panią za kogoś innego. Maria Lenarczyk - przedstawiła się odruchowo.

- Natalia Kurzeja. - Kobieta nadal wpatrywała się w nią błękitnymi oczami. Był to dziwny wzrok: taksujący, niemal dziecięcy, jakby śmierć syna wyzwoliła ją z konieczności przestrzegania konwenansów i Natalia nie musiała już ukrywać, że ocenia napotkanych ludzi.

Pod wpływem tego spojrzenia Maria poczuła się nieswojo.

- Niektórzy mówią, że zabiła pani mojego Pawła.

- Wiem.

- Zrobiła to pani? - Spokojny ton bez śladu zmieszania i wciąż ten baczny, pytający wzrok.

- Nie. - W głosie Marii zabrzmiało lekkie wahanie, ale Natalia nie zwróciła na to uwagi.

- Wierzę pani. - Skinęła z powagą głową. - Mój Paweł był dużym, silnym chłopcem. Nie dałaby mu pani rady.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Coś drgnęło w nieruchomej twarzy Natalii. Jakby głębinowa ryba na moment zbliżyła się do gładkiej powierzchni morza.

- Parę dni przed śmiercią Paweł pokłócił się z kolegą, widziałam to z balkonu, kiedy wołałam go na obiad. Przyszedł do domu zirytowany, choć bardzo rzadko się na kogoś gniewał. Był radosnym, miłym dzieckiem, wszyscy go lubili i on lubił wszystkich.

Maria mruknęła coś niezobowiązującego.

- Wydawało mi się to nieważne. Jedna z tych kłótni, które człowiek tak przeżywa, kiedy ma kilkanaście lat, a które u dorosłego budzą już tylko uśmiech. - Natalia Kurzeja mówiła bardziej do siebie niż niej. - Ale on się tym gryzł przez kilka dni, a ja nadal nie zapytałam, co się stało. Miałam swoje drobne głupie problemy i uznałam, że wszystko jakoś się ułoży... Teraz

się zastanawiam, czy tamta kłótnia nie miała czegoś wspólnego z jego śmiercią, może gdybym wtedy z Pawłem porozmawiała, to on wciąż by żył? A wie pani, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

- Co takiego?

- Setki razy odtwarzałam w głowie wydarzenia tamtego popołudnia i im dłużej myślałam, tym bardziej dochodziłam do wniosku, że ten chłopiec, z którym Paweł się pokłócił, w jakiś sposób... nie pasował do mojego syna.

- Nie pasował? - Maria zmarszczyła brwi, nagle zainteresowana.

- Trudno to wyjaśnić. Paweł miał mnóstwo kolegów, niektórzy często bywali u nas w domu, innych widywałam przelotnie przy różnych okazjach albo tylko o nich słyszałam. Nie zdziwiłam się więc, że mój syn rozmawia z chłopcem, którego nie znam, ale on...

- Wyglądał ubogo?

- Nie tylko. Paweł przyjaźnił się z dziećmi z niezamożnych rodzin, nie jesteśmy przecież snobami. Bardziej chodzi o... Sama nie wiem, po prostu wyglądali, jakby obracali się w zupełnie innych kręgach, jeśli pani rozumie, o czym mówię.

- Rozumiem. Może spróbuje pani opisać tego chłopca?

- Zwyczajny, jasnowłosy, nijaki. Miał zieloną kurtkę, chyba trochę na niego za dużą, i zniszczony plecak szkolny. Myśli pani, że to mógł być Wojtek Kapuściak, o którego pytała mnie milicja? Był pani uczniem?

Maria skinęła głową.

- Tak, pamiętam jego zieloną kurtkę i plecak też. Myślę, że powinna pani komuś o tym powiedzieć. Może pani pójść ze mną, przed chwilą widziałam tu gdzieś tę milicjantkę. - Rozejrzała się.

Tłum zebrany wokół świeżego grobu nieco się przerzedził, część osób zmierzała już do cmentarnej bramy i Maria bez trudu zauważyła sierżant Beatę, która rozmawiała właśnie z ciotką Asi.

- Pani wie, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytała Natalia Kurzeja, kiedy szły w stronę milicjantki.

- O co chodzi?

- Uczyła pani chłopca, który zmarł jako pierwszy, a potem ta dziewczynka, też pani uczennica. W dodatku pani znalazła jej ciało. Ludzie mówią, że wszystkie te morderstwa mają coś wspólnego z panią, że nawet jeśli pani nie jest winna, to wie, kto zabija. - Chwyciła Marię za ramię, aż kobieta krzyknęła z bólu. - To prawda? Może boi się pani tego mordercy, dlatego go kryje? Jeśli tak, może pani powiedzieć tylko mnie, w tajemnicy...

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. - Maria wyrwała się i podeszła do sierżant, która już sama stała pod ośnieżonym dębem.

- Musimy porozmawiać - powiedziała - ale najpierw powinna pani wysłuchać pani Natalii.

- W porządku, może odprowadzą mnie panie do auta? Chyba że wolicie usiąść gdzieś i porozmawiać na spokojnie?

Natalia zaprzeczyła, Maria również. Ruszyły w trójkę do bramy, wyprzedzając po drodze grupkę staruszek. Matka Pawła powtórzyła to, co mówiła wcześniej, a sierżant zapytała, czy zgodziłaby się rozpoznać Wojtka na zdjęciu. Maria milczała, pogrążona we własnych myślach.

Gdy dotarły do ukrytego w bocznej uliczce milicyjnego poloneza, śnieg akurat przestał padać. Natalia Kurzeja wcisnęła rękę w kieszenie płaszcza i zgarbiła się.

- Pożegniam się już - powiedziała. - Mam nadzieję, że choć trochę pomogłam.

- Bardzo pani pomogła - zapewniła ją sierżant.

Matka zmarłego chłopca uśmiechnęła się smutno.

- Miałam poczucie winy wobec Pawła... Ze go zawiodłam, kiedy najbardziej mnie potrzebował, że nie byłam wystarczająco dobrą matką. Zrobiłabym wszystko, żeby dorwać człowieka, który skrzywdził moje dziecko. Tylko co ja właściwie mogę?

- Proszę zostawić to nam. Znajdziemy mordercę.

Skinęła głową i odeszła, samotna szczupła figurka idąca ostrożnie po oblodzonym chodniku.

- Pani też chciała ze mną porozmawiać? - Sierżant spojrzała

na Marię.

- Tak. - Kobieta wyjęła z kieszeni płaszcza list. - Powinniście przeszukać drugi raz tę polanę. Myślę, że pod śniegiem są jeszcze jedne zwłoki, sprzed trzydziestu lat.

2

- Co o tym sądzisz? - Beata patrzyła na Bogusza, który przysiadł na biurku z listem od księdza Grzegorza w ręku.

- Sam nie wiem. To wszystko wydaje się zbyt... fantastyczne? Mała dziewczynka gubi się pewnego dnia w lesie, a potem wraca cała pokryta krwią, ze strzępami mózgu we włosach? I mamy na potwierdzenie tylko słowa jej ciotki, przekazane przez starego księdza?

- Ksiądz jest stary, ale sprawia wrażenie sprawnego umysłowo. - Sierżant przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła nie dalej niż pół godziny temu.

- Nie posądzam go o fantazjowanie, ale to wszystko może mieć zwyczajne wytłumaczenie. Dziecko było zakrwawione, bo się zraniło, a we włosach miało cokolwiek, nie wiem, śmieci, liście, jakieś robactwo. Dziewczynka błąkała się samotnie po lesie. Bóg jeden wie, jakie obrzyd- listwa mogły się do niej przyczepić. A jeśli nawet to rzeczywiście były kawałki mózgu, nie sądzę, żeby jej ciotka potrafiła odróżnić zwierzęcy od ludzkiego. Może mała trafiła na padlinę...

- I wytarzała się w niej? Daj spokój, Adam. Sam słyszysz, jak to brzmi.

Porucznik wzruszył ramionami.

- Twierdzę tylko, że powinniśmy wszystko porządnie przemyśleć, zanim rzucimy się z łopatami przekopywać las.

Beata przyglądała mu się uważnie.

- Boisz się, że jeśli pójdziesz z tym do szefa, on zgodzi się na poszukiwania, a my niczego nie znajdziemy, to zaszkodzi twojej karierze, tak?

Skrzywił się lekko i sierżant wiedziała już, że trafiła.

- Chcę najpierw się zastanowić, w porządku?

Podniosła rękę.

- Jasne, nie ma sprawy. To twoje śledztwo, ty tu rządzisz.

- Przeglądałaś akta z pięćdziesiątego piątego?

- Tak, ale nie było w nich nic ciekawego. Maria Lenar- czyk zaginęła 6 października i odnalazła się tydzień później. Człowiek, który ją przyprowadził, zeznał, że dziecko miało zakrwawioną sukienkę, ale nie powiedział konkretnie, ile tej krwi było. Tak czy inaczej, ciotka dziewczynki nie życzyła sobie śledztwa, więc sprawę szybko zamknięto. Jest też pewna ciekawostka: jednym z milicjantów, którzy rozmawiali wtedy z Emilią Orawską, był chorąży Zdzisław Kurzeja, stryj Tadeusza Kurzei.

- Ojczyrna Pawła?

- Tak. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Szczerze mówiąc, nie sędzę. Pewnie to przypadek. Facet zmarł w siedemdziesiątym czwartym, więc od niego niczego się już nie dowiemy. Został jego partner Leonard Nawrocki, który piętnaście lat temu przeszedł na emeryturę. Właśnie próbuję go namierzyć.

- Dobra, dajmy temu na razie spokój i zastanówmy się nad innymi kwestiami.

- Na przykład czy te dwa potwory są do siebie podobne? - Beata wyjęła z szuflady biurka znaną w domu dziecka maskę z pokrytego plasteliną kartonu i przypięła ją na tablicy obok rysunku Wojtka.

Porucznik parsknął cicho.

- Gdyby parę tygodni temu ktoś mi powiedział, że w ramach obowiązków służbowych będę się zajmował porównywaniem dziecięcej twórczości, zaśmiałbym się mu w twarz.

- Nie marudź, tylko się przyjrzyj. Twoim zdaniem to mogą być portrety tej samej prawdziwej osoby?

- Nie wiem. - Bogusz zawahał się. - Ten bulwiasty nos, małe oczy... Ale założę się, że gdybym poprosił dowolnego dzieciaka, żeby narysował mi potwora, pewnie dostałbym coś bardzo podobnego.

- Masz rację. - Zniechęcona Beata odsunęła się od tablicy. -1 nie możemy przecież aresztować wszystkich, którzy mają duże nosy. Jeśli znajdziemy aparat Asi, może ten człowiek będzie na zdjęciach.

- Jeśli go znajdziemy. Zastanawiałem się swoją drogą, czemu dziewczynka była bez kurtki. Bo ktoś zabił ją w mieszkaniu, nie na zewnątrz?

- Wchodząc do czyjegoś domu, zdjęłaby też pewnie buty - zauważyła Beata. - A te wciąż miała na sobie.

Porucznik skinął głową.

- Czyli zakładamy wstępnie, że Asia Grabkowska zginęła w miejscu, gdzie zdejmuje się kurtkę, ale nie buty. W jakimś zakładzie pracy? Szkole? Przychodni? Jakimkolwiek innym budynku publicznym? Myślałem też nad tym rozdarciem na swetrze. Wygląda, jakby ktoś rozciął go nożem...

- Tylko po co ktoś uzbrojony w nóż miałby rozbijać dziecku głowę? - uzupełniła Beata. - Kolejne pytanie do kolekcji, co? Dobrze przynajmniej, że dzięki Natalii Kurzei wiemy już, co Wojtek robił przez całe popołudnie i dlaczego się powiesił.

- Szukał kumpla z dawnych czasów, a kiedy wreszcie go znalazł, ten się na niego wypiął. Możemy założyć, że Paweł i Wojtek zetknęli się gdzieś jako małe dzieci i przynajmniej przez jakiś czas trzymali razem. Potem stracili kontakt i teraz, po latach, Wojtek próbował odnowić znajomość. Pewnie liczył, że przyjaciel go pamięta, może traktował to jako ostatnią szansę na znalezienie bratniej duszy. Problem w tym, że Paweł nie był już słodkim kilkulatek, a ósmoklasistą poważnie myślącym o przyszłości, i nie miał najmniejszej ochoty zadawać się z upośledzonym umysłowo kozłem ofiarnym.

- Wtedy biedny chłopiec się załamał. - Beata westchnęła. - Cóż, przynajmniej zyskaliśmy dowód, że ta dwójka naprawdę się znała. To już coś.

- Co nie zmienia faktu, że wciąż mamy więcej pytań niż odpowiedzi - mruknął Bogusz.

Sierżant nie mogła się z nim nie zgodzić. Od morderstwa Asi Grabkowskiej wszyscy, którzy byli w jakimkolwiek sposób związani ze śledztwem - czyli praktycznie cała komenda - żyli w nieustannym napięciu, nie dosypiali, w pracy wypijali niezliczone szklanki kawy, a w domu usiłowali z lepszym bądź gorszym skutkiem wytłumaczyć rodzinie przyczyny kolejnych spóźnień. Beata widziała wokół same poszarzałe, ściągnięte

twarze, a w pomieszczeniach, do których wchodziła, atmosfera podenerwowania była równie wyraźna jak wiszący w powietrzu szary papierosowy dym. Jednak Bogusz znajdował się w najgorszej sytuacji - to śledztwo mogło go albo wynieść na szczyt, albo pogrążyć. Sprawiał wrażenie kogoś, kto dobrze znosi napięcie, prawdę mówiąc, wydawał się spokojniejszy i pewniejszy sukcesu niż większość jego podwładnych.

Czasem tylko Beata łapała go na tym, jak z zaciśniętymi ustami wpatruje się w padający za oknem śnieg albo przysypia nad stertą papierów. Tydzień, powiedział, że złapią mordercę w tydzień, z którego zostało już tylko pięć dni. Sierżant bardzo chciała wierzyć, że im się uda, w miarę jednak, jak mijały kolejne godziny, miała coraz więcej wątpliwości.

3

Maria wracała z cmentarza, kiedy zatrzymała się obok niej zielona syrenka. Szyba od strony kierowcy zjechała i z auta wyrzała Krystyna, ciotka Asi.

- Wraca pani do domu, pani Mario? Może panią podwieźć?

- Nie trzeba, złapię autobus.

- Większość teraz albo się spóźnia, albo wcale nie jeździ. Proszę wsiadać, podrzucę panią przynajmniej do stacji kolejowej.

Maria zawahała się. Rzeczywiście autobus, którym jechała na pogrzeb, zjawił się z trzydziestominutowym opóźnieniem, tak że do kościoła dotarła dopiero w połowie mszy. A ze stacji mogła dojść do domu pieszo.

- Dziękuję. - Wsunęła się do ciepłego auta.

- Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli po drodze zajrzę do szkoły?

- Do szkoły? - Maria zdecydowanie zbyt wolno myślała.

- Zgłosiłam się, żeby pomóc w przygotowaniach przed Dniami Miasta. Wiem, ludzie pogrążeni w żałobie powinni siedzieć w domu i płakać, ale ja zawsze wołałam coś zrobić. Nawet nie mogę do siostry wpaść, bo teraz cały czas spędza w szpitalu przy Staszku. Od razu po pogrzebie do niego poszła.

- Jak się czuje pan Stanisław?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Fizycznie nie najgorzej, ale chyba nie ma już siły walczyć.

- Przykro mi. - Maria zastanowiła się, jak często ostatnio powtarzała te słowa i jak rzadko miały one jakikolwiek sens.

Krystyna skręciła w ulicę Wrocławską.

- Wpadnę do szkoły na chwilę. Dziś tylko dzielimy zadania, więc zaraz będziemy mogły jechać dalej - wyjaśniła. - Myślałam, żeby upiec struclę z makiem. Zazwyczaj nieźle mi wychodzi. No i ma tę zaletę, że będzie się dobrze kroić na straganie. Co pani o tym sądzi?

- Strucla to niezły pomysł.

Zatrzymały się przed budynkiem szkoły. Maria spodziewała się, że ciotka Asi wysiądzie, ale ona niespodziewanie uderzyła rękami w kierownicę, a potem zgarbiła się w suchym szlochu.

- Szlag - powiedziała. - Jasna cholera.

Maria położyła rękę na jej drżącym ramieniu i czekała cierpliwie.

- Wie pani - głos Krystyny był głuchy, stłumiony - milicja przyszła do Jagody zaraz po tym, jak Aśkę znaleźli. Moja siostra była wtedy w szpitalu, więc ja musiałam im otworzyć, zaprowadzić do pokoju dziecka. A oni wszystko przetrząsnęli, Aśki zeszyty, książki, zdjęcia, pamiętnik nawet. I niczego nie znaleźli. Boże, co to za świat, w którym dzieją się takie rzeczy?!

Maria nie miała pojęcia, czy kobieta ma na myśli śmierć siostrzenicy, czy brak szacunku dla jej własności. Może zresztą jedno i drugie.

Ktoś zapukał w szybę od strony pasażera i Krystyna wyprostowała się gwałtownie. Oczy miała suche, usta zaciśnięte w gniewie. Maria otworzyła drzwi.

- O, dobrze, że jesteś - powiedziała stojąca na chodniku zarumieniona Alicja. - Jednak zdecydowałaś się nam pomóc?

- Nie, pani Krystyna obiecała podrzucić mnie do domu... - Maria zaplątała się i poszukała pomocy ciotki Asi, ale ta już zdążyła wysiąść.

Po załamaniu sprzed chwili nie było śladu i kobieta była energiczna jak zawsze.

- Obawiam się...

- Że pomoc przy festynie to nie twoja działka, rozumiem - dokończyła Ala. - W porządku. Wejdz choć na chwilę, napijesz się herbaty. Obiecuję, że nie będziemy gonić cię do pracy.

Dziesięć minut później Maria stała z parującą szklanką w kącie pokoju nauczycielskiego, starając się nie rzucać w oczy. Byli tu Jadzia Siwczyk, Stasia Mederska, Ewa Baran, a nawet Karol Górny, choć akurat jego trudno było posądzać o społecznikowskie zacięcie. Wielu miało jeszcze na sobie czarne pogrzebowe stroje.

Maria zatrzymała Alę, która pędziła gdzieś z tacą.

- Myślałam, że przyjdiesz na pogrzeb Asi - powiedziała.

- Chciałam, ale Piotr złapał paskudne przeziębienie i prosił, żebyśmy została.

Alicja zniknęła, by przynieść jeszcze jedną tacę, a Maria została sama. Od czasu do czasu ktoś spoglądał w jej stronę i szybko odwracał wzrok. Czula się tu źle, nie na miejscu w tej atmosferze przyjacielskiej zażyłości. Miała też wrażenie, że niezależnie od tego, jak bardzo wciska się w kąt, i tak wszystkim przeszkadza; pokój nauczycielski był mały, ludzie bezustannie wpadali na siebie, było duszno od papierosowego dymu i pary unoszącej się z ubrań schnących w ciepłe rozgrzanego pieca. Marii zakręciło się w głowie. Wyszła, pomrukując „przepraszam”. Stała przy uchylonym oknie na korytarzu i przez chwilę oddychała świeżym powietrzem.

- Piękny pogrzeb, prawda? - powiedział Karol, który pojawił się niespodziewanie za jej plecami. - Byłaś? Rysiek cię tam szukał. Znalazł?

- Tak.

- Porozmawialiście sobie?

- Nie mieliśmy okazji.

- Biedaczysko pewnie był bardzo rozczarowany. - Karol oczy miał zmrużone, wokół ust rysowały się głębokie bruzdy. Palił papierosa i spoglądał na Marię z lekką kpina. - Wiesz, połowa tych tam - wskazał głową pokój nauczycielski - uważa, że masz coś wspólnego z tymi zbrodniami, a druga połowa podejrzewa naszego uroczego Ryśka.

- Nie rozumiem. - Maria zamruwała. - Dlaczego Rysiek miałby...?

Karol roześmiał się.

- Czasem naprawdę jesteś naiwna jak dziecko. Siedzisz sobie w swoim kącie, myślisz Bóg wie o czym i nie masz bladego pojęcia, co się wokół dzieje. Mam rację?

Maria poczerwieniała. Na szczęście w tym momencie z pokoju nauczycielskiego wyszła Krystyna, wkładając płaszcz.

- Możemy jechać - rzuciła. - Przepraszam, że tak długo panią przetrzymałam. W zamian podrzucę panią pod sam dom, zgoda?

- Nie trzeba, naprawdę.

- Żaden kłopot. Zresztą i tak nie mam dzisiaj już niczego do roboty.

- Zgodzili się na struclę? - zapytała Maria, gdy syrenka ruszyła spod szkoły.

- Tak, chociaż musiałam walczyć z panią Jadzią. W końcu dogadałyśmy się, że ona robi jabłkową, a makową zostawi mnie. Mam nadzieję, że Dni na tym nie ucierpią: czasem ta cholerna strucla mi wychodzi, a czasem nie.

- Będzie dobrze - powiedziała Maria odruchowo, patrząc na wycieraczki, które pracowicie ścierały śnieg z przedniej szyby. Zacisnęła dłonie, myśląc o rysunkach Wojtka, których nie dane jej było obejrzeć, bo wszystkie skończyły w piecu. Rysunki Wojtka, a teraz zdjęcia Asi. To było zbyt kuszące, by przynajmniej nie spróbować. - Pani Krystyno... - zaczęła niepewnie.

- Tak? - Kobieta zwolniła przed przejściem dla pieszych.

- Czy mogłabym... Czy istnieje szansa, żebym obejrzała zdjęcia zrobione przez Asię?

Ciotka dziewczynki zmarszczyła brwi.

- Po co? Milicja już je oglądała.

- Wiem, ale myślę... Z jakiegoś powodu mam wrażenie, że mogłabym zauważyć coś, co przegapili inni.

Krystyna uśmiechnęła się bez prawdziwej wesołości.

- A więc jest trochę prawdy w tym, co ludzie gadają, co? Że

pani wie o tych morderstwach więcej niż inni? W porządku - dodała, kiedy Maria chciała zaprotestować. - Ani przez chwilę nie wierzyłam, że pani mogłaby być zabójcą. To absurd.

- Mogę wyjaśnić...

- Nie trzeba, pokażę pani te zdjęcia. Asia bardzo panią lubiła, wie pani? Była pani jej ulubioną nauczycielką.

4

Major Łaskiewicz postukiwał długopisem w biurko, a na jego czole rysowała się głęboka zmarszczka.

- Chcesz przekopać las w poszukiwaniu ciała sprzed trzydziestu lat? Teraz, kiedy naczelnik siedzi mi na karku i dwa razy dziennie dzwoni z pretensjami, że jeszcze nie znaleźliśmy mordercy? Dobrze zrozumiałem?

- Ta stara sprawa może być kluczem do tego, co dzieje się teraz - wyjaśnił Bogusz spokojnie.

- Ponieważ tak powiedziała jakaś zwariowana nauczycielka?

- Nauczycielka, która znalazła ciało dziewczynki - doprecyzował porucznik. - Skąd wiedziała, że ono tam będzie? Moim zdaniem była wcześniej na tej polanie, a co więcej, to miejsce ma jakieś szczególne znaczenie i dla niej, i dla mordercy. Może na przykład takie, że ktoś już został tam zabity.

- Myślałem, że będziesz miał coś lepszego.

Bogusz drgnął lekko. Łaskiewiczowi łatwo było mówić takie rzeczy, skoro sam rzadko wyściubiał nos poza własny gabinet. Facet dawno się wypalił i zdążył zapomnieć, jak to jest kierować ważnym śledztwem.

- W porządku. Możesz wziąć ludzi, którzy akurat będą wolni. - Major westchnął. - Ale nie zgadzam się na przeczesywanie całego lasu. To idiotyzm, zwłaszcza teraz, kiedy ziemia jest zmarznięta na kość. Odgarnijcie śnieg z polany i jeśli niczego nie znajdziecie, wracajcie do pracy.

- To wystarczy - zapewnił Bogusz, zachowując pokerową twarz i myśląc jednocześnie: „Stary dureń”. - Dziękuję. Wiedziałem, że mogę na pana liczyć.

- To już wszystkie zdjęcia - powiedziała Krystyna, stawiając na stole kolejne pudło. - Zrobić pani jeszcze herbaty? A może napije się pani czegoś mocniejszego? Mam pyszną domową wiśniówkę.

- Nie, dziękuję, herbata wystarczy.

Siedziały w kuchni niedaleko pieca, w którym buzował ogień. Ciepło dawało złudzenie przytulności, jednak Maria wyczuwała pod nim wyraźny cień rozpaczki. To był dom żałoby, gdzie tykanie wielkiego zegara w ciszy odmierzało kolejne minuty bólu. Nad lodówką wisiała makatka z czerwoną różą i napisem: „Dla kochanej mamy”. Maria nie mogła się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie wracać do niej wzrokiem.

Sięgnęła po zdjęcia i zaczęła je przeglądać. Było tam mnóstwo nastrojowych widoków lasu, opuszczonych domów, ruin, cmentarzy i kamieniołomów. Asia musiała mieć naturę romantyczki. Na niektórych fotografiach znajdowały się jej koleżanki, upozowane malowniczo na tle nagrobnych krzyży albo jako duchy z twarzami wysmarowanymi czymś białym - kremem? pastą do zębów? - i powiewające prześcieradłami na wietrze. Maria zastanowiła się, czy któraś z dziewczynek dostała od rodziców w skórę za zabranie pościeli. Uroki dzieciństwa.

„Była pani jej ulubioną nauczycielką”. Może to tanie, nic nieznaczące pocieszenie, a może prawda, bo przecież Krystyna nie miała powodu, żeby Marię pocieszać.

„Ja też cię lubiłam - pomyślała Maria, ściskając w rękę jedno z nielicznych zdjęć, na których znajdowała się sama Asia, roześmiana, stojąca po kolana w jesiennych liściach. - Byłaś dzieckiem pełnym życia i fantazji, a ja nie potrafiłam cię ochronić, tak jak nie potrafiłam ochronić Wojtka ani dawno temu samej siebie”.

Do oczu napłynęły jej łzy, zgarbiła się i zaszlochała. Krystyna współczująco poklepała ją po plecach.

- Niech pani nie płacze, dziecku życia to nie wróci. Proszę

napić się jeszcze herbaty. Dałam cztery łyżeczki cukru, tak jak pani lubi. Jest na tych zdjęciach coś ciekawego?

- Nie. - Maria pokręciła głową, wycierając oczy. - Myślałam, że Asia fotografowała ludzi, ale to głównie widoki.

- Tak, chodziła z tym aparatem po całej Mgielnicy i robiła zdjęcia różnych miejsc. Nawet miała dla nich swoje nazwy: Mroczny Las, Zielony Dom, Martwy Staw. Taka zabawa, ale czasem, kiedy jej słuchałam, miałam wrażenie, że mówi o zupełnie innym świecie.

- Dziecko z bujną wyobraźnią.

- O tak, to na pewno - powiedziała Krystyna sucho. Z jej punktu widzenia fantazja była chyba wadą, nie zaletą.

Maria wzięła do ręki zdjęcia z najbliższego pudełka i rozdzieliła je: na prawo widoki, na lewo portrety. Potem to samo zrobiła z następnym pudełkiem. Gdy skończyła, stosów po prawej było sześć, a po lewej tylko jeden, w dodatku niewysoki. Odłożyła na bok fotografie, na których znajdowała się Asia albo jej koleżanki, i ostatecznie zostało jej sześć zdjęć. Na jednym była staruszka idąca wolno cmentarną alejką, na dwóch innych bawiące się w parku dzieci. We wszystkich trzech przypadkach - Maria mogłaby się założyć - Asię interesowała raczej malowniczość scenerii niż fotografowane osoby.

Na pozostałych znajdował się mężczyzna: szczupły, w przeciwdeszczowej foliowej pelerynie z obszernym kapturem. Grabił liście, naprawiał płot i kuczał w trawie, być może wrywając chwasty albo sięgając po jakieś ogrodnicze narzędzie. Na żadnym ze zdjęć nie było widać jego twarzy. Przypadek?

- Pani Krystyno, mogłaby pani spojrzeć?

Ciotka Asi pochyliła się nad stołem.

- To jakiś państwa znajomy?

- Nie, nie sędzę. Chociaż trudno powiedzieć, niewiele tu widać...

- Właśnie. Niech pani popatrzy, jak ten mężczyzna chowa głowę w ramionach, jak głęboko ma nasunięty kaptur.

- Może akurat wiał mocny wiatr? To zdjęcie chyba zostało zrobione jesienią?

- A może...
- Specjalnie stara się ukryć twarz - dokończyła Krystyna.
- Trochę tak to wygląda, prawda? Niech pani jeszcze raz pokaże te zdjęcia milicji. Może okaże się, że mają znaczenie.
- A więc rzeczywiście zauważyła pani coś, co przegapili inni.
- Mogę się mylić. Niech pani nie spodziewa się cudów. Nawet jeśli to naprawdę jest morderca, i tak będzie trudno go znaleźć.
- Ten ogród z niczym się pani nie kojarzy? Nie widziała pani nigdy tego miejsca?
- Nie. - Maria zaprzeczyła, choć nie do końca była to prawda. Widoczne na zdjęciu krzewy przywoływały wspomnienia, zbyt niejasne jednak, żeby o nich mówić. Zresztą może tylko jej się wydawało, może wmówiła sobie, że poznaje to miejsce, bo chciała je poznać? - Pójdę już, zrobiło się późno. Dziękuję za herbatę i mam nadzieję, że pani strucla się uda.
- Odwiozę panią.
- Mogę pojechać autobusem.
- Naprawdę chce pani ryzykować stanie na przystanku przez godzinę albo i więcej? Poza tym w mieście nie jest teraz bezpiecznie, sama pani wie. Moi sąsiedzi mają córkę w wieku Asi i nie ma mowy, żeby dziewczyna sama wyszła na ulicę, zawsze idzie z nią któregoś z rodziców.
- Mam więcej niż czternaście lat, jeśli pani nie zauważyła. - Maria uśmiechnęła się lekko.
- Wiem, ale wygląda na to, że morderca zna panią, więc na pani miejscu byłabym ostrożna - powiedziała Krystyna poważnie. - Odwiozę panią, tak będzie lepiej, proszę mi wierzyć.

6

- Przyniosłam ci kanapkę i kawę. - Beata usiadła na przykrytym brezentem pniu. - Trzymaj.
- Dzięki. - Bogusz rozwinął z gazety kromkę z mortadela, ugryzł duży kęs i popił go kawą z termosu.
- Coś ciekawego? - Ruchem podbródka wskazała płachtę, na której bielily się kości.

Nieco dalej milicjanci w mundurach przeczesywali polanę: jedni machali łopatami, inni rozgrzebywali grudy zlodowaciałej ziemi, a jeszcze inni pakowali śnieg do brezentowych worków i wynosili w stronę lasu. Wszyscy wyglądali na zgrzanych, zmęczonych i zniechęconych.

- Sporo drobnych zwierząt, jakichś lisów czy zajęcy - odparł Bogusz. - Znaleźliśmy pozostałości po obozowisku, ślady szałasu i ogniska. Ale to ciężka praca, śnieg na górze jest miękki, tak że nogi zapadają się po kolana, a niżej zmarznięty na kość.

- Zanim wybudowano tamtą drogę, to był środek lasu - mruknęła Beata. - Kto chciałby tu obozować?

- Ktoś, kto porwał dziecko i nie chce, żeby go znaleźli? - Bogusz zapalił papierosa. - Tak tylko zgaduję.

Jeden z milicjantów odszedł w stronę lasu, po czym rozpiął spodnie i zaczął sikać. Sierżant odwróciła wzrok.

- Krupa się nie zjawił? - zapytał porucznik.

- Kiedy wychodziłam, jeszcze go nie było.

- Miał tu być o dwunastej.

- Opuść mu, facet ma problemy.

- Jakie?

- Takie tam. - Beata wzruszyła ramionami. - Rodzinne. Zresztą sam z nim pogadaj.

Bogusz zacisnął usta.

- Nie obchodzą mnie jego problemy, dopóki dobrze wykonuje swoją pracę. Nie będę tolerował lekceważenia obowiązków.

- Przecież zawsze przychodzi na czas, dopiero dzisiaj zdarzyło mu się spóźnić. Daj spokój, wszyscy jesteśmy ludźmi. Z matką też mógłbyś częściej rozmawiać, znów dziś dzwoniła. Powiedziałam jej, że masz ważną sprawę.

- Dzięki.

Beata nie ciągnęła tematu. Bogusz, o czym wszyscy w komendzie wiedzieli, bardzo niechętnie mówił o swoich rodzicach. Ciekawe czemu, zastanowiła się dziewczyna - matka przez telefon sprawiała wrażenie sympatycznej i troskliwej.

Wypiła resztkę kawy z termosu. Dwóch milicjantów wskoczyło do płytkiego dołu. Beata widziała, jak pochylają się nad czymś i

dyskutują. Nad polaną krążyły kruki, które od czasu do czasu przysiadły na okolicznych drzewach i z ciekawością spoglądały na ludzi. Panowała cisza, jeśli nie liczyć dobiegających od strony kopiących przekleństw. Sierżant wzdrygnęła się lekko. Może latem, kiedy było ciepło i zielono, wszystko tu wyglądało inaczej. Może. Ale nie bardzo w to wierzyła. Tak czy inaczej musiało to być samotne, pępne miejsce.

Zastanawiała się, czy to, co teraz działo się w mieście, miało początek właśnie tutaj, na tej polanie trzydzieści lat temu.

Zakrwawione dziecko wracające do domu, strzępy mózgu w jego włosach. Bogusz oczywiście miał rację - wszystko to można było wyjaśnić. Ciotka mogła histeryzować, ksiądz mógł źle zapamiętać i po latach przekręcić jej słowa. Jednak Beata postawiłaby swoją książeczkę oszczędnościową, że nic takiego się nie wydarzyło. Z powodów, których do końca nie potrafiła wyjaśnić, wierzyła, że kogoś brutalnie zabito na oczach sześciolatniej Marii Lenarczyk, wystarczająco blisko, by dziewczynka została obryzgana szczątkami mózgu.

- Znaleźliśmy coś! - krzyknął jeden z milicjantów.

Bogusz natychmiast poderwał się i ruszył w jego kierunku. Beata włożyła pusty termos do torby i poszła za nim.

- Spójrzy pan tu. Wygląda jak ludzka, co nie? - Młody milicjant z posterunku w Wilkowicach mówił nosowym głosem, trzymając w ręku ubrudzoną ziemią żuchwę.

Porucznik wziął ją od niego i wytarł chusteczką. Kość miała mocno pożółkły kolor, niektórych zębów brakowało, inne były połatane albo starte.

- Tak, moim zdaniem ludzka.

- Tu było chyba coś jakby grób. Widzi pan te kamienie? Ktoś gościa zakopał, a potem jeszcze przywalił, żeby zwierzęta nie dobrały się do zwłok. Tyle że grób był płytki, a kamienie małe, więc niewiele to dało. Nie wiem, czy damy radę wykopać cały szkielet.

- Najważniejsza jest czaszka, szukajcie czaszki. Jeśli ją znajdziemy, będziemy w domu.

- Nawet ty nie masz ochoty wychodzić, co? - mruknęła Maria, z drzeniem zamykając drzwi, za którymi przyczała się zimowa ciemność.

Pirat miauknął, a potem podreptał do pudełka z piaskiem i wysikał się. Maria spojrzała w okno. Na niebie wisiał księżyc w lisiej czapie z mgły, szron na najbliższych drzewach srebrzył się jak pył z krainy lodowych wrózek, ale dalej panował już mrok, dalej był las i nieprzenikniony spokój lutowej nocy.

„Morderca cię zna”, powiedziała Krystyna.

Maria zaryglowała drzwi, a potem sprawdziła, czy wszystkie okna są zamknięte. Były, ale i tak obeszła dom kilka razy, cały czas mając wrażenie, że o którymś zapomniała. Jakie miałyby szanse, gdyby przyszedł po nią zabójca? Zastanawiała się przez chwilę, czy sąsiedzi usłyszeliby jej krzyki, a jeśli tak, to czy komuś chciałoby się zareagować. Na Jelonkach mieszkali ludzie z natury nieufni, przywykli do tego, że nie wsadza się nosa w sprawy innych rodzin, a Maria w dodatku była nietutejsza - niby siostrzenica Emilii, ale tak naprawdę obca.

Mogłaby tu umrzeć i nikt by się nie przejął.

Usiadła w fotelu, kolana podciągnęła pod brodę i objęła je ramionami. Może poprosiłaby Alę, żeby nocowała tu przez jakiś czas? Przez moment wyobrażała sobie, jak by to było. Dziewczyńskie pogaduszki przed snem, miła świadomość, że tuż obok jest życzliwa osoba. Samotnicza natura Marii prawdopodobnie łatwiej zniosłaby obecność drugiej kobiety niż mężczyzny. Wiedziała jednak, że nie powinna o coś takiego prosić - Ala opiekowała się bratem, który potrzebował jej znacznie bardziej niż Maria.

Długo nie mogła zasnąć. Na zewnątrz panowała ciężka, nienaturalna cisza: żadnego szumu zimowego wiatru, żadnych odgłosów gałęzi ocierających się o dach. Wyobraźnia podpowiadała, jak brzmiałoby w takiej ciszy skrzywienie śniegu pod butami zbliżającego się człowieka. Czy Maria rozpoznałaby te kroki? A potem twarz mężczyzny, który stanąłby w drzwiach? I najważniejsze pytanie: czy naprawdę to byłoby

takie straszne, gdyby się zjawił?

„Jeśli masz przyjść, przyjdź teraz - myślała, leżąc z otwartymi oczami w ciemności. - Jestem zmęczona czekaniem, bezsennymi nocami i całym swoim życiem”.

Pirat położył się obok, ciepły i mruczący.

Maria śniła o zagubionym w lesie dziecku. Stało odwrócone plecami, po kolana w śniegu gładkim i srebrzystym jak pył z krainy wróżek. Na sośnie przysiadł kruk, jego pióra były czarne, w kolorze włosów chłopca. Maria chwyciła drobne ramię; dziecko odwróciło się i wtedy ujrzała twarz Pawła, tę ładną, jasną twarz z błękitnymi oczami jak u jego matki.

Koszula chłopca czerwona była od krwi.

- Ja też mam tajemnicę - powiedział.

Za jego plecami stała trójka innych dzieci. Maria rozpoznała Wojtkę, ale pozostałych nie widziała dobrze, ich rysy wydawały się zamglone, jakby oglądała je zza pokrytej szronem szyby. Jedno chyba było dziewczynką, a drugie chłopcem, jednak i tego nie była pewna.

Drugi chłopiec podszedł bliżej, przód jego koszuli miał barwę polnych maków, jakby dziecku poderżnięto gardło. Jak on się nazywał? Maria miała na końcu języka imię, które nie było tak naprawdę imieniem, tylko podwórkowym przezwiskiem.

„Szmaja - przypomniała sobie nagle, otwierając oczy. - Na czwarte dziecko wołali Szmaja”.

8

- Dużo o tym myślałam - powiedziała Teresa, rysując widelcem na talerzu wzory z pieczeniowego sosu. - Pytaliście na dworcu, ale nikt tam Blanki nie widział, co oznacza, że prawdopodobnie nie odjechała stąd pociągiem. Nie ma jej też w mieście, bo ktoś by ją przecież zobaczył i zawiadomił milicję. Chyba że naprawdę dobrze się ukrywa, ale w to nie wierzę, bo z tego, co wiem, dziewczyna nie ma tu przyjaciół. Albo więc Blanka leży gdzieś martwa - zaczęła odliczać, uroczo odginając przy tym palce - albo wyjechała, owszem, ale nie pociągiem, tylko samochodem. Myśleliście o tym, że może poszła w stronę

szosy i złapała tam autostop?

- Bierzemy to pod uwagę. - Bogusz dopił wodę mineralną i skinął na kelnera.

Teresa upierała się, że zapłaci za siebie, ale nie zamierzał jej na to pozwolić.

- Problem w tym, że jeśli zabrała się z kimś, kto tylko przez Mgielnicę przejeżdżał, będzie trudno ją znaleźć.

Dziewczyna może być teraz gdziekolwiek: nad morzem, na drugim końcu Polski, diabli wiedzą. Zresztą ostatnio niewiele mamy czasu na szukanie tej małej. Dziś musieliśmy przekopać las.

- Znaleźliście coś?

- Owszem. Nie powinienem ci tego mówić, ale jeśli obiecasz, że nikomu nie powtórzysz... - Pozwolił sobie na to, by delikatnie ująć jej dłoń.

Dopiero po chwili cofnęła rękę, co uznał za dobry znak.

- Znaleźliśmy stary niekompletny szkielet mężczyzny.

Zmarszczyła brwi.

- Ale co to ma wspólnego ze zniknięciem Blanki i śmiercią tych dzieci?

- Długa historia. Na razie mogę powiedzieć ci tylko tyle, że nasz denat najprawdopodobniej zmarł tak jak Paweł i Asia, czyli od ciosu w głowę.

- Och.

Bogusz uśmiechnął się z satysfakcją.

- Wiecie już, kto to jest?

- Jeszcze nie. Gdyby ciało pochodziło z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, moglibyśmy go zidentyfikować dzięki dokumentacji dentystycznej, ale ten człowiek zginął tuż po wojnie, a żaden dentysta w Mgielnicy nie ma rejestrów sięgających tak daleko.

- Powiesz mi, kiedy dowiecie się czegoś nowego?

- Jeśli tylko obiecasz, że znowu się ze mną spotkasz i następnym razem nie będziesz mieć takiej smutnej miny. Uśmiechniesz się dla mnie? Proszę.

Usta Teresy rozciągnęły się w uśmiechu, ale jej oczy pozostały chłodne.

Maria modliła się, żeby wiatr nie zerwał linii. Była prawie druga, a ona dygotała z zimna w nieogrzanym pokoju. Wybrała numer i wstrzymując oddech, nasłuchiwała przerywanych sygnałów. Jeden, drugi, trzeci...

„Odbierzcie - szeptala w myślach. - Przecież wiem, że ktoś tam musi być”. Wreszcie szczęknęła podnoszona z widełek słuchawka i zaspany nosowy głos oznajmił:

- Komenda Milicji Obywatelskiej, słucham.

- Nazywam się Maria Lenarczyk. Byłam... Jestem świadkiem w sprawie zabójstwa Pawła, nie pamiętam, jak się nazywał, i Asi, to znaczy Joanny Grabkowskiej, mojej uczennicy...

Boże, bełkotała, jakby była pijana. Dlaczego nie potrafiła sformułować jednego prostego zdania?

- W czym mogę pani pomóc? - Głos po drugiej stronie linii był ostrożny, jakby jego właściciel już przygotowywał się do uprzejmego splawienia wariatki.

- Mam ważne informacje dla porucznika Adama Bogusza...

- Nie ma go w tej chwili. Przekazać coś?

W tle Maria usłyszała odgłosy rozmowy, a potem, śmiech. Słuchawka ślizgała się w spoczonej dłoni, w głowie szumiało, jakby ktoś porządnie przyłożył jej w potylicę.

- Tak, proszę przekazać, że przypomniałam sobie, jak nazywał... jak nazywali to czwarte dziecko, chłopca, bo to chyba chłopiec. - Podniosła głos, starając się przebić przez trzaski w słuchawce. - Szmaja, proszę zapamiętać. To od Szmajdzińskiego, tak mi się wydaje, słyszałam gdzieś to nazwisko. Szukajcie chłopca, ósmoklasisty o nazwisku Szmajdziński. Musicie go znaleźć i chronić, słyszy pan?

- Taaa, głuchy nie jestem.

- Proszę powtórzyć poru...

Na linii znów coś zatrzeszczało i tym razem połączenie zostało przerwane. Maria oparła czoło o zimną szafę, słuchając przeciągłego „biiiiiiiiip” w słuchawce.

- Próbowałam - szepnęła. - Przynajmniej próbowałam.

Na klatce schodowej śmierdziało gotowaną kiszoną kapustą. Beata rozpoznawała tę woń z dzieciństwa, tak jak rozpoznawała skrzypiące drewniane schody, chyba- cząca się poręcz i napisy na ścianach. Ubikacja na półpię- trze - oczywiście, że tak. Wychowała się w takiej kamienicy i świetnie pamiętała wędrówki w kapciach po zimnej klatce schodowej, kiedy w środku nocy zachciało jej się siku. Teraz wynajmowała mieszkanie z pracującą w urzędzie miasta koleżanką, dwupokojowe, w nowoczesnym bloku z centralnym ogrzewaniem i co dzień cieszyła się, że nie tylko łazienkę ma pod nosem, ale w dodatku nie musi męczyć się z wnoszeniem na czwarte piętro wiadra z węglem ani z rozpalaniem w piecu.

Stała przed drzwiami oznaczonymi numerem sześć i wcisnęła dzwonek. W mieszkaniu rozległo się śpiewne „ding-dong”, a po chwili odgłos kroków i szcęk odsuwanych rygli: jednego, potem drugiego i trzeciego. „Podejrzliwy człowiek”, pomyślała Beata, kiedy drzwi uchyliły się ze skrzypnięciem i zaraz znieruchomiały, zatrzymane naprężonym łańcuchem.

- Kogo lichu niesie?

- Sierżant Beata Drzymała, Milicja Obywatelska. Leonard Nawrocki?

- A kto niby ma być? Legitymację pani pokaże.

Sięgnęła do torebki i wsunęła legitymację w szparę. Nawrocki obejrzał ją uważnie, a potem zdjął łańcuch i otworzył drzwi.

- Może pani wejść. Teraz do milicji dziewczyny przyjmują, co? W dodatku takie ładne. Za moich czasów mogłaby pani co najwyżej kawę parzyć albo biurka po godzinach sprzątać.

Beata zignorowała go. Była przyzwyczajona do takich uwag, zresztą zdarzało jej się słyszeć gorsze.

Nawrocki zakaszał, odpluwając flegmę. W płucach mu rzęziło, skórę miał pokrytą plamami wątrobowymi i pomarszczoną jak suszone jabłko. Mimo że w mieszkaniu było gorąco, nosił gruby sweter, który zwisał z wychudzonej sylwetki. Beata wiedziała, że gospodarz ma sześćdziesiąt cztery lata, ale równie

dobrze można by mu dać z dziesięć więcej.

- W siedemdziesiątym trzecim pół żołądka mi wycięli - pochwalił się, człapiąc przed nią do pokoju, w którym panował nieznośny zaduch. - Niedawno doktory znowu pod nóż mnie chcieli brać, bo dalej w środku coś nawala, ale zrezygnowali. Pewnie uznali, że im się nie opłaca, i czekają, aż umrę.

- Przykro mi.

Wzruszył ramionami i rozkaszał się rżącym, bulgoczącym kaszlem człowieka, którego płuca ciągną ostatkiem sił.

- Po co zaraz przykro? - mruknął, kiedy wreszcie złapał oddech. - I tak dobry Bóg dał mi dodatkowe dwadzieścia lat. W sześćdziesiątym pierwszym z Kurzeją kłusowników goniliśmy, a oni zaczęli do nas strzelać. Kula o pół centymetra mi wtedy serce minęła, do dziś ją pod skórą mam. Chce pani pomacać?

- Chcę porozmawiać.

- To może chociaż herbaty się pani napije? Kawy ani niczego mocniejszego nie mam, szkodzi mi.

- Może być herbata.

Nawrocki krzątał się w kuchni, podzwaniając łyżeczkami, a Beata oglądała pokój. Niegdyś musiało tu być ładnie: tapeta w polne kwiaty, na ścianach makatki i tapczan zarzucony kolorowymi poduszkami. Tyle że wszystko to bardzo zaniedbano. Na tapecie widniały szare smugi, poduszek od dawna nikt nie prał, a makatki ciężkie były od osiadłego na nich kurzu.

- Proszę, herbata.

Szklanka też nie wyglądała na najczystsza, jednak Beata z grzeczności upiła łyk. Nawrocki zapalił papierosa.

- Wolno panu? - spytała sierżant.

- Mnie już niczego nie wolno. - Zaciągnął się i zakaszał. - Przyszła pani pogadać o małej Marysi, co?

- Skąd pan wie?

Roześmiał się chrapliwie.

- Całe miasto gada tylko o morderstwach i o tym, że nauczycielka polskiego Maria Lenarczyk zna zabójcę albo i sama nim jest. Słodka z niej była dziewczuszka, jak miała sześć lat.

- Pamięta pan tę sprawę?

- Pamiętam, co mam nie pamiętać? Dziwne to wszystko było. Najpierw ciotka dziewczynki zgłosiła, że siostrzenica zgubiła się w lesie, więc szukaliśmy jej w dwudziestu chłopa, nawet psy zabraliśmy. I nic. Dopiero tydzień później Jan Peczek dziecko do domu przyprowadził. Mówił, że całe zakrwawione było, ale ciotka żadnego śledztwa nie chciała. Bała się, jakby sam diabeł za tyłek ją złapał, a Marysia mówiła, że niczego nie pamięta. Następnego dnia sprawę zamknęliśmy, bo skoro nie ma poszkodowanych, to i śledztwa nie ma.

- Co się stało z Janem Peczekiem? Próbowałam go znaleźć, ale zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Nie żyje?

- Gdzie tam nie żyje. Dwadzieścia lat temu, jak mu matka zmarła, do Szwecji do syna uciekł, więc raczej pani z nim nie pogada.

- Przypomina pan sobie coś jeszcze? Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc?

Zgasił papierosa.

- Nie bardzo - przyznał. - Kurzeja miał teorię, że dziecko nie przeżyłoby przez tydzień samo w lesie, że ktoś musiał się nim zajmować, karmić i tak dalej. Ale jeśli nawet, to nie mam pojęcia, kto by to mógł być.

- Były inne podobne sprawy w tamtym czasie?

- Myśleliśmy o tym, ale nie. Tylko dwie osoby zgłosiły wcześniej zaginięcie dzieci. Jedno to była dziewczyna, starsza, z piętnaście albo i szesnaście lat miała. Wróciła do rodziców trzy miesiące później z brzuchem. Był też chłopak, też starszy, on z kolei miał dość matki i jej fagasa, więc zwał w Polskę do ojca.

- Byliście tego pewni? Że sam uciekł?

- Gadał o tym na okrągło, zanim wziął nogi za pas. Wszyscy sąsiedzi potwierdzili, więc nawet nie było sensu sprawy otwierać.

Beata ugryzła się w język, przypominając sobie, że rok pięćdziesiąty piąty to były inne czasy - ludzie mieli jeszcze w pamięci okrucieństwa niedawnej wojny i nikt nie przejmował się jakoś szczególnie dziećmi, które już potrafiły radzić sobie same.

- W porządku, to chyba wszystko. Dziękuję za pomoc i za herbatę. - Wstała i skierowała się w stronę drzwi.

Nawrocki poczłapał za nią, szurając kapciami.

- Ten chłopak... - Beata odwróciła się w progu. - Pamięta pan może, jak się nazywał?

- Coś od kwiatków chyba. Kwiatkowski? Florczak? Jakoś tak. To ważne?

- Nie sądzę, ale na wszelki wypadek wolę wiedzieć.

- Niech pani pozdrowi Marię Lenarczyk, jak ją pani spotka, i powie, że ją pamiętam. Wyrosła na ładną kobietę, tylko strasznie chudą. Nie to, co pani, u pani jest za co złapać.

- Lepiej niech pan nie próbuje, bo połamię panu rękę.

Nawrocki zachichotał, jakby opowiedziała dowcip.

- Bojowa z pani kobitka, co? Niech się pani nie martwi, w moim wieku człowiek najwyżej popatrzeć sobie może, nic więcej.

Wychodziła z poczuciem ulgi, ale i lekką dozą sympatii do tego samotnego starego i schorowanego człowieka. Miała szczęście, że Nawrocki zachował sprawny umysł i pamięć; szkoda tylko, że nie potrafił im pomóc.

11

Kartkę Bogusz znalazł po jedenastej, kiedy jadł bułkę z pasztetową i popijał ją mocną herbatą. W pierwszej chwili uznał, że to papier po czymś drugim śniadaniu, tak był wymięty i zatłuszczony, dopiero potem dostrzegł wypisane w poprzek słowo: „Szmajciński”.

- Co to? - zapytał, rozprostowując kartkę.

Widniało na niej także brązowe kółko po szklance z kawą.

Milicjant oddelegowany do śledztwa przez trzeci posterunek podskoczył, jakby usiadł na szpilce. Był młody, pryszczaty i - jak Bogusz zdążył się zorientować - niezbyt bystry.

- To... eee... kolega z nocnej zmiany zostawił. Mówił, żeby przekazać...

- To czemu nie przekazałeś?

- Nie wiedziałem, że to ważne. - Chłopak miał wytrzeszczone z

przerażenia oczy, ale porucznikowi w najmniejszym stopniu nie było go żal. Wręcz przeciwnie, czuł narastającą złość.

- Teraz już wiesz. Co to za nazwisko?

- Jakiegoś dziecka, że niby trzeba je znaleźć, bo coś tam, nie pamiętam dokładnie... Kobieta dzwoniła w nocy.

- Jak się nazywała? Też nie pamiętasz?

Mina chłopaka powiedziała Boguszowi wszystko.

- Znajdź kolegę z nocnej zmiany i przyprowadź go tu.

- On teraz śpi...

- To go obudź - warknął porucznik.

Pół godziny później chłopak, równie pryszczaty, ale dla odmiany wyraźnie niewyspany, stanął w drzwiach gabinetu, który Bogusz dzielił z Krauzem, i wyprężył się służbowo.

- Melduję, że około drugiej w nocy dzwoniła obywatelka Maria Renarczyk, która prosiła, żeby przekazać panu, że przypomniała sobie, że na czwarte dziecko wołali Szmaja, i że to pewnie od nazwiska.

- Renarczyk, tak?

- Tak jest. - Chłopak poczerwieniał lekko.

- I to nazwisko brzmiało „Szmajciński”?

- Jakoś tak. - Tym razem młody milicjant nie był już taki pewny.

- Zadzwoń do magistratu i poproś ich, żeby podali ci adresy zameldowanych w Mgielnicy osób o tym lub po dobnym nazwisku. Zwłaszcza tych, gdzie w rodzinie jest kilkunastoletnie dziecko.

- Ale...

- Chcę je mieć na biurku za kwadrans.

Chłopak otworzył usta i zaraz je zamknął. Kolega spoglądał na nieszczęśnika ze współczuciem, ale i odrobiną ulgi, że jemu tym razem się upiekło.

Minęło czterdzieści pięć minut, zanim porucznik dostał kartkę z wypisanymi adresami. Były cztery, wszystkie w dzielnicy Łączki.

- Któraś z tych rodzin ma dziecko w nastoletnim wieku? - Bogusz spojrział w oczy wystraszonego młodzika.

- Ci z Żelaznej mają syna urodzonego w sześćdziesiątym

ósmym, to będzie miał teraz siedemnastkę, nie? - Może chłopak nie był nadzwyczajnie bystry, ale przynajmniej potrafił liczyć.

- W porządku, zacznę od Żelaznej. Zabierzesz się ze mną? - zapytał Beatę, która w międzyczasie pojawiła się w gabinecie.

- Jasne. A co się dzieje?

- Wyjaśnię po drodze.

Jechali powoli, bo służby miejskie nie nadążały z wysypywaniem piasku i ulice były mocno oblodzone. Śnieg nie padał, lecz niebo zasnuwały ciężkie burzowe chmury i Beata miała przeczucie, że tego popołudnia czeka ich kolejna zamieć. Telewizja i radio podawały informacje o odwołanych pociągach, pękających od mrozu szynach i uwięzionych autobusach. Jadąc dziś do pracy, na własne oczy widziała, jak pasażerowie PKS-U pomagają kierowcy wypchnąć ikarusa z potężnej zasy. Była nawet bliska tego, żeby zatrzymać się i pomóc, uznała jednak, że na komendzie przyda się znacznie bardziej. Poza tym wiedziała przecież, co Bogusz myśli o spóźnialskich.

- Siedemnaście to trochę za dużo, nie uważasz? - zapytała, kiedy porucznik skończył mówić. - Zakładamy, że dzieciaki poznały się w pierwszych klasach podstawówki albo i wcześniej, a w tym wieku różnicą trzech lat jest spora.

- Może chłopak lubił bawić się z młodszymi. - Bogusz wzruszył ramionami. - Zresztą zaraz sama będziesz mogła o to zapytać.

Szmajdzińscy mieszkali w dziesięciopiętrowych, a tym samym najwyższych w Mgielnicy blokach z windami, które przyciągały spragnioną wrażeń dzieciarnię. Gdy Bogusz i Beata weszli do klatki schodowej, grupa małych obdartusów pakowała się właśnie do kabiny.

- Piwnicę, wciśnij piwnicę! - wołał jeden.

- Jedziemy do góry! - przekrzykiwał go drugi.

- A ten czerwony przycisk jest po co? - zapytał trzeci.

Porucznik bezceremonialnie wyrzucił ich z windy, po czym wcisnął trójkę.

U Szmajdzińskich otworzyła pulchna kobieta z rękami ubrudzonymi mąką. Z jednego z pokoi dochodziło dudnienie

rockowej muzyki.

- Milicja. Chcemy porozmawiać z pani synem - powiedział Bogusz.

- Antek! - wrzasnęła kobieta. - Milicja do ciebie! Mówiłam, żebyś ściszył, bo sąsiedzi się skarżą!

Łomot umilkł i z pokoju wychynał dryblas z sypiącym się wąsem i nastroszonymi włosami.

- Wy naprawdę z powodu muzyki? - spytał z ciekawością.

- Nie, chociaż rzeczywiście mógłbyś ją ściszyć - odpowiedział Bogusz. - Znasz kogoś z tych zdjęć? - Podał mu fotografie Pawła, Wojtka, Asi oraz Blanki.

- Nie. - Chłopak zmarszczył brwi. - Chociaż tego - wskazał Pawła - chyba już gdzieś widziałem. To nie ten, co go zabili? W gazecie zdjęcie było.

- Nazwiska Wojciech Kapuściak, Paweł Kurzeja, Blanka Janik i Joanna Grabkowska nic ci nie mówią? Nigdy nie bawiłeś się z młodszymi dziećmi?

- Jaja sobie robicie? Za rok do woja mnie biorą, a wy o zabawach gadacie?

- Państwo tu przyszli z powodu tych zamordowanych dzieci? - Matka Antka objęła syna opiekuńczym gestem, choć chłopak przerastał ją o głowę. - On niewinny. Szkołę rzucił i teraz po całych dniach w domu siedzi, nicpoń jeden. Jakby co, to poświadczę, mąż też, chociaż jego rzadko widzujemy, bo w dzień w zakładzie siedzi, a po nocach taksówką jeździ.

- Nie trzeba. - Beata zabrała zdjęcia. - Szmajdzińscy w tej dzielnicy to państwa krewni?

- Ano, wszystko rodzina.

- I u nikogo nie ma chłopaka ani dziewczyny w wieku czternastu-piętnastu lat? W ósmej klasie podstawówki?

Teraz kobieta zmarszczyła brwi.

- Reńka ma dziewczynę, ale ona dopiero dziesiąty rok zaczęła.

- Dziękujemy za pomoc - mruknął Bogusz.

- Może Lenarczyk się pomyliła? - powiedziała Beata, gdy szli w stronę windy.

- Albo już całkiem jej odbiło.

Sierżant nie skomentowała. Jej zdaniem nauczycielka wyglądała na zdrową umysłowo, tylko bardzo zagubioną i nieszczęśliwą.

- Hej! - krzyknął ktoś za ich plecami, kiedy drzwi kabiny rozsunęły się zapraszająco.

Bogusz wsunął w nie stopę i odwrócił się. Korytarzem w rozdeptanych kapciach człapała matka Antka.

- Przypomniałam sobie: mąż ma kuzynkę, też Szmaj- dzińską, co za jednym takim poszła i teraz bez ślubu żyją. Ale nie tutaj, tylko we wsi niedaleko, w Łubnicach. Oni kupę dzieciaków mają i chyba chłopak też tam jest, trochę młodszy od mojego Antka.

- Może mi pani podać adres?

- Nie pamiętam. - Pokręciła głową. - My się z nimi nie zadajemy, bo to straszne pijusy są. Ale jak pan władza o Jarka Sochę zapyta, to każdy panu drogę pokaże.

- Dziękuję.

„Straszne pijusy” - te słowa wywołały w umyśle Beaty ciąg skojarzeń. Zanedbany zimny dom z gromadą głodnych dzieci i ojcem odsypiającym libację w dawno nie- zmienianej pościeli. Najmłodsze dziecko stoi w łóżeczku z twarzą posiniąłą od potężnego ryku i mokrą pieluchą zwisającą do kolan. Najstarsza córka jest już w ciąży i na ramionach, tak samo jak matka, ma granatowe siniaki, a w oczach zwierzęcy strach. W domu brakuje jedzenia, ale jest za to niemiecki kolorowy telewizor, przed którym wieczorem zbiera się cała rodzina. Są też zacieki na ścianach i grzyb, od którego wszyscy chorują, ale jeśli próbujesz im to wytłumaczyć, słyszysz tylko, żebyś pilnowała własnego nosa.

Widziała to już tyle razy, że mogłaby z pamięci narysować całą scenę.

Pomyliła się tylko w jednym: w domu Jarka Sochy nie było najstarszej córki w ciąży, tylko ładna, może szesnastoletnia dziewczyna z mysimi ogonkami, która stała przy piecu i mieszała w garnku, podczas gdy uczepiona jej kolan dwójka rodzeństwa spoglądała na milicjantów z ciekawością.

- Masz brata, prawda? - zapytał Bogusz. - Czternastoletniego?
- Mam - potwierdziła bez śladu niepokoju. - Nazywa się Szymek.

- Gdzie teraz jest?

- W chlewiku, wieprzkom jeść daje. Przyszliście go aresztować? Mogę popatrzeć?

- Chcemy tylko z nim porozmawiać - powiedziała Beata. - Zaprowadzisz nas?

Dziewczyna z mysimi ogonkami postawiła przy garnku jedną z młodszych sióstr i wyszła z domu, zresztą niepotrzebnie, bo do chlewika trafiłoby po samym zapachu: ostrej, zwierzęcej woni rozkładających się odchodów.

Ciemnowłosy chłopak w gumiakach i dziurawym swetrze zamykał właśnie skrzypiące drzwi. W rękę trzymał pusty już cebrzyk, który obijał mu się o kolana. Na widok nadchodzących zmarszczył brwi, a w jego oczach pojawił się lęk. Beata wiedziała, że coś jest nie tak, porucznik jeszcze niczego nie zauważył.

- Jesteśmy z milicji - zaczął. - Chcemy...

Za wcześnie. Gdyby odezwał się kilka sekund później, gdyby zdążyli podejść bliżej, może złapaliby chłopca, zanim ten rzucił wiadrem o ziemię, a potem okręcił się na pięcie i ruszył biegiem w stronę koślawego płotu.

- Stój, cholera jasna, stój! - wrzasnął Bogusz. - Beata, łap go!

- Nie bój się! - krzyknęła dziewczyna, przesadzając płot w ślad za uciekającym.

Mimo wszystkich swoich krągłości była szybka i wysportowana, jednak nie miała szans w starciu ze zwinnym jak chart chudym nastolatkiem. Porucznik też nie, choć wyjął z kabury pistolet i strzelił w powietrze.

- Stój! - powtórzył.

Krążące nad polem wrony wzbily się w niebo z oburzonym krakaniem i łopotem skrzydeł. Spocona Beata brnęła przez sięgający kolan śnieg. Chłopiec przed nią potknął się, ale zaraz wstał. Biegł w stronę ciemnej linii lasu, tam, gdzie między drzewami ktoś na niego czekał.

Z nieba sfrunęły pierwsze tego dnia białe płatki, najpierw

pojedyncze, osiadające na włosach i rzęsach. Potem nagle zrobiło się ich więcej: cała armia lodowych duchów, wirujących na wietrze i rozmazujących widok przed oczami. Beata zamrugła. Sylwetka na skraju lasu czekała cierpliwie, podczas gdy Szymek pędził na jej spotkanie, krzycząc coś niezrozumiałego.

Sierżant potknęła się i runęła na zmrożony śnieg. Zapieklą zdzierana z dłoni skóra, uszy nagle rozerwał huk. Uniosła głowę. Bogusz znowu strzelał? Tak pomyślała w pierwszej chwili, było to oczywiście, jedyne wyjaśnienie.

Lecz porucznik stał obok z opuszczonymi dłońmi i zdumieniem malującym się na twarzy. Beata po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach strach.

- Jezu... - powiedziała.

Przez zasłonę wirujących płatków dostrzegła, że na skraju lasu nie stoi już ciemna sylwetka, leży tam za to ciało. Podbiegła, wyprzedzając porucznika o kilka kroków.

- Zostań z nim - rzucił Bogusz, zagłębiając się między drzewa.

Sierżant pochyliła się nad Szymkiem. W całej swojej milicyjnej karierze jeszcze nigdy nie widziała umierającego człowieka, ale i tak wiedziała, że chłopcu nie zostało dużo czasu. Gdy przycisnęła dłonie do jego piersi, poczuła, jak ciepła krew przelewa jej się przez palce.

- Dlaczego to zrobiłeś? - szepnęła. - Przecież chcieliśmy ci pomóc.

Nie patrzył na nią, tylko w niebo, do otwartych oczu sypał się śnieg. Serce pod dłońmi Beaty biło coraz słabiej, aż wreszcie zamarło.

Część VI: Maria

Październik 1955 roku

- Trzymaj. Widzisz? Wcale nie jest ciężki. Nawet taka mała dziewczynka jak ty może z niego strzelać. Połóż paluszek tutaj, o, właśnie tak. Teraz popatrz. To się nazywa muszka i służy do tego, żeby dobrze wycelować. Muszka musi być tam, gdzie zamierzasz trafić.

- Na potworze?

- Na przykład na potworze, jeśli chcesz go zabić. Teraz naciśnij. Nie bój się.

- Będzie głośno!

- Wiem, ale nic ci się nie stanie. To tylko huk. Trzymaj mocno i naciśnij.

Leśną ciszę rozerwał odgłos strzału. Dziecko krzyknęło.

- Widzisz? Prawie ci się udało! Jesteś coraz lepsza. Niedługo będziesz strzelać tak dobrze jak ja.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Obronisz wszystkich, kiedy potwory przyjdą, żeby nas zjeść.

Dziewczynka kucnęła i zaczęła rysować patykiem na ziemi jakieś wzory.

- Myślę, że ja tu nie zostanę - powiedziała, nie podnosząc głowy.

- Nie podoba ci się mieszkanie z nami? Mówiłaś, że nie lubisz swojej cioci.

Wzruszyła ramionami.

- Nie lubię. Ale tu mi ciągle zimno i jedzenie smakuje okropnie. - Pociągnęła nosem. - Może mogłabym wrócić do cioci, a was czasem odwiedzać? - zapytała z nadzieją.

- Jesteś pewna, że nie zostaniesz? Będziemy świetnie się

bawić, zobaczysz. Pokażemy ci miejsce, gdzie sarny chodzą do wodopoju, chcesz? Widziałeś kiedyś z bliska sarnę? Albo moglibyśmy powspinać się na drzewa i poszukać ptasich gniazd, albo...

Dziewczynka uparcie potrząsała bujną czupryną.

- Chcę wracać do domu.

Kartoflany Człowiek westchnął ciężko i powoli, ze smutkiem pokręcił niekształną głową.

Luty 1985 roku

1

Beata widziała już chyba wszystkie możliwe reakcje na śmierć bliskiej osoby: ludzie płakali, mdleli, zadawali pytania albo upierali się, że musiała zająć pomyłka; znaleźliby się nawet tacy, którzy w gruncie rzeczy czuli ulgę. Jednak z punktu widzenia Beaty najgorszy był gniew, rozpacz zamieniona w natychmiastową wściekłość. Z łkającymi i oszołomionymi potrafiła sobie poradzić, tych, którzy wyładowywali na niej swoje pretensje do losu, po prostu się bała, choć jednocześnie nie potrafiła im nie współczuć.

Matka Szymka należała do płaczących, jego ojciec - do gniewnych.

- Wasza wina! - Miotał się po kuchni, podczas gdy gromada przerażonych dzieciaków nie spuszczała z niego oczu. - Wasza pierdolona, kurwa, wina! Chłopaka mi przez was ubili, kurwa mać, zajebię, jak Bóg miły, zajebię!

Z jego ust tryskały krople śliny, oczy miał przekrwione. Cuchnął przetrawionym alkoholem i zastarzałym potem, a kiedy krzyczał, Beata widziała wyraźnie, że brakuje mu większości zębów.

- Proszę się uspokoić - powiedziała łagodnie, zastanawiając się, co zrobi, jeśli facet ją zaatakuje. Potrafiłaby się obronić, ale myśl o biciu skacowanego i zrozpaczonego mężczyzny na oczach jego dzieci wyjątkowo jej się nie podobała. - Rozumiem,

że to dla pana trudne...

- Gówno tam rozumiesz, cipo jedna! - zawył, aż któraś z młodszych dziewczynek wybuchnęła płaczem.

- Jeszcze jedno takie słowo i aresztuję pana za znieważanie oficera milicji - oznajmił chłodno Bogusz, wchodząc do kuchni. Jego włosy i ramiona obsypane były śniegiem jak białym konfetti. Płatki już zaczynały topnieć w ciepłe rozgrzane go pieca.

Ojciec Szymka zamrugął przekrwionymi oczami i, o dziwo, spuścił z tonu. Nadal mamrotał coś pod nosem, ale zgarbił się i wyraźnie oklapł.

Beata spojrzała na porucznika z wdzięcznością. Może i był pozbawiony empatii, ale, cholera, czasem to się przydawało.

- Pogadaj z dzieciakami, może któreś powie ci coś ciekawego. Ja tu sobie poradzę - szepnął.

Dzieci było ośmioro, ale trójka najmłodszych raczej nie nadawała się do przesłuchiwania. Beata zabrała więc do pokoju piątkę starszych i posadziła ich rzędem na tapczanie. Wszystkie miały ciemne włosy i otwarte buzie, może ze zdumienia, choć sierżant podejrzewała raczej rodzinny problem z powiększonymi migdałkami. Żadne nie przypominało sobie, żeby Szymek przyjaźnił się z Wojtkiem, Pawłem, Blanką albo Asią, żadne nie miało pojęcia, dlaczego ich brat został zabity.

Dziewięcioletnia Agnieszka chlipała, tuląc w ramionach wytartego królika, jej nieco starsza siostra - Beata zapomniała imienia - podniosła rękę jak w szkole i zapytała, czy może iść do ubikacji. Sierżant westchnęła i zwolniła obie dziewczynki. Chwilę później pod pretekstem, że trzeba wydoić krowy, zmyli się także dwaj chłopcy i w pokoju została tylko najstarsza z rodzeństwa, ta z mysimi ogonkami, która pytała, czy Bogusz i Beata przyjechali aresztować Szymka.

Sierżant spojrzała przez okno. Chłopcy nie doili krów, tylko tkwili przy płocie, gapiąc się na miejsce, gdzie trwało zabezpieczanie śladów. W śnieżnej zadymce kręciły się rozmazane cienie milicjantów, technika, lekarza i prokuratora, którego samochód widziała przed domem. Dwa psy poszukiwały w lesie zabójcy, ale Beata mogłaby się założyć, że

go nie znajdują. Morderca był zbyt sprytny, by dać się złapać w taki sposób, nie wspominając o tym, że padający śnieg wkrótce zatrze ślady.

Wróciła spojrzeniem do dziewczynki, która była zarazem podobna i niepodobna do rodzeństwa: takie same ciemne włosy, ostre, dość ładne rysy twarzy i otwarte usta. Jej oczy wydawały się jednak płaskie, pozbawione głębi jak na rysunku, a jedyną reakcją na wiadomość o śmierci brata była lekka ciekawość, nic więcej. Beata zastanowiła się, czy najstarsza córka nie jest przypadkiem upośledzona jak biedny Wojtek, ale chyba nie - wzrok miała bystry, tyle że dziwnie pozbawiony emocji.

Sierżant chrząknęła.

- Nazywasz się Ola Szmajdzińska, tak? - zapytała, wiedząc już, że wszystkie dzieci noszą nazwisko matki, nie ojca.

Dziewczynka przytaknęła.

- Zapytałaś, czy przyszedł aresztować twojego brata. Dlaczego?

- Bo właśnie to sobie pomyślałam - odpowiedziała z nieodpartą logiką.

- Ale czemu coś takiego przyszło ci do głowy?

- Szymek tak mówił.

- Że przyjdziemy go aresztować? Zrobił coś złego?

- Nie wiem. Pytałam go, ale nie chciał powiedzieć. - Ola wyglądała na rozczarowaną, jednak smutek zaraz ustąpił miejsca ciekawości. - Ktoś go zastrzelił, tak? Jak w filmach? Długo umierał?

- Nie, na szczęście nie cierpiał.

- To na pani bluzce to krew?

Beata wzdrygnęła się lekko. Rzeczywiście falbanka przy dekolcie była brudna. W którymś momencie musiała dotknąć jej rękami, zanim poszła do łazienki i porządnie je wyszorowała.

- Pokażesz mi rzeczy Szymka? - zmieniła temat.

- Jego rzeczy? Ma pani na myśli ubrania?

- Nie, raczej... - O mało nie powiedziała „zabawki”, ale czternastoletni chłopcy przecież nie bawią się zabawkami. -

Rzeczy osobiste, nie wiem, książki, to, co zbierał.

Przez chwilę myślała, że Szymek niczego takiego nie miał, bo Ola gapiała się, jakby Beata mówiła po chińsku, ale w końcu twarz dziewczynki rozjaśnił błysk zrozumienia.

- A, jego skarby. Jasne, pokażę.

Wyciągnęła skądś starą puszkę - chyba po niemieckich cukierkach, choć sierżant nie mogła być pewna, bo większość rysunku i napisów dawno się zatarła - po czym wysypała zawartość na łóżko. Były tam między innymi dwa odpustowe medaliki, srebrny krzyżyk, porcelanowy słoń z obtłuczoną trąbą, zapalniczka bez gazu, bransoletka z koralików, ołowiany żołnierzyk, uszczelka do syfonu i zniszczona książeczka z obrazkami. Część z tego wyglądała jak pamiątki po krótkim i niezbyt szczęśliwym dzieciństwie, część jak przypadkowe rzeczy kradzione w sklepach - bransoletka i uszczelka miały nawet metki. Czy o to właśnie chodziło? Szymek bał się, że przyjdzie po niego milicja, ponieważ kradł niepotrzebne mu drobiazgi?

Na widok tych wszystkich śmieci Beacie zrobiło się smutno. Zazwyczaj lubiła swoją pracę, a przynajmniej miała poczucie, że robi coś ważnego i potrzebnego, ale nie dzisiaj - dzisiaj najchętniej wróciłaby do domu i obejrzała z Kaśką film w telewizji, broń Boże nie kryminał. Jej współlokatorka przez większość czasu była kłótniawą żoną potrafiącą zrobić awanturę o nieumyty kubek w zlewie, miała jednak zaskakującą zdolność zmieniania się, kiedy Beata wracała z pracy naprawdę wyczerpana, na granicy psychicznej wytrzymałości. Wtedy Kaśka nagle stawała się miłą, przynosiła koleżance gorącą herbatę z sokiem, masowała kark i do późnej nocy wysłuchiwała opowieści o melinach, w których płaczą głodne dzieci, ojcach gwałcących nieletnie córki czy martwych nastolatkach.

Sierżant rozgarnęła „skarby” Szymka i wyłowila z nich kawałek papieru. Była to ulotka z wydrukowanym programem: „11.00 - zabawy dla dzieci w wieku 5-10 lat, 13.00 - występ zespołu Niezapominajki”. Odwróciła kartkę - na drugiej stronie był rysunek potwora z wielkim nosem i ustami cienkimi jak

kreska.

- Wiesz, kto to jest? - zapytała Olę, która pokręciła głową, bynajmniej nie zdziwiona, że milicja zadaje takie pytania.

Beata westchnęła.

- Zabieram to. Powiedz rodzicom... Zresztą nic nie musisz im mówić.

Dołączyła do Bogusza, który zmierzał już w stronę samochodu. Porucznik usiadł za kierownicą i włączył ogrzewanie, wycieraczki zaczęły zgarniać z przedniej szyby świeżo spadły śnieg. Sierżant zdjęła czapkę i rękawiczki, choć w aucie wciąż było zimno.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytała.

Pokręcił głową, ruszając powoli.

- Ani ojciec, ani matka nie kojarzą żadnego z naszych dzieci. O swoim zresztą też niewiele mieli do powiedzenia. Nie potrafili nawet odpowiedzieć na pytanie, jaki ten chłopak był, czy miał hobby, z kim się przyjaźnił, nic. Nie sprawiał kłopotów, tyle się dowiedziałem. Wygląda na to, że nikt się tym dzieciakiem nie interesował, nikt go nie słuchał. Zupełnie jakby Szymek był niewidzialny.

- Biedaczek. Ale nie sądzę, żeby był taki niewinny. On kradł.

- Kradł?

- Tak mi się wydaje. Różne drobiazgi, większość z nich to, szczerze mówiąc, straszne śmieci.

- Kleptomani?

- Albo po prostu chciał się czymś wykazać, udowodnić, choćby przed samym sobą, że cokolwiek potrafi.

- Może próbował zwrócić na siebie uwagę. Ignorowane dzieci miewają tendencję do takich zachowań. Niemy krzyk o pomoc...

Beata parsknęła śmiechem.

- Czytałeś ostatnio jakieś psychologiczne książki czy powiedziała ci to ta twoja dziewczyna? W porządku, nie rób takiej miny. - Uniosła ręce w obronnym geście. Porucznik zdecydowanie nie lubił, kiedy śmiano się z jego teorii. - Bardzo możliwe, że masz rację, przepraszam. Znalazłam jeszcze to. - Podła mu rysunek.

Bogusz rozpogodził się i nawet gwizdnął.

- Nie jest to talent na miarę Wojtka, ale chyba mamy tu tego samego potwora. Jak myślisz?

- Wygląda dość podobnie. - Tak naprawdę podobieństwo nie było zbyt duże, jednak sierżant uznała, że dość na dzisiaj drażnienia starszego stopniem oficera. - Myślisz, że to nasz morderca?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli tak, Szymek musiał być naprawdę dziwnym dzieckiem.

- Dlaczego?

- Sama przecież widziałaś. Ten człowiek, o ile to w ogóle jest człowiek, stał pod lasem...

- A Szymek biegł w jego kierunku - dokończyła Beata. - Uciekał przed nami, nie przed zabójcą. U niego szukał pomocy, jemu ufał.

- Taaa - mruknął Bogusz. - Zaskakujące, jeśli weźmie się pod uwagę, że mamy do czynienia z potworem, prawda?

2

Maria, odkąd pamiętała, czuła się w bibliotekach dobrze. Lubiała zapach drewna, kurzu i starego papieru, a także tę specyficzną, jakby uroczystą ciszę, która nawet najmłodszych skłaniała do tego, by zniżali głosy. Trochę jak w kościele, tyle że tam było zimno i ponuro, podczas gdy biblioteki zawsze wydawały jej się pełne przyjaznego ciepła. W dzieciństwie i latach nastoletnich uciekała tu, kiedy pokłóciła się z ciotką albo gdy dokuczały jej koleżanki w szkole - świetnie pamiętała wszystkie te miłe dni, które spędziła przy stoliku, przeglądając najnowsze numery „Świata Młodych”, „Kina” czy „Przyjaciółki”. Nawet potem, gdy dorosła i wyjechała na studia, często przeciągała chwilę wyboru książki w warszawskiej bibliotece, przechadzała się wzdłuż półek, sunąc palcem po zakurzonych grzbietach, odczytywała tytuły i z sennym zadowoleniem wsłuchiwała się w ciche tykanie zegara. Dzisiaj jednak nawet zapach papieru i cisza nie przynosiły ukojenia.

Zamknęła oczy. Znużenie napływało falami, stopniowo zatapiając jej ciało, pod powiekami wciąż piekły niewypłakane łzy, a w ustach miała metaliczny posmak, jakby ssała starą monetę. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz dobrze spała. Jej myśli spowijała gruba warstwa otepiającego strachu i zmęczenia, a oczy same się zamykały. Równocześnie jednak Maria była dziwnie pobudzona: serce waliło w piersi, jakby wypięła za dużo mocnej kawy, w domu miotała się z kąta w kąt, nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca. Nie pomagały już mocna słodka herbata ani nawet wyjście na spacer w południe, kiedy jest najwięcej słońca. Zapalała wszystkie lampy, ale nawet wtedy widziała gromadzący się na granicy pola widzenia mrok, czarną pajęczynę narzuconą na świat. Jakby traciła wzrok albo zdrowe zmysły, albo nawet jedno i drugie. „Mam dość - tłukła jej się w głowie samotna myśl. - Niech to się wreszcie skończy”.

Wczoraj zginęło kolejne dziecko.

Wszyscy już o nim mówili - tym razem został zamordowany chłopak, czternastolatek z Łubnic, wsi położonej wystarczająco blisko granic miasta, by jej mieszkańcy mogli swobodnie chodzić do Mgielnicy pieszo. Szymek - tak miał na imię. Nazwiska nikt Marii nie podał, ale ona i bez tego wiedziała, jak brzmiało.

- Dobrze się pani czuje? - Z zamyślenia wyrwał ją głos bibliotekarza, który uśmiechał się pokrępiąco.

Zimowe słońce odbijało się w jego okularach, cisza w bibliotece przygniatała Marię, jakby pochowano ją głęboko pod ciężką zmrożoną ziemią.

Z trudem zdobyła się na to, żeby odpowiedzieć.

- Tak... Nie, nie wiem.

- Mogę w czymś pomóc?

Ścisnęła w rękę książkę, *Czarnego Księcia* Iris Murdoch. Czy nie pożyczała jej wcześniej? Nie pamiętała. Zresztą wszystko jedno.

Mała Marysia wychodząca z lasu, mały Paweł pomiędzy drzewami, szepczący: „Ja też mam tajemnicę”. Krew na jej sukience i na jego koszuli. Historie się powtarzają, może właśnie o to w tym wszystkim chodziło.

- Czy mogłabym... mogłabym zajrzeć do „Głosu” sprzed mniej więcej ośmiu lat?

- Tak, oczywiście. - Bibliotekarz wciąż się do niej uśmiechał, ale nie znajdowała już w tym uśmiechu pokrzepienia. - Proszę za mną. Nazywam się Robert Langier, nawiasem mówiąc. Uznałem, że skoro znam pani imię i nazwisko, możemy oficjalnie się sobie przedstawić.

- Miło mi - mruknęła odruchowo.

- Widzę, że często pani u nas bywa. Lubi pani czytać?

- Tak, oczywiście.

Czego ten człowiek od niej chciał? Prowadzenie niezobowiązującej pogawędki o literaturze było ostatnią rzeczą, na jaką Maria miała w tej chwili ochotę.

- Może pozwoli się pani zaprosić w jakieś spokojne miejsce, żeby porozmawiać o naszych ulubionych lekturach? - Wciąż wyglądał jak wcielenie uprzejmości, ale było coś w jego oczach, jakaś natarczywość, która sprawiła, że Maria cofnęła się odruchowo.

- Nie, ja... Dziękuję. Nie mam... Nie mam teraz czasu.

- Rozumiem. Myślałem, że przy całym tym zamieszaniu wokół pani osoby przyda się pani towarzystwo kogoś życzliwego, ale skoro woli pani być sama, nie będę się narzucał.

Czy jej się zdawało, czy w głosie bibliotekarza usłyszała nutę przygany? Tak czy inaczej, nie zamierzała się z nim umawiać. Potrzebowała teraz spokoju, nie randki, zresztą sama myśl o randce wydawała jej się absurdalna.

Odwrócił się i zdjął z półki dwa ciężkie tomy.

- Proszę, tu jest rocznik 1976, a tu 1977. Gdybym mógł jeszcze...

- Dam sobie radę. - Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzała.

W oczach Roberta błysnęła uraza, wyraźnie widoczna za grubymi szklami okularów. Powinna poczuć wyrzuty sumienia, ale czuła jedynie ulgę, gdy wreszcie zostawił ją samą w niewielkim pomieszczeniu, w którym jako nastolatka przeglądała czasopisma.

Pomasowała skronie i przymknęła oczy. Zmęczenie zaraz ją dopadło, jakby przyczajone tuż obok czyhało na chwilę

nieuwagi. Maria zsuwała się w czarną otchłań tak gładko, jak dziecko zjeżdża na sankach oblodzoną drogą. Paskudne uczucie spadania odzywające się pustką w żołądku. Drgnęła nagle, gdy głową omal nie uderzyła w stolik, i oprzytomniała. Serce biło jej niespokojnie, bluzkę miała przesiąkniętą potem. Potarła zeszywniały kark i otworzyła rocznik.

Nie była pewna, czy zdoła utrzymać otwarte oczy, ale musiała przynajmniej spróbować.

Zaczęła od 1976 roku. Przeglądała po kolei strony z lokalnymi wydarzeniami i notowała w czarnym zeszytcie.

W marcu starsze małżeństwo spłonęło w swoim mieszkaniu. Przyczyną najprawdopodobniej był grzejnik, przykryty na noc kocem.

W kwietniu zmarło niemowlę, roczna dziewczynka pozostawiona na noc bez opieki. W notce enigmatycznie informowano o pociągnięciu matki do odpowiedzialności, ale potem nikt więcej o tym nie wspominał.

Maj i czerwiec były spokojne, za to w wakacje zaczął się prawdziwy wysyp wypadków: dwa utonięcia, chłopak, który wjechał rowerem pod koła ciężarówki, i drugi przygnieciony belką podczas zabawy w walącym się domu.

W październiku zdarzyło się pierwsze w tym roku zabójstwo - ofiarą była kobieta, którą konkubent zatłukł butelką za to, że ponoć sypiała z jego kumplem od kieliszka.

W styczniu następnego roku doszło do napadu rabunkowego - staruszka wpuściła do domu dwóch uczniów miejscowej zawodówki i dostała młotkiem w głowę. Chłopcy wynieśli z jej mieszkania radio, telewizor oraz szkatułkę z biżuterią. Starsza pani przeżyła, choć straciła wzrok.

W tym samym miesiącu cierpiący na demencję osiemdziesięcioletek wyszedł z domu i udał się w niewiadomym kierunku. Przez kilka dni szukały go milicja oraz gromada zrozpaczonych wnucząt, aż wreszcie staruszek odnalazł się w lesie, martwy i przysypany śniegiem.

Wczesną wiosną, gdy lód puścił, miał miejsce kolejny wypadek - samochód z matką oraz dwójką dzieci z nieznanых przyczyn spadł z mostu do rzeki, po czym porwany przez silny

nurt spłynął aż do Odry. Nie napisano tego wprost, ale Maria pomiędzy wierszami wyczytała, że odnalezione trzy dni później ciała były w naprawdę paskudnym stanie.

W maju ósmioletnia Małgosia Nowak wyszła z domu po mleko do naleśników i nigdy nie wróciła.

Latem znów zaczął się wysyp wakacyjnych wypadków, tym razem jednak tylko dwa były poważne. W lipcu pewien chłopiec założył się z kolegami, że wejdzie na słup wysokiego napięcia przy stacji kolejowej i dotknie drutów. Zakład wygrał, ale nie zdążono go odratować. W sierpniu na skraju lasu został zastrzelony student, który niedawno przybył do Mgielnicy. Milicja podejrzewała, że miało to związek z jakimiś porachunkami z jego przeszłości.

We wrześniu pięcioletnia dziewczynka odłączyła się od rodziców podczas grzybobrania i zniknęła między drzewami. Znalaziono ją dość szybko, bo po trzech godzinach, niestety do tego czasu dziecko zdążyło już zjeść muchomora i zmarło kilka dni później w szpitalu z powodu uszkodzenia wątroby i nerek.

Dwa tygodnie później miało miejsce kolejne morderstwo. Ofiarą była znana z rozrywkowego trybu życia trzydziestoletnia pracownica sklepu obuwniczego, którą znaleziono uduszoną w lesie. Zabójcy nigdy nie schwytano, choć większość miasteczka podejrzewała ostatniego z narzeczonych pięknej Sabiny, pracującego w warsztacie samochodowym Jana Kosmę. Maria świetnie to pamiętała, bo choć mieszkała wtedy w Warszawie, nawet do niej dotarły pogłoski o tej zbrodni.

Czy cokolwiek z tego mogło mieć związek z wydarzeniami, które ostatnio wstrząsnęły Mgielnicą?

Zakreśliła w notesie wypadki i zabójstwa, które zdarzyły się w lesie lub jego pobliżu: zamarznęty staruszek, samochód spadający z mostu do rzeki, zastrzelony student, zatrucie grzybami i morderstwo Sabiny. Potem zaznaczyła jeszcze napadniętą w domu starszą panią i zniknięcie małej Małgosi. Siedem tragicznych w skutkach zdarzeń, które w taki czy inny sposób mogły kojarzyć się ze śmiercią Pawła, Asi oraz Szymka.

Nie miała pojęcia, co dalej.

Przez chwilę bezmyślnie kartkowała rocznik 1977. W pewnym

momencie w oczy rzuciła jej się fotografia Emilii Orawskiej - ciotka stała przed huśtawką otoczona gromadą dzieci. Podpis pod zdjęciem głosił: „Nowy plac zabawnie powstałby, gdyby nie inicjatywa naszej największej społeczniczki”. Starsza pani sprawiała wrażenie sympatycznej i łagodnej.

Maria dotknęła jej uśmiechniętej twarzy.

„Obie wiemy, że tak naprawdę byłaś zupełnie inna, prawda?”, powiedziała w myślach.

Z ciekawości przejrzała jeszcze rocznik w poszukiwaniu zdjęć ciotki. Było ich całkiem sporo: Emilia w bibliotece, przed ratuszem i oczywiście podczas Dni Miasta. Znalazła się także na wspólnej fotografii zrobionej z okazji otwarcia w Szkole imienia Róży Luksemburg nowej sali gimnastycznej. Musiało być wtedy bardzo upalnie, bo mężczyźni mieli porozpınane kołnierzyki, a kobiety nosiły lekkie sukienki na ramiączkach - 31 sierpnia, ostatni dzień wakacji. Na zdjęciu dostrzegła także Jadzię Siwczyk, Stasię Mederską oraz Karola Górnego. A obok Alicję w towarzystwie podobnego do niej mężczyzny, opaloną i uśmiechniętą.

Maria z nagłym skurczem serca uświadomiła sobie, że za nią tęskni.

3

- Przemysłmy to wszystko jeszcze raz - powiedział Bogusz. Po całym dniu pracy miał poszarzałą cerę i cienie pod oczami, a mimo to promieniował desperacką energią. Nie zostało mu wiele czasu - w piątek do Mgielnicy przyjeżdżał wysłany z Wrocławia podpułkownik, który miał przejąć śledztwo.

Beata siedziała zgarbiona na biurku, czując, jak w jej żołądku burzy się sześć szklanek mocnej kawy. Chyba przesadziła, zwłaszcza że przez cały dzień zjadła jedynie kanapkę i porcję ruskich z pobliskiego baru. Nie była jednak głodna, tylko bardzo zmęczona. Potarła skronie, starając się wykrzesać z siebie energię podobną do tej, jaka ożywiała porucznika. Bogusz wyglądał jak buldog, który wgrzyzł się w wyjątkowo smakowitą kość i nie chce jej puścić, podczas gdy Beata czuła

się raczej jak wyczerpany polowaniem, mocno zniechęcony chart.

- Mamy trzy morderstwa: Pawła, Asi i Szymka, samobójstwo Wojtka oraz zniknięcie Blanki. Co łączy te dzieci?

- Wiek - odparła Beata, z każdą chwilą coraz bardziej znużona. Wątkowali to dziesiątki razy i nie doszli do żadnych sensownych wniosków.

- Zgadza się, choć nie do końca. Szymek chodził do siódmej, nie ósmej klasy, ale ponieważ urodził się w lutym, różnica wieku pomiędzy nim a pozostałymi dziećmi była niewielka. Coś jeszcze?

- Wszyscy byli stąd, z Mgielnicy albo okolic. Poza tym nic nie przychodzi mi do głowy.

- Różne płcie, różne środowiska, w których dzieci dorastały, kręgi znajomych i, powiedzmy, zdolności intelektualne. Zakładamy, że się znali...

- A jeśli nie? Pomyślałeś o tym? Może rozwiązanie jest prostsze, niż nam się wydaje, i te dzieciaki wydają się nie mieć ze sobą nic wspólnego, ponieważ naprawdę nie mają nic wspólnego? Rysunek Wojtka, te wszystkie potwory... Trudno to uznać za dowody.

- Wiemy, że Wojtek rozmawiał z Pawłem - przypomniał Bogusz.

- Niekoniecznie. Matka Pawła mogła się pomylić albo rozpoznała chłopaka na zdjęciu, bo chciała go rozpoznać. Sam dobrze wiesz, że większość świadków ma problem z zapamiętaniem twarzy, zwłaszcza jeśli widzi kogoś tylko przez krótką chwilę.

- Co w takim razie sugerujesz? Że mamy seryjnego mordercę polującego na nastolatki?

- To jakieś wyjaśnienie, prawda? - Sierżant próbowała sobie przypomnieć, co wie o tego typu zabójcach.

Zdzisław Marchwicki, wampir z Zagłębia, którego stracono osiem lat temu, krakowski Karol Kot grasujący jeszcze w latach sześćdziesiątych... Nazwiska i twarze z gazet, za którymi nie stali żywi ludzie.

- Nie wiem tylko, czy seryjny morderca zabijałby dzieci

różnych płci. Chyba zazwyczaj preferują albo chłopców, albo dziewczynki?

- Poza tym przedział wiekowy jest bardzo wąski. Nie słyszałem o seryjnym, który zabijałby wyłącznie czternastolatków. No i weź pod uwagę, że na żadnym z ciał nie znaleźliśmy śladów seksualnej aktywności. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym potrząsnął głową. - Nie, te dzieci coś łączy. Za dużo zbieżności, żeby uznać to za przypadek. Nauczycielka przypomina sobie, że czwarte dziecko nazywali Szmają, i następnego dnia ginie chłopak o nazwisku Szmajdziński, te wszystkie rysunki, to, że stare kości znaleźliśmy na tej samej polanie co ciało Asi...

- Ale nadal nie mamy pojęcia, co sprawa z lat pięćdziesiątych mogłaby mieć wspólnego z tym, co dzieje się w mieście teraz - przypomniała Beata.

Bogusz zacisnął usta.

- Dowiemy się - oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, po czym powiódł spojrzeniem po zawieszonych na tablicy zdjęciach dzieci. - Mam wrażenie, że coś nam umyka, jakiś oczywisty punkt wspólny, który przegapiliśmy. Na rysunku Wojtka jest trzech chłopców i jedna dziewczynka, a my mamy pięć potencjalnych ofiar.

O jedną za dużo. Może Wojtek z jakiegoś powodu nie narysował wszystkich swoich przyjaciół, a może jedna z tych ofiar to fałszywy trop, kawałek z zupełnie innej układanki.

Sierżant również spojrzała na zdjęcia i jej wzrok zatrzymał się na czarno-białej twarzy dziewczynki o dość przeciętnej urodzie.

- W takim razie to pewnie Blanka, nie? Najprawdopodobniej po prostu uciekła, a maska i gadanie o potworze to zwyczajne wygłupy.

Bogusz skinął powoli głową, choć nie wydawał się do końca przekonany.

Beata zsunęła się z biurka.

- Idę do domu, bo padam na pysk - oznajmiła. - Ty też powinieneś przespać się choć parę godzin.

Kiedy wychodziła, porucznik wciąż stał przy tablicy i ze zmarszczonymi brwiami patrzył na fotografie dzieci. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto potrzebuje snu.

Dzwonek zabrzmiał ostro i nagłoco. Maria najpierw zamarała jak zając, na którego padł wzrok drapieżnika, a potem dopiero odważyła się odetchnąć.

Było po dziesiątej, przebrała się już w nocną koszulę i szlafrok. Nie spała jednak, korzystała z dwóch-trzech wieczornych godzin, kiedy trochę się ożywiała, a jej umysł zaczynał funkcjonować nieco sprawniej. Poza tym teraz, kiedy miała wolne i nie musiała zrywać się rano, odwlekała jak mogła moment położenia się do łóżka. Wiedziała, że w ciemności znów dopadnie ją duszący lęk, że będzie leżała bezsennie, gapiąc się w mrok i rozmyślając o wszystkich tych rzeczach, o których nie powinna myśleć, jeśli chciała zachować zdrowe zmysły.

Kolejny dzwonek. Kogo licho niosło o tej porze?

Wstała, podeszła do drzwi i nasłuchiwała przez chwilę. Na zewnątrz rozległ się kaszel, a potem odgłos smarkania. Myśl o przeziębionym mordercy, który wypełził spod kołdry specjalnie po to, żeby ją zabić, wprawiła Marię w wisielczy humor.

Otworzyła.

Przed domem stał Rysiek Stenzel. Pociągał zaczerwienionym nosem i chował brodę w otchłani szalika, który wyglądał jak wydziergany przez babcię.

- Obudziłem cię? - zapytał, obrzucając spojrzeniem strój Marii.

- Nie.

- Nie powinienem przychodzić tak późno, wiem. Ale musiałem z kimś porozmawiać. Przepraszam.

„Dlaczego akurat ze mną?“, zapytała w myślach. Nie znali się przecież dobrze, a tym bardziej nie przyjaźnili. Może łatwiej było się zwierzać komuś takiemu jak ona: znajomemu, ale jednocześnie stojącemu nieco z boku? A może była to jedna z tych licznych złośliwości losu, które zdawały się ją prześladować?

Przez chwilę miała ochotę zatrzasnąć niespodziewanemu

gościowi drzwi przed nosem, wiedziała jednak, że tego nie zrobi - zbyt głęboko wpojono jej w dzieciństwie zasady dobrego wychowania.

- Wejź.

- To nie jest bezpieczne - powiedział, przekraczając próg. - Nie powinnaś nikomu otwierać o tej porze. To znaczy mnie oczywiście możesz - zaplątał się - ale gdyby przyszedł ktoś niebezpieczny...

- Na przykład morderca? Skąd mam wiedzieć, że ty nim nie jesteś? Podobno niektórzy nauczyciele cię podejrzewają.

- Tak jak ciebie, prawda? - Uśmiechnął się tym zmęczonym, nerwowym uśmieszkiem, który mimo niesprzyjających okoliczności poruszył w Marii jakąś czułą strunę. - Wygląda na to, że spotykając się, oboje ryzykujemy życie.

Rysiek wyglądał równie źle, jak na pogrzebie - nieogolone policzki miał zapadnięte, strąki tłustych włosów zwisały nad zaczerwienionymi oczami. A jednak był w tym wynędzniałym mężczyźnie jakiś paradoksalny urok i Marii przemknęło przez głowę, czy któraś z jego uczennic to dostrzegła.

- Napijesz się herbaty?

- Tak, chętnie.

- A może wolisz kawę?

- Wszystko mi jedno, byleby było ciepłe. Strasznie prze-marzłem.

- Przyjechałeś autobusem?

Potrząsnął głową.

- Przyszedłem pieszo.

- Oszalałeś? - Jeśli szedł od centrum, musiało mu to zająć z godzinę. - Usiądź, dam ci koc, ogrzejesz się.

Rysiek zapadł się w fotelu. Zabrała jego płaszcz i buty, a potem owinęła gościa kocem, myśląc przy tym, jak bardzo nie nadaje się na pielęgniarkę czy pocieszycielkę. Co powinna jeszcze zrobić? Jej ciotka by wiedziała. Maria czuła się zagubiona, jednak proste czynności pomogły jej odnaleźć się w całej tej absurdalnej sytuacji.

- Weź od razu dwie. - Podała mu opakowanie polopiryny. - I popij ciepłą herbatą.

- Dzięki - mruknął. - Przepraszam za kłopot... Nie wiem, co mnie napadło. Chyba po prostu nie mogłem wytrzymać sam w domu.

- I przyszło ci do głowy, żeby odwiedzić akurat mnie? - Głos Marii zabrzmiał sucho, nieprzyjemnie. Nie planowała tego, ale też nie żałowała.

- Głupie, wiem. - Posłał jej znad koca kolejny zmęczony uśmiech. - Pomyślałem, że ty mnie zrozumiesz. Że wiesz, jak to jest, kiedy człowiekowi wszystko wali się na głowę.

- Tak, chyba rzeczywiście wiem.

Zastanowiła się, co pomyślą sąsiedzi, kiedy nad ranem wyjdzie z jej domu obcy mężczyzna - bo przecież nie mogła wyrzucić go nocą na mróz. Ale to był w tym wszystkim najmniejszy problem.

Rysiek pił herbatę małymi łykami.

- Spotykałem się czasem z Asią - powiedział wreszcie. - Nie tak... Nie tak, jak myślisz...

- Skąd możesz wiedzieć, co myślę?

- Nie było w tym nic niewłaściwego. Po prostu czasem wpadała do mnie na oranżadę i ciastka. Rozmawialiśmy, tylko tyle. Lubiliśmy się. Byliśmy przyjaciółmi.

- Ona miała czternaście lat.

- Czy to znaczy, że nie mogła być moją przyjaciółką?

- Czternastoletnie dziewczynki nie przyjaźnią się z trzydziestokilkuletnimi mężczyznami. Nie tak po prostu. Wiesz o tym.

Westchnął i przeczesał włosy palcami.

- Masz rację. Ale ludzie lubią się oszukiwać, prawda? Myślałem, że może za parę lat, kiedy skończy szkołę...

- Rysiek, Jezu, nawet nie chcę o tym słuchać. A jeśli teraz powiesz, że Asia nie była taka jak inne dziewczynki w jej wieku, wyrzucę cię na dwór.

Zgarbił się, grzejąc dłonie o kubek z herbatą.

- Kiedy ona naprawdę nie była taka jak inne dziewczynki. Nie, czekaj, nie w tym sensie, że była bardziej dorosła. Wręcz przeciwnie, czasem wydawała się strasznie dziecinna. Żyła... w nierealnym świecie, jak z książki albo z filmu, rozumiesz? Całe

jej życie było opowieścią, a ona grała rolę głównej bohaterki. To miało nieodparty urok.

- Tyle że ta opowieść źle się skończyła.

- Wiem.

- O czym była?

- Słucham?

- Ta opowieść. O czym była?

- Och, o różnych rzeczach. Na przykład o polowaniu na potwora. Ktoś ze starszych mieszkańców opowiedział Asi, że kilkadziesiąt lat temu w Mgielnicy mieszkał mocno oszpecony mężczyzna, może po wypadku, nie wiem. Asia z jakiegoś powodu wierzyła, że ten człowiek wciąż żyje, tylko się ukrywa, i chciała go sfotografować. Mówiła o nim „potwór”.

- Raczej mało uprzejmie - mruknęła Maria.

- Nie miała złych intencji, nie sądzę... Nie wydaje mi się, żeby był dla niej prawdziwą osobą, raczej traktowała go jak kolejną postać z książki albo filmu. Jestem pewien, że gdyby kiedyś spotkała tego mężczyznę, potrafiłaby zobaczyć w nim po prostu człowieka. Była dobrym dzieckiem.

- Może właśnie go spotkała?

- Myślisz, że on ją zabił? - Rysiek ożywił się odrobinę. - Powiniennem powiedzieć o tym milicji?

- Milicja już wie, że Asia chciała sfotografować potwora. Chyba że wiesz coś więcej, na przykład gdzie tego człowieka można znaleźć?

- W Zielonym Domu. - Uśmiechnął się smutno. - Tak mówiła Asia: potwór mieszka w Zielonym Domu. Nigdy nie zapytałem, gdzie to właściwie jest. Chyba w ogóle nie sądziłem, że takie miejsce naprawdę istnieje. Wydawało mi się, że to tylko zabawa.

- Ktoś wie o twojej przyjaźni z Asią?

- Karol widział nas kiedyś razem.

Maria nie skomentowała, wzięła tylko pusty już kubek i powędrowała do kuchni, by zrobić jeszcze herbaty.

- Możesz spać na kanapie, jeśli chcesz - powiedziała, gdy wróciła.

- Dziękuję. I przepraszam za kłopot.

„Może powinieneś się nad tym zastanowić, zanim wyszedłeś z domu - przemknęło jej przez głowę, ale nie czuła już złości. - Zielony Dom - myślała, słodząc herbatę. - Gdzie to, u licha, może być?”

5

Blanka kuliła się pod kocem, starając się ułożyć tak, żeby jak najmniej wiało na nią spod nieuszczelnionego okna. W lodowatej wilgoci mieszkania unosiła się woń gnijącego jedzenia, brudu i zepsutej kanalizacji.

Kwadrans później dziewczynka uznała, że i tak nie zdoła już zasnąć, wstała więc i podreptała do łazienki. Ściany były poznaczone żółtymi zaciekami, na podłodze zalegała warstwa zmieszanego z kurzem tynku, który odpadał od murów. Blanka zdjęła majtki i kucnęła nad sedesem. Gdy nacisnęła spłuczkę, woda w muszli zakotłowała się, wypychając na wierzch nieczystości, a potem długo nie chciała opaść.

W żołądku ją ssało, ruszyła więc do kuchni, równie brudnej i zimnej, jak reszta mieszkania. Na stole znalazła pół zeschniętej bułki - ugryzła z trudem i zaczęła obracać kęs w ustach, próbując zmiękczyć go śliną. Od strony tapczanu pod ścianą dobiegało donośne chrapanie. Spał tam pan Marian, człowiek, który przygarnął ją, kiedy po dotarciu autostopem do Katowic skończyły jej się zarówno pieniądze, jak i pomysły, co dalej. Był to chudy mężczyzna z rzadkimi siwiejącymi włosami i brudnymi paznokciami. Podczas snu jego nieogolona grdyka poruszała się jak szczur pod kocem, a w kącikach ust tworzyły się i pękały bąbelki śliny. „Stary, brzydki i prawdopodobnie ma nierówno pod sufitem”, oceniła go bezlitośnie Blanka, co nijak nie zmieniało faktu, że pan Marian był w tej chwili jej jedynym przyjacielem, ostatnią przeszkodą oddzielającą dziewczynkę od zamarnięcia na ulicy.

Albo, co gorsza, od powrotu do Mgielnicy.

Wydawał się dość sympatyczny, gdy podszedł do niej na dworcu i zaproponował, że jeśli z nim pójdzie, dostanie kolację i kąt do spania. Jasne, już wtedy widziała, że mężczyźnie

przydałoby się porządne mycie i nowe ubranie, ale ona też przecież nie pachniała fiołkami, a poza tym ktoś, komu z głodu kręci się w głowie i ciemnieje przed oczami, nie powinien wymyślać. Blanka w gruncie rzeczy cieszyła się również z tego, że pan Marian jest stary. „Mniejsza szansa, że będzie próbował mnie obmacywać”, pomyślała. Inne dziewczyny po powrocie z ucieczek opowiadały o mężczyznach, którzy dawali im jeść w zamian za seks, a Blanka nie miała zamiaru chodzić z nikim do łóżka. To było głupie i zupełnie jej nie interesowało.

Pan Marian rzeczywiście nie próbował się do niej dobierać, ale na tym kończyło się szczęście dziewczynki. Mieszkanie, do którego ją zaprowadził, było zapuszczoną norą na czwartym piętrze rozpadającej się, cuchnącej moczem kamienicy, a obiecana kolacja okazała się składać z czerstwego chleba i kawałka twardego sera. Mimo to Blanka została, bo zwyczajnie nie miała dokąd pójść. Szybko też przekonała się, że z umysłem pana Mariana jest coś bardzo nie w porządku. Czasem budził się i pytał, kim dziewczynka jest, czasem nazywał ją Sara, Olga albo jeszcze inaczej. Miał rentę, to wiedziała, ale z pieniędzmi wyczyniał dziwaczne rzeczy. Raz wyszedł po jedzenie i zamiast chleba czy mleka przyniósł dwie puszkę szprotek w oleju oraz wielką bombonierkę z rysunkiem kota na pudełku.

- Patrz, moja Niuśka. - Cieszył się jak dziecko, pokazując Blance obrazek.

Wściekle głodna Blanka zjadła szprotki i czekoladki, a potem zwymiotowała rybnosłodką masę w cuchnącej ubikacji.

Dwa dni później znalazła w puszcze na mąkę czterysta złotych, o których pan Marian chyba w ogóle zapomniał. Nauczona poprzednim doświadczeniem tym razem do sklepu poszła sama, kupiła parę bułek, jajka, masło, ser i nawet pęto kiełbasy. Tego wieczoru po raz pierwszy od dawna oboje położyli się spać najedzeni. Następnego ranka podniesiona na duchu Blanka próbowała posprzątać mieszkanie, szybko się jednak poddała, a pieniądze, choć schowane przed panem Marianem, topniały w tempie, które przyprawiało ją o frustrację. Zostało jej ostatnie pięćdziesiąt złotych - bardzo niewiele, jeśli ma się do nakarmienia dwie osoby.

Wiedziała, że w mieszkaniu można znaleźć także inne rzeczy: zegarek, na który natknęła się podczas porządków, trochę biżuterii czy zestaw srebrnych sztuczków. Przez chwilę kusilo ją, żeby zabrać to wszystko, a potem wynieść się stąd w cholerę. Dlaczego nie? Pan Marian pewnie i tak dawno zapomniał, że ma coś wartego sprzedania.

Zamiast tego tkwiła jak głupia na krześle w kuchni, żując suchą bułkę i popijając ją wczorajszą herbatą. Rozważała napalenie w piecu, ale węgla też było coraz mniej.

Jedynemu zegarowi w kuchni brakowało wskazówek, jednak Blanka zgadywała, że jest około jedenastej. Pan Marian powinien już się obudzić. Czemu wciąż spał? Gdyby wstał, mogłaby go wypytać, kiedy właściwie dostaje tę rentę, a potem może pójść z nim na pocztę i odebrać pieniądze.

Podeszła cicho do tapczanu i spojrzała na mężczyznę, który leżał zawinięty po czubek nosa w koc oblepiony kocia, a może psią sierścią.

- Proszę pana. - Chciał, żeby mówiła do niego po imieniu, ale jakoś nie potrafiła się przełamać. - Już późno, niech pan się obudzi.

Wymamrotał coś i przewrócił się na drugi bok. Dopiero teraz zauważyła, że mężczyzna ciężko oddycha i wydaje się rozpalony. Położyła rękę na jego czole - zdecydowanie było cieplejsze, niż powinno być.

Zagryzła wargę i wróciła na krzesło. „Kurwa - pomyślała, czując, jak pod powiekami gromadzą się łzy. - Dupa, gówno, głupi chuj”. Od powtarzania wszystkich tych przekleństw nie zrobiło jej się ani odrobinę lepiej.

Rozpaliła wreszcie w piecu, mając nadzieję, że ciepło obudzi pana Mariana, zaparzyła resztkę herbaty i nawet skoczyła do sklepu po drożdżówkę z serem - jego ulubioną. Potem potrząsnęła mężczyznę za ramię, podsuwając pod nos śniadanie, ale on tylko spojrzał nieprzytomnym wzrokiem i wcale nie chciał jeść.

Blanka czuła, jak od jej żołądka rozpełza się wstrętny, zimny strach. Nie potrafiła pojąć, co się stało, bo jeszcze wczoraj pan Marian wyglądał dobrze. No, jak na siebie dobrze. To pewnie

przez krążące w powietrzu wirusy, Blankę też już drapało w gardle. Grypa, może inne paskudztwo. Powinna wezwać lekarza albo przynajmniej iść do apteki i kupić jakieś leki. Tylko czym miałaby zapłacić?

Tęskniła za domem dziecka, za ciepłą i czystą pościelą, nawet za pokrzykiwaniem siostry Małgorzaty i towarzystwem dziewczyn, których nie znosiła. Jednak nie mogła tam wrócić, dobrze o tym wiedziała.

Godziny mijały, wyznaczone biciem dzwonów z pobliskiego kościoła, słońce powoli zmierzało w stronę zachodu. Blanka zjadła drożdżówkę z serem, ale wciąż była głodna. Pan Marian nadal nie chciał się obudzić. Za oknem ciężkie płatki śniegu opadały w świetle latarni z obtłuczonym kloszem. Dziewczynka nigdy wcześniej nie czuła się tak mała i samotna jak teraz. Myślała, że jest twarda, że sobie poradzi, a teraz siedziała przy dogasającym ogniu i chlipała jak dziecko.

Podjęła ostatnią desperacką próbę obudzenia śpiącego mężczyzny, ale tak jak się spodziewała, nic to nie dało.

Pan Marian nie wyglądał już, jakby spał - teraz sprawiał raczej wrażenie nieprzytomnego. Oddychał coraz ciężiej, a w płucach mu chrypiało.

Blanka włożyła kurtkę i buty, po czym wymknęła się z mieszkania. Zeszła na trzecie piętro i zapukała do sąsiadów.

- Co tam? - Chuda kobieta z rozczochranymi włosami i papierosem w ręku spojrzała na nią nieprzychylnym wzrokiem.
- Żebrać przyszedłś?

Nigdy wcześniej nie widziała Blanki, bo dziewczynka starała się wychodzić i wchodzić tak, żeby nikt jej nie zauważył. A teraz nie było czasu na tłumaczenie, kim właściwie jest i skąd się tu wzięła.

- Na górze jest mężczyzna, który potrzebuje pomocy - powiedziała. - Ma gorączkę i wygląda na chorego.

- Stary Drozda? - Kobieta wydmuchnęła dym z papierosa.

- Pan Marian, tak. Chyba powinna pani wezwać do niego lekarza. Niedaleko jest pogotowie.

- Dziecko, ja tu dwadzieścia lat mieszkam, nie musisz mi takich rzeczy tłumaczyć. A kto ty w ogóle jesteś?

- Nikt. - Blanka zaczęła się wycofywać. - Mną niech się pani nie przejmuję.

- Zaczekaj! - krzyknęła kobieta, ale dziewczynka już się odwróciła i z łomotem popędziła w dół schodów. Wypadła na zewnątrz, a potem nie zatrzymała się, aż dobiegła do kościoła. Śnieg wciąż padał, ciemność była coraz gęstsza.

„Co teraz?”, zastanowiła się. Nie знаła tu nikogo, a jedynymi miejscami, które w Katowicach kojarzyła, były okoliczne sklepy i dworzec kolejowy, gdzie zawsze kręciła się milicja i sokiści. Blanka nie chciała tam wracać, zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma wyjścia. Tylko na dworcu mogła się ogrzać, wybrać coś do jedzenia albo w ostateczności ukraść.

Jeśli zostanie na ulicy, prawdopodobnie zamarznie do rana.

„Będę ostrożna”, myślała, naciągając na głowę kaptur kurtki i rażno maszerując w śnieżycy. O panu Marianie już nie pamiętała - został za nią, tak samo jak wspomnienie jego wstrętnego mieszkania.

„Uda mi się, bo jestem twarda i sprytna. Pokonałam kiedyś potwora, a to nie byle co”.

6

Wisząca pod sufitem świetlówka, bzycząc monotonnie, zalewała prosektorium błękitnym światłem, które jak ułaj pasowałoby do zimnych, białych zwłok. Tych jednak nie było. Zamiast martwego ciała na metalowym stole leżały poźółkle kości ułożone z grubsza w szkielet. Brakowało części miednicy, paru żeber i kilku pomniejszych fragmentów.

- Mężczyzna? - zapytał Bogusz.

Trębicki skinął głową.

- Owszem, dość wysoki, w wieku około czterdziestu lat. Cierpiął na skoliozę. Widzi pan to skrzywienie?

- Czy to znaczy, że facet miał problemy z poruszaniem?

- Prawdopodobnie, choć niekoniecznie poważne. Może był wolniejszy i mniej zręczny niż inni, ale nie sądzę, żeby bardzo go to ograniczało. Niech pan popatrzy. - Lekarz wskazał pękniętą czaszkę. - Wygląda, jakby zginął od ciosu w głowę,

prawda?

- Tak zakładaliśmy.

- Być może się pomyliliście. Proszę spojrzeć tutaj. - Przesunął dłoń niżej, na klatkę piersiową. - Widzi pan?

- Nie.

- Proszę się dobrze przyjrzeć.

Zirytowany Bogusz pochylił się nad szkieletem i marszcząc brwi, powiódł wzrokiem po żebrach. Nie było w nich nic ciekawego, zwyczajne stare kości zniszczone przez czas i dzikie zwierzęta. A jednak... Na jednym z żeber zauważył półokrągłe wgłębienie, zbyt gładkie, by mogło być dziełem zębów. Porucznik dotknął go palcem, a Trębicki z satysfakcją pokiwał głową.

- Tak, to ślad po kuli. Trafiła w klatkę piersiową i zahaczyła o kość.

- A obrażenia czaszki?

- Nie jestem w stanie powiedzieć, co było najpierw. Może ktoś do tego człowieka strzelił, a potem uderzył go czymś ciężkim w głowę, a może odwrotnie.

- Po co ktokolwiek miałby robić coś takiego?

Lekarz ruszył do zlewu w kącie pomieszczenia i odkręcił kran.

- Nie mam pojęcia - odparł, energicznie mydląc dłonie. - Pan jest od znajdowania odpowiedzi na takie pytania, nie ja.

7

Rano zastała Ryśka w kuchni - stał przy piecu gazowym i czekał, aż zagotuje się woda w czajniku. Wchodzącej Marii posłał przepraszający uśmiech.

- Nie mogłem spać, więc pomyślałem, że zrobię sobie kawę. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Możesz zrobić od razu dwie.

Poruszał się niezgrabnie jak ciężko chory i dezorientowany człowiek. Miał problem z nalaniem gorącej wody do szklanek, potem rozsypał cukier. Ręce mu drżały, wzrok co chwila uciekał w dał, a wtedy mężczyzna zamierał, jakby ktoś w jego

wnętrzu naciskał przełącznik. Włącz, wyłącz.

„Jesteśmy siebie warci - pomyślała Maria z przebłyskiem gorzkiego humoru. - Dwa śmiertelnie zmęczone, cierpiące na bezsenność upiory”. Powinna mu współczuć, ale nie potrafiła wykrzesać nawet odrobiny sympatii. Była dziwnie zubożniała, nawet myśl o czającym się gdzieś mordercy nie przyprawiała jej już o szybsze bicie serca.

- Pojadę najbliższym autobusem - obiecał. - Dzięki, że pozwoliłaś mi zostać. I przepraszam...

- Przestań już.

Wypiła kawę, a potem włożyła buty i płaszcz.

- Jadę z tobą. Muszę zrobić większe zakupy, jeśli mam jakoś przetrwać weekend.

- Nie wybierasz się na Dni Miasta?

- Nie wiem, chyba nie. Nie przepadam za tłumem.

- Tak jak ja.

Wsiadli do autobusu w milczeniu, niczym dwoje nieznanym połączonych wspólnym sekretem. Maria przetarła zaparowaną szybę i patrzyła, jak ośnieżone pola zostają w tyle. Posępny zimowy krajobraz bez śladu życia, z nieforemnymi strachami na wróble sterczącymi na kartofliskach i stadami wron krążących cierpliwie w poszukiwaniu jedzenia. Miała wrażenie, że Rysiek na coś czeka, może na jakieś miłe słowo czy gest pocieszenia, ale cokolwiek to było, nie potrafiła mu tego dać.

- Dziękuję - powiedział jeszcze raz, kiedy zegnali się niedaleko rynku. Potem zawahał się i Maria pomyślała, że znowu ją przeprosi, ale on tylko spojrział z uwagą. - Zmieniłaś się - oznajmił.

- Naprawdę?

- Wydajesz się inna, jakby twardsza, bardziej odległa.

- Może tak działają na ludzi morderstwa.

- Widzisz? - Uśmiechnął się smutno. - Jeszcze niedawno nie przyszedłoby ci do głowy tak żartować. Zresztą nie słuchaj mnie, jestem zmęczony i gadam głupstwa. Naprawdę się cieszę, że mogliśmy porozmawiać. Do widzenia.

- Do widzenia.

Zrobiła zakupy w pawilonie handlowym, a kiedy wyszła objuczona dwiema ciężkimi siatkami, słońce właśnie przedarło się przez chmury i oświetliło rynek. Stały na nim dwie rozmawiające postacie, które wydały się Marii znajome. Zmrużyła oczy, chroniąc je przed intensywnym blaskiem, od nagłego uderzenia gorąca zrobiło jej się słabo i poczuła, jak znowu zalewa ją fala zmęczenia - zemsta wszystkich nieprzespanych nocy i ominiętych posiłków.

Położyła siatki na schodach pawilonu, rozpięła płaszcz i stała przez chwilę, oddychając ciężko.

Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do słońca, postacie na rynku nabrały konkretnych kształtów - Ala i Karol Górny dyskutowali o czymś zawzięcie. Może zastanawiali się, w którym miejscu postawić stoisko podczas Dni Miasta? „To już pojutrze”, pomyślała, żalując, że nie zapytała Ryśka o zaginione na poczcie obrazy. Zawahała się, czy iść z siatkami od razu do autobusu, czy może najpierw podejść do Ali i przywitać się. Nie miała ochoty nosić zakupów przez pół rynku, ale przydałaby jej się teraz odrobina optymizmu młodszej koleżanki.

Zanim jednak podjęła decyzję, ktoś szarpnął ją za rękaw płaszcza. Maria odwróciła się i spojrzała na drobne stworzenie z okrągłą twarzą i ostrzyżonymi na zapalkę włosami.

- Pani da dwie dychy, co? - powiedziało. - Na piwo, strasznie mnie od wczoraj suszy.

W pierwszej chwili pomyślała, że to dziecko, piętnastoletni najwyżej chłopiec. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała, że stojący przed nią człowiek musi być zdecydowanie starszy. I że jest kobietą.

- No co pani tak stoi, jakby ją wmurowało? Jak nie chce, niech nie daje, ja zebrać nie będę - oznajmiła dość niekonsekwentnie nieznojoma.

Gdy Maria przyjrzała się uważniej, zobaczyła kurze łapki w kącikach jej oczu, ale i tak kobieta wyglądała zdumiewająco młodo jak na kogoś, kto wystaje pod sklepem, prosząc o drobniaki na klina.

I było coś jeszcze, co nie dawało Marii spokoju. Pod jej czaszką rozdzwonił się alarm, ale nie potrafiła zebrać myśli,

żeby się nad nim zastanowić. Gdyby była wyspana, wypoczęta...

- No? - Żebraczka wyraźnie traciła cierpliwość.

Maria odruchowo sięgnęła do portfela i zaczęła grzebać w przegródkach. Palce miała sztywne, niezgrabne, jak wyciosane z drewna. Na schody sfrunęły banknoty.

Nieznajoma była szybsza, jej ręka w czarnej rękawiczce zgarnęła dwie dziesięciozłotówki.

Czarna rękawiczka, a dalej rękaw kurtki, brudnej i wystrzępionej. Kurtki, która niegdyś miała granatowy kolor i którą Maria widywała każdego zimowego dnia wiszącą na wieszaku w klasie obok okryć innych ósmoklasistów.

Boże.

Złapała nieznajomą za rękę.

- Pani puści, nie kradnę, nie kradnę! - Żebraczka wrzasnęła dziwnie sroczym głosem.

- Cicho! - Maria czuła, że znowu robi jej się słabo. Przed oczami tańczyły mroczki, ale nie zamierzała puszczać. - Skąd... Skąd pani ma tę kurtkę?

- Nie ukradłam!

- Nie mówię, że pani ukradła. Pytam, skąd ją pani wzięła.

- Dziewczyna wyrzuciła, to wzięłam. A co, nie wolno? Znalezione nie kradzione!

- Jaka dziewczyna? I gdzie?

- Nijaka dziewczyna. - Kobieta zirytowała się. - Zwyczajna siksa. W parku do śmietnika wrzuciła, to wyjęłam, bo z daleka widać było, że ciuch jeszcze całkiem niczego sobie. I plecak też dobry, prawie nowy.

- Plecak? - Maria zacisnęła palce jeszcze mocniej, aż nieznajoma znowu wrzasnęła.

- Puści, bo zacznę krzyczeć!

- Już pani krzyczy - mruknęła Maria, do której nagle dotarło, że na schodkach pawilonu zebrało się paru gapiów. - Na milicję pójdziemy.

- Na milicję?! Ja niewinna...!

- Cicho! Opowie pani, gdzie to wszystko znalazła, i opisze tę dziewczynę.

- Nigdzie nie idę!

- Jeśli pójdzie pani ze mną, dam pani wszystkie pieniądze, jakie mam w portfelu - zaproponowała podstępnie Maria.

Oczy nieznanym się zrobiły okrągłe z chciwości.

- A ile tego będzie, co?

- Jakieś dwieście złotych. - Maria wcale nie była pewna, czy tyle jej zostało po zakupach, ale uznała, że będzie się o to martwić później. Zresztą podejrzewała, że kobieta z chęcią przyjmie i znacznie mniejszą sumę.

- To pójdę. - Nieznajoma dumnie zadarła głowę. - Wstydzić się nie mam czego.

Gdy zmierzały w stronę komendy, Maria obrzuciła spojrzeniem rynek, ale ani Karola, ani Alicji już nie było.

8

- A więc widziała pani, jak dziewczyna wrzuca do śmietnika plecak i kurtkę, zgadza się?

- No, mówiłam przecież. - Siedząca naprzeciwko Bogusza kobieta w dowodzie miała wpisane imię Kazimiera, ale przedstawiła się słowami „Mów mi Kizia, wszyscy tak robią”. Władza ludowa niewątpliwie robiła na niej wrażenie, świadczyły o tym wytrzeszczone oczy i sztywna postawa, nie na tyle jednak, żeby przesłuchiwana zrezygnowała z gniewnego tonu.

- Jak ta dziewczyna wyglądała? Mogłaby ją pani opisać?

- Normalnie, jak one wszystkie.

- To znaczy? Blondynka? Brunetka? Jak była ubrana?

- Zwyczajnie. Czyja się obcym dziewczuchom przyglądam?

Zdesperowany porucznik przymknął oczy.

- Dobrze, może zacznijmy od łatwiejszego pytania. Dziewczyna, mówi pani, ale w jakim wieku mniej więcej? Piętnaście lat? Dwadzieścia?

Kazimiera wzruszyła ramionami.

- Piętnaście będzie blisko.

- Coś jeszcze pani zauważyła? Kolor włosów? Wzrost?

- Pod czapką kudły chowała, to co miałam zauważyć? Wzrost normalny, nie duża, nie mała.

- A ta czapka jak wyglądała?

- Nijak, jak czapka.

Siedząca przy maszynie do pisania Beata stłumiła śmiech.

Drzwi skrzypnęły, uchyliły się i przez szparę zajrzała wychudzona, smętna twarz sierżanta Krupy.

- Za chwilę wracamy. - Bogusz skinął na Beatę.

- Ta baba ma w domu gorszy syf niż ja - oznajmił Krupa, kiedy wyszli na korytarz. - Ale plecak znalazłem i dałem razem z kurtką do zbadania technikom.

- A aparat fotograficzny? - zapytał porucznik.

Krupa pokręcił głową.

- Pewnie sprzedała i teraz nie chce się przyznać - mruknęła Beata.

- Albo morderca pozbył się go osobno, bo za bardzo zwracałby uwagę - uzupełnił Bogusz. - Ubrania w śmietniku to nic niezwykłego, ale aparat mógłby kogoś zdziwić. Ja bym się skupił na dziewczynie. Kim jest? Skąd miała te rzeczy? Może warto pokazać tej kobiecie zdjęcia koleżanek Asi czy Pawła?

- O ile zakład, że nikogo nie rozpozna? - Beata nie kryła zniechęcenia.

- Nie zaszkodzi spróbować - upierał się Bogusz, przenosząc wzrok na Krupę. - Zajmij się tym.

- Co? - Chudy sierżant oderwał wzrok od okna, po czym natychmiast się poprawił: - Słucham?

- Słyszałeś.

- Ja... Tak, oczywiście.

Beata posłała mu spojrzenie, które mówiło: „Nie przejmuj się, za chwilę wszystko ci wyjaśnię”. Miała nadzieję, że zrozumiał.

- Myślisz, że naszym mordercą może być nastolatka? - zapytała, żeby odciągnąć uwagę od Krupy.

- Nie sądzę - odparł Bogusz. - Silna dziewczyna pewnie dałaby radę rozbić komuś głowę, ale wtedy ką, pod jakim zadano rany, byłby inny. Chyba że to bardzo wysoka nastolatka, z metr osiemdziesiąt, a nikt podobny w czasie śledztwa się nie pojawił.

- Czekaj... - Sierżant zmarszczyła brwi.

- Tak?

- Przyszło mi do głowy, że zabójca niekoniecznie musi być wysoki. Może oni, to znaczy Paweł i Asia, klęczeli, kiedy ich uderzył? Albo uderzyła? Wtedy kął by się zgadzał.

- Masz na myśli, że padli na kolana, żeby błagać o życie? Nie pasuje mi do Pawła takie zachowanie. Chłopak podobno był dość bojowy.

- Może nie błagali o życie, może... nie wiem, to klęczenie było elementem jakiejś zabawy? Albo zwyczajnym wygłupem? Jedno dziecko może skłonić drugie do ukłęknięcia bez używania gróźb. Założyliśmy, że morderca jest silnym mężczyzną, bo Paweł był wyrośniętym chłopcem, który nie dałby się pokonać słabeuszowi. Ale takie myślenie ma sens, tylko jeśli ofiara spodziewała się ataku. A jeśli nie? Może do kamieniołomu zszedł ktoś, komu Paweł ufał? Pamiętaj, że Szymek biegł do mordercy...

- Pamiętam. Ale nastolatka? To absurd.

„Nie masz pojęcia, do czego są zdolne kobiety - pomyślała Beata. - Założę się, że nawet ta myszowata psycho-łożka, którą uważasz za wcielenie niewinności, mogłaby niejednym cię zaskoczyć”. Choć swoją drogą Bogusz trochę racji miał - mało prawdopodobne, żeby sprawcą okazało się dziecko.

- I jeszcze Maria Lenarczyk. - Porucznik zmienił temat. - Znalazła zwłoki Asi, a teraz jej kurtkę i plecak. Pewnie to przypadek, ale czasem mam wrażenie, że ta cholerna kobieta jest wszędzie. Cokolwiek w tym śledztwie się dzieje, zawsze prędzej czy później prowadzi do niej.

- Jest kluczem do rozwiązania sprawy - powiedziała łagodnie sierżant. - Oboje przecież o tym wiemy.

9

Katowicki dworzec był przygnębiająco zimny i brudny, ale Blanka nie zamierzała wybrzydzać. Noc spędziła skulona na ławce, budząc się co chwila i patrząc, jak wskazówki wielkiego zegara pokazują kolejne godziny: pierwszą, drugą i trzecią. Megafony nad jej głową chrzypiały, zapowiadając odjazdy i

przyjazdy pociągów, nieliczni pasażerowie pojawiali się na dworcu, a potem znikali. Dwa razy, kierowana zwierzęcym instynktem, wstawiała i chowała się przed patrolem sokistów, raz zaczepił ją pijaczek, który zaproponował, że dostanie dwadzieścia złotych, jeśli pójdzie z nim do publicznej toalety. Dziewczynka zbluzgała go i kazała się wynosić, ale gdzieś wewnątrz tkwiła myśl, której na razie starała się nie dopuszczać do świadomości - że być może już niedługo na taką propozycję będzie musiała się zgodzić.

Udało jej się wyżebrać bułkę z pastą jajeczną, nie była więc głodna, ale za to coraz bardziej drapało ją w gardle i co chwila chciało jej się sikać. Przeziębła się, niech to szlag. Na szczęście babcia klozetowa okazała się sympatyczna i nie brała od niej pieniędzy, zrobiła nawet Blance gorącą herbatę i pozwoliła posiedzieć przy grzejniku. Dziewczynka chętnie zostałaby tam dłużej, ale w ubikacji strasznie śmierdziało, a ona nie była jeszcze na tyle zdesperowana, żeby nie zwracać na to uwagi.

Mogłaby wsiąść do pociągu i pojechać gdzieś, licząc, że uda jej się po drodze wykiwać konduktora. Kusił wyjazd nad morze: Gdańsk, Gdynia, Sopot. Gdy z megafonów padały nazwy tych miast, Blanka czuła, że jej serce zaczyna mocniej bić. Zamykała wtedy oczy i wyobrażała sobie fale liżące złocisty piasek plaży i ludzi w strojach kąpielowych sączących kolorowe drinki jak w filmach, które widywała w kinie.

Nad ranem zasnęła wreszcie, ukołysana marzeniami. Zbudziło ją szarpanie za ramię.

- Wstawaj, to nie hotel. No już.

Jeszcze zanim na dobre otworzyła oczy, zrozumiała, że popełniła błąd, ale było za późno - pochylały się nad nią twarze umundurowanych milicjantów, jedna młoda z sypiącym się wąsem, druga starsza i okrągła jak księżyc w pełni. Blanka szarpnęła się w tył, ale wąsaty był szybszy.

- Nie tak prędko, najpierw sobie pogadamy. Ile masz lat? Dokumenty jakież pokaż.

Dziewczynka patrzyła w milczeniu.

- Język połknęłaś? - odezwał się starszy. - Jak ci na imię? Grzecznie pytamy.

Gdy nie odpowiedziała, wąsaty bez ceregieli wsadził rękę do kieszeni jej kurtki, pogrzebał tam i z triumfem wyjął legitymację szkolną. Blanka miała łzy w oczach. Pierwszy błąd popełniła, nie wyrzucając tej cholernej legitymacji, a drugi, zasypiając na ławce.

Nie zamierzała popełnić trzeciego i odezwać się, kiedy zarzucili ją pytaniami.

10

Telefon zadzwonił, gdy Maria karmiła kota. Zastygła z miską pełną gotowanej ryby i dopiero po chwili, ponaglona pełnym oburzenia miauknięciem, postawiła ją na podłodze.

- Nie denerwuj się. - Poglaskała czarny grzbiet, a potem odebrała.

- Cześć! - W słuchawce powitał ją wesoły głos Alicji. - Dzwonię, żeby zapytać, co u ciebie słychać. Wszystko w porządku?

- Tak - odpowiedziała odruchowo, ale zaraz się poprawiła. - Do diabła, nie. Mam wrażenie, że wszystko wokół zaczęło się walić.

- Wiem coś o tym. - W głosie Ali brzmiało teraz współczucie. - Jakby całe miasto nagle oszalało. Najpierw Wojtek, potem biedna Asia, a ostatnio ten chłopiec z Łubnic. Słyszałaś o nim, prawda?

- Słyszałam.

- Nadal uważasz, że te zbrodnie mają coś wspólnego z tym, co kiedyś przydarzyło się tobie?

- Owszem. Słuchaj, wpadłam na pewien pomysł. Może to głupie, ale mam przecucie... - Maria zawahała się.

- Tak?

- Kiedy wróciłam z lasu, miałam sześć lat, a na tyle mniej więcej wyglądają narysowane przez Wojtka dzieci. Pomyślałam sobie, że może... może przytrafiło się im to samo co mnie, nie wiem, były świadkami czyjejś gwałtownej śmierci albo coś w tym rodzaju. Rozumiesz?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Ala? Jesteś tam?

- Jestem. Przepraszam, jakieś zakłócenia na linii. To przez ten cholerny śnieg. Mów dalej.

- Zaczęłam szukać w bibliotece wypadków i zabójstw z 1976 roku albo 1977, bo wtedy dzieci były w odpowiednim wieku. Znalazłam parę spraw, które wydają się podobne do tego, co dzieje się teraz, wiesz, rozbite głowy, ciała znalezione w lesie. Zrobiłam nawet notatki...

- Czekaaj, moment. Cholera, znowu coś przerywa... Jesteś tam?

- Tak.

- Wpadnij do nas dziś wieczorem, to pogadamy na spokojnie z Piotrkim. Mówiłam ci, on jest inteligentny i na pewno coś wymyśli.

- Na pewno? Nie chciałabym robić kłopotu. - Maria nie dodała, że ostatnią wizytę trudno było zaliczyć do szczególnie udanych.

- Na pewno. Piotrek daje słowo harcerza, że tym razem zaszczyci nas swoją obecnością. Co ty na to? Dasz się namówić? Wpadnę po ciebie koło szóstej. Pozwól nam się zrehabilitować i zgódź się, plooosie! - Ala zasepleniła jak mała dziewczynka.

Maria roześmiała się.

- W porządku, zgoda. Zastanawiam się tylko, czy powinnam...

W słuchawce rozległ się trzask, a potem przeciągły sygnał zerwanego połączenia.

- ... powiedzieć o tym milicji - dokończyła cicho.

11

Telefon z wiadomością, że Blanka Janik się znalazła, porucznik odebrał wczesnym rankiem, jeszcze zanim zdążył wypić pierwszą poranną kawę.

- Nie chce powiedzieć, jak się nazywa, ale miała w kieszeni legitymację na takie nazwisko i zdjęcie też się zgadza - powiedział dyżurny z komisariatu kolejowego w Katowicach. - Co mamy z nią zrobić? Wsadzić do pociągu i odesłać?

- Nie. - Bogusz uznał, że skoro Blanka uciekła raz, to pewnie ucieknie i drugi. - Możecie nam ją podrzucić? Najlepiej

samochodem, żeby nie zwała po drodze.

- Człowieku, czy ja wyglądam jak taksówkarz? Mamy lepsze rzeczy do roboty niż wożenie nastolatek.

Porucznik przymknął oczy i przywołał na pomoc całą swoją siłę przekonywania.

- Ta dziewczynka jest ważnym świadkiem w śledztwie, które właśnie prowadzimy. Musimy ją jak najszybciej przesłuchać. Czas, który stracimy, żeby po nią jechać, może zdecydować o złapaniu zabójcy, a mamy tu trzy trupy.

- Taaa... sprawa tych dzieciaków, co? - Dyżurny trochę złagodniał. - U nas też już o tym gadają. Macie tam seryjnego czy jak?

- Nie wiemy jeszcze. - Bogusz przełożył słuchawkę z ręki do ręki i przetarł spocone czoło, a potem dodał, przełykając dumę: - Dlatego potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy.

- Dobra, niech będzie. Wyślę któregoś z młodych, niech się przejedzie. Powinni być u was koło południa.

- Dziękuję.

Milicyjny polonez z katowicką rejestracją pojawił się cztery godziny później. Młody funkcjonariusz otworzył tylne drzwi i wywłókł stamtąd naburmuszoną dziewczynkę.

- Koniec podróży - oznajmił, a potem wyprężył się służbiście przed Boguszem. - Melduję, że świadek dwa razy podjął próbę ucieczki, raz jak zatrzymaliśmy się, żeby skorzystać z toalety, i drugi, kiedy...

- Dobrze już, teraz my się nią zajmiemy. Możesz wracać.

- Najpierw wejdź do środka, napijesz się przynajmniej czegoś ciepłego - dodała szybko Beata, która zeszła właśnie po schodkach komendy. - A jeśli chcesz coś zjeść, to niedaleko jest całkiem niezły bar.

Chłopak zaczerwienił się i podziękował skinieniem głowy. Beata ujęła Blankę za ramię.

- Chodź - powiedziała. - Ty też pewnie jesteś głodna.

Pół godziny później napchana po uszy bigosem i napojona gorącą herbatą dziewczynka siedziała w pokoju przesłuchań. Ciepły posiłek nie złagodził ani na jotę niechętnego wyrazu jej twarzy. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę, wzrok odwracała

od twarzy Bogusza.

- W porządku, teraz pogadajmy poważnie - zaczął porucznik. - Nazywasz się Blanka Janik?

Wzruszyła ramionami.

- Muszę mieć potwierdzenie do protokołu.

- Tak-bąknęła.

- Dlaczego uciekłaś z domu dziecka?

Znowu wzruszyła ramionami. Zacięty, ponury wyraz twarzy dodawał jej lat. Boguszowi chwilami trudno było uwierzyć, że to ta sama dziewczynka, której zdjęcie wisiało u niego w gabinecie.

- Wszyscy czasem uciekają - odpowiedziała. - Też chciałam spróbować.

- W środku zimy?

- Czemu nie? Mogę już wrócić do sióstr?

- Nie, najpierw musimy ci zadać parę pytań. Poznajesz któreś z tych dzieci? - Rozłożył na stole fotografie Wojtka, Pawła, Asi oraz Szymka.

- Nie.

- Nawet nie popatrzyłaś.

Prześlizgnęła się po zdjęciach spojrzeniem i zaraz znowu odwróciła wzrok.

- Nie.

- Przyjrzyj się - nalegał.

- Nie znam ich. - W jej twarzy jednak coś drgnęło.

Na widok której fotografii? Porucznik nie był pewien, ale mógłby się założyć, że dziewczynka kłamie.

- A ten potwór, o którym opowiadałaś kolegom i koleżankom? To jakaś konkretna osoba?

- Głupi pan jest czy jak? - Blanka wydeła usta. - Potwory nie istnieją. Wymyśliłam go, w porządku?

- Nie musisz się nas bać - rzuciła zza maszyny do pisania Beata. - Chcemy ci pomóc. Jeśli ktoś ci grozi, możemy cię ochronić.

Bogusz posłał jej ostre spojrzenie. „Nie wtrącaj się”, mówił jego wzrok, więc sierżant posłusznie skupiła się na stukaniu w klawisze.

- Nie żyją cztery osoby: Wojtek Kapuściak, Paweł Kurzeja, Asia Grabkowska i Szymek Szmajdziński. Wiesz coś na temat którejkolwiek z tych śmierci?

- Nie - burknęła, ale przez chwilę w jej oczach zamigotało coś jakby zdziwienie i znów porucznik nie wiedział, przy którym nazwisku. - Przepraszam, że zwałam i w ogóle. W porządku? Bardzo mi przykro, więcej tego nie zrobię. A teraz mogę już wrócić do siostr?

Bogusz westchnął i skinieniem wywołał Beatę na korytarz.

- To na nic - mruknął zniechęcony. - Może ona naprawdę niczego nie wie?

- Moim zdaniem wie, tylko łąze jak z nut. Boi się - orzekła sierżant.

- Myślisz?

- Zaufaj mi, potrafię poznać, kiedy dziewczyna kłamie. Może ja z nią pogadam?

Wzruszył ramionami.

- Spróbuj.

Beata wróciła piętnaście minut później, nic nie wskórawszy. Porucznik nie wiedział, czy jest tym rozczarowany, czy wręcz przeciwnie - cieszy się, ponieważ niższa stopniem kobieta nie okazała się lepsza od niego.

- Zacięła się - powiedziała sierżant. - Ktokolwiek ją nastraszył, zrobił to cholernie dobrze.

- Nie możemy przecież tej dziewczyny aresztować i zostawić na noc w celi. - W głosie Bogusza zabrzmiała odrobina autentycznego żalu. - To jeszcze dziecko.

- Które w dodatku nic złego nie zrobiło - uzupełniła Beata. - Musimy ją odwieźć do klasztoru, nie ma wyjścia.

- Problem w tym, że ona znowu ucieknie. - Bogusz był coraz bardziej rozdrażniony. - Próbowwała już kilka razy, więc niby co miałyby ją powstrzymać?

- Taa, panna z jakiegoś powodu zdecydowanie nie chce zostać w Mgielnicy - mruknęła sierżant. - Może wyślemy z nią kogoś, na przykład tego pryszczatego chłopaka z Wilkowic, żeby miał na dziewczynę oko? W ten sposób przypilnujemy, żeby nie zwała, a jednocześnie, żeby nikt nie zrobił jej krzywdy. Nie

chcę, żeby ta mała skończyła jak reszta dzieci.

Bogusz nie wydawał się zachwycony takim rozwiązaniem, ostatecznie jednak skinął głową, zapakował do samochodu Blankę i przyszczatego funkcjonariusza, który miał na imię Jurek, po czym zawiózł oboje do domu dziecka. Dziewczynka nadal była milcząca i naburmuszona, ale porucznik odniósł wrażenie, że posiadanie własnej obstawy w pewien sposób sprawiało jej przyjemność. Czuli się teraz ważna, może więc przynajmniej przez jakiś czas usiedzi na miejscu.

Przed klasztorem Blankę powitały Teresa oraz siostra przełożona - pierwsza wyściskała uciekinierkę i wycalowała, druga suchym tonem poleciła jej udać się do pokoju i zapowiedziała, że „jeszcze porozmawiają”. Informację, że w klasztorze będzie nocował młody funkcjonariusz, przyjęła równie niechętnie.

- To nie jest hotel, komisarzu - oznajmiła chłodnym tonem. - I nie chcę tu żadnej milicji. Staramy się wychowywać te dzieci w duchu chrześcijańskim, proszę nas zrozumieć.

Porucznik już miał zwrócić uwagę, że nie jest komisarzem, i zapytać, co ma milicja do chrześcijańskiego ducha, kiedy niespodziewanie poparła go Teresa.

- Dziewczynka będzie dzięki temu bezpieczniejsza - powiedziała. - Poza tym to nie potrwa długo, bo przecież szybko tego mordercę złapiecie? - zwróciła się do Bogusza.

- Oczywiście, że złapiemy. To kwestia najbliższych dni, może nawet godzin.

Siostra przełożona niechętnie skinęła głową, po czym kiwnęła na przyszczatego Jurka.

- Proszę za mną.

Bogusz zatrzymał Teresę jeszcze na chwilę.

- Musisz mi pomóc - szepnął, chwytając ją za łokieć. - Ta dziewczynka coś wie, ale nie chce powiedzieć. Może ty zdołasz to z niej wyciągnąć? Ona cię lubi.

- Jeśli będzie mi chciała o czymś powiedzieć, oczywiście jej wysłucham. - Teresa zręcznie wywinęła się z jego uścisku. - Ale nie zamierzam Blanki do niczego zmuszać.

- Kto mówi o zmuszaniu? Po prostu przyciśnij ją trochę, użyj

jakichś psychologicznych sztuczek, pewnie znasz ich sporo. To ważne.

Teresa miała bardzo piękne szarozielone oczy, w które Bogusz uwielbiał patrzeć. Teraz te oczy były zimne jak leżący dookoła śnieg.

- Ważne dla ciebie, nie dla mnie. Moim zadaniem jest opieka nad tymi dziećmi i ja cieszę się przede wszystkim z tego, że Blanka wróciła cała i zdrowa.

- A nie obchodzi cię, że jeśli dziewczynka nie zacznie mówić, więcej nastolatków może zginąć?

- To twoja praca, nie moja. Jestem pewna, że jakoś sobie poradzisz. - Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

„Co ją ugryzło?”, zastanawiał się Bogusz, wsiadając do samochodu. Nie znał się na kobietach, cała jego wiedza pochodziła z książek i tego, co usłyszał od kolegów. Może to prawda, że od płci pięknej mężczyzna nie powinien oczekiwać racjonalnego zachowania?

Nie zamierzał jednak się tym przejmować. Teresa zrobi, co powinna zrobić. Był tego pewien.

12

Beata odebrała telefon.

- Maria Lenarczyk chce rozmawiać z panią albo z porucznikiem Boguszem - rozległ się w słuchawce głos sekretarki.

- Przełączyć?

- Proszę. - Sierżant poczuła, że jej serce zaczyna mocniej bić. Telefon od Marii Lenarczyk mógł oznaczać wszystko: od nowych problemów aż po ich ostateczne rozwiązanie.

- Pani Beata? - Maria sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

- Tak. Coś się stało?

- Nie, tylko... Mam taki pomysł... Może to nie ma sensu, ale... Sama nie wiem... Nie chciałabym niepotrzebnie zajmować wam czasu...

- Proszę się tym nie przejmować. - Beata przygotowała się na wyjątkowo nieskładną wypowiedź. - Na tym etapie śledztwa wszystko może nam pomóc.

Maria mówiła, podczas gdy sierżant notowała jej słowa. Na razie w ogóle nad nimi nie myślała - zostawiła to na później.

- I jeszcze coś - dodała na koniec nauczycielka. - Podobno wróciła ta dziewczynka z domu dziecka?

- Kto to pani powiedział? - Beata zdumiała się. Co prawda, wiadomości w Mgielnicy rozchodziły się szybko, ale chyba nie aż tak?

- Kiedy czekałam na połączenie, usłyszałam w tle, jak rozmawia o tym dwóch milicjantów. Mówili, że Blanka się znalazła, ale nie chce niczego powiedzieć. To prawda?

- Zgadza się. - Beata uznała, że nie ma sensu kłamać.

- I jesteście przekonani, że ta dziewczynka to jedno z dzieci narysowanych przez Wojtkę?

- Istnieje taka możliwość. - Tu sierżant wołała być ostrożna.

- W takim razie... W takim razie możecie zapytać którąś z jej opiekunek, czy Blanka kiedykolwiek wróciła z lasu w zakrwawionym ubraniu. Słyszysz mnie pani?

- Tak, ale nie widzę związku...

- Zapyta pani?

- Zapytam - obiecała Beata.

„Dlaczego nie?”, pomyślała chwilę później, odkładając słuchawkę. Maria Lenarczyk może i zachowywała się dziwnie, ale ta sprawa była na tyle nietypowa, że nie zaszkodziło spróbować.

Sierżant zaparzyła sobie kawę, a potem przyniosła z archiwum stos grubych teczek i rozłożyła je na biurku Staszka Krauzego, który pojechał z córką do szpitala na kolejną dializę. Własnego nie miała, o co swoją drogą powinna już dawno się upomnieć, ale zawsze jakoś wypadało jej to z głowy. Beata znacznie lepiej walczyła o interesy innych niż o własne.

Miała za to mnóstwo czasu, co w tej sytuacji zakrawało na ironię losu. Sprawa zamordowanych dzieci była priorytetem, wszystkie okoliczne posterunki oddelegowały do niej co najmniej po jednym człowieku, tak że Bogusz dysponował grupą liczącą dwadzieścia kilka osób. Tyle że po początkowym okresie wzmożonej aktywności wszyscy ci ludzie niewiele mieli do zrobienia. Ślady zostały zebrane, świadkowie przesłuchani.

Sprawdzano teraz rodzinę i znajomych Szymka, jednak nikt nie wierzył, że to cokolwiek da. Beata, podobnie jak jej koledzy, mogłaby się założyć o swoją pensję, że wynik będzie identyczny jak w przypadku pozostałych dzieci: brak jakichkolwiek związków pomiędzy ofiarami, brak prowadzących do zabójcy śladów. Kimkolwiek był tajemniczy morderca, potrafił znakomicie ukryć swój motyw. Śledztwo ślimaczyło się, stare tropy urywały, a nowych nie było.

Owszem, na komendzie wciąż panował gwar, mundurowi pojawiali się i znikali, a w pomieszczeniach, w których trwały dyskusje, wisiała gruba zasłona papierosowego dymu, lecz niewiele z tego chaosu wynikało. Wszyscy o tym wiedzieli, choć nikt nie przyznawał tego głośno. Beata coraz częściej widziała zniechęcenie na twarzach kolegów, parę razy też zdarzyło jej się natknąć na młodych funkcjonariuszy, którzy zamiast pracować, szli na piwo do pobliskiego baru. Jedynym, który wciąż wierzył, że mordercę uda się szybko złapać, był Bogusz. Upływające godziny tylko wzmagaly jego desperację. A dziś miał przyjechać z Wrocławia podpułkownik Derkacz, który przejmie od porucznika śledztwo.

Sierzant upiła łyk kawy i pogрузzyła się w lekturze starych akt. Wolala nie rzucać się w oczy, by nie prowokować pytań, czy to, co teraz robi, ma jakikolwiek sens. Sama jeszcze tego nie wiedziała.

Okolo trzeciej wrócił Bogusz w jeszcze gorszym humorze niż wtedy, kiedy Beata widziała go ostatnim razem. Sierzant na wszelki wypadek wcisnęła się głębiej w kąt i zrezygnowala z wyprawy po drugą szklankę kawy - im dłużej nikt nie zwracał na nią uwagi, tym dłużej mogła w spokoju zająć się swoją pracą.

Sięgnęła po kolejną teczkę. Atmosfera na komendzie stawała się coraz bardziej nerwowa. Beata zza drzwi słyszała pokrzykiwania Bogusza, który sztorcował właśnie kóregoś z młodszych stażem funkcjonariuszy, ktoś co chwila przebiegał korytarzem i trzaskał drzwiami. Starala się od tego wszystkiego odciąć i udało jej się tak skutecznie zanurzyć w sprawach sprzed lat, że kiedy pół godziny później do gabinetu wsunęła

głowę nowa sekretarka, sierżant z trudem wróciła do właściwego czasu.

- Pani Beato, ten człowiek z Wrocławia przyjechał - powiedziała Wioletta, trochę przerażona, a trochę podekscytowana. - Pójdzie pani z nim pogadać? Bo porucznika Bogusza nigdzie nie mogę znaleźć.

- Już idę. - Beata odłożyła akta na biurko.

Podpułkownik Derkacz okazał się szczupłym mężczyzną około czterdziestki o szpakowatych skroniach, lekko arystokratycznym wyglądzie i białych dłoniach z długimi palcami. Sprawiał wrażenie raczej pianisty niż funkcjonariusza służb publicznych, choć było w nim coś jeszcze, jakaś twardość, która nie pasowała do wizerunku artysty - za to do milicjanta zdecydowanie bardziej.

- Sierżant Beata Drzymała - przedstawiła się. - Proszę za mną. Napijemy się czegoś ciepłego, odpocznie pan po podróży.

- Chciałbym, jeśli to możliwe, od razu zapoznać się ze sprawą. - Głos miał miły, melodyjny, ale Beata nie wątpiła, że w każdej chwili może się zmienić w ostry i rozkazujący.

- Jedno nie przeszkadza drugiemu. - Uśmiechnęła się uprzejmie. - Może pan pić kawę i zapoznawać się ze sprawą, prawda?

- Podoba mi się pani tok myślenia. - Wyszczерzył do niej idealnie białe zęby jak u aktora z hollywoodzkiego filmu.

I „Gdzie ten cholerny Bogusz?”, myślała, kiedy Derkacz przeglądał akta, a ona starała się w miarę możliwości jasno streścić ostatnie wydarzenia. Gdzieś zadzwonił telefon, do gabinetu weszła Wioletta, niosąc na tacy dwie szklanki z kawą i talerzyk wedlowskich delicji. Beata, która jeszcze nigdy nie dostąpiła zaszczytu, żeby do kawy dostać ciastko, skwapliwie skorzystała z okazji i porwała od razu trzy.

Wioletta ociągała się z wyjściem, prezentując nowo przybyłemu smukłe nogi w nylonowych rajstopach i zgrabne pośladki opięte spódniczką mini. Podpułkownik jednak nie zwracał na nią uwagi - wyglądał w tej chwili jak uosobienie milicyjnego ideału: męski, przystojny i całkowicie oddany pracy.

Bogusz przyszedł, kiedy w ustach Beaty zniknęła piąta delicja, a w szklance z kawą pokazało się dno. O dziwo, nie wydawał się w najmniejszym stopniu zdenerwowany. Wręcz przeciwnie, był całkowicie rozluźniony i uśmiechnięty.

- Podpułkownik Derkacz, zgadza się? - powiedział. - Porucznik Adam Bogusz. Bardzo się cieszymy, że przyjechał pan nam pomóc. Niestety trochę się pan spóźnił, bo właśnie jedziemy aresztować mordercę.

13

Ala odebrała od gościa płaszcz i powiesiła go w przedpokoju.

- Chodź - powiedziała. - Przedstawię cię Piotrowi.. Dziś chyba wreszcie jest. w dobrym humorze.

Poprowadziła koleżankę schodami w górę do niewielkiego pokoju, gdzie w fotelu siedział owinięty kocami szczupły mężczyzna. Obok na stoliku leżało kilka chusteczek, syrop na kaszel i opakowanie polopiryny.

- To jest Piotr, a to Maria. Piotr obiecał, że będzie dziś grzeczny, prawda? - Alicja pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

Roześmiał się, a potem rozkaszał chrapliwie. Był równie ładny, jak na zdjęciu, które widziała w gazecie. Właśnie ładny, a nie przystojny, bo w jego rysach było coś kobiecego - starsza, bardziej męska wersja twarzy Alicji.

- Prawda, czasem potrafię być nieznośny - powiedział, podając Marii rękę. Miał zaskakująco silny uścisk, a jego głos mimo chrypki był melodyjny i miły. - Przepraszam, że nie wstaję - dodał z nutą ironii. - Od jakiegoś czasu nie czuję się najlepiej.

- Nie ma problemu - bąknęła, jak zawsze skrepowana w obliczu choroby.

- Poza tym nie ukrywam, że bałem się spotkania z tobą, Mario. Dla kogoś takiego jak ja poznanie nowej osoby to wielki stres. Poprzednim razem spanikowałem, wybac.

- Przyniosę ciasto i herbatę, a wy się lepiej poznajcie - oznajmiła Alicja energicznie. - Tylko nie zbliżaj się do niego za bardzo, bo jeszcze cię zarazi. Ja jestem odporna, rzadko

choruję, ale ty wyglądasz, jakby byle wiatr mógł cię zdmuchnąć.

Maria usiadła w fotelu obok, czując się trochę głupio.

O czym właściwie miała z Piotrem rozmawiać? O pogodzie? Morderstwach? Cóż, ten temat niewątpliwie cieszył się ostatnio w miasteczku sporą popularnością.

Na szczęście mężczyzna wybawił ją z kłopotu.

- Nie masz nic przeciwko, żebyśmy mówili sobie po imieniu? Ala tyle mi o tobie opowiadała, że czuję się, jakbym znał cię od dawna.

- Nie mam. I jak? Właśnie tak mnie sobie wyobrażałeś?

- Sam nie wiem. - Przechylił lekko głowę. - Nie sądziłem, że będziesz taka wysoka. No i jesteś zdecydowanie ładniejsza, niż myślałem, ale reszta się zgadza.

Był zwyczajnie uprzejmy czy próbował ją podrywać? Zimą Maria nie miała ochoty na flirty, słowne gierki męczyły ją tylko i dezorientowały, teraz jednak ze zdumieniem odkryła, że w przypadku Piotra to by jej nie przeszkadzało. Uśmiechnęła się na myśl, że jeszcze niedawno wyobrażała go sobie jako kapryśnego kalekę, który swoją chorobą terroryzuje młodszą siostrę.

Alicja zawołała z kuchni, prosząc o pomoc, i Maria zerwała się z fotela.

Chwilę później siedzieli już wokół zastawionego stolika. Gdy Piotr znów zaczął kaszleć, Ala spojrzała na Marię.

- Prosiłam, żeby pozwolił mi wezwać lekarza, ale jest uparty jak osioł.

- Nic mi nie jest, a lekarze w tym mieście i tak mają pełne ręce roboty. Nie ma potrzeby zawracać im głowy moim przeziębieniem.

Młodsza kobieta westchnęła demonstracyjnie, po czym zmieniła temat.

- Maria ma teorię, że te wszystkie morderstwa mogą mieć związek z jakąś śmiercią czy wypadkiem, które zdarzyły się osiem lat temu. Zgadza się?

Maria zakłopotana się lekko. Pomyśl, jeszcze do niedawna całkiem sensowny, teraz wydawał się absurdalny.

- Pomyślałam, że skoro mnie zdarzyło się coś złego, kiedy miałam sześć lat, to może tym dzieciom też... Ale to głupie, wiem.

- Nie lekceważ przeczuć, Mario - powiedział łagodnie Piotr. - Instynkt potrafi być skuteczniejszy niż racjonalne myślenie. Poza tym logikę pozostawmy milicji, to ich działka.

- Pokaż te swoje notatki. - Alicja oblizwała łyżeczkę.

Maria wyjęła z torby nieodłączny czarny notes i przekartkowała go. Powaga, z jaką Ala i Piotr przyjęli jej teorię, w pewien sposób mile ją polechła.

Chrząknęła.

- Znalazłam siedem przypadków, które mogłyby w taki czy inny sposób pasować. Zamarznięty staruszek, samochód, który zjechał z mostu i został porwany przez rzekę, zastrzelony student, zatrute grzybami dziecko i morderstwo Sabiny Grajek. Wszystko to zdarzyło się albo w lesie, albo gdzieś niedaleko. Mam jeszcze napad rabunkowy na starszą panią i zniknięcie małej dziewczynki. Te dwa ostatnie przypadki nie mają nic wspólnego z lasem, ale zanotowałam je, ponieważ kobiecie rozbito głowę, a Małgosia... Sama nie wiem, może dlatego, że to dziecko...?

- Mogę zobaczyć? - Piotr wyciągnął rękę.

Maria wręczyła mu notatki.

- I co? - Ala była podekscytowana jak dziewczynka, która oczekuje, że magik za chwilę wyciągnie z kapelusza królika.

- Starszą panią bym pominął - powiedział Piotr. - Wszystko tu wskazuje na zwyczajny napad rabunkowy, a walenie ofiary w głowę jest dość powszechnym sposobem krzywdzenia bliźnich. Podobnie dziecko, które najadło się trujących grzybów. Tragedia, jasne, ale nie wydaje mi się, żeby było w tym coś więcej niż fatalny w skutkach przypadek. Staruszek cierpiał na demencję, dlatego wyszedł z domu, a potem zamarzył w lesie. Ten zastrzelony student... Pamiętam go: parę lat temu przyjechał tu latem i kręcił się po miasteczku. Kiedy zginął, wszyscy mówili, że w Poznaniu wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, miał długi i robił ciemne interesy.

- Też go pamiętam. - Ala zachichotała. - Podrywał chy ba

wszystkie miejscowe dziewczyny.

- Wiem, ile takie małomiasteczkowe plotki są warte - kontynuował Piotr - ale moim zdaniem tym razem było w nich sporo prawdy. Zresztą chłopak był u nas góra dwa tygodnie, trudno, żeby tak szybko narobił sobie śmiertelnych wrogów. Zostają więc trzy przypadki, które wyglądają obiecująco: samochód zjeżdżający do rzeki, zaginione dziecko oraz morderstwo Sabiny. Dlaczego matka straciła panowanie nad kierownicą? Nie była pijana, bo wspomnieliby o tym w gazecie.

- Może jakieś zwierzę nagle skoczyło jej pod koła? - zasugerowała Maria.

- Może. - Piotr sięgnął po kawałek posypanej cukrem pudrem szarlotki. - Cieszę się, że nie wykluczasz najprostszych wyjaśnień. Potem ta dziewczynka... Zaginione dzieci zawsze budzą emocje, prawda? Zwłaszcza jeśli są zbyt małe na samodzielną ucieczkę, a ona chyba była?

- Miała osiem lat.

- Właśnie. Jeśli taki maluch zniknie, to znaczy, że albo się zgubił, albo ktoś go porwał. W pierwszym przypadku najczęściej prędzej czy później znajduje się albo samo dziecko, albo przynajmniej jego ciało. Pamiętasz, czy ta dziewczynka się odnalazła? - Spojrzał na Alę, która pokręciła głową, po czym objęła się ramionami i zadrżała, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

- Biedna mała... - mruknęła. - Poważnie myślicie, że ktoś ją porwał, a potem może nawet zabił? Ten sam człowiek, który zamordował Pawła, Asię i tego trzeciego chłopca?

- Dziewczynka była sporo młodsza, kiedy zaginęła, więc sama nie wiem. - Maria potarła czoło. - Chociaż Małgosia musiała być mniej więcej w tym samym wieku co Paweł i reszta dzieci. W siedemdziesiątym siódmym miała osiem lat, a oni po sześć. Może ją znali? Może byli świadkami, jak ktoś zabił ich koleżankę? Boże, nigdy bym nie pomyślała, że kiedykolwiek będę się zastanawiała nad takimi rzeczami.

- Ale tak naprawdę najbardziej obiecująco wygląda sprawa Sabiny Grajek. - Piotr oddał notes. - Swego czasu to była w Mgielnicy prawdziwa sensacja. Sabina... - Roześmiał się, a

potem znowu zaczął kaszleć. - Sabina była naszą miejscową *femme fatale*. Czy może powinienem powiedzieć Marią Magdaleną? Wiesz, typ pięknej prowokującej grzesznicy. Mężczyźni biegali za nią z wywieszonymi językami, stare baby obgadywały, a ona ze wszystkich się śmiała. Śliczna była, czarnowłosa i czarnooka jak prawdziwa Cyganka.

- Przestań - Ala zachichotała - bo jeszcze Maria coś sobie pomyśli.

- Żartuję - mrugnął, sięgając po szklanę - chociaż nie ukrywam, że mam słabość do ciemnowłosych kobiet.

Maria zarumieniała się lekko.

- Większość podejrzewała, że Sabinę udusił jej ostatni chłopak, z którym pokłóciła się w wieczór morderstwa - podjął Piotr. - Ale tak naprawdę pół miasta miało motyw, żeby ją zabić. Wszyscy ci porzuceni albo zlekceważeni mężczyźni i zdradzone żony... - Potrząsnął głową. - Wiecie, przyszło mi do głowy, że byłoby zabawnie, gdyby się okazało, że Sabina zginęła z zupełnie innego powodu niż jej erotyczne przygody. Choć „zabawnie” to niewłaściwe słowo, może powinienem powiedzieć „ciekawie”?

- To paskudne tak rozmawiać o cudzej tragedii. - Ala wzdrygnęła się.

- Nie bądź hipokrytką, moja droga, zainteresowanie zbrodniami to nic nowego - powiedział lekko Piotr. - Ludzie zawsze uwielbiali krwawe opowieści i przez wieki nic się w tym względzie nie zmieniło. Sabinę znaleźli z opuchniętym językiem wystającym z ust i majtkami spuszczoneymi do kostek. Cała Mgielnica o tym plotkowała...

- Przepraszam - szepnęła Maria, po czym wstała gwałtownie. Łyżeczka zsunęła się z talerzyka i ze stukotem spadła na podłogę.

Kobieta zbiegła po schodach, weszła do kuchni, minęła zlew pełen naczyń i oparła czoło o zimną szybę.

„Sabinę znaleźli z opuchniętym językiem wystającym z ust i majtkami spuszczoneymi do kostek...”

Poczuła, że ktoś obejmuje ją od tyłu: delikatne dziewczęce dłonie i zapach dziecięcego szamponu.

- Przepraszam za tego idiotę - wymruczała jej do ucha Alicja - ale on naprawdę chce ci pomóc. Oboje chcemy. Nie martw się, Mario. Wszystko będzie dobrze.

14

Beata wciągnęła Bogusza do kanciapy, w której Wioletta parzyła kawę, i zamknęła drzwi.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - syknęła. - Jakie aresztowanie? Czemu nic nie wiem o tym, że mamy podejrzanego?

- Odebrałem anonimowy telefon. - Głos miał spokojny, ale w jego twarzy pojawiło się coś, co Beacie wyjątkowo się nie spodobało, jakiś odpychający rys uporu i zaciętości. - Pewien obywatel zgłosił, że Ryszard Stenzel był widziany w towarzystwie nieletniej Joanny Grabkowskiej.

- Widziano nauczyciela z uczennicą? Na tej podstawie chcesz faceta aresztować? Zgłupiałaś? Życie człowiekowi złamiesz, a potem jeszcze będziesz musiał się tłumaczyć.

- Istnieją podejrzenia, że Stenzela i ofiarę łączył związek...

- Jaki związek, u licha? Sypiał z nią? Nawet jeśli tak, możemy go aresztować za seks z nieletnią, ale nie za morderstwo trzech osób, z których dwóch facet w ogóle nie znał! Adam...

Chwyił ją za ramię i ścisnął tak mocno, że Beata się skrzywiła.

- Ciszej! Chcesz tu wszystkich ściągnąć? To moje śledztwo, ja je prowadzę. Jesteśmy już blisko i nie pozwolę, żeby ktoś to zepsuł.

Sierżant otworzyła usta i zaraz je zamknęła. W oczach porucznika było coś, co zdecydowanie zniechęcało do dyskusji.

- Rozmawiałam z Marią Lenarczyk. - Spróbowała z innej strony. - Kobieta ma pomysł, że morderstwa mogą się wiązać z czymś, co wydarzyło się osiem lat temu. Brzmi dość dziwacznie, ale uznałam, że nie zaszkodzi sprawdzić...

- Omówimy to później, teraz nie mam czasu.

- Czekaj, daj mi chwilę. Przeglądałam stare sprawy i jedna z nich rzeczywiście może mieć coś wspólnego z naszymi zabójstwami. Muszę tylko pogadać z Trębickim...

- Śpieszę się. Porozmawiamy, jak wrócę.

- Masz coś przeciwko?

- Rób, co chcesz. - Bogusz odepchnął ją i wyszedł na korytarz.

Derkacz już czekał na niego przy samochodzie.

- Zapraszam do środka. - Porucznik uśmiechnął się, maskując irytację.

„Kobiety! - pomyślał. - Wszystko muszą komplikować, nawet najprostsze sprawy”.

- Pokażę panu, jak działamy w Mgielnicy.

- Chętnie zobaczę miejscowe władze w akcji. - Głos podpułkownika był całkowicie neutralny, uprzejmy, ale bez śladu emocji.

Bogusz ruszył spod komendy z piskiem opon. Wątpliwości zepchnął w głąb umysłu i skupił się na utrzymaniu poloneza na oblodzonej jezdni. „Do licha, chyba wreszcie pora, żeby uśmiechnęło się do nas szczęście”, uznał w duchu, gdy zatarasował mu drogę wolno jadący trabant. Wcisnął klakson.

Tyle włożonej w śledztwo pracy, godzin spędzonych nad aktami i rozmów ze świadkami - to wszystko miałyby pójść na marne? Nagrodę miałyby zgarnąć jakiś zupełnie obcy facet, który przyjechał do Mgielnicy praktycznie na gotowe? Nie ma mowy, to była sprawa Bogusza, jego pierwsza - i może jedyna - szansa, by się wykazać. Nieważne, co mówiła Beata. Kobiety zawsze są przesadnie ostrożne, podczas gdy mężczyźni wiedzą, kiedy zaryzykować, i dlatego właśnie wygrywają. Poza tym co złego w anonimowym telefonie? Nie byłoby to pierwsze śledztwo, które zakończono dzięki łutowi szczęścia. Tak rozwiązywało się sprawy: mnóstwo ciężkiej pracy, inteligencja oraz odrobina fartu.

Na klatce schodowej bloku, w którym mieszkał Ryszard Stenzel, było ciemno. Bogusz pstryknął kilka razy włącznikiem światła, a kiedy nie zadziało, wyjął z kieszeni latarkę i skierował strumień blasku na drzwi. Numer jeden, potem trzy i dwa.

Wcisnął przycisk dzwonka. W mieszkaniu ktoś się poruszył. Porucznik mógłby przysiąc, że słyszy niespokojny oddech.

- Otwierać, milicja! - krzyknął.

Teraz wyraźnie usłyszał odgłos cichych, oddalających się

kroków.

- Milicja!

Nawet w ciemnościach czuł na sobie oceniający wzrok Derkacza, który stał z tyłu i nie odzywał się słowem. „Cholerny dupek - pomyślał - mały wredny kutas, który potrafi tylko wykorzystywać cudzą pracę. Pewnie dostał ciepłą posadkę dzięki protekcji tatusia. O ile zakład, że to syn jakiegoś wysoko postawionego partyjniaka?”

Zabębnił pięściami w drzwi. Piętro wyżej ktoś wyjrzał na korytarz i zaraz schował się z powrotem do mieszkania. Na klatce schodowej panowała nerwowa cisza, którą zakłócał tylko przeciągły, coraz głośniejszy gwizd.

- Wyważę drzwi - zdecydował Bogusz.

- Jeśli uważa pan, że to konieczne.

Naparł ramieniem na drewnianą przeszkodę - raz, potem drugi. Do diabła, to nie mogło być takie trudne; w filmach wystarczyło mocniej pchnąć, żeby dostać się do środka. Oczywiście porucznik wiedział, że życie to nie film, ale przecież nie miał do czynienia z solidnymi dębowymi drzwiami, tylko ze zwykłą płytą ze sklejkki, jaką najczęściej spotykało się w nowych blokach.

Wreszcie zamek puścił, a Bogusz wpadł do środka. Na- macał kontakt i mieszkanie zalało światło. Porucznik ruszył w stronę, skąd dochodził gwizd, i ku swojemu zdziwieniu trafił do kuchni, gdzie na piecu stał czajnik z gotującą się wodą. Poza tym pomieszczenie było puste. Na stole zobaczył szklankę z nasypaną na dno herbatą i talerz kanapek, ale gospodarza ani śladu.

- Poruczniku, tutaj! - Głos Derkacza był dziwnie zduszony.

Bogusz odwrócił się i pognął w stronę sypialni. Stał tam podpułkownik, który podtrzymywał ciało wiszącego na haku od żyrandola Stenzela. Nauczyciel charczał, wierzgając jedną wolną nogą. Twarz miał posiniałą, oczy wybałuszone, a w kroku spodni rozlewała się cuchnąca plama.

- Proszę... mi... pomóc - wydyszał Derkacz.

Bogusz rzucił się na poszukiwania noża wystarczająco ostrego, by przeciął sznur.

Część VII: Kartoflany Człowiek

Październik 1955 roku

Chłopiec wcale nie chciał zrobić nic złego, złapał tylko pistolet, żeby pogrozić ojcu.

- Jeśli ją zabierzesz, to cię zastrzelę - powiedział, wymachując bronią jak gangster, którego widział w kinie.

Teraz tato powinien oznajmić, że w takim razie dziewczynka zostanie. Mógłby się nawet uśmiechnąć, bo oczywiście rozumiałby, że całe to grożenie nie jest na poważnie, że to zabawa jak polowanie na potwory. Pistolet miał pokazać, że chłopcu bardzo na dziewczynce zależy, nic więcej.

Tak właśnie miało to wyglądać.

Ale wyglądało zupełnie inaczej.

Kartoflany Człowiek nie uśmiechnął się, tylko zmarszczył brwi, a w jego małych oczach rozbłysł gniew. Chłopiec nigdy wcześniej nie widział, żeby się złościł, nigdy też nie przyszłoby mu do głowy, że jego łagodny ojciec może być groźny. Że może być prawdziwym potworem.

Dopiero teraz.

Zrozumiał, że popełnił błąd. Cofnął się pół kroku, ale męczyzna uparcie szedł naprzód, z wściekłością wyraźnie malującą się na twarzy.

Gdy dziecko nacisnęło spust, zatrzymał się nagle, zachwiał i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Na jego koszuli wykwitła czerwona plama, która rozszerzała się jak występująca z brzegów deszczowa kałuża. Stęknął coś niezrozumiale, a potem szorując plecami po pniu, osunął się na ziemię. Usiadł z rozłożonymi nogami i szeroko otwartymi oczami, w których wciąż widać było złość.

Dziewczynka stanęła cicho za chłopcem, który bardziej

wyczuł, niż usłyszał jej kroki. Odwrócił się.

- Co się stało? - zapytała.

- Wszystko w porządku - odpowiedział odruchowo, kładąc pistolet na pokrytą igliwem ziemię. - Idź stąd. Nie powinno cię tu być.

Ale ona nie odeszła, wręcz przeciwnie, zbliżyła się do siedzącego pod drzewem mężczyzny i dotknęła jego ramienia. Kartoflany Człowiek zamrugał, a potem poruszył się. Jego oczy wyraźnie mówiły, co zrobi synowi, kiedy go dopadnie.

„Może to zrobić”, uświadomił sobie chłopiec w przypiływie zalewającej umysł paniki. Ojciec był duży, silny i wściekły. I wytrzymały bardziej niż jakikolwiek inny znany dziecku człowiek. Kiedy latem rozplątał sobie łydkę siekierą, krwawił jak zarzynana Świnia, a potem przez tydzień leżał w gorączce. Ale przeżył.

Strzał z pistoletu tylko bardziej go rozwścieczył.

Kartoflany Człowiek mruknął coś jak niedźwiedź, który budzi się ze snu w bardzo złym humorze, przekręcił się na kolana i zaczął niezgrabnie wstawać.

Cofając się, chłopiec potknął się o kamień i upadł na wilgotną ziemię.

Luty 1985 roku

1

Była ósma rano, kiedy sierżant Beata Drzymała zaparkowała swojego malucha w uliczce niedaleko centrum i ruszyła w stronę rynku, gdzie rozstawiono już większość stoisk. Zawieszony między latarniami transparent głosił: „XXIII Dni Miasta Mgielnica”, płachty namiotów łopotały na zacinającym ostro wietrze, a śnieg topniał pod wielkim kotłem, do którego kucharz sypał pokrojoną w kostkę jałowcową kielbasę. Pachniało gotującą się grochówką i grzonym winem. Wokół kręcili się okutani w zimowe płaszcze ludzie z zaczerwienionymi nosami i czapkami naciągniętymi na uszy.

Na razie nie było ich wielu, ale nastrój panował już radosny, prawie świąteczny.

Sierżant kupiła na straganie precla i gryząc go, chodziła między stoiskami. Przy jednym zauważyła znajome twarze nauczycieli ze Szkoły imienia Róży Luksemburg. Jadwiga Siwczyk i Karol Górny skinęli jej powściągliwie, najwyraźniej woląc udawać, że Beaty nie znają, ale rudawa blondy- neczka - jak ona się nazywała? - pomachała zachęcająco.

- Proszę podejść, może pani coś sobie wybierze? - Wskazała wazoniki zrobione z pustych słoików, modeliny i kolorowych kamyków, szmaciane lalki oraz parę wyszywanych obrazków przedstawiających chyba krowy, choć równie dobrze mogły to być konie.

Beata wzdrygnęła się lekko. Lubiała dzieci, ale nie zamierzała ozdabiać mieszkania ich twórczością.

- Nie, dziękuję.

- To może chociaż poczęstuje się pani ciastem?

Gdy sięgała po kawałek strucli, Karol Górny nalał sobie herbaty z wielkiego ruskiego samowara, a potem chlapnął do kubka z piersiówki i pociągnął solidny łyk.

- I jak tam, przymknęliście drania? - zapytał protekcyjnym, niby przyjaznym, a w gruncie rzeczy zaczepnym tonem, jakim lubili się posługiwać niektórzy mężczyźni. - Najwyższa pora, co?

Beata przypomniała sobie, co Bogusz mówił o anonimowym donosicielu - podobno miał męski głos. Karol Górny? Jeśli tak, nieźle się maskował, bo wzrok sierżant Drzymały wytrzymał z niewinną miną.

- Nie mogę zdradzać szczegółów sprawy - wykręciła się, choć przez chwilę kusilo ją, żeby powiedzieć o próbie samobójczej Stenzela i poobserwować ich reakcje. Zrezygnowała, bo nie była pewna, co na to podpułkownik Derkacz, a poza tym, usprawiedliwiła się sama przed sobą, za dwie-trzy godziny i tak wszyscy będą wiedzieć. Jednak tak naprawdę trochę jej było żal, nie Karola oczywiście, ale Jadwigi Siwczyk i tej uśmiechniętej blondyneczki.

„Niech się nacieszą świętem, póki mogą”, pomyślała Beata.

Czasem okazywała się zbyt miękka do tej pracy.

Jednak eksmatce Blanki nie zamierzała odpuścić. Spojrzała na zegarek: wpół do dziewiątej. W porządku, o tej porze można już wpaść z wizytą, nie narażając się na zarzut, że ściąga się kogoś z łóżka. Tego chciała uniknąć, bo zależało jej, żeby kobieta była w dobrym humorze.

Judyta Korczewska mieszkała przy odchodzącej od rynku uliczce, tuż nad sklepem rybnym z wyblakłym rysunkiem uśmiechniętego rekina na szyldzie. Sierżant wcisnęła przycisk dzwonnka, a kiedy nie doczekała się efektu, zapukała. Chwilę później za drzwiami rozległo się szuranie i otworzyła jej była matka Blanki. Miała na sobie szlafrok, ale nie wyglądała na zaspaną.

- Sierżant Beata Drzymała z komendy miejskiej. Mogę wejść?

- Już mnie przesłuchiwalicie.

- Wiem, ale chciałam zadać pani jeszcze jedno pytanie.

- W takim razie proszę to zrobić.

- Naprawdę chce pani rozmawiać na klatce schodowej?

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem i sierżant oczywiście wygrała. Korczewska odsunęła się, niechętnie wpuszczając milicjantkę. Zaprowadziła ją do pokoju, ale nie zaproponowała herbaty, kawy ani niczego innego. Zresztą Beata i tak by odmówiła.

Rozejrzała się dyskretnie. Mieszkanie okazało się ładne, choć dziwnie bezosobowe, trochę jak sypialnie w domu dziecka. Sierżant wiedziała, że Korczewska od dwunastu lat jest wdową, jednak nigdzie nie było śladu zmarłego męża, żadnego zdjęcia czy przedmiotu, który wyglądałby na pamiątkę po trwającym prawie dekadę małżeństwie. Nie było też niczego, co świadczyłoby o indywidualnym guście pani domu. Blanka musiała mieć pecha, skoro prosto z sierocińca trafiła w miejsce, które niewiele się od niego różniło.

- Słucham - ponagliła ją gospodyni.

- Czy pani przybrana córka kiedykolwiek wróciła do domu pokryta zaschniętą krwią? - wypaliła Beata.

Nawet w najśmielszych przypuszczeniach nie spodziewała się takiej reakcji. Kobieta zamarła i zbladła tak bardzo, że sierżant

już się zastanawiała, czy nie wzywać pogotowia. Nagle w nieruchomej twarzy coś zadrgało, jak seria podskórnych wstrząsów burzących spokój rysów. Usta poruszyły się.

- Proszę wyjść - powiedziała słabym głosem.

- Źle się pani czuje? Może mogę w czymś pomóc...?

- Niech pani już idzie, proszę.

- O Blankę nie musi się pani martwić, dziewczynka jest bezpieczna w klasztorze. Nic jej nie grozi.

Kobieta zasłoniła oczy dłońmi i zgięła się wół. Coraz bardziej wystraszona Beata pomyślała, że Korczewska płacze, ale po chwili zrozumiała, że wręcz przeciwnie - matka Blanki zanosila się histerycznym śmiechem.

- Pani myśli... że ja... ja się boję o tę dziewczynę...

- Już dobrze, proszę się uspokoić. - Sierżant poklepała ją po ramieniu. - Przynieść pani coś do picia? Może wezwać lekarza?

Korczewska wyprostowała się, przetała oczy i odetchnęła kilka razy głęboko. Kiedy spojrzala na Beatę, jej twarz znowu była nieruchoma jak zatrzaśnięte drzwi.

- Niczego takiego nie pamiętam - oznajmiła lekko jeszcze drżącym, lecz stanowczym głosem. - A teraz będę wdzięczna, jeśli pani sobie wreszcie pójdzie. Chciałabym w spokoju zjeść śniadanie.

Beata nie była geniuszem dedukcji, ale miała podejście do ludzi - to ona najszybciej orientowała się, kiedy świadek kłamie, jej najłatwiej przychodziło rozróżnienie, kiedy przesłuchiwanego warto przycisnąć, a kiedy wręcz przeciwnie, pora się wycofać, bo i tak nic z tego nie będzie.

Teraz zrozumiała, że Korczewska niczego więcej nie powie. Kobieta już się opanowała i zamknęła w sobie jak ostryga - choć w jej oczach Beata wciąż widziała lęk.

Pytanie, kogo - albo czego - naprawdę bała się matka Blanki?

O dziesiątej Maria nakarmiła Pirata, a potem włożyła płaszcz i buty. Z lustra w przedpokoju spojrzala na nią jej własna twarz, w przedziwny sposób jednocześnie zrezygnowana i zdetermi-

nowana, jak twarz kogoś, kto zrozumiał już, że nie wygra, a mimo to postanowił odważnie wyjść na spotkanie z losem.

Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w stronę przystanku. Pogoda była ładna, tylko wietrzna, po niebie gnały skłębione chmury, które co chwila przesłaniały słońce. Krajobraz to ciemniał, to znów rozświeślał się złocistym blaskiem, jakby Bóg bawił się, zmieniając przezrocza. Cienie obłoków sunęły po ośnieżonych polach niczym cienie wielkich powietrznych statków. Maria przyśpieszyła kroku. Mróz szczypał ją w policzki, ale kiedy przystanęła i przymknęła oczy, było zupełnie tak, jakby z nieba wysunęła się ciepła ręka i łagodnie musnęła jej policzek. Ogarnęło ją gorąco, pod powiekami wykwitły plamy pomarańczowego i żółtego blasku. A potem chmura znów przesłoniła słońce, świat stracił barwy, a Maria zadrżała.

Złapała autobus, który tego dnia jakimś cudem pojawił się o czasie, i wysiadła w centrum. Na rynku pomiędzy rozstawionymi straganami kręcił się spory tłum, dzieciaki w rozpiętych kurtkach i bez czapek goniły się wokół pomnika, bryzgając błotnistą breją z roztopionego śniegu, dorośli jedli albo popijali - dwie czy trzy osoby wyglądały, jakby już miały trochę w czubie. Maria odszukała stoisko swojej szkoły. Spodziewała się, że zostanie przywitana radosnym okrzykiem Alicji: „Jednak zdecydowałaś się przyjść!”, tymczasem blondynka tylko koleżankę objęła, ciasno, jakby szukała pocieszenia, a nad jej ramieniem Maria zobaczyła ponure twarze Jadwigi Siwczyk i Karola Górnego.

- Ryśka wczoraj milicja zabrała - szepnęła Alicja. - Podobno podejrzewają, że to on jest mordercą. Próbował się powiesić, teraz jest w szpitalu.

- Stenzel? - Oszłomionej Marii kręciło się w głowie. Rysiek? Jakim cudem? Potem przypomniała sobie, że mężczyzna spędził noc u niej w domu i zrobiło jej się trochę słabo. - Nie wierzę - wymamrotała. Brzmiało to, jakby usiłowała przekonać samą siebie. - Nie wierzę.

- Nam też trudno w to uwierzyć. Chcemy do niego pojechać, ja i Karol. Możesz się zabrać z nami.

Maria poszukała wzrokiem wuefisty. Stał niedaleko w to-

warzystwie korpulentnej kobiety i trzech pulchnych dziewczynek, z których każda trzymała w ręku patyk z wielką chmurą waty cukrowej. Najstarsza wyglądała na jakieś dziesięć lat, najmłodsza nie miała chyba więcej niż pięć. Maria uświadomiła sobie, że prawdopodobnie patrzy na rodzinę Karola. Dziwne, mogłaby się założyć, że żona kogoś takiego będzie potulną myszą, tymczasem piersiasta niewiasta sprawiała wrażenie wyjątkowo energicznej. Najpierw coś do męża mówiła, marszcząc brwi, potem skinęła głową, wyraźnie zadowolona z jego odpowiedzi, i odeszła, holując córki, które podążały za nią jak trzy małe stateczki za przedzierającym się przez kry lodolamaczem.

Karol Górny podszedł do Ali i energicznie zatarł ręce.

- To jak, ruszamy? - Spojrzał na Marię, jakby dopiero teraz ją zauważył. - Jedziesz z nami?

- Tak - odparła Alicja i nim Maria zdążyła zaprotestować, nie mówiąc o zastanowieniu się, czy w ogóle chce jechać do szpitala, już siedziała w samochodzie.

Po drodze rozważała różnice pomiędzy Ryśkiem a Karolem. Byli prawie jedynymi mężczyznami w szkole - prawie, bo na pół etatu pracował jeszcze rusycysta Antoni Lasota, pan przed siedemdziesiątką ubierający się z przedwojenną elegancją, który większość przerw spędzał u zaprzyjaźnionej bibliotekarki i rzadko z kimś poza nią rozmawiał. Wuefista i historyk byli więc skazani na siebie. Pierwszy narzekał, że z Ryśkiem nawet na piwo nie można wyskoczyć, drugi nieraz garbił się, uderzony szczególnie złośliwą uwagą kolegi - a jednak ta dwójka, jakby kierowana przewrotną męską solidarnością, trzymała się razem. Gdy Maria wchodziła do pokoju nauczycielskiego, często widywała ich pogrążonych w rozmowie - choć zazwyczaj to Karol mówił, a Rysiek słuchał i potakiwał. Może taki układ z jakichś powodów pasował im obu, a może historyk był zwyczajnie zbyt łagodny, by ostro powiedzieć, że chce, aby zostawiono go w spokoju.

Maria niewiele wiedziała o Ryśku Stenzelu. Miał kiedyś żonę, którą poślubił, kiedy był bardzo młody; małżeństwo nie przetrwało nawet roku. Jego rodzice nie żyli i poza kuzynką czy

kimś takim nie miał nikogo bliskiego. Był mężczyzną, który na pierwszy rzut oka robił złe wrażenie: nerwowe zachowanie, wysoki załamujący się głos. Jednak zyskiwał przy bliższym poznaniu. Tak z pewnością powiedziała by ciotka Marii, gdyby jeszcze żyła: „Ten człowiek zyskuje przy bliższym poznaniu”.

Emilia Orawska zrobiła kiedyś dorastającej siostrzenicy cały wykład na temat tego, z kim powinna, a z kim nie powinna się zadawać. „Młode dziewczyny wolą chłopców eleganckich, pewnych siebie i męskich, ale mądre kobiety wiedzą, że to z tymi łagodnymi i niepozornymi można zbudować dobry związek - mówiła. - Wystarczy tylko dać im drugą szansę”.

Lecz kobiety rzadko dawały drugą szansę mężczyznom takim jak Rysiek Stenzel, a ciotka Emilia chyba nie stosowała się do własnych zaleceń, bo Maria nie przypominała sobie, żeby wśród jej znajomych był ktoś w typie nieśmiałego historyka.

A jaki typ lubiła Maria? Nie była pewna, często zresztą zdawało jej się, że Maria zimowa i Maria letnia to dwie zupełnie różne osoby. Ta pierwsza unikała ludzi i bezustannie była zmęczona, druga świetnie się bawiła, zakochiwała i odkochiwała w ciągu kilku dni. Po wakacjach z trudem przypominała sobie twarze czy imiona wszystkich swoich kochanków - brunetów i blondynów, starych i młodych, grubych i chudych, nieśmiałych i brutalnych.

Nie, nie można było powiedzieć, żeby Maria lubiła jakiś konkretny typ mężczyzny.

„Twoja matka była wariatką”, oznajmiła Emilia Orawska, kiedy z jakiegoś powodu - Maria nie pamiętała już, z jakiego - rozzłościła się na siostrzenicę. Nie krzyczała wtedy, nigdy tego nie robiła, tylko surowym tonem, z zaciśniętymi ustami i miną pełną rozczarowania stwierdziła fakt.

Jej matka była wariatką, a ponieważ niedaleko pada jabłko od jabłoni (kolejne z ulubionych powiedzonek Emilii), oznaczało to, że jest nią także Maria.

Tyle że „wariat” to słowo worek, do którego można wrzucić właściwie wszystko. Wariatem jest mamroczący coś do siebie facet na ulicy, ktoś, kto rzuca się na łeb na szyję w niebezpieczeństwo, a także postrzelona dusza towarzystwa. I

morderca nastolatków - nie należało o tym zapominać.

Jakiego rodzaju wariatką była Maria?

W szpitalu udało im się dowiedzieć, w której sali leży Rysiek - dziewczyna w recepcji okazała się koleżanką Ali z liceum. Ale przed drzwiami jedyńki powitał ich rozparty na krześle milicjant, który leniwie przewracał strony wysłużonego niemieckiego magazynu z gołymi panienkami.

- Żadnych wizyt - powiedział, nie trudząc się nawet, żeby podnieść wzrok znad czasopisma. Ssał lizaka, wyobrażając sobie chyba, że jest Kojakiem, ale od bohatera amerykańskiego serialu różniło go jakieś dwadzieścia kilogramów nadwagi. Za to łysiny niewątpliwie mieli podobne.

- Proszę nam chociaż powiedzieć, jak on się czuje. - Alicja uparła się.

- Nie wolno mi udzielać żadnych informacji.

- Jeszcze nie odzyskał przytomności, ale jego stan jest stabilny - odezwał się głos za plecami Marii.

Odwróciła się. Przed nią stała okrągłutka kobietka z ciemnymi włosami upiętymi w nieporządny kok.

- Tyle udało mi się dowiedzieć od lekarzy. Mnie też nie chcą do niego wpuścić. Iwona Zawadzka, kuzynka Ryśka - przedstawiła się, po czym wyciągnęła rękę, przekładając do lewej książkę, którą trzymała tak, by palec wskazujący służył za zakładkę.

Maria odruchowo spojrzała na tytuł: *Noc w bibliotece*. Czytanie kryminału w szpitalu, gdzie leży oskarżony o bycie wielokrotnym mordercą kuzyn, wydało się jej trochę niestosowne.

- Maria Lenarczyk.

- On tego nie zrobił - oznajmiła Iwona, wlepiając błagalne spojrzenie w stojącą przed salą grupkę. - Rysiek nie jest zabójcą. Poza tym kiedy zginęła Asia Grabkowska, był ze mną; często wpadam do niego w soboty.

- Powiedziała to pani milicji? - zapytała Maria.

- Pewnie, podczas przesłuchania, ale ten porucznik chyba uważa, że kłamię. Patrzył na mnie jak na coś paskudnego, co przylepiło mu się do buta.

- Nie martw się, wypuszczą go, kiedy się obudzi, bo przecież nie mają żadnych dowodów. - Ala pośpieszyła z zapewnieniem, a Maria przyłączyła się po chwili, bardziej z uprzejmości niż z prawdziwego przekonania.

Co ona wiedziała o zabójcach? Może właśnie najczęściej byli nimi tacy właśnie cisi, wycofani mężczyźni?

Kiedy jednak zjeżdżali windą na szpitalny parking, doszła do wniosku, że Iwona Zawadzka prawdopodobnie miała rację: Ryszard Stenzel nikogo nie zamordował, jego jedyną winą było żywione do nieletniej uczennicy uczucie. I nie chodziło o charakter Ryśka - słaby człowiek również mógłby zabić, ale o roztrzęsienie nieszczęsnego historyka. Gdy widziała go ostatnio, był strzępem człowieka, przepaszającym na każdym kroku, z drżącymi rękami i postarzałą twarzą. To miałby być ten zimnokrwisty, opanowany morderca, który od kilku tygodni wodził za nos całą miejscową milicję?

Maria potrząsnęła głową. Nie, coś takiego wydawało się nieprawdopodobne. Chyba że Rysiek udawał, ale wtedy musiałby być urodzonym aktorem, godnym co najmniej Oscara.

Powtórzyła to Iwonię oraz Alicji zaraz po tym, jak Karol pożegnał się, używając wymówki: „Muszę zrobić coś ważnego”. Kuzynka Ryśka w odpowiedzi uściskała Marię i podziękowała jej, a potem wróciła do szpitala, by wraz z panną Marple rozwiązywać tajemnicę zbrodni w bibliotece.

Ala oparła się o drzwiczki auta i spojrzała na Marię.

- Naprawdę w to wierzysz? Że Rysiek jest niewinny?

- Chyba tak, a ty?

- Sama nie wiem. Iwona rzeczywiście mogła kłamać z tym alibi, w końcu to jej kuzyn, nie?

- Rysiek nie wygląda na mordercę.

Młodsza kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Teraz jesteś ekspertem od tego, jak wyglądają mordercy?

- Po prostu wydawało mi się, że kiedy dowiem się, kto to jest, wszystko nabierze sensu i zrozumiem, co się stało w lesie. A Rysiek jako zabójca nie pasuje do niczego. Nie, moim zdaniem on nie jest mordercą, tylko kolejną ofiarą, bo przecież nawet

jeśli go zwolnią z braku dowodów, i tak nie będzie mógł wrócić do normalnego życia. Przynajmniej nie tutaj.

- Nie wiedziałam, że tak ci na nim zależy.

- Nie zależy mi. Nie jakoś szczególnie w każdym razie. Ale zależało mi na Asi, ją naprawdę lubiłam. I mimo wszystko nadal chyba zależy mi na sobie. Chciałabym to zrobić dla nas obu, dla siebie i Asi.

- Zrobić co? Dowiedzieć się, kto jest mordercą? - Alicja przyglądała jej się uważnie.

- Tak. Pomożesz mi?

Ala objęła Marię serdecznie.

- Postaram się. I miło słyszeć, że jednak zależy ci na sobie, bo już zaczynałam się martwić, że jest zupełnie odwrotnie.

3

Sierżant Krupa patrzył z dezaprobatą, jak Bogusz wyrzuca na środek pokoju zawartość szuflad. Na dywanie lądowały złożone w kostkę spodnie, koszule i swetry. Wszystko to było zupełnie zwyczajne, ani drogie, ani tanie, starannie wyprane i - tam, gdzie trzeba - równie starannie pocerowane. Pod ubraniami nie znaleźli obciążających dowodów, nic, co mogłoby świadczyć o tym, że Ryszard Stenzel prowadził podwójne życie. Jego dwupokojowe mieszkanko wyglądało jak mieszkanie starego kawalera: czyste, ale bez przesady, z lodówką wypełnioną najprostszymi produktami i półkami, na których stały pamiątki po rodzicach. Krupa znalazł oprawione zdjęcia, a także kolekcję porcelanowych baletnic, która, mógłby się założyć, należała kiedyś do matki Stenzela. W jednym z pokoi znajdowała się całkiem pokaźna biblioteczka zawierająca głównie książki historyczne, a w szufladzie biurka odkryli nowoczesną lornetkę. Porucznik uniósł ją triumfująco.

- Podglądał uczennice, jak sądzisz?

Krupa wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem raczej przyrodę. - Wskazał stojące na półce atlasy ornitologiczne, po czym wziął do ręki jeden z nich i przekartkował. Wypadła z niego mapka zatytułowana: *Trasy*

ptaków wędrownych zimujących w Polsce południowej.

Po raz drugi porucznik ożywił się, gdy pod stertą skarpetek znaleźli kilka numerów pisemka militarnego ze skąpo odzianymi dziewczynami na ostatnich stronach.

- Podobne do Asi, prawda? - W głosie Bogusza brzmiała desperacja. - Patrz, wszystkie mają jasne włosy.

- Owszem - odparł Krupa. - Ale poza tym wszystkie są cyncate, dupiate i dorosłe, a ta mała była płaska jak deska i wyglądała na dwanaście lat.

Bogusz zacisnął usta i wrzucił pisemka z powrotem do szuflady. Przypominał chmurę gradową, więc Krupa dla własnego bezpieczeństwa wycofał się do łazienki i zajął przetrząsaniem szafek. Jego zdaniem tylko tracili czas. Stenzel nie miał morderczych skłonności, był zupełnie zwyczajnym mężczyzną, który prowadził zupełnie zwyczajne życie. Nudne może dla kogoś młodszego, kto spragniony byłby wyzwania i emocji, ale dla niego pewnie całkiem satysfakcjonujące. Miał hobby, pracę, książki i stary telewizor.

Krupa pomyślał, że za takie życie dałby sobie obciąć prawą rękę.

Na górnej półce w łazience znalazł stare pudełko po wedlowskich czekoladkach służące jako apteczka. Przejrzał zawartość: tabletki od bólu głowy, polopiryna, syrop na kaszel, mała buteleczka spirytusu, pewnie do odkażania, i zwinięty poplamiony jodyną elastyczny bandaż. Nic niezwykłego. Jediną interesującą rzeczą były dwa listki tabletek o nazwie Polfenon. Krupa nie znał tego leku, więc na wszelki wypadek włożył jeden do kieszeni. Jeśli Stenzel na coś chorował, trzeba powiedzieć o tym lekarzom, którzy zajmowali się nim w szpitalu.

Drugi listek owinięty był złożonym papierkiem i gumką. Krupa zdjął ją i rozprostował kartkę - była to recepta wystawiona 18 stycznia przez doktora I. Przybyłkę z przychodni przy ulicy Różanej. Sierżant zmarszczył brwi, a potem nadstawił uszu - z sypialni dochodziły odgłosy brzmiące zupełnie tak, jakby sfrustrowany Adam Bogusz kopał właśnie którąś z szafek. Następnie rozległo się kilka przekleństw i

kolejne kopnięcie.

Krupa podszedł do stojącego w przedpokoju telefonu i wykręcił numer przychodni, który znalazł na pieczętce.

- Sierżant Krupa z komendy miejskiej - przedstawił się. - Czy mogę rozmawiać z doktorem Przybytkiem? Tak, przepraszam, mam tu tylko pierwszą literę imienia...

- Irena Przybytek, słucham. - Lekarka podeszła do telefonu zaskakująco szybko.

- Dzwonię w sprawie Ryszarda Stenzela.

- Bez nakazu nie mogę udzielać informacji o pacjentach. - Głos brzmiał chłodno, oficjalnie, choć wydawał się należeć do młodej osoby.

- Chciałem tylko zapytać, czy 18 stycznia wypisała mu pani receptę?

- Chwila... - Krupa usłyszał szelest papieru. - Tak, owszem.

- I dała mu ją pani tamtego dnia?

- Oczywiście, pan Stenzel przyszedł do mnie na rutynowe badanie, a ja wypisałam receptę.

- O której miał wizytę?

- O siedemnastej.

- I pamięta pani, że przyszedł właśnie o tej godzinie? Sprawdzała to pani w kalendarzu?

- Owszem, pamiętam. Był ostatnim pacjentem, więc wyszliśmy razem. Skręciłam w stronę swojego bloku, a on w stronę przystanku. To bardzo miły człowiek, odprowadził mnie nawet kawałek, choć wyglądał na zmęczonego. Dlaczego właściwie pan do mnie dzwoni?

- A ma pani jakiś pomysł, czemu Stenzel nie wykupił recepty z 18 stycznia? - odpowiedział pytaniem na pytanie, czego dawno temu próbowała odczytać go babcia.

Przez chwilę w słuchawce panowało milczenie i Krupa mógłby się założyć, że słyszał w nim odrobinę zakłopotania.

- Hmm, widzi pan, nie wolno nam przepisywać więcej niż trzy opakowania leku naraz, takie zarządzenie z góry...

- Więc omijacie przepisy, wystawiając po prostu dwie recepty? Jedną pacjent może wykupić od razu, a drugą za jakiś czas, kiedy skończy mu się zapas?

- Cóż, owszem. Oczywiście robimy tak tylko w przypadku pacjentów, których stan jest stabilny i którzy nie wymagają częstych wizyt kontrolnych. Nie ma przecież sensu ich zmuszać, żeby ganiali do nas co miesiąc, prawda?

- Jasne, rozumiem. Dziękuję bardzo za informacje.

Krupa odłożył słuchawkę.

„Bogusz się wścieknie - pomyślał, nasłuchując dobiegających z pokoju odgłosów wysypywania z szuflad jakichś metalowych przedmiotów. - Teraz jest wkurwiony, ale kiedy dowie się, co mam do powiedzenia, dostanie szału”.

4

Alicja zorientowała się, że Maria jeszcze nie jadła śniadania, zabrała ją więc do baru mlecznego i wmusiła w przyjaciółkę jajecznicę, pół bułki z masłem i dwie szklanki gorącej herbaty. Maria jadła machinalnie, a potem tylko siedziała ze zmarszczonymi brwiami, krusząc w palcach pieczywo.

- To się nie uda - powiedziała w pewnym momencie. - Obcy wpytujący o sprawy sprzed lat, i to tak bolesne? Wyrzucą nas za drzwi, zanim zdążymy czegokolwiek się dowiedzieć.

- Widać, że zapomniałaś już, jak się żyje w małym miasteczku. - Alicja uśmiechnęła się. - Po pierwsze, nie jesteśmy obce: ty jesteś siostrzenicą Emilii Orawskiej, a ja mieszkam tu przez całe życie, znam mnóstwo ludzi i w razie czego zawsze mogę się powołać na odpowiednie znajomości. Na przykład moja koleżanka uczy kuzynkę tej zaginionej dziewczynki, a brat męża kobiety, która zjechała z mostu, pracował dawno temu z Piotrem. Po drugie, osiem lat wystarczy, żeby najgorszy ból minął, a po trzecie, nawet jeśli nas wyrzucą, to co z tego? Przynajmniej będziemy wiedziały, że zrobiłyśmy wszystko, co mogłyśmy. To jak, ruszamy?

5

- Ustaliliśmy - sierżant Drzymała skupiła wzrok na Łaskiewiczzu, starając się nie patrzeć na stojącego obok

Bogusza ani na podpułkowniku Derkacza, który usiadł w półmroku pod ścianą i nie odzywał się od dłuższej chwili - że Ryszard Stenzel najprawdopodobniej ma alibi na dzień, w którym został zamordowany Paweł Kurzeja. Miał wówczas umówioną wizytę w przychodni na Różanej, był tam mniej więcej do 17.15, a potem jeszcze odprowadził doktor Irenę Przybyłek. Biorąc pod uwagę, że nasz lekarz określił czas zgonu najpóźniej na osiemną, Stenzel nie zdążyłby wystarczająco szybko dotrzeć do kamieniołomu na drugim końcu miasta. Podejrzany nie ma samochodu ani prawa jazdy, a Szmajdziński świętował wtedy imieniny siostrzeńca i taksówką nie jeździł. Pozostaje komunikacja publiczna, ale autobusy w stronę Wilkowic jeżdżą co godzinę, więc doliczając czekanie na przystanku, Stenzel dotarłby tam niewiele szybciej, niż gdyby szedł pieszo. Podejrzany ma alibi także na czas zabójstwa Asi Grabkowskiej, tym razem zapewnione przez kuzynkę, która przysłała do niego z wizytą około szesnastej i została prawie do północy.

- A zabójstwo Szymona Szmajdzińskiego? - zapytał Łaszkiwicz.

- Stenzel twierdzi, że był wówczas sam w domu i nie ma nikogo, kto mógłby to potwierdzić.

Zamyślony major stuknął długopisem w biurko. Beata zerknęła kątem oka na Bogusza - stał sztywno wyprostowany, z wyrazem twarzy, który trudno było odczytać.

Łaszkiwicz przeniósł na niego wzrok.

- Co o tym myślisz? Pytam, czy twoim zdaniem Stenzel jest naszym mordercą, czy nie.

- Rozpatrujemy w tej chwili różne możliwości - odparł porucznik głosem wypranym z emocji.

- A ty? - Major spojrzął na Beatę.

Dziewczyna zawała się.

- Istnieje taka możliwość. Doktor Trębicki mógł się pomylić, może Paweł zginął później albo Stenzel jednak zdobył jakiś środek transportu, na przykład poprosił kogoś o podwiezienie. Ryzykowałby sporo, ale to nie jest niemożliwe. Wszyscy wiemy, że mordercom zdarza się robić głupstwa.

Wiemy też, że alibi zapewniane przez członków najbliższej rodziny bywa niewiele warte, ale...

- Tak?

- Mnie to alibi przekonuje właśnie dlatego, że nie jest idealne. Gdyby Stenzel był zabójcą, postaralby się chyba bardziej, nie mówiąc o tym, że wtedy prawdopodobnie miałby też alibi na czas śmierci Szymka. Poza tym jest jeszcze kwestia Blanki Janik. Wciąż nie wiemy, czy ona ma coś wspólnego z zabójstwami, ale założę się, że mała coś ukrywa. A jej przybrana matka zachowuje się, jakby była śmiertelnie przerażona. Z początku wydawało mi się, że może martwi się o Blankę, ale nie, kobieta zareagowała, jakby bała się nie o dziewczynkę, ale właśnie dziewczynki, rozumiecie?

Łaszkiwicz zmarszczył brwi.

- Sugerujesz, że tych zbrodni mogło dokonać dziecko?

- Nie wiem. - Beata znowu się zawahała. - Trudno w coś takiego uwierzyć, prawda? Z drugiej strony tamta pijaczka widziała, jak nastolatka wyrzuca do kosza na śmieci plecak i kurtkę... Tak czy inaczej, wydaje mi się, że jest w tym wszystkim coś jeszcze, czego nie dostrzegamy.

Major skinął głową.

- W porządku, możesz odejść. Adam, ty zostań.

Beata odwróciła się jeszcze w progu i spojrzała na Bogusza. Było jej go żal, mniej jednak niż Ryszarda Stenzela, który wciąż nieprzytomny leżał w szpitalu.

6

Za oknem w ogródku stał bałwan. Maria widziała go wyraźnie z miejsca przy kuchennym stole, gdzie małymi łykami popijała gorącą herbatę. Miał oczy z węgielków i nos z dorodnej marchwi, a na głowie przekrzywiony słomiany kapelusz. Pochylał się lekko niczym wracający z libacji pijaczek, który przystanął na moment, żeby złapać równowagę, i uśmiechał się posepnie wyrysowanymi w śniegu ustami. Maria przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, próbując znaleźć w tym uśmiechu choć odrobinę radości, ale nie - bałwan był zdecydowanym

melancholikiem. Obrazu smutku dopełniał zimowy wiatr uparcie szarpiący oberwane rondo kapelusza.

Wróciła spojrzeniem do starszej pani, która krzątała się po kuchni, jakby nie mogła znaleźć sobie miejsca. Włożyła do szafki umyte szklanki, dosoliła gotujący się na kuchence rosół i wreszcie usiadła przy stoliku, jednak cały czas sprawiała wrażenie kogoś, kto za chwilę zerwie się i dokądś pobiegnie.

- Małgosia była uroczym dzieckiem - powiedziała, zamieniając miejscami solniczkę z pieprzniczką. - Grzeczna, jak myszka cichutka. Nigdy nie grymasiła przy jedzeniu, zawsze dziękowała, jak obiad jej dawałam, w kuchni chętnie pomagała. W przedszkolu mi kiedyś laurkę zrobiła, taką z serduszkami i napisem: „Dla najlepszej babci na świecie”, dalej ją jeszcze w szufladzie mam.

- Małgosia zagineła w maju, tak? - zapytała Ala, przerywając monolog staruszki.

- Ano, jakoś wtedy to było, zgadza się.

- Zastanawiała się pani kiedykolwiek, co się mogło z dziewczynką stać?

- Co miałabym się zastanawiać? Przecież ja wiem.

- Wie pani? - Maria zmarszczyła brwi.

Starsza pani energicznie przytaknęła.

- Małgosia jest bezpieczna.

- To dziewczynka żyje? - Marii przemknęło przez głowę, czy nie jest to przypadkiem jakaś metafora, na przykład, że Małgosia Nowak jest „bezpieczna w niebie”.

- Oczywiście. - Staruszka wyglądała na oburzoną i jednocześnie przerażoną pomysłem, że mogłoby być inaczej. - Z ojcem w RFN-ie jest. On dobrą pracę tam ma, to małej niczego nie brakuje. Chociaż teraz to już nie mała, tylko panna, szesnaście lat w marcu kończy. Walek czasem mi zdjęcia przysyła.

- Mąż pani córki zabrał Małgosię do Niemiec? - upewniała się Ala.

- Były mąż - skorygowała staruszka.

- I wiedziała pani o tym od początku? Kiedy milicja szukała dziecka?

- Od początku to nie, dopiero jak Walek list do mnie napisał, żeby się nie martwić, bo dziewczynka jest z nim. Długo żal miałam, że nikomu nic nie powiedział, tylko Małgosię wywiózł, ale potem sam Pan Bóg na niedzielnej mszy znak mi zesłał, że dość już tej złości, to wybaczyłam. Jakie ona życie by tutaj miała? Moja córka ma dobre serce, ale rozumu mało. Jak się rodziła, doktor za mocno szczypcami czaszkę jej ścisnął. Dlatego na głowę słabuje i dzieckiem nigdy nie umiała się zająć. Teraz Małgosia szczęśliwa jest, a ja tylko się martwię, że ojczystej mowy zapomni, bo jej koledzy to teraz same Niemce są, po polsku jedynie z ojcem może mówić. W szkole ponoć Greta na nią wołają, po ichniemu bardziej.

- Widziała się pani z wnuczką po jej wyjeździe?

- Gdzie tam, paszportu mi nie dadzą. Zwłaszcza teraz, jak syn mój za ulotki siedział. Ale zdjęcia mogę pokazać, zaczekajcie.

Przydreptała po chwili i wysypała na stół imponującą kolekcję fotografii piegowatej nastolatki z fryzurą na pazia i nieśmiałym uśmiechem. Na jednym ze zdjęć pozowała na tle ściany wyklejonej plakatami, na innym z kudłatym psem w ramionach.

- Czemu pani nie powiedziała milicji, że Małgosię zabrał ojciec? - zapytała Ala.

- Bo się dowiedziałam, jak już szukać przestali, a poza tym kto wie, czy wtedy by dziewczynki z powrotem do matki nie zabrali? Tak sobie wtedy myślałam, ale teraz już w to za bardzo nie wierzę, dlatego wam mówię. W zaufaniu, rozumiecie. Nie chcę, żeby się rozniosło, że moja córka nie potrafiła się własnym dzieckiem zająć.

- Córka wie?

Starsza pani wzruszyła ramionami.

- Po mojemu to wie, tylko woli udawać, że Małgosię ktoś porwał, bo wtedy może lamentować, a ludzie się nad nią litują i na wódkę jej dają. Ale pewności nie mam, rzadko teraz rozmawiamy.

- W takim razie dziękujemy, nie będziemy zabierać pani więcej czasu. - Ala wstała, a Maria poszła za jej przykładem.

Wychodziły odprowadzane smutnym spojrzeniem bałwana,

któremu tymczasem wiatr zdążył zerwać kapelusze i który coraz bardziej pochylał się w stronę domu.

7

Adam Bogusz myślał o matce, która zapowiedziała, że wpadnie do niego w następny weekend. Starał się ze wszystkich sił ją zniechęcić, ale uparła się jak osioł i porucznik wiedział, że tym razem uda jej się postawić na swoim. Wcześniej była u syna tylko raz, pół roku temu. Przywiozła wtedy masę wędlin z nielegalnie ubitej świni, jakieś kaszanki, kiełbasy i bocзки. Wszystko świeże, niemal jeszcze pachnące martwym zwierzęciem, z którego je zrobiono, a nawet gnojem, w którym wcześniej się taplało. Ciepły, krwisty i gówniany zapaszek wsi, którego tak bardzo nienawidził. „Masz - powiedziała matka, wręczając mu pełną siatkę. - Kolegów w pracy poczęstujesz”. A potem zabrała się za sprzątanie mieszkania, choć utrzymywał je w nienaganej czystości. Przez cały weekend Adam opychał się wędlinami, a kiedy w niedzielę wieczorem matka wyjechała, wyniósł na śmietnik wszystko, co zostało, i sprezentował bezdomnym kotom. Następnego dnia w komendzie jadł na drugie śniadanie bułkę z żółtym serem i tak jak wszyscy narzekał na braki w zaopatrzeniu sklepów.

Bogusz zastanawiał się, czyjego matka zna takie wyrażenia jak „degradacja służbowa” albo „nagana z wpisaniem do akt”. Prawdopodobnie nie - Stanisława Bogusz z trudem skończyła sześć klas podstawówki. Ale nie wątpił, że jeśli dojdzie do najgorszego, matka i tak wywęszy, co i jak. Pod niektórymi względami była bardzo sprytna, sprytem prostym, wiejskim i babskim, ale cholernie skutecznym.

Major Łaszkiwicz swoim zwyczajem postukiwał długopisem o blat biurka, podpułkownik Derkacz swoim zwyczajem milczał, gapiąc się w sufit.

- Wygląda na to, że trochę się pośpieszyłeś z ogłaszaniem, że mamy mordercę. - Łaszkiwicz odezwał się jako pierwszy. - Aresztowałeś niewinnego człowieka.

- Nie aresztowałem go - zaprotestował Bogusz. - Uratowałem

mu życie, wzywając pogotowie. I nikomu nie mówiłem, że mamy mordercę.

To pierwsze było prawdą, drugie już nie, ale major nie musiał o tym wiedzieć. Bogusz i tak nie miał nic do stracenia, mógł więc zagrać *va banque*.

- Stenzel powinien być nam wdzięczny. Gdybyśmy nie wyważyli tych drzwi, już by nie żył - dodał.

Łaszkiwicz milczał przez dłuższą chwilę.

„No dalej - myślał Bogusz, zaciskając palce na poręczy krzesła tak mocno, że rozbolały go dłonie. - Musisz to zrozumieć, ty tępy worku sadła. Pomyliłem się, w porządku, co z tego? Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi, a ja nadal jestem najlepszym śledczym, jaki kiedykolwiek tu pracował. I aresztuję mordercę, jeśli tylko dacie mi szansę”.

Zastanawiał się jeszcze, czy Stenzel, jeśli kiedykolwiek się obudzi, może zacząć robić problemy, ale uznał, że to mało prawdopodobne. Facet wyglądał na kompletnego pierdołę, poza tym ani on, ani jego rodzina nie byli nikim ważnym. O tym Łaszkiwicz też przecież musiał wiedzieć.

- Pułkowniku? - Major przeniósł wzrok na siedzącego pod ścianą Derkacza.

Bogusz czekał z pokornie spuszczoną głową, tak żeby nie było widać mięśni drgających na mocno zaciśniętych szczękach.

- Potwierdzam, że szybka interwencja oficera Bogusza uratowała życie obywatela Ryszarda Stenzela - oznajmił Derkacz oficjalnym tonem.

Łaszkiwicz skinął głową.

- W takim razie oficer Bogusz otrzyma oficjalną pochwałę, gdy tylko zobaczę na biurku raport opisujący całe zdarzenie. Jak doszedłeś do wniosku - zwrócił się do porucznika - że życiu potencjalnego świadka może zagrazać niebezpieczeństwo, i dlatego zdecydowałeś się wyważyć drzwi. Sam zresztą wiesz. I liczę, że będzie to przekonujący raport. Lubię cię, Adamie, ale nawet moja sympatia ma pewne granice. Od tej pory będziesz musiał pogodzić się z tym, że podpułkownik Derkacz przejmuje śledztwo.

- Chciałbym zauważyć...

- Daruj sobie i nie mów tego, co chcesz powiedzieć. Nieważne, co to jest. Poza tym po mieście już się rozeszło, że aresztowaliśmy mordercę. Żaden z was, panowie, nie dał podstaw do powstania takiej plotki?

Bogusz i podpułkownik zgodnie zaprzeczyli.

- W takim razie będę musiał porozmawiać z funkcjonariuszem pilnującym Stenzela w szpitalu. Adamie, możesz iść. Będę wdzięczny, jeśli pan jeszcze na chwilę zostanie, panie pułkowniku. Mam w biurku butelkę dobrego koniaku. Napijemy się po kieliszku, pogadamy i może uda nam się do czegoś dojść.

8

Tym razem za oknem nie było bałwana, tylko podwórko, za którym wznosił się nasyp kolejowy. Zjeżdżały z niego na sankach dzieci, grupa urwisów z czapkami nasuniętymi niemal na oczy i szyjami poowijanymi szalikami przez troskliwe matki. Maria nawet przez szybę słyszała radosne okrzyki, które kontrastowały z pełną napięcia atmosferą panującą w mieszkaniu Strzelczyków. Pan domu sprawiał wrażenie zakłopotanego, a jednocześnie chyba w pewien sposób mile połączanego zainteresowaniem Alicji i Marii. Jego młoda żona trzymała na ręku kilkumiesięczne śpiące dziecko, zasłaniała się nim jak tarczą i spoglądała podejrzliwym wzrokiem to na dwie obce kobiety, to znów na męża.

- Nie rozumiem - powtórzył po raz kolejny Jacek Strzelczyk - co wypadek mojej żony... mojej byłej żony może mieć wspólnego z tymi wszystkimi morderstwami? To się wydarzyło osiem lat temu...

Ala pośpieszyła z wyjaśnieniami. Był to fascynujący popis tego, jak w kilkunastu długich, zawitych zdaniach nie powiedzieć nic konkretnego. Strzelczyk zdawał się pod wrażeniem, jednak wyraz twarzy jego żony nie zmienił się ani na jotę, wciąż był podejrzliwy i pełen niechęci.

- Jacek nie chce tego wspominać - oznajmiła. - Prawda, kochanie?

Mężczyzna gorliwie skinął głową.

- Tak, tak. Nie chcę wspominać. To było straszne.

Maria spojrzała na koleżankę, dając jej oczami znać, że najwyższa pora wyjść. Niczego się tu nie dowiedzą. Alicja jednak nie zamierzała odpuścić. Jej urok osobisty i siła przekonywania na Strzelczyka chyba działały, ale jego żona coraz bardziej zaciągała się w uporze.

Dzwonek do drzwi zabrzmiał w uszach Marii jak błogosławieństwo. Gospodyni rzuciła jeszcze jedno niespokojne spojrzenie na męża i poszła otworzyć.

- Naprawdę nie pamięta pan niczego, co mogłoby nam pomóc? - Ala pośpiesznie skorzystała z okazji. - Może coś, co sugerowałoby, że to nie był wypadek? Czy pana żona była dobrym kierowcą?

- Pyta pani, czy to możliwe, żeby tak po prostu zjechała z drogi? - Pozbawiony towarzystwa nowej połowicy Strzelczyk wydawał się zdecydowanie swobodniejszy. - Sam się często nad tym zastanawiałem. Katarzyna jeździła ostrożnie, może nawet zbyt ostrożnie, jak to kobiety. Zwłaszcza kiedy jechała z dziewczynkami. Ale było coś...

- Tak? - ponagliła go Ala.

Z przedpokoju dobiegały odgłosy cichej rozmowy, dziecko zbudziło się i zaczęło popłakiwać.

- Oddano mi nasz samochód po tym, jak milicja się nim zajęła, chociaż tak naprawdę nadawał się tylko na złom. I coś zwróciło moją uwagę. Katarzyna była bardzo drobna i kiedy siedziała na miejscu pasażera z przodu, fotel miała maksymalnie przysunięty. Zawsze tak było, z wyjątkiem tego jednego dnia - wtedy fotel był odsunięty, jakby usiadł tam ktoś wysoki, z długimi nogami. Nie rozumiem tego. Z samochodu korzystaliśmy tylko we dwójkę: albo ja prowadziłem, a Katarzyna siedziała obok, albo ona prowadziła, a dzieci jechały na tylnym siedzeniu...

- Wypadek miał miejsce wieczorem, zgadza się?

Skinął głową.

- Koło dziewiętnastej. Katarzyna wracała z dziećmi od matki z Wrocławia.

- Często jeździła tak sama?

- Raz-dwa razy w miesiącu. Czasem zabierałem się z nimi, ale szczerze mówiąc, unikałem tych wizyt. Matka Katarzyny... Powiedzmy, że niektóre dowcipy o teściowych są aż nadto prawdziwe. Ta kobieta do dziś mi nie wybaczyła, że ożeniłem się po raz drugi i to ze znacznie młodszą dziewczyną, że mam z nią dziecko i że planujemy następne. Uważa to za zdradę wobec Katarzyny i naszych córeczek.

- Czy pana żona miała zwyczaj zabierać autostopowiczów?

Z przedpokoju dobiegło ciche „do zobaczenia”, nie mieli więc dużo czasu.

- Autostopowiczów? - Strzelczyk zmarszczył brwi. - Kiedyś jechaliśmy na wczasy do Międzyzdrojów i zabraliśmy chłopaka z plecakiem, ale poza tym nie...

Drzwi wejściowe trzasnęły i po chwili do pokoju wkroczyła kobieta z dzieckiem. Usta miała zaciśnięte z dezaprobatą, wyraz twarzy jeszcze bardziej odpychający niż wcześniej.

- Myślę, że powinniście już iść - powiedziała. - Jacek musi się teraz zająć Pawełkiem, prawda, kochanie?

Mężczyzna gorliwie pokiwał głową.

9

Adam Bogusz zjadł w barze bułkę z parówką, popił ją szklanką mocnej herbaty, po czym wrócił na komendę z zapasem nowych sił, znacznie bardziej optymistycznie nastawiony do życia niż pół godziny wcześniej. Co się stało, to się nie odstanie, nie warto płakać nad rozlanym mlekiem, jak mawiała jego matka. Zawalił, owszem, ale w gruncie rzeczy był to drobny błąd, który nie powinien zaważyć na jego karierze, zwłaszcza jeśli szybko go naprawi, czym właśnie zamierzał się zająć.

Nie myli się tylko ten, kto nic nie robi - kolejne z powiedzonek matki. Miała ich dziesiątki na różne okazje i zawsze wygłaszała je z pełną namaszczenia miną, jakby to były Bóg wie jakie mądrości. Czasem jednak zdarzało jej się powiedzieć coś do rzeczy.

Bogusz usiadł przy biurku i zabrał się za przeglądanie akt.

Znał je prawie na pamięć, ale przecież musiało być w nich coś, co przegapił, co wszyscy z jakiegoś powodu przeoczyli. Gdzieś istniał ślad prowadzący wprost do nieuchwytnego mordercy.

Pół godziny później z zamyślenia wyrwał go odgłos szamotaniny na korytarzu. Ktoś upadł, metal zadzwonił o metal, po czym rozległ się wrzask:

- Trzymaj go, kurwa! Pojebie jeden, ty chuju...!

Porucznik wstał i wyjrzał z gabinetu.

Na korytarzu twarzą do ziemi leżał chudy człowieczek z włosami ściętymi na zapalną. Na jego plecach siedział jeden z młodszych funkcjonariuszy, który właśnie z sapaniem ulgi zapinał aresztowanemu kajdanki. Gdy leżący uniósł głowę, Bogusz zobaczył przedwcześnie postarzałą twarz o niezdrowej cerze, z przekrwionymi białkami. W rysach mężczyzny było coś znajomego.

- Kto to jest? - zapytał, kucając obok aresztowanego, który mimo niewygodnej pozycji próbował się przekręcić i napluć mu na buty. Porucznik odsunął się, a potem niezbyt mocno kopnął w szarą, wychudzoną twarz.

- Wojtoń Leonard. - Młody funkcjonariusz powoli odzyskiwał oddech. - Silny jest, cholera, chociaż nie wygląda.

- Zatrzymany za co?

- Kradzież z włamaniem.

Wojtoń wybelkotał coś, plując wokół krwią. Bogusz zrozumiał tylko „pierdolone psy”, ale to wystarczyło.

- W porządku - powiedział do milicjanta. - Możesz go zabrać do pokoju i dać porządną lekcję tego, jak należy się odzywać do przedstawicieli władzy.

- Ale... - Młody funkcjonariusz wyglądał na zakłopotanego.

- Gdyby ktoś pytał, powiedz, że dałem ci pozwolenie.

Chłopak otworzył usta i zaraz je zamknął, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować, co powiedzieć. „Powinien być wdzięczny - pomyślał Bogusz - a zamiast tego wytrzeszcza na mnie oczy i wygląda jak idiota”. Porucznik nie znosił przedstawicieli starego pokolenia, którzy zamiast rozumu używali pięści, ale gardził też słabeuszami z najmłodszych roczników, wydelikacjami i elegancikami niepotrafiącymi

znieść widoku krwi. Przemoc nie była niczym przyjemnym, oczywiście, że nie, i Bogusz z niesmakiem myślał o tych, którzy urządzali z niej widowisko, ale czasem kilka silnych ciosów okazywało się najlepszym wyjściem.

- O co chodzi? - spytał zirytowany.

- Melduję, panie poruczniku, że... - Młodzik urwał bezradnie.

Ktoś położył Boguszowi rękę na ramieniu. Odwrócił się, za nim stała Beata. Zmarszczka przecinała jej czoło, a w oczach rysował się wyraz dezaprobaty.

- Pozwól na chwilę - powiedziała.

- Ten człowiek...

- Możemy porozmawiać na osobności?

- O co chodzi? - Zirytowany porucznik wszedł za nią do gabinetu i zamknął drzwi. - Chłopak nie radzi sobie z obowiązkami, więc chciałem...

- Zostaw tego aresztowanego, Adam.

- Słucham?

- Zostaw go, proszę. On jest w gruncie rzeczy nieszkodliwy.

- Nieszkodliwy? Włamał się, potem stawiał opór przy aresztowaniu, a w końcu obraził przedstawiciela władzy.

Wzruszyła ramionami.

- Codziennie nas obrażają. Co za różnica, czy zrobią to kolejny raz?

- Jeśli nie będziemy mieć szacunku sami do siebie, nikt nie będzie miał szacunku do nas - pouczył ją Bogusz. - Poza tym co jest takiego specjalnego w tym człowieku? Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek wcześniej tak protestowała.

Beata zaczerwieniła się lekko.

- Po prostu mu odpuść, w porządku?

- Kim on jest? Znam faceta? Wydaje mi się, jakbym go już kiedyś gdzieś widział. To jakiś pijak, tak?

Sierżant pokręciła głową.

- Ćpun, dla ścisłości. Ale to nie ma znaczenia.

- Ćpun?

Narkomani kojarzyli się albo z bogatą zapatrzoną w Zachód młodzieżą, albo z biedakami z marginesu, którzy w bramach wstrzykiwali sobie brudnymi igłami makowy kompot.

Aresztowany najwyraźniej należał do drugiej kategorii, jednak Bogusz zdziwił się lekko, bo w Mgielnicy narkomani stanowili bardzo niewielką, zamkniętą grupę - nie to, co w wielkich miastach, gdzie wystarczyło pochodzić trochę po ciemnych zaułkach, by jakiegoś spotkać.

Ta szara cera i postarzała twarz rzeczywiście mogły należeć do ćpuna, nie był to jednak powód...

Cholera.

W tym momencie uświadomił sobie, gdzie wcześniej widział tego mężczyznę. A ściślej biorąc, widział nie jego, tylko kogoś bardzo podobnego.

- To krewny Krupy, tak? Syn? Mają różne nazwiska...

- Siostrzeniec, ale bliski jak syn, jeśli musisz wiedzieć. Chłopak miewa lepsze okresy, kiedy prawie udaje mu się wyjść na prostą, a czasem... - Znowu wzruszyła ramionami. - Czasem trafia do nas. Staramy się traktować go łagodnie i puszczamy po kilku godzinach.

- Nie wiedziałem, że Krupa ma takie problemy.

- Nigdy nie zapytałeś.

- Współczuję mu - oznajmił Bogusz. - Naprawdę. Ale nie możemy robić wyjątków dla swoich.

Beata patrzyła na niego ciemnymi oczami.

- Łaszkiwicz o tym wie - powiedziała, kiedy milczenie zaczynało się robić niezręczne. - To nie jest twoja decyzja, Adamie, tylko jego. I jeśli chcesz nadał tu pracować, lepiej się z nią pogódź.

10

- Na początku marca o dziewiętnastej jest już ciemno. - Maria oparła się o drewnianą poręcz mostu i spojrzała na skutą lodem rzekę. - Kto wieczorem, jadąc po zmroku przez las z dwójką dzieci, zabierałby autostopowicza?

- Ten autostopowicz to tylko taki luźny pomysł. - Ala stanęła obok i wychyliła się tak mocno, że wystraszona Maria odruchowo chwyciła ją za ramię. - Równie dobrze mogła podwieźć kogoś znajomego jeszcze we Wrocławiu albo od-

sunęła ten fotel, bo szukała czegoś, co upadło na podłogę. Ale przynajmniej mamy jakiś punkt zaczepienia. Myślisz, że Wojtek i reszta dzieciaków znaleźli się tutaj osiem lat temu z jakiegoś powodu? Może bawili się w lesie i przypadkiem byli świadkami wypadku albo nawet morderstwa?

- Siódma wieczorem to chyba trochę późna pora jak na sześciolatki bawiące się samotnie w takim miejscu. - Maria rozejrzała się. Wokół panowała cisza zmacona tylko bulgotaniem uwięzionej pod lodem wody, a jedynym śladem świadczącym o istnieniu niedalekiego miasta były wyżłobione w głębokim śniegu koleiny z odciskami opon. Maria pomyślała o samochodzie jadącym w mroku wijącą się przez las drogą i spadającym z mostu do rzeki, która wtedy, wczesną wiosną, nie była ścięta lodem, ale rwąca i brudnożółta od błota. Kilka sekund lotu, zanim pojazd uderzył o dno, brzęk tłuczonych szyb i zgrzyt metalu rozdieranego ostrymi krawędziami kamieni. Czy drobna Katarzyna i jej dwie córeczki żyły wystarczająco długo, żeby wiedzieć, co się dzieje? Czy próbowały walczyć o życie, wydostać się z auta, otworzyć drzwi? Może tak, a może tym razem los był wyjątkowo łaskawy i zabiło je pierwsze uderzenie - choć Maria niespecjalnie w to wierzyła. Dziewczynki miały osiem i sześć lat, młodsza byłaby teraz w ósmej klasie, jak Wojtek i pozostałe ofiary. Przypadek? Maria przymknęła oczy. Spociła się, brnąc przez śnieg, i teraz zimny wiatr kleił do rozgrzanego ciała koszulową bluzkę, którą założyła pod sweter. Zadrżała.

- Możemy jeszcze zajrzeć do matki Sabiny Grajek - zaproponowała Ala. - Mieszka kawałek dalej, na wzgórzu za miastem. Dasz radę czy wolisz wrócić i trochę odpocząć?

- Co właściwie spodziewaliśmy się tu znaleźć? - Maria potrząsnęła głową. - Siady morderstwa sprzed ośmiu lat? To głupie.

- Przynajmniej mamy szansę zrobić coś pożytecznego. Niewielką, jasne, że tak, ale mimo wszystko jakąś. Poza tym przez cały dzisiejszy ranek byłaś znacznie bardziej ożywiona niż przez ostatni tydzień, aż przyjemnie się na ciebie patrzyło. - Alicja chwyciła koleżankę za ramiona i obróciła twarzą do

siebie. - Nie psuj tego teraz, Mario - powiedziała łagodnie. - Prosiłaś, żebym ci pomogła, a ja się zgodziłam, pamiętasz? Oczywiście możemy zrezygnować, jeśli jesteś zmęczona...

- Nie jestem - wymamrotała Maria. - Tylko to kompletnie nie ma sensu.

Ala odgarnęła jej włosy z twarzy i delikatnie pocałowała w policzek.

- Tego nie możesz wiedzieć na pewno - powiedziała. - A teraz chodź, mamy jeszcze coś do zrobienia.

11

-Tak, chcę rozmawiać z doktorem Trębickim... Tak, wiem, jest sobota, ale słyszałam, że doktor czasem pracuje w weekendy. Nie, my nie mamy wolnego... Wystarczy, że powie mi pani, gdzie mogę znaleźć doktora Trębickiego... Jasne, są Dni Miasta, ale... Szlag. - Beata rzuciła słuchawkę, kiedy połączenie zostało zerwane, odetchnęła, starając się uspokoić, po czym znów wykręciła numer.

12

Dom stał na uboczu, tuż przy granicy miasta - dalej były już tylko pokryte śniegiem pola rozciągające się na łagodnych wzgórzach. Maria pchnęła furtkę, która otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Zgrzytnął łańcuch, po czym z budy na drżących nogach wyszedł stary pies i zaszczekał bez większego przekonania. Poza tym słychać było jedynie ciche monotonne ciurkanie, jakby gdzieś niedaleko płynął strumyk. Maria uniosła głowę. Zwały śniegu na dachu zaczynały topnieć, woda bulgotała w rynnie, a zwisające pod okapem sople, jeszcze niedawno pewnie grube jak ramię dorosłego mężczyzny, kurczyły się z każdą chwilą. Odwilż. Maria uświadomiła sobie, że dzisiaj po raz pierwszy od dłuższego czasu temperatura nie spadła poniżej zera. Na policzkach czuła pieśczołość ostatnich tego dnia słonecznych promieni, jej buty tonęły w błocie. „Coś za coś”, pomyślała, zdejmując rękawiczki, lecz przebłysk

dobrego humoru zniknął jak zdmuchnięty, gdy tylko przyjrzała się frontowi domu. Pokrywający ściany tynk miał kolor nie biały, jak jej się wydawało, kiedy patrzyła z większej odległości, ale bladozielony, w kolorze miętowych cukierków, które bardzo lubiła w dzieciństwie.

Kiedyś, nim wyblakł na słońcu, musiał być znacznie ciemniejszy.

Zielony.

- Czekaj. - Złapała Alę za ramię. - Nie jestem pewna, czy powinniśmy tam wchodzić.

- Dlaczego? - Młodsza kobieta zmarszczyła brwi.

Woda z topniejącego śniegu wciąż bulgotała w rynnie, stary pies nadał patrzył zaropiałymi oczami, jeżąc sierść na karku, ale nawet w takiej postawie nie wyglądał zbyt groźnie. Maria pomyślała o mieście, które zostawiły za plecami - najbliższe zabudowania znajdowały się w odległości dwóch kilometrów, oddzielone niewielkim zagajnikiem. Były tu całkiem same, zdane wyłącznie na siebie.

A w Zielonym Domu mieszkał potwór, tak powiedziała Asia.

Z drugiej strony to z pewnością nie był jedyny budynek w kolorze zbliżonym do zieleni. Maria sama mogła wymienić co najmniej cztery znajdujące się w miasteczku. Poza tym Asia wcale nie musiała mieć na myśli ścian, może chodziło o barwę okiennic albo po prostu o dom, który stał wśród zieleni.

Jakaś myśl przemknęła jej przez głowę, coś ważnego, o czym powinna wiedzieć, jednak zniknęła, nim zdążyła to uchwycić.

Ala wzięła ją za rękę i ścisnęła palce. Nie założyła rękawiczek, więc dłonie miała zmarznięte, ale Maria wyczuwała pod nimi pulsujące ciepło.

- Chodź - powiedziała dziewczyna. - Obronię cię, gdyby ktoś chciał tu na nas napaść.

Myśl o delikatnej, drobnej Ali stojącej w obronie wysokiej i kościstej przyjaciółki rozbawiła Marię - ale okazała się też niespodziewanie bardzo miła.

Tupiąc, żeby otrzepać buty z błota, Ala weszła na schodki, a potem zadzwoniła do drzwi. Czekały długo. Pies zdążył stracić zainteresowanie gośćmi i wpełzł z powrotem do budy, na dachu

przysiadła sroka i przyglądała się obu kobietom, ciekawsko przekrzywiając łeppek. Maria rozpięła płaszcz, czując, że za chwilę się ugotuje, zaraz jednak zapięła go z powrotem, gdy tylko zawiął zimny wiatr.

Ala zadzwoniła jeszcze raz.

- Może nikogo nie ma? - zasugerowała Maria.

- Zaczekajmy jeszcze minutę.

- Czego tu? - Głos dobiegł od strony furtki.

Odwróciły się gwałtownie. Ścieżką nadchodziła najdziwniejsza postać, jaką Maria kiedykolwiek widziała: wysoka na prawie dwa metry i szeroka w ramionach niczym mężczyzna, z masą siwych loków spływających na ramiona i nosem jak ostrze topora. Nieznajoma - bo jednak była to kobieta - nosiła starą kufajkę, na której pełno było drzazg i psiej sierści, a w ręku trzymała siekiere.

- Chciałyśmy porozmawiać o Sabinie - powiedziała Ala. Nawet ona wyglądała na lekko wytrąconą z równowagi wyglądem i ewidentną wrogością gospodyni. - Nazywam się Alicja Danielewska, pracuję z...

- Wiem, coś ty za jedna. Pamiętam cię jeszcze, jak w pieluchach chodziłaś. Tę drugą też znam: Marysia Lenarczyk, tak? Znałam twoją ciotkę.

Oszołomiona Maria skinęła głową. Nikt nie nazywał jej „Marysia”, odkąd skończyła podstawówkę. Poza tym nie przypominała sobie, by ta kobieta należała do znajomych Emilii, ale z drugiej strony, większości prawdopodobnie i tak nie znała.

- Chciałyśmy porozmawiać o pani córce - powtórzyła Ala z lekką nutą desperacji. - Myślimy... Istnieje taka możliwość, że to, co się dzieje teraz w mieście, ma coś wspólnego z jej śmiercią... - Zaplątała się i wzrokiem poprosiła Marię o pomoc, ale ta milczała, gapiąc się na nieznajomą, która prawdopodobnie była matką Sabiny Grajek.

Jakim cudem ktoś tak niezgrabny i brzydki mógł wydać na świat dziewczynę, za którą szalało pół miasta? Dopiero po chwili zreflektowała się, że to niegrzeczne, i odwróciła wzrok.

- Wejźcie. - Kobieta otworzyła drzwi. Siekiere na szczęście

zostawiła na ganku.

W domu panował półmrok i było zimno jak w psiarni, pachniało wilgotnym drewnem i czymś jeszcze, czego Maria nie potrafiła zidentyfikować. Gospodyni powiesiła kufajkę w sieni, a brudne kalosze postawiła obok pary męskich kraciastych kapci. Potem zaprowadziła gości do kuchni, równie lodowatej, mrocznej i niegościnniej, jak reszta domu. Na wystyglým piecu stał samotny czajnik, przy węglarce Maria dostrzegła pułapkę na myszy z resztkami zeschłego sera.

Matka Sabiny wyjęła z przepastnej kieszeni spodni paczkę papierosów i zapaliła.

- W porządku - oznajmiła, wydmuchując dym w stronę Ali, która zakaszła. - Gadajcie.

Ala złapała oddech i zaczęła mówić: że milicja prawdopodobnie jest na fałszywym tropie, że cała ta sprawa może mieć coś wspólnego z przeszłością Marii. Nie brzmiało to szczególnie sensownie, ale w głosie dziewczyny dało się słyszeć taką pewność siebie, że gospodyni chyba tego nawet nie zauważyła. A przynajmniej tak się Marii wydawało, bo kiedy Ala stwierdziła, że być może zabójca Sabiny jest również mordercą dzieci, kobieta roześmiała się głośno.

- Dajcie spokój. Dobrze wiem, kto skrzywdził moją córkę. On nie byłby do tego zdolny.

Zdumiona tym zaskakującym - i przy okazji sprzecznym - wyznaniem Ala zamrugwała.

- Wie pani, kto zabił Sabinę?

Gospodyni zaciągnęła się raz jeszcze, a potem zdusiła niedopałek na służącym za popielniczkę talerzyku.

- Pewnie, że wiem.

- Dlaczego nie powie pani milicji?

- A co by to dało? Dziewczynie życia i tak nie wróczę. Zresztą dostała, na co zasłużyła. Nieraz jej mówiłam, że igra z ogniem. - W głosie kobiety zabrzmiała tłumiona złość. - Mężczyzna to mężczyzna, nie dasz po dobroci, to siłą weźmie. Taka jego natura. Gdyby za mąż wyszła, jak Bóg przykazał, wciąży by żyła.

W zapadłej nagle ciszy Maria usłyszała skrobanie myszy za węglarką i po chwili przez kuchnię przemknął szary kształt,

kompletnie ignorując wystawiony w pułapce ser. Spod zapachu starych desek i brudu wciąż przebijał inny zapach, woń, którą Maria dobrze знаła, którą pamiętała z dzieciństwa. Żelazisty smród rozkładającej się krwi.

Oblizła wargi, czując, jak robi jej się duszno. Pomyślała o szerokich barkach tej kobiety i o siekierze, którą trzymała w rękach, jakby nic nie ważyła.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała Ala, która też mocno pobladła.

Gospodyni zacisnęła usta.

- Na prawo, ostatnie drzwi.

Alicja poderwała się i zniknęła, a Maria nerwowo splotła dłonie.

- Źle się pani czuje? - zapytała matka Sabiny, patrząc na nią z uwagą.

- Nie, ja tylko... Nie wiem, jak może pani tak mówić.

- Myśli pani, że ze mnie stara wariatka, co? Ale kiedyś pani zrozumie, zobaczy pani.

„Mam nadzieję, że nie - pomyślała Maria. - Boże, mam nadzieję, że nie”.

Gospodyni wyjęła jeszcze jednego papierosa i zapaliła. Maria rozejrzała się, nasłuchując, czy Ala nie wraca z łazienki. Przy okazji zauważyła, że w kuchni mimo chłodu i zalegającej na półkach warstwy kurzu widać jednak ślady życia. W zlewie stały dwie szklanki pełne fusów od kawy, a na stoliku obok para kieliszków ubrudzonych czymś, co wyglądało na resztki ajerkoniaku. Ktoś przyszedł z wizytą? Maria przypomniała sobie męskie kapcie w sieni. Mogła to być zapasowa para należąca do gospodyni, która z pewnością nosiła męskie obuwie, ale te kapcie były chyba na nią za małe.

- On u pani bywa, prawda? - Marii nagle rozjaśniło się w głowie. - Człowiek, który zabił pani córkę, przychodzi z wizytami tak często, że trzyma tu nawet własne kapcie. Mam rację?

Oczy kobiety zwięzły się.

- Nawet jeśli tak, to co? Moja sprawa, kogo w domu przyjmuję.

Maria milczała. Nie miały sobie nic więcej do powiedzenia.

Po chwili wróciła Ala, jeszcze blejsza niż przed wyjściem.

- Musimy iść - powiedziała, ściskając ramię Marii.

- Tak, najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziecie. - Gospodyni wstała, strzepując papierosowy popiół z niezbyt, czystego swetra. - Odprowadzę was.

Maria szła tak szybko, jak tylko pozwalała na to przyzwoitość; mało brakowało, a zaczęłyby biec. Matka Sabiny otworzyła drzwi, sięgając jednocześnie po coś, co stało za nimi. „Kij - pomyślała Maria bezsensownie. - Trzyma tu kij”. Ale oczywiście była to strzelba.

- W nogi - szepnęła Ala, kiedy znalazły się w połowie ścieżki prowadzącej do furtki. - Potem ci wszystko wyjaśnię.

Postawna kobieta stanęła na ganku i uniosła strzelbę.

- Na przespīgi tu przyszyście! - wrzasnęła. - Wynocha!

Huknął strzał, który poderwał z dachu stado srok. Maria ruszyła biegiem. Poślizgnęła się i byłaby upadła, gdyby Ala jej nie podtrzymała.

- Czy... ona... jest normalna? - wysapała.

Pędziły teraz wzdłuż zbocza. Maria zauważyła, że obok samochodu Ali właśnie zatrzymuje się biały polonez.

- I skąd w ogóle ma broń? - dodała, kiedy udało jej się złapać odrobinę oddechu.

- Kłusuje - wyjaśniła Ala, która musiała mieć znacznie lepszą kondycję, bo nawet nie dostała zadyszki. - Może broń ma legalnie, ale założę się, że poluje też poza sezonem. Przypadkiem otworzyłam niewłaściwe drzwi.

W biegu Maria zauważyła, że przyjaciółka mrugnęła.

- I znalazłam połowę jeszcze nierozebranej jeleniej tuszy.

Gdy huknął następny strzał, obie siedziały już w samochodzie. Dziewczyna przekręciła kluczyk, ale silnik jak na złość nie chciał zapalić. Ala zaklęła, Maria spojrzała na zbocze, którym schodziła wymachująca strzelbą kobieta. Nie śpieszyła się, ale też najwyraźniej nie zamierzała wracać do domu. I wciąż wyglądała na mocno rozeźloną.

Z białego poloneza wysiadł jasnowłosy mężczyzna i zapukał w szybę od strony Marii.

- Możemy pojechać moim wozem - zaproponował. - Podrzuce was z powrotem, kiedy ona się trochę uspokoi.

Ala spojrzała na przyjaciółkę niepewnie.

- Znasz go?

Maria zawahała się na kilka cennych sekund, czując ciężar wzroku dwóch czekających w napięciu osób. Ponad wzgórzem poniosło się echo krzyków i kolejnego strzału.

- To Robert Langier, nasz nowy bibliotekarz.

13

- A więc uważacie, że odnaleziona dziewczynka kłamie, tak? - Podpułkownik Derkacz wypił łyk kawy i pokręcił głową, kiedy Bogusz podsunął mu paczkę papierosów.

Pocztą pantoflową rozeszła się już wieść, że Łaskiewicz zaproponował nowo przybyłemu kieliszek koniaku „na rozgrzewkę”, ale ten odmówił, wymawiając się, że jest na służbie. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Pieprzony facet był zbyt doskonały, prawie jak bohater amerykańskiego filmu o mordercy i dzielnym policjancie.

Podpułkownik zauważył, że Bogusz patrzy na leżącą na stoliku paczkę.

- Pan może zapalić, nie mam nic przeciwko.

- Dziękuję, ja też właściwie nie palę. - Porucznik odsunął pokusę. - Trzeba o siebie dbać, prawda?

Derkacz nie odpowiedział, tylko spojrzał pytająco na Beatę.

- Moim zdaniem dziewczyna kłamie jak z nut. - Sierżant wróciła do tematu. - Nie potrafię tego udowodnić, po prostu mam przeczucie, że ona coś wie. I wygląda na porządnie wystraszoną, tak samo zresztą jak jej przybrana była matka.

- W porządku. Wobec tego porozmawiajmy z Blanką jeszcze raz.

„Jakbyś kiedykolwiek wcześniej z nią rozmawiał”, pomyślał Bogusz, urażony użyciem liczby mnogiej. To on i Beata odwalali całą robotę, nie Derkacz.

- Sierżant Drzymała, zechce mi pani towarzyszyć? Będę potrzebował kogoś, kto zna drogę.

„Zechce mi pani towarzyszyć? Skąd ten facet się urwał?”, zastanowił się porucznik, podczas gdy równie zaskoczona Beata pokręciła głową.

- Wolalabym nie, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Chciałam jeszcze dziś porozmawiać z doktorem Trębickim.

- Rozumiem.

- Ja chętnie pojedę - zaoferował Bogusz, przełykając fakt, że właśnie zgodził się na rolę kierowcy. - Mam w domu dziecka znajomą, może od niej czegoś się dowiemy.

Derkacz skinął głową i dziesięć minut później zmierzali już w stronę klasztoru. Porucznik prowadził ostrożnie, starając się uważać na dzieciarnię, która podniecona festynem od czasu do czasu wybiegała na ulicę. Maluchy niosły kolorowe baloniki, starsze biegały z zabawkowymi pistoletami albo ogryzały wielkie kłęby cukrowej waty. Derkacz drgnął, gdy chłopiec na chodniku wystrzelił z kapiszona.

- Macie tu dzisiaj odpust?

- Nie, Dni Miasta - odparł Bogusz.

- W lutym?

- W lutym, czemu nie? - W głosie porucznika brzmiał zaczepny ton, jednak podpułkownik nie podjął dyskusji.

Zajechali pod klasztor, gdzie na ich powitanie wyszła siostra przełożona. Widząc jej ponurą minę, Bogusz poczuł nagłe ukłucie w sercu na myśl, że może ochroniarz zawiódł i Blanka znowu zniknęła.

- Myślałam, że dacie dziewczynie spokój - powiedziała zakonnica, ledwie porucznik otworzył drzwi. - Mówiła wam przecież, że niczego nie wie.

Bogusz odetchnął z ulgą, a Derkacz wysiadł z drugiej strony i uśmiechnął się do rozeźlonej kobiety.

- Rozumiem siostry troskę - powiedział. - Sam jestem ojcem i nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Chcę tylko zadać dziewczynce parę pytań. Obiecuję, że będę łagodny jak baranek.

Wymamrotała coś pod nosem, wyraźnie kapitulując. Bogusz miał nadzieję, że nie przed urokiem osobistym podpułkownika, a przed faktem, że z milicją i tak nie miała szans wygrać.

Blanka zeszła do świetlicy, z której na tę okoliczność wyproszono inne dzieci. Wciąż wyglądała na naburmuszoną, ale w jej umykającym spojrzeniu porucznik zobaczył to, o czym mówiła sierżant - niewątpliwy lęk. Jego uwadze nie uszły także obgryzione do krwi paznokcie dziewczyny. Tak, Blanka najwyraźniej się bała.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy, że zawołasz. - Siostra rzuciła milicjantom znaczące spojrzenie, po czym wyszła, by rozgonić podsłuchujące pod drzwiami dzieci.

Przez chwilę na korytarzu było jeszcze słycać jej ostry głos i tupot drobnych stóp, a potem zapanowała cisza. Bogusz poruszył się niespokojnie na małym krzeselku. Jego kolana bezustannie obijały się o blat stolika, a leżące na podłodze maskotki, żółto-niebieskie klocki z literami i wielkie drewniane liczydło rozpraszały uwagę. Zastanowił się, czy nie mają tu przypadkiem także świetlicy dla starszych wychowanków, z meblami normalnej wielkości i bez zabawek. Może przełożona złośliwie zaprowadziła ich do tego właśnie pomieszczenia.

Blanka pociągnęła nosem i zakaszła.

- Jesteś chora? - zapytał Derkacz.

- Przeziębiam się. - Wzruszyła ramionami, po czym dodała: - Nic mi nie jest. - Znowu zakaszła, wycierając nos grzbietem dłoni.

Bogusz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to mała demonstracja, coś w rodzaju: „Patrzcie, jaka jestem cierpiąca i dzielna, a wy mnie tak dręczycie!”.

Podpułkownik podał jej chusteczkę, w którą dziewczyna głośno wysmarkała nos.

- Musiało ci być ciężko, kiedy uciekłaś, prawda? - zapytał ze współczuciem. - Całkiem sama, zdana tylko na siebie, i to w dodatku teraz, w środku zimy. A jednak dałaś sobie radę. Niewiele nastolatek by to potrafiło.

Blanka znów wzruszyła ramionami, ale tym razem wyglądała na mile polectaną.

- Jesteś bardzo dzielna - kontynuował Derkacz. - Przywykłaś do tego, że musisz sama sobie ze wszystkim radzić, bo nie

miałaś rodziców, którzy by się tobą opiekowali. Przejrzałem twoje oceny w szkole, wiesz? Nie są najlepsze, ale przecież oboje wiemy, że stopnie to nie wszystko. Liczy się to, co człowiek ma w głowie, a nie to, co zapisano w dzienniku. Poza tym szkoła jest dobra dla dzieci, a ty nie jesteś już dzieckiem, mam rację? Przeżyłaś tyle, że starczyłoby dla dwójki dorosłych, a co dopiero dla jednej czternastolatki. Dlatego nie zamierzam cię obrażać i traktować, jakbyś była małą dziewczynką. Porozmawiam z tobą jak z osobą pełnoletnią. Zgadzasz się?

Blanka pociągnęła nosem i odwróciła głowę. Zdecydowanie nie wyglądała w tej chwili na pełnoletnią, jednak Bogusz rozsądnie trzymał język za zębami.

Podpułkownik pochylił się w stronę dziewczyny.

- Widzisz, problem w tym, że są pewne sprawy, które przerastają nawet dorosłych - powiedział. - Każdy czasem znajduje się w sytuacji, gdy potrzebuje pomocy niezależnie od tego, jak bardzo jest dzielny. Przeczucie podpowiada mi, że właśnie w takiej sytuacji się znalazłaś. Potrafię to poznać, bo sam też kiedyś tak siedziałem, odwracałem głowę i zastanawiałem się, czy opowiedzieć człowiekowi po drugiej stronie stołu wszystko, czy może nie. I wiesz co?

- Nie wiem - wymamrotała Blanka.

- Zdecydowałem się mu zaufać i dobrze zrobiłem, bo ten człowiek mi pomógł. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu teraz. Ty też możesz mi zaufać. Czegokolwiek się boisz, mogę cię ochronić. Nie musisz dźwigać tego ciężaru sama.

„Złamię się - pomyślał Bogusz. - Cholera jasna, dziewczyna naprawdę da się nabrać”.

- Popatrz na mnie, Blanko - poprosił łagodnie Derkacz. - Chcę być twoim przyjacielem, naprawdę, ale nie mogę, jeśli mi na to nie pozwolisz.

Dziewczyna odwróciła się powoli. Oczy miała zaczerwienione - od łez albo z powodu przeziębienia, porucznik nie był pewien.

- Miałam kiedyś przyjaciół - powiedziała.

- Znowu możesz ich mieć. Nikt nie wytrzyma długo w samotności. Opowiedz mi wszystko, a zobaczysz, że będzie lepiej.

- Nie mam nic do opowiadania.
- Kim jest Kartoflany Człowiek?
- Niech pan da mi spokój.
- Znasz jego prawdziwe nazwisko, mam rację? Wystarczy, że mi powiesz. Albo napiszesz. - Podsunął dziewczynie skórzany notes z długopisem. - Jedno słowo i już nie będziesz musiała się bać.

Chwyciła długopis i nabazgrała coś pośpiesznie, a potem prawie rzuciła notes w stronę Derkacza. Podpułkownik przeczytał, mięśnie jego szczęk napięły się wyraźnie. Porucznik dyskretnie odchylił skórzaną okładkę i zerknął na pierwszą stronę, w poprzek której biegły cztery słowa: „Odpieprzcie się ode mnie!”.

„Dzielna mała”, pomyślał niemal z rozczuleniem.

Derkacz lekko oklapł, a kiedy znowu się odezwał, w jego głosie słychać było nutę irytacji.

- Spróbujmy porozmawiać poważnie. Jeśli nie...

Przerwało mu pukanie w szybę. Stojąca za oknem Teresa pomachała Boguszowi, a ten spojrział pytająco na podpułkownika.

- Niech pan idzie. - Derkacz kiwnął głową. - Poradzę sobie z tą dziewczyną.

„Nie wydaje mi się - pomyślał porucznik. - To naprawdę twarda sztuka”.

Wyszedł na zewnątrz, znalazł Teresę i chwycił ją za ramię, rozglądając się dyskretnie, czy na pewno są sami. Na szczęście dzieci pod opieką zakonnic znajdowały się na podwórku po drugiej stronie klasztoru. Ich radosne pokrzykiwania niosły się daleko na wietrze.

- Masz coś dla mnie? - zapytał. - Błagam, powiedz, że udało ci się coś z tej dziewczyny wyciągnąć.

Odsunęła się. Na ciemnoblonde włosach miała czerwoną czapkę, w której wyglądała jak świąteczny aniołek, ręce włożyła do kieszeni kraciatedego płaszcza.

- Próbowałam z nią rozmawiać o tym Kartoflanym Człowieku. Wiesz: dlaczego się go boi, co takiego jej zrobił. Wyśmiała mnie i powiedziała, że gadam bzdury, bo Kartoflany Człowiek jest

miły. A kiedy pytałam dalej, zaczęła krzyczeć.

Bogusz zmarszczył brwi.

- Miły?

- Tak właśnie powiedziała.

- I tyle? Nic więcej?

- Nic więcej.

- Musisz...

- To koniec, Adam. Nie będę już niczego z niej wyciągać. Ostatnim razem Blanka prawie wpadła w histerię. Nie chcę ryzykować, że całkiem się w sobie zamknie.

- Tym bardziej powinnaś ją przycisnąć. Nie rozumiesz? To znaczy, że dziewczyna ma ważne informacje. Zrobisz to dla mnie? - Znowu chwycił ją za ramię, a ona znowu się odsunęła, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Daj mi spokój, nie zamierzam odwalać za ciebie twojej roboty. Ty jesteś od przesłuchiwania ludzi, nie ja. I proponuję, żebyś nie przychodził tu więcej, chyba że oficjalnie, jako milicjant.

- Myślałem, że coś nas łączy... - wyszeptał oszołomiony.

Najpierw Stenzel, potem zapowiedziana wizyta matki, a teraz to: świat najwyraźniej uparł się, żeby właśnie teraz zwalić mu się na głowę.

Teresa odwróciła się zakłopotana.

- Przepraszam, jeśli zrobiłam coś, co mogłeś źle zrozumieć, w porządku?

- Umawiałaś się ze mną, do licha! Wypytywałaś o Blankę, o moją pracę!

- Pytałam o Blankę, bo mi na niej zależy, a o twoją pracę, ponieważ chciałam być uprzejma. Naprawdę mi przykro, że tak to odebrałeś. To moja wina, powinienam... Zresztą mniejsza z tym. Po prostu przyjmij moje przeprosiny i rozstańmy się w zgodzie. Możemy tak zrobić? - Spojrzała błagalnym wzrokiem.

Porucznik zacisnął usta, a kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie zabrzmiała gorycz.

- Rozumiem, że chodziłaś ze mną na kawę tylko po to, żeby wyciągnąć szczegóły sprawy, tak? Jezu, jakim naiwniakiem się okazałem!

Odgarnęła grzywkę z czoła. Teraz już nie wyglądała jak aniołek, a czerwona czapka nie pasowała do jej szarawych włosów.

- Jeśli musisz wiedzieć, to owszem, chodziłam z tobą na kawę, ponieważ miałam nadzieję, że dzięki temu dowiem się czegoś o Blance. Nie pomyślałam, jak to możesz odebrać. Przykro mi.

- Niech cię diabli - rzucił Bogusz, odwracając się na pięcie. Z daleka widział stojącego przy samochodzie podpułkownika, który kiwał na niego.

Z miny Derkacza można było wywnioskować, że on również nie ma dobrych wiadomości.

14

- Nie zrobiłem Sabinie nic złego, przysięgam. - Robert Langier sięgnął po kufel z piwem. - To jej matka tak myśli.

W knajpie panował gwar, w powietrzu wisiały papierosowy dym i zapach potu, a także delikatna woń kulek na mole, którymi klienci chronili odświętne płaszcze i futra. Wokół stolików tłoczyli się ściągający z festynu ludzie, zdeterminowani, żeby mimo wczesnego zimowego zmierzchu kontynuować dobrą zabawę. Część miała już dobrze w czubie, pozostali szybko nadrabiali zaległości. Maria, która rzadko brała udział w zakrapianych imprezach, czuła się nieswojo, ale mimo wszystko bezpieczniej, niż gdyby znajdowała się w innym, spokojniejszym i cichszym miejscu.

Biorąc pod uwagę, że być może siedziała właśnie przy stoliku z mordercą, wołała mieć za plecami tłum, nawet jeśli byli w nim podpici mężczyźni.

Stojąca w kolejce do baru Ala uniosła brwi w niemym pytaniu: „Czy wszystko w porządku?”. Maria lekko, niemal niezauważalnie skinęła głową. Nie była pewna, czy to prawda -- z głodu i od zaduchu kręciło jej się w głowie, a na sam widok siedzącego przed nią człowieka czuła... Właściwie co? Pierwotny, instynktowny lęk, jaki spokojny roślinożerca może odczuwać na widok drapieżnika? Chorobliwą ciekawość? Taki cichy, na pozór nieszkodliwy mężczyzna, łysiejący, w

okularach, z miękkimi, bladymi dłońmi kogoś, kto nigdy nie pracował fizycznie. Typowy intelektualista, mól książkowy nie wychylający nosa z biblioteki.

Z kolejki Alicja posłała pokrzepiający uśmiech. Prawie można było zobaczyć, jak jej usta układają się w słowa: „Już biegnę ci na ratunek”. Możliwe jednak, że właśnie Maria uratowała przyjaciółkę, nie odwrotnie. To ona miała na tyle rozsądku, by uprzeć się, że nie pojedą polonezem Langiera, tylko samochodem Ali, który na szczęście wreszcie zapalił.

- Przysięgam - powtórzył mężczyzna, zniżając głos, choć w panującym wokół hałasie i tak nikt prócz najbliższej siedzącej osoby by go nie usłyszał. - Nie tknąłem tej dziewczyny palcem.

- Ale znał ją pan, prawda?

Skinął głową i dopił piwo. Maria jak dotąd swojego nawet nie spróbowała. Wolalała wino albo słodkie drinki, a poza tym bała się, że jeśli teraz się napije, alkohol szybko uderzy jej do głowy. Od rana nic nie jadła, była wyczerpana i oszołomiona.

- Oczywiście, że ją znałem, bardzo dobrze znałem - parsknął, poprawiając okulary. Jego oczy były oczami urażonego chłopca, a w głosie brzmiała złość dziwnie podobna do gniewu matki Sabiny. - Byłem jej narzeczonym, jednym z wielu, o czym dowiedziałem się, dopiero kiedy znaleźli ją martwą. Wtedy się okazało, że takich naiwniaków jak ja miała na pęczki.

- I dlatego jej matka uważa, że pan ją zabił? Ponieważ Sabina... - przez chwilę szukała właściwego słowa - wystawiła pana do wiatru?

- Sabina niejednego wystawiła do wiatru, jeśli tak to pani ujmuje. - Skrzywił się lekko. - Ale ja byłem jedynym mężczyzną, którego kiedykolwiek przyprowadziła do domu i przedstawiła matce. - W jego głosie zabrzmiała odrobina absurdalnej dumy. - Może dlatego Wanda ubzdurała sobie, że to musiałem być ja. Całe miasto plotkowało, że zamordował ją któryś z jej chłopaków, a ja byłem jedynym, jakiego znała.

- A mimo to nadal... się przyjaźnicie? - Marii znowu zabrakło właściwego słowa.

Tych dwoje powinno się nienawidzić, a jednak coś ich połączyło. Złość na Sabinę, która nie była taka, jak oczekiwali?

Przekonanie, że piękna dziewczyna dostała to, na co zasłużyła?

- Wanda jest samotna, ja też. - Langier obracał kufel w rękach.
- Wpadam do niej, przynoszę trochę zakupów z miasta, czasem jakąś prostą książkę, a ona...

„Dzieli się z tobą mięsem nielegalnie upolowanych zwierząt”,
dopowiedziała w myślach Maria. Potrząsnęła głową.

- Nadal nie potrafię pojąć, jakim cudem...

- Przyjmuje mnie pod swoim dachem? - Znowu się skrzywił. -
Powiedzmy, że to kobieta o dość specyficznej moralności. Gdyby uważała, że udusiłem Sabinę z premedytacją, pewnie już dawno zastrzeliłaby mnie z tej swojej strzelby. Ale dla niej ktoś, kto zabija w złości, kiedy całkowicie traci nad sobą kontrolę, nie może być winny, bo to tak, jakby winić ślepe narzędzie. Dla Wandy Sabina po prostu zginęła w tragicznym wypadku.

- Bo sądzi, że zabił pan jej córkę pod wpływem gniewu?

Skinął głową.

- Wyobraża sobie, że dowiedziałem się o innych mężczyznach, wyrzyczałem Sabinie w twarz całą prawdę, a ona mnie wyśmiała. Wtedy chwyciłem dziewczynę za gardło i udusiłem na tej ścieżce, a potem zdjąłem jej bieliznę, żeby wszyscy widzieli, dlaczego zginęła, jaka naprawdę była.

Maria słuchała z gwałtownie bijącym sercem. Czy to wyznanie? Gdyby była prawdziwym detektywem, jakiego przez cały dzień udawała, prawdopodobnie potrafiłaby poznać, czy Langier opowiada jej to, co matka Sabiny sobie wyobraża, czy też to, co rzeczywiście się wydarzyło. Była jednak zwyczajną nauczycielką i nie potrafiła niczego wyczytać z lekko załamionych, skrytych za okularami oczu mężczyzny. Nadal nie mogła tego pojąć: Robert Langier, wyglądający, jakby całe życie spędził za biurkiem, i barczysta kobieta ze strzelbą w wielkich łapskach. Domniemany morderca i matka ofiary. Tych dwoje było nie tylko z dwóch różnych światów, ale wręcz z różnych galaktyk.

O czym mogli rozmawiać w zimnym, mrocznym domu, gdzie po podłodze biegały myszy, a w powietrzu unosił się zapach krwi?

„Nigdy tego nie zrozumie”, pomyślała.

Czując narastający ból głowy, przesunęła językiem po wargach i spojrzała w stronę baru. „Niech Ala już przyjdzie”, poprosiła w duchu i Bóg chyba ją wysłuchał, bo kobieta składająca jakieś wyjątkowo skomplikowane zamówienie wreszcie powędrowała do stolika z pełną tacą, a Ala przesunęła się na początek kolejki.

- Kochał ją pan? - zapytała Maria tylko po to, żeby przerwać niezręczne milczenie.

- Była piękna - odparł, jakby to wszystko wyjaśniało, po czym najwyraźniej również zauważając, że Ala za moment wróci, dodał pośpiesznie: - Ale to było dziesięć lat temu, kiedy byłem młody i głupi. Teraz wiem, ile takie kobiety są warte, teraz szukam innych...

- Mniej pięknych? - Maria uśmiechnęła się blado. Głowa bolała ją coraz mocniej, w żołądku wirowało. Potarła kark i poczuła pod palcami zimny pot.

- Miłych - skorygował ją. - Inteligentnych. Takich, które potrafiłyby mnie zrozumieć. Jak pani.

- Nawet mnie pan nie zna - zaprotestowała słabo.

- Nie dała mi pani szansy, żebym panią poznał.

- Przykro mi, ja...

- Nie jest pani zainteresowana?

- Nie jestem. - Mimo wszystko poczuła odrobinę wdzięczności, że ułatwił jej sprawę.

- Z całą pewnością?

Ala wracała do stolika z tacą, na której stały trzy porcje fasolki po bretońsku i herbata.

- Z całą pewnością.

Maria odniosła wrażenie, że chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Oczy za szklami okularów wydawały się teraz twarde jak dwa wypolerowane przez rzekę kamienie.

Alicja postawiła tacę na stoliku.

- Wzięłam ci herbatę - powiedziała do Marii. - Wyglądasz, jakbyś potrzebowała cukru.

- Dziękuję.

Dziewczyna usiadła, po czym powiodła spojrzeniem od przyjaciółki do Roberta Langiera i z powrotem.

- Straciłam coś ważnego? - zapytała wesoło.

- Sierżant Drzymała?

- Przy telefonie. - Beata mocniej przycisnęła słuchawkę do ucha.

- Trębicki z tej strony. Podobno mnie pani szukała.

- Tak, chciałam zapytać, czy ma pan już wyniki autopsji Szymona Szmajdzińskiego. Przede wszystkim zależy mi na informacji, z jakiej broni chłopak został zastrzelony.

Bała się, że usłyszy to, co słyszała od rana: jest sobota, święto, wszyscy się bawią. Kto w takim dniu miałby czas i ochotę zajmować się pracą? Jednak Trębicki nie uznawał weekendów ani świąt. Uświadomiła sobie nagle, że niewiele wie o tym mężczyźnie. Miał żonę, dzieci? Z kim spędzał wolny czas? Był dzisiaj na festynie czy może cały dzień tkwił przy zwłokach?

Wstrzymała oddech.

- Mam wyniki. - Głos lekarza był uprzejmy z ledwie wyczuwalną chłodną nutą. - Właśnie miałem dzwonić, żeby ktoś z waszych po nie podjechał.

- Zaraz kogoś wyślę - obiecała. - Ale najpierw niech pan powie, jaka to broń.

- Chwila. - Zaszleściły kartki. - Prawdopodobnie coś w rodzaju niemieckiego walthera PPK. To wszystko?

- Tak, dziękuję.

Oszołomiona dziewczyna odłożyła słuchawkę, a potem sięgnęła po akta, które wciąż leżały na biurku, i znalazła sprawę z 1977 roku. Nie musiała sprawdzać - pamiętała przecież ten szczegół, ale i tak przewróciła strony, na wypadek gdyby pamięć płatała jej figle.

Z walthera zastrzelono Łukasza Stopyrę, studenta, który przyjechał do Mgielnicy, spędził tu niecałe dwa tygodnie, a potem został zamordowany, jak zakładała milicja, przez ludzi, z którymi zadarł jeszcze w Poznaniu.

Część VIII: Dziewczyna i chłopak

Październik 1955 roku

Dziewczynka siedziała bez ruchu, wpatrzona w drzewa na skraju polany. Od pół godziny nie powiedziała ani słowa, nie chciała też jeść, pić ani się bawić. Od czasu do czasu tylko mrugała, próbując pozbyć się zaschniętej na rzęsach krwi. Przed jej oczami przelatywały obrazy: ranny mężczyzna gramolący się z wypisaną na twarzy wściekłością, jego dłonie wbijające się w ziemię i coraz bardziej niezborne ruchy. Podnosił się, nawet po tym, jak został postrzelony z pistoletu, nawet po tym, jak kamień strzaskał mu czaszkę, a lewa strona obwisła, zupełnie jakby zrobiona była z surowego ciasta. Dziewczynka nie pamiętała, kto pociągnął za spust ani czyja ręka trzymała kamień - te kilka minut już objęła łaska zapomnienia. Pamiętała jedynie chłód ciężkiego przedmiotu wkładanego jej do ręki i szept chłopca: „To potwór, widzisz? Musimy pokonać potwora”, ale i to wspomnienie wyslizgiwało się, jakby próbowała nabrać wody w złożone dłonie. Co było dalej? Chłopiec pobiegł po nóż i przeciął nim gardło mężczyzny, aż krew trysnęła szeroką strugą. A może to ona trzymała ostrze? Bo przecież bała się tego... kogoś, tej istoty, która nie przypominała już człowieka. To był potwór, pełzający po ziemi i wydający z siebie dziwnie chrapliwe dźwięki.

Gdy wreszcie zaczął umierać, dziewczynka patrzyła. Nie zamknęła oczu, nie cofnęła się o krok. Stała nieruchoma niczym posążek, jak zamieniona w słup soli żona Lota. Patrzyła, lecz tak naprawdę niczego nie widziała. Coś w jej środku zamknęło się przed tym widokiem, obrazy ślizgały się po powierzchni umysłu, ale żaden nie docierał w głąb. Teraz siedziała na przewróconym pniu, do którego doprowadził ją

chłopiec, i mrugała. Każde mrugnięcie wymazywało pamięć. Mrugnięcie - i zniknął obraz unoszącej się dłoni z kamieniem, mrugnięcie - przepadł dźwięk, jaki wydała pękająca czaszka. Najdłużej pozostało wspomnienie ciepłej krwi niespodziewanie uderzającej strumieniem w twarz dziewczynki, ale w końcu i ono rozmyło się w leśnej ciszy, jakby nigdy nie istniało.

Luty 1985 roku

1

- To wszystko, co masz? Fakt, że Stopyrę zastrzelono z tego samego typu broni co Szymka, i słowa Lenarczyk, że wszystkie te morderstwa mogą mieć coś wspólnego ze sprawą sprzed kilku lat? - Bogusz nie zamierzał sobie pozwolić na nową nadzieję. Jeszcze nie.

- Niektórzy mieszkańcy Mgielnicy mają broń myśliwską, ale kto ma pistolet, i to jeszcze niemiecki? Jak duże jest prawdopodobieństwo, że dwie osoby w ciągu niespełna dziesięciu lat w niewielkim mieście zginą z walthera PPK? Pomyśl chwilę.

- Pokaż te akta. - Porucznik wyciągnął rękę, a potem przerzucił strony.

Kiedy Stopyra został zastrzelony, Bogusz był jeszcze w szkole milicyjnej, ale oczywiście sporo o tej sprawie słyszał. Przeglądając akta, odnajdywał znane szczegóły: chłopak znaleziony pod lasem w ostatni dzień wakacji, trzy strzały z bliskiej odległości. Jeden trafił w udo, jeden w brzuch, a jeden w głowę - i ten właśnie okazał się śmiertelny. Było też kilka dziwnych drobiazgów: dziura po kuli na koszuli ofiary znajdowała się niżej niż rana, jakby w chwili oddania drugiego strzału ubranie Stopyry było naciągnięte - lekarz sugerował, że chłopak mógł umrzeć z uniesionymi rękami, być może w geście poddania. Ponadto wloty dwóch pierwszych ran sugerowały, że morderca musiał strzelać z nietypowej pozycji, pochylony albo przykucnięty. Trzeci strzał oddano prawdopodobnie w

momencie, gdy Stopyra leżał już na ziemi.

„Pochylny albo klęczący”, pomyślał Bogusz, przypominając sobie rozmowę z Beatą o tym, że w zabawie łatwo jest skłonić kogoś do ukłęknięcia. Tylko że tym razem klęczał morderca, nie ofiara.

Na pierwszy, a nawet drugi rzut oka nie miało to sensu, ale porucznik wiedział, że sens tu jest, wystarczy go tylko znaleźć.

2

Telefon zadzwonił w niedzielny poranek przed ósmą, gdy Maria drzemała po kolejnej bezsennej nocy. Terkotliwy dźwięk wdarł się w jej świadomość. „Budzik. Pora wstawać do pracy”, pomyślała, z trudem rozluźniając szczęki. Ostatnio nawet przez sen czuła, jak mięśnie napinają się, a zęby zgrzytają o zęby. Śniło jej się coś złego, ale nie pamiętała już co. Czy w tym śnie była Alicja? Chyba tak, choć nie potrafiła przypomnieć sobie jej twarzy. Pamiętała za to poczucie utraty, gorzki smak w ustach, nagły chłód i pustkę na wysokości żołądka. Jak wtedy, gdy dowiedziała się, że ciotka jest umierająca, i uświadomiła sobie, że wkrótce zostanie całkiem sama.

Dzwonek na chwilę umilkł, a potem znów odezwał się natarczywie i ponagląco. Usiadła na łóżku i potarła zeszczywniały kark. Śpiący pod kołdrą Pirat miauknął z lekką dezaprobatą, po czym wygiął grzbiet i zeskoczył na podłogę, by otrzeć się o nogi. Maria pogłaskała go odruchowo. Zwierzę zamruczało, jakby w jego wnętrzu ktoś włączył mały silniczek. „Dobrze, że jesteś”, pomyślała, po czym wstała i powlokła się do telefonu. W ustach czuła nieprzyjemny smak, jakby obudziła się z kacem - a przecież wczoraj wypila ledwie połowę piwa.

- Słucham.

- Maria Lenarczyk? Iwona Zawadzka z tej strony, pamięta pani? Poznałyśmy się wczoraj, jestem kuzynką Ryśka.

- Pamiętam. - Marii ścisnęło się serce i nagle uczucie upiornej pustki jeszcze się wzmogło.

„Stenzel nie żyje”, pomyślała, bo co innego mógł oznaczać ten telefon? Kolejny zgon był jak zaciskająca się na szyi pętla, jakby

z nieba wychyliła się brodata twarz Boga, który wycelował w nią sękaty palec i powiedział: „Ty! Zauważyłem cię. Od tej pory będziesz widziała tylko śmierć i nie zaznasz ani chwili szczęścia”.

- Pani Mario, jest pani tam?

- Tak - wyszeptała.

- Dzwonię, bo Rysiek przed chwilą odzyskał przytomność i mówił coś o jakichś obrazach. Że przyszły pocztą i trzeba je zanieść na Dni Miasta. Podobno pani wie, o co chodzi.

- Obrazy? - Trybiki w mózgu Marii wreszcie zaskoczyły. - Tak, wiem, o co chodzi. I cieszę się, że Rysiek żyje.

- A dlaczego miałby nie żyć? - Iwona zdziwiła się lekko. - Lekarze już wczoraj mówili, że jego stan jest stabilny i prawdopodobnie z tego wyjdzie.

- Tak, oczywiście. - Maria zawstydziła się. - Przepraszam.

- Pomoże mi pani z tymi obrazami? Ja nie mam pojęcia, czego szukać, a to chyba dla niego ważne.

- Pomogę.

- Świetnie. Spotkajmy się pod blokiem Ryśka za godzinę. Zna pani adres?

- Nie.

- Żeromskiego 63. Da pani radę?

- Tak.

- Znakomicie. Będę na panią czekała.

Odkładając słuchawkę, Maria uświadomiła sobie, że w godzinę nie dojedzie na Żeromskiego - zwłaszcza w niedzielę, a musiała się jeszcze umyć i ubrać. Odruchowo podniosła więc słuchawkę i zadzwoniła do Ali.

Dziewczyna odebrała po kilku sygnałach.

- Obrazy? - Zdziwiła się, gdy przyjaciółka streściła jej rozmowę z Iwoną. - A, kojarzę, rzeczywiście była w szkole mowa o tym, że na poczcie zaginęła paczka z pracami uczniów. Tylko że to już za późno, nie? Dni Miasta prawie się kończą.

- Wiem, ale Ryśkowi chyba na tym zależy. - Maria nie dodała, że sama ma absurdalne poczucie winy, jakby uznając Stenzela za zmarłego, przyciągnęła do niego pecha. Poza tym obudziła się w niej odrobina dawnej ciekawości. Chciała spojrzeć na

prace Wojtka, nawet jeśli istniała nikła szansa, że znajdzie coś interesującego.

- Wiem, że cię ostatnio wykorzystuję - oznajmiła, podczas gdy Ala marudziła po drugiej stronie linii. - Obiecuję, że to ostatni raz. Jeśli mogłabyś mnie tylko podrzucić na Żeromskiego...

- Nie bądź idiotką - fuknęła dziewczyna, nagle zmieniając front. -1 nie myśl o żadnym wykorzystywaniu. Pomogę ci nawet szukać tych obrazów. I tak nie mam nic lepszego do roboty.

- Dzięki.

Odłożyła słuchawkę i powędrowała do łazienki, gdzie z lustra spojrzało na nią jej własne odbicie. Cerę miała szarą, skórę na wargach popękana, a włosy matowe i pozbawione życia, ale w oczach dostrzegła niepokorny błysk, jakby mówiący, że na przekór wszystkiemu ta kobieta jeszcze się nie poddała.

Przemyśla twarz i po raz pierwszy od wielu dni wyjęła kosmetyki do makijażu. Wytuszowała rzęsy, pomalowała powieki i przeciągnęła szminką po ustach. Jednak kolory jedynie podkreślały niezdrowy odcień cery, po chwili wahania zmyła więc wszystko i tylko zaczesła włosy do tyłu.

Potem nakarmiła Pirata i czekała na Alę. Dziewczyna zjawiała się zaskakująco szybko, jak zawsze energiczna i śliczna.

- Wszystko w porządku? - szepnęła, gdy objęły się na powitanie.

Maria nie była pewna, czy to pytanie dotyczyło jej samopoczucia, czy może tego, że wczorajszego wieczoru prawdopodobnie spotkały mordercę, a potem rozmawiały z nim w zatłoczonym barze.

„Wtedy chwyciłem dziewczynę za gardło i udusiłem na tej ścieżce, a potem zjąłem jej bieliznę, żeby wszyscy widzieli, dlaczego zginęła, jaka naprawdę była”. Maria przypomniiała sobie, że właśnie to jej się śniło - las, a w nim mężczyzna i blondynka z wykrzywioną twarzą, bardzo podobna do Ali.

Może przyjdzie taki dzień, kiedy Robert Langier ruszy za następną ofiarą i kolejna lekkomyślna piękność zostanie znaleziona w podartej bieliźnie. A one pozwoliły mu tak po prostu odejść... Tylko co właściwie miałyby zrobić?

- Tak. - Odwzajemniła uścisk, próbując myśleć o czymś

innym, na przykład o tym, że jutro spotka Alę w pokoju nauczycielskim.

Praca - nic nigdy nie wydawało się równie odległe. Nie była pewna, czy jutro w ogóle będzie w stanie podnieść się z łóżka, żeby stawić czoła uczniom oraz nauczycielom i odpowiadać na pytania dotyczące Asi.

Iwona czekała pod blokiem. Tym razem włosy miała rozpuszczone, a w rękę trzymała nie kryminał, tylko romans, który na widok parkującego samochodu schowała do torebki.

- Przepraszam, że obudziłam panią... panie - poprawiła się na widok Alicji - tak wcześnie, ale nie wiedziałam, do kogo właściwie mam się zwrócić...

- W porządku. - Alicja przejęła dowodzenie. - Jeśli można coś dla Ryśka zrobić, chętnie pomożemy.

Iwona poprowadziła je na parter, a potem sięgnęła do torebki po klucz.

Maria, która wiedziała, że Stenzel jest samotny, spodziewała się zapuszczonej nory albo wprost przeciwnie - pedantycznie wysprzątanym pokoi, gdzie każda rzecz ma swoje miejsce. Tymczasem mieszkanie Ryśka okazało się zdumiewająco zwyczajne, trochę zagracone, ale miłe i przytulne. „Myślisz stereotypami”, skarciła się w duchu.

Dobre wrażenie psuły jedynie ślady pozostawione przez milicjantów: niedomknięte szuflady, z których wystawały ubrania, rozsypana w kuchni mąka i wielki błotnisty odcisk buta na podłodze w przedpokoju. Przez twarz Iwony przebiegł skurcz.

- Gdzie są te obrazy? - zapytała Alicja.

- Właściwie to nie wiem - zakłopotana się. - Rysiek mówił tylko, że w domu, i wspomniawszy panią Marię. Był pod wpływem leków i chyba jeszcze nie do końca oprzytomniał.

- Rozumiem. - Ala westchnęła. - Ja poszukam w sypialni, a wy w drugim pokoju.

- Czego właściwie szukamy? - Iwona z powątpiewaniem spojrzała na półki zastawione porcelanowymi figurkami. -- Teczki, jakiejś paczki?

- Prawdopodobnie dużej przesyłki pocztowej - wtrąciła Maria.

- I panie poznacie te rysunki, tak?

Maria skinęła głową, choć nie miała pewności - Rysiek nigdy nie mówił jej, jakie prace zamierza wystawić.

Zabrała się za przeszukiwanie szafy, jednak znalazła tylko ubrania oraz stos pościeli, której było tyle, że starczyłoby dla trzyosobowej rodziny. Potem przejrzała półki z książkami i biurko, ale i tam nic ciekawego nie było. *Rzadkie gatunki ptaków w Polsce. Atlas ornitologiczny*. Nie podejrzewała Ryśka o takie zainteresowania.

Za plecami słyszała Iwonę, która przetrząsała szuflady niewielkiej komody.

- Same śmieci - powiedziała malutka kobieta zniechęconym głosem. - Powinnam z Ryśkiem porozmawiać. - Nie dodała, czy na temat chomikowania niepotrzebnych rzeczy, czy może o czymś innym. Po chwili ciągnęła bez związku: - Rysiek mówił... Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam, ale wygląda na to, że aresztowali go z powodu jakiegoś anonimu. Słyszała pani coś o tym?

- Nie. - Maria potrząsnęła głową. - Czego dotyczył ten anonim?

- Jakiejś dziewczyny, ucennicy chyba.

„Asia - pomyślała Maria. - Oczywiście, że tak.

- To bez sensu. - Iwona zamknęła kolejną szufladę. - Rysiek nigdy by... Przerwał im dobiegający z drugiego pokoju radosny okrzyk i po chwili Ala stanęła w progu, trzymając ostemplowaną płaską paczkę.

- Mam - oznajmiła. - Otworzyć?

- Jasne. - Maria pochyliła się podekscytowana.

Alicja rozdarła papier i z grubej szarej koperty wysypał się na podłogę stos map. Trzy kobiety stały wokół niego z rozczarowanymi minami, a potem schyliły się niemal jednocześnie. Maria porozumiała się wzrokiem z przyjaciółką. „Nic z tego - mówiły oczy dziewczyny. - Dajmy temu spokój”.

Maria zgodziła się z nią milcząco.

Iwona wyprostowała się, trzymając w ręku mapę z trasą wędrówek dzikich gęsi.

- Przynajmniej próbowałyśmy - westchnęła.

- Powinniśmy pogadać z Derkaczem. - Beata nerwowo spojrzała na zamknięte drzwi gabinetu. - Poszukać go?

Chciała wstać z krzesła, ale Bogusz chwycił ją za łokieć i posadził z powrotem.

- Daj spokój. Facet poszedł coś zjeść, zajmie mu to pewnie z pół godziny. W tym czasie możemy trochę pogłódkować. Zastanówmy się, co łączyło te dzieci...

- Adam, na litość boską, wałkowaliśmy to mnóstwo razy i do żadnych wniosków nie doszliśmy.

- Nie zaszkodzi spróbować jeszcze raz. - Uparł się. - Masz coś lepszego do roboty?

Beata zastanowiła się. Podpułkownik Derkacz o raporcie lekarza już wiedział, a wszystko inne było na tyle mało ważne, że mogło zaczekać.

Westchnęła.

- Nie.

- To posłuchaj. - Odwrócił się do tablicy, na której wisiały przypięte zdjęcia. - Mamy rysunek przedstawiający czwórkę dzieci w lesie i pięć potencjalnych ofiar: Wojtka Kapuściaka, Pawła Kurzeję, Blankę Janik, Asię Grabkowską i Szymka Szmajdzińskiego.

- Tak, wiem. - Dziewczyna z trudem zdobywała się na cierpliwość. - Już to...

- Czekaj. Założyliśmy wcześniej, że jedno z tych dzieci może być fałszywym elementem w układance. Wojtek nie, bo sam przyznał, że jest na rysunku, Paweł raczej nie, bo został wymieniony z imienia, a poza tym rozmawiał z Wojtkiem, i prawdopodobnie nie Szymek, bo w jego przypadku zgadza się mniej więcej nazwisko. Pozostaje jedna z dziewczynek. Wydawałoby się, że Jasną musi być Asia, ponieważ była blondynką, a poza tym została zabita tak samo jak Paweł, ale co, jeśli to nie ona? Jeśli Asia z jakiegoś powodu znalazła się w tej sprawie przypadkiem? Wyjmijmy ją na chwilę przed nawias - zdjął zdjęcie jasnowłosej nastolatki z tablicy - i zastanówmy

się, co mogło łączyć pozostałą czwórkę.

- Wojtek, bity przez ojca chłopiec na granicy upośledzenia umysłowego. - Beata wyliczała na palcach. - Paweł, zdolny uczeń, ukochany syn mamusi i godny następca ojczyrna. Blanka, dziewczynka z sierocińca oddana z powrotem przez adopcyjną matkę, i Szymek, dziecko mieszkającego na wsi ubożego alkoholika... - Urwała, tknięta nagłą myślą.

- Widzisz to, prawda? - Bogusz patrzył na nią błyszczącymi oczami. - Jedno z tych dzieci też nie pasuje.

- Paweł? - Dziewczyna zawahała się. - Rzeczywiście poza nim cała trójka była mniej lub bardziej zaniedbana przez dorosłych, ale co by to miało znaczyć? Że mamy nie jeden, a dwa fałszywe kawałki w układance? Że Paweł też został zabity przypadkiem?

- Nie, czekaj... - Porucznik zmarszczył brwi. Był blisko, wyczuwał to.

Paweł, ukochany syn mamusi. Dziecko człowieka, który miał obsesję na punkcie noży i który własną żonę nazywał wariatką. „Dobrali się jak w korcu maku”, powiedziała apetyczna sekretarka, której nazwiska nie pamiętał.

- Czy Natalia Kurzeja mogła kiedykolwiek źle traktować syna? - zapytał.

Beata potrzęsnęła głową.

- Nie wydaje mi się... Chociaż kiedy rozmawialiśmy na cmentarzu, wspomniała o poczuciu winy, że nie była dobrą matką czy jakoś tak. Założyłam wtedy, że mówi o jego śmierci, że mogła go bardziej pilnować...

- Natalia Kurzeja przeszła załamanie nerwowe.

- To jeszcze nic nie znaczy. Chwila słabości może się zdarzyć każdemu.

- Jasne, nie żyjemy w średniowieczu, żeby skazywać na społeczny ostracyzm każdego, kto kiedykolwiek miał problemy psychiczne. Teraz ludzie z takimi problemami lądują w szpitalu, dostają tabletki i za jakiś czas wracają do swoich rodzin zdrowi. Wszystko rozumiem. Ale powiedz mi jedno.

- Tak?

- Kiedy ojciec zwał, a matka poszła do czubków, kto zajmował się dzieckiem?

Beata zamrugnęła.

- Cholera, jakoś o tym nie pomyślałam.

- No właśnie. Zadzwoń do Kurzei i zapytaj ją.

- Jeśli będzie w domu.

- Wyciągnij ją choćby spod ziemi. Chcę wiedzieć dokładnie, od kiedy do kiedy Natalia Kurzeja była hospitalizowana i kto wtedy opiekował się Pawłem. Pośpiesz się, masz na to - spojrzaj na zegarek - jakieś dwadzieścia minut.

4

- Jak to nie znalazłyście tych obrazów? Na pewno dobrze szukałyście? - Ciotka Asi zmarszczyła brwi i upiła łyk gorącej herbaty z nakrętki od termosu. W drugiej ręce trzymała papierową tackę z kawałkiem ciasta.

„Strucla, tak jak obiecała”, pomyślała Maria. Zbliżała się pora obiadu i sama zaczynała być głodna, ale miała ochotę na coś solidniejszego, może jedną z kielbasek, których - zapach dolatywał od wielkiego grilla. Co prawda, większość i tak pewnie wyrzuci, bo jej apetyt zazwyczaj zniknął po kilku kęsach, dziś jednak zamierzała pozwolić sobie na rozrzutność.

- Sprawdziłyśmy wszystkie oczywiste miejsca - odparła. - Głupio nam było przekopywać szuflady z bielizną czy inne osobiste rzeczy.

- Przepraszam - zreflektowała się Krystyna, po czym dopiła herbatę, położyła nakrętkę na stoisku i manewrując jedną ręką, sięgnęła do kieszeni po papierosy. - Wredna baba ze mnie, wiem. Nie chciałam sugerować, że się nie starałyście, po prostu trochę mi szkoda, bo w tej paczce były też rysunki Asi. Jej matce byłoby miło, gdyby zobaczyła je na stoisku.

- Przykro mi - mruknęła Maria.

- O czym rozmawiacie? - Karol Górny podszedł do nich, ściskając pod pachą czapkę z daszkiem. Kurtkę miał rozpiętą, jakby nadeszła już wiosna, a nie nędzna lutowa odwilż z temperaturą plus pięć stopni.

Podczas gdy ciotka Asi zajęła się wyjaśnieniami, Maria wykorzystała okazję i wymknęła się po kielbasę. Kiedy wróciła

z tac ką, nauczyciel perorował g łośno, machaj ąc r ękami:

- Nonsens. Skoro Rysiek mówi, że paczka jest, to znaczy, że jest. Mo że szukali ście nie tego, co trzeba? - Spojrzał na Mari ę z dezaprobat ą. - Te rysunki powinny by ć niewielkie, rozmiaru kartki z bloku. Taka przesyłka mo że si ę zmieścić gdziekolwiek.

Maria u świadomi ła sobie, że Górny w łaściwie ma racj ę - słowo „obrazy” wywo ływało skojarzenia z czymś wi ększym, dlatego odruchowo szukała dużej paczki. Mniejsza mog ła umkn ąć jej uwadze.

Z lekkim wahaniem potwierdzi ła, a uradowany m ężczyzna zatarł r ęce.

- Świetnie, pojedziemy jeszcze raz do mieszkania Ryśka. Gdzieś tu widzia łem jego kuzynk ę... - Rozejrzał si ę.

Rzeczywi ście Iwona Zawadzka stała kilka kroków dalej. Właśnie kupowa ła do ść paskudnego skrzata z gliny.

- Tym razem poszukamy porządnie.

Maria podejrzewa ła, że nagły przy pływ energii u wu- efisty brał si ę zwyczajnie z nudów. Sprzedawanie drobiaz gów musia ło by ć w jego pojęciu kobiecym zajęciem, podczas gdy przeszukiwanie domu pozwala ło wykaza ć si ę m ęską zaradno ścią. Z drugiej strony - co za różnica? Jakiekolwiek by ły jego motywacje, Karol Górny chciał pomóc, a naprawd ę by łoby mi ło, gdyby zaginiona paczka wreszcie si ę odnalazła.

- Nie mamy samochodu - zgłosi ła wi ęc tylko dla porządku, przypominaj ąc, że Ala zniknęła pół godziny temu, by zająć si ę bratem.

Na Karolu takie przeszkody nie robi ły wrazenia.

- Nie szkodzi, za dziesięć minut odjeżdża autobus. - Spojrzał na zegarek. - Jedz szybciej, ja porozmawiam z kuzynk ą Ryśka.

Maria wcisnę ła w siebie kilka k ęsów kielbasy, a reszt ę wyrzuci ła do kosza.

5

Beata zjawi ła si ę dwadzieścia pi ęć minut p óźniej - Bogusz mógł dokła dnie określić czas, bo co chwila zerkał na zegarek.

- I jak? - zapytał, odkładaj ąc akta, które studiował przez

ostatni kwadrans.

- Było ciężko, bo Kurzeja najwyraźniej nie lubi mówić o czasach, kiedy trafiła do psychiatryka. Ma poczucie winy, nic dziwnego.

- Ale udało ci się coś z niej wyciągnąć? - Porucznik niecierpliwł się coraz bardziej.

Skinęła głową.

- Natalia Kurzeja została przyjęta do szpitala 14 sierpnia i spędziła tam trzy tygodnie, do 4 września. W tym czasie jej syn przebywał pod opieką babci Jadwigi Kuran. Teraz uważaj, będzie najciekawsze. Babcia, zresztą już nieżyjąca, była alkoholiczką. Natalia upierała się, że jej matka zerwała wtedy z nałogiem, ale coś mi mówiło, że to nieprawda. Zadzwoiłam więc na posterunek w Krowodrzach, gdzie mieszkała starsza pani, i zapytałam, czy przypadkiem nie mają w dokumentach jakichś zgłoszeń z 1977 roku dotyczących osoby o tym nazwisku. Papierów co prawda nikt nie mógł znaleźć, ale miałam szczęście, bo poprosili do telefonu chorążego, który pracuje w tej dzielnicy od lat, i okazało się, że on całą sprawę pamięta. Podobno przez ponad dwa tygodnie chłopiec był praktycznie zdany na siebie, bo babcia poszła w tango. Dziecko żyło z tego, co wyżebrało od ludzi, albo z drobniaków, które kradło z babcinego portfela, kiedy pijana kobieta zasypiała na kanapie.

- Jasna cholera.

- Wreszcie jakaś nauczycielka zorientowała się, że z chłopcem dzieje się coś złego, i zgłosiła to na milicję, ale wtedy Natalia już wychodziła ze szpitala i sprawa się rozmyła.

- Ten chorąży wymienił nazwisko nauczycielki?

- Pytałam, ale nie potrafił sobie przypomnieć. Tylko tyle, że był to ktoś z podstawówki Róży Luksemburg.

- Tej samej, do której chodzili Wojtek i Asia.

- Zgadza się. Tamtego lata w szkole organizowano półkolonie dla dzieci, które nie wyjeżdżały na wakacje. Wiesz, rodzice przyprawiali pociechy rano i odbierali po południu, a w międzyczasie nauczyciele bawili się z nimi albo prowadzili do lasu na wycieczki. Teoretycznie uczestnicy takich półkolonii

powinni być oficjalnie zapisani i opłaćeni, jeśli nie przez rodziców, to przez miasto, ale w praktyce kręciło się tam też sporo dzieciaków, które po prostu wpadały zobaczyć, co się dzieje, a organizatorzy patrzyli przez palce.

- Idealne miejsce dla chłopca takiego jak Paweł - uzupełnił Bogusz. - Miał opiekę i pewnie od czasu do czasu łapał się na darmowy posiłek. O ile zakład, że bywali tam też Wojtek, Blanka i Szymek, chociaż nie znajdziemy ich w żadnych dokumentach?

- Myślisz, że właśnie wtedy wszyscy się spotkali?

- To ma sens, prawda? Pamiętasz tę ulotkę z pudła Szymka?

Beata wysiliła pamięć.

- Coś o jakichś grach dla dzieci w wieku pięć do dziesięciu lat.

Porucznik skinął głową, a potem gwałtownie wstał i wyszedł. Wrócił po chwili, prowadząc ze sobą starszą panią z działu kadrowego. Oderwana od maszyny do pisania kobieta sprawiała wrażenie lekko speszonej.

- Pomoże nam pani? - zapytał porucznik. - Pani wnuczka chodziła do Róży Luksemburg, zgadza się?

Kobieta przytaknęła.

- Pamięta pani może, czy latem siedemdziesiątego siódmego była tam jakaś impreza? Coś jak festyn, tylko mniejszy, z wydrukowanym programem, koncertem uczniów i różnymi atrakcjami?

Starsza pani zamrugła, a potem chyba liczyła w pamięci, bo jej wargi poruszały się bezgłośnie.

- Siedemdziesiąty siódmy, mówi pan? To chyba musiało być 31 sierpnia, jak nową salę gimnastyczną otwierali. Piękna, z basenem, żadna inna szkoła w Mgielnicy takiej nie ma - pochwaliła, niemal jakby budowa sali była jej zasługą. - Sam naczelnik wtedy przyjechał, pamiętam. Tylko termin kiepski wybrali, bo to w ten sam dzień co odpust było, ale wiadomo, kościół z urzędem nigdy się dogadać nie mogli. Ci z miasta chyba chcieli, żeby ludzie poszli na otwarcie zamiast na sumę.

- I poszli? - wtrąciła Beata, która z własnego dzieciństwa doskonale pamiętała wyjazdy harcerskie organizowane dokładnie w dni kościelnych świąt.

- Różnie - roześmiała się kobieta. - Niektórzy tak, inni nie. A większość była najpierw na mszy, potem na odpuscie, a na koniec jeszcze na otwarciu, bo czemu nie?

- Czemu nie - przyznała odruchowo sierżant.

- Mogę już iść? Robota czeka. - Starsza pani znacząco zerknęła w stronę korytarza. - Mam nadzieję, że pomogłam.

- Bardzo nam pani pomogła. I proszę pozdrowić wnuczkę, niech się dobrze uczy.

Kiedy za kobietą zamknęły się drzwi, Beata spojrzała na Bogusza.

- No proszę - powiedziała z lekkim podziwem. - Nie sądziłam, że interesujesz się tym, kto w jakiej szkole ma wnuczkę.

- Słucham ludzi, wbrew temu, co ci się wydaje. - Bogusz nie wspomniał, że na biurku starszej pani stoi zdjęcie pucołowatej dziewczynki trzymającej dyplom z wypisaną drukowanymi literami nazwą szkoły. Porucznik patrzył na nie kilka razy w tygodniu, gdy niecierpliwie czekał, aż maszynistka skończy przepisywać dla niego raport.

- 31 sierpnia zginął Łukasz Stopyra. - Beata myślała na głos. - W dzień otwarcia nowej sali gimnastycznej i w dzień odpustu, kiedy jest mnóstwo huku, bo chłopcy strzelają z kapiszonów...

- Idealny moment na morderstwo, prawda?

- Idę po pułkownika. - Beata zerwała się z krzesła, ale porucznik po raz drugi tego dnia posadził ją z powrotem na miejscu.

- Czekaj.

- Na co? Wreszcie mamy trop, trzeba...

- Szukaliśmy Derkacza, ale nie mogliśmy go znaleźć.

Zmarszczyła brwi.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że musieliśmy sami rozwiązać tę sprawę, bo facet poszedł coś zjeść i zniknął na pół dnia. Bierz płaszcz i jedziemy.

- Dokąd?

- Do adopcyjnej matki Blanki, a potem do samej dziewczyny.

- Nie będzie chciała z nami rozmawiać.

- Teraz będzie, uwierz mi. Pośpiesz się, Derkacz lada moment może wrócić.

Autobus przyjechał o czasie, ale okazał się zatłoczony ponad miarę. Wsiadło pięć osób, z trudem przeciskając się przez ciżbę, a na ich miejsce próbowało wsiąść dwadzieścia nowych. Ludzie deptali sobie po stopach i rozpychali się łokciami, podczas gdy z wnętrza pojazdu dobiegały oburzone okrzyki sprasowanych jak sardynki pasażerów. Maria odsunęła się przekonana, że i tak nie uda im się wejść do środka, Karol Górny przez chwilę miał chyba zamiar walczyć, ale zrezygnował z krótkim sapnięciem.

- Pojedziemy następnym - zdecydował. - Rysunki nie zając, nie uciekną.

Drzwi zaczęły się zamykać i znieruchomiały w połowie, ściskając stłoczonych na schodkach pasażerów. Kierowca kłął, ludzie twardo czepiali się jeden drugiego i próbowali wepchnąć dalej w głąb, aż wreszcie dwie czy trzy osoby odpadły od tłumu, drzwi się zamknęły i autobus ruszył.

- Nie mogę czekać na następny - powiedziała nerwowo Iwona Zawadzka. - Córnka wraca z ferii, muszę na dworzec po nią jechać. Może po prostu dam państwu klucze do mieszkania Ryśka, a potem zostawicie je na stoisku szkoły? Wpadnę tam pod wieczór z małą, zanim do szpitala pojedziemy.

Maria wzięła klucze. Karol Górny rozsiadł się wygodnie na pustej ławce pod daszkiem przystanku i poprawił czapkę, która skrywała rzędziejące włosy.

- To mamy chwilę dla siebie, co? - zaczął wesoło, patrząc na Marię. - Porozmawiamy czy będziemy tak siedzieć w milczeniu? Nie bardzo mnie lubisz, prawda?

Wzruszyła ramionami.

- Podobno Ryśka aresztowali, bo milicja dostała anonimowy telefon, że spotyka się z uczennicą - powiedziała.

Karol parsknął.

- To jest twój pomysł na rozmowę? Chcesz mnie zapytać, czy to ja byłem tym donosicielem?

- A byłeś? Przecież wiedziałeś o Ryśku i Asi?

Tym razem to on wzruszył ramionami.

- Coś tam się domyślałem, jak większość pewnie, ale uznałem, że to nie moja sprawa. Chce się spotykać z małą, niech się spotyka, ostatecznie dziewczynie krzywda się nie działa. A że miała kiepski gust, to inna sprawa. Pewnie mi nie wierzysz, co? Dobra, powiem inaczej. Gdybym ja zadzwonił, tobym się przedstawił uczciwie, jak porządny obywatel, rozumiesz? Nie wstydzę się ani swojego nazwiska, ani tego, co mam do powiedzenia.

Wyjął z kieszeni paczkę klubowych i zapalił, a Maria odwróciła się, żeby dym nie leciał jej prosto w twarz. Może Górny kłamał, może cała ta pewność siebie była jedynie na pokaz, jak często się zdarzało u mężczyzn w jego typie. Jednak z niechęcią musiała przyznać, że prawie zdołał ją przekonać, zwłaszcza że wyglądało na to, iż związek z uczennicą zdawał się wuefiscie w pewnym sensie imponować. Jakby zbałamucenie młodzieńkiej i ładnej dziewczyny czyniło Stenzela w mniejszym stopniu ofertą, a w większym prawdziwym mężczyzną, cokolwiek to słowo w pojęciu Karola Górnego znaczyło.

Lecz jeśli autorem anonimowego telefonu nie był on, to w takim razie kto?

7

Korczewska chciała zamknąć im drzwi przed nosem, ale Bogusz przytomnie wsunął do mieszkania stopę.

- Wiem, dlaczego oddała pani Blankę z powrotem do domu dziecka - oznajmił bez wstępów. - Wpuści nas pani czy mamy o tym rozmawiać na klatce schodowej?

Odsunęła się niechętnie. Jej oczy były czujne, a na samym dnie czał się lęk. Zaprowadziła ich do kuchni, a potem stanęła z rękami założonymi na bujnych piersiach i zaciśniętymi ustami. Czekwała.

- Wróciła tamtego dnia w zakrwawionym ubraniu - powiedział Bogusz - i przyznała się pani, prawda?

Pokręciła głową. Beata nie wiedziała, czy miało to być zaprzeczenie, czy może wyraz zdumienia, ponieważ Judyta

Korczevska wciąż nie potrafiła uwierzyć w to, co wydarzyło się przed laty. Odwróciła się w stronę okna i kiedy wreszcie otworzyła usta, jej głos był tak cichy, że sierżant ledwie rozróżniała słowa.

- Powiedziała, że zabili potwora. Myślałam, że to taka zabawa, ale potem... potem w gazetach pisali o zastrzelonym chłopcu, a ja przypomniałam sobie tę krew. I wyraz jej oczu... Nie potrafię go opisać. Nie chciałam wierzyć... Boże, wciąż nie wierzę. Miała wtedy sześć lat! Jakie dziecko byłoby zdolne do czegoś takiego? Mówiłam sobie, że to musi być przypadek, jakiś straszny zbieg okoliczności. Staralam się ją kochać, naprawdę, ale... po prostu nie potrafiłam, rozumiecie?

- Chyba tak - odezwała się cicho Beata, bo porucznik milczał. Podeszła i położyła kobiecie rękę na ramieniu.

Jej ciałem wstrząsało drzenie, ale sierżant nie potrafiła powiedzieć, czy to szloch, czy jedynie tłumione napięcie.

- Pojedzie pani z nami, porozmawia z dziewczyną - zdecydował Bogusz. - Otworzy się, jeśli jej pani powie, że się pomyliła, że tamto to nie była jej wina.

- Nie.

- Potrzebujemy pani pomocy. Dzięki pani możemy schwytać mordercę.

- Nie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale tym razem to sierżant złapała go za łokieć.

- Chodź. Damy sobie radę. - Jej spojrzenie było na tyle wymowne, że porucznik skapitulował.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała, gdy wsiadali do samochodu.

- Kąt, pod jakim padły strzały, pamiętasz? Patolog napisał, że strzelał ktoś kucający albo mocno pochylony, bo nie przyszło mu do głowy, że mógł to być po prostu ktoś bardzo niskiego wzrostu.

- Na przykład dziecko?

- Na przykład dziecko. - Skręcili w stronę klasztoru.

- Naprawdę myślisz, że sześciolatek byłby zdolny do zabójstwa?

- Nie sądzę, żeby oni wiedzieli, co robią. Jedyłą, która się

zorientowała, że to nie zabawa, była chyba Blanka. Dlatego nie chciała z nami rozmawiać. Bała się nie tego, że potwór przyjdzie ją skrzywdzić, tylko że my się dowiemy, co kiedyś zrobiła, a wtedy zostanie ukarana.

- I myślisz, że uda ci się skłonić dziewczynę do mówienia?

- Byłoby łatwiej, gdyby jej matka pojechała z nami - wytknął, na co sierżant nie odpowiedziała.

Jej zdaniem upór porucznika tylko sprawiłby, że Judyta Korczewska znowu wpałaby w histerię. Bogusz też musiał o tym wiedzieć, skoro zdecydował się wyjść z mieszkania, ale oczywiście próżno byłoby oczekiwać, że kiedykolwiek przyzna to głośno.

8

Klucz zazgrzytał w zamku i Karol Górny pchnął drzwi, za którymi gęśniał wczesny zimowy zmierzch. Zbliżała się piąta po południu, w mieście dogasała weekendowa zabawa, na rynku bardziej niecierpliwi zaczynali już pewnie zwijać stoiska.

„Powinniśmy się pośpieszyć”, pomyślała Maria, po czym wkroczyła w mrok.

- Po prawej jest włącznik światła - poinformował idący za nią mężczyzna.

- Nie wiedziałam, że byłeś tu wcześniej. - Wcisnęła przycisk.

- Kiedyś, dawno temu - mruknął Karol. - Wpadłem, bo w telewizji puszczały mecz, a ja miałem w siatce sześć piw i nikogo, z kim mógłbym się podzielić. To był wyjątkowo kiepski wieczór.

- Strasznie tu zimno. - Maria wzdrygnęła się.

Od mniejszego pokoju ciągnął wiatr, niosący ze sobą zapach topniejącego śniegu i odległe głosy ludzi na ulicy.

- Zostawiliście otwarte okno?

- Nie, nie wyda... O cholera. - Umilkła, stając w progu.

Biurko pod oknem zasłane było rozbitym szkłem, wpadające przez dziurę w szybie podmuchy wydymały firankę. Karol gwizdnął i podszedł bliżej, deptając po błotnistych śladach na podłodze. Wyjrzał na zewnątrz.

- Ktoś się włamał - powiedział, jakby Maria nie domyśliła się tego wcześniej. - Zobacz, okno wychodzi na zamknięte podwórze. O tej porze pewnie nikogo tu nie było, bo wszyscy poszli na festyn. Draniowi dopisało szczęście, chociaż i tak mocno ryzykował. Mówiłem Ryškowi, że okno bez krat na parterze to głupi pomysł. Ciekawe, co zabrał? - Rozejrzył się. - Całkiem porządne radio zostawił...

- On nie przyszedł tu po radio - szepnęła Maria, której nagle zrobiło się tak zimno, że nie usprawiedliwiała tego nawet wybita szyba.

- W takim razie po co?

- Po rysunki Wojtka.

Górny roześmiał się.

- Te uczniowskie bohomazy? Nie żartuj.

W milczeniu pokręciła głową.

- Na milicję trzeba dzwonić, będziemy świadkami. - Wuefista najwyraźniej znalazł się w swoim żywiole. - Szlag, Rysiek chyba telefon przestawił, ostatnio stał na biurku.

- Ty dzwoń, ja muszę... muszę jechać. - Maria powoli cofała się w stronę drzwi.

- Jechać? Dokąd?

- Nieważne. - Odwróciła się.

Jak powinien czuć się człowiek, któremu zawalił się cały świat? Dziwne, bo ona nie czuła niczego, tylko lodowatą pustkę.

- A co niby było na tych rysunkach takiego ważnego?

- Morderstwo - odparła z ręką na klamce. - Wojtek narysował scenę zabójstwa, tylko nikt nie potrafił tego dostrzec.

9

- Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, ja będę mówił, a ty tylko słuchaj - powiedział Bogusz do dziewczyny, która uparcie patrzyła w okno. - Kiedy miałaś sześć lat, chodziłaś w wakacje do szkoły Róży Luksemburg. Tam poznałaś Wojtka Kapuściaka, Pawła Kurzeję i Szymka Szrtiajdziańskiego. Opiekował się wami pewien sympatyczny mężczyzna, który

kazał się nazywać Kartoflanym Człowiekiem, zabierał was do lasu i wymyślał różne gry. Między innymi bawiliście się w polowanie na potwora, zgadza się? Potwór was straszyl, wy strzelaliście do niego z pistoletu na kapiszony, a wtedy on dramatycznie umierał. Rolę potwora odgrywał inny mężczyzna i był w niej całkiem przekonujący. Pewnie nawet nosił maskę, żeby wyglądać groźniej, co?

Blanka potrząsnęła głową i powiedziała coś cicho.

- Słucham? Musisz mówić głośniej.

- Rysował nam - wymamrotała. - Na początku Kartoflany Człowiek rysował nam na kartkach potwora, a potem przyprowadził tamtego drugiego mężczyznę i powiedział, że to jest właśnie ten potwór. Wcale nie wyglądał jak na rysunku i zaczęliśmy się śmiać, a wtedy Kartoflany Człowiek powiedział, że nieważne, jak ktoś wygląda na zewnątrz, że tak naprawdę ten człowiek w środku jest cały brzydki. A potem poszliśmy do lasu...

- I wyobrażaliście sobie, że polujecie na prawdziwego potwora - uzupełnił Bogusz.

Blanka jedynie wzruszyła ramionami.

- To nie była wasza wina - wtrąciła sierżant łagodnie. - Nie chcieliście zrobić nic złego i nikt nie ma do ciebie pretensji. Nikt w ogóle nie musi wiedzieć, że byliście tam wtedy, rozumiesz? - dodała pod wpływem nagłej intuicji. - Ani twoje koleżanki, ani siostry zakonne nigdy się nie dowiedzą. To Kartoflany Człowiek jest mordercą, nie ty.

Dziewczyna pochyliła głowę, jej twarz przesłoniły rozpuszczone mysie włosy. Po chwili na blat dziecięcego stolika w kolorze wścieklej żółci kapnęły dwie wielkie łzy.

- I złapiemy go, jeśli nam pomożesz - zapewnił Bogusz. - Wiesz, jak Kartoflany Człowiek naprawdę się nazywa? Pamiętasz, jak wyglądał? Potrafiłabyś rozpoznać go na zdjęciu?

Każdemu pytaniu towarzyszyło potrząśnięcie głową.

- Chybabym go teraz nie poznała - oznajmiła Blanka z ociąganiem, wycierając nos. - To dawno było, pamiętam tylko, że był wysoki. Ale wiem, jak się nazywała dziewczyna, która czasem przychodziła, kiedy się bawiliśmy.

- Tak?

- Kartoflany Człowiek i tamten drugi mówili na nią Ala.

10

- Maria! - Alicja otworzyła drzwi. - Co ty tu robisz? Wejźdź, zrobię ci kawy.

- Wolę porozmawiać na zewnątrz.

- Dlaczego? - Młodsza kobieta zmarszczyła brwi. - Dziwnie się zachowujesz, Mario.

- Wyjźdź na chwilę do ogrodu, proszę.

Ala westchnęła.

- W porządku. Daj mi pół minuty.

Przymknęła drzwi, a Maria odsunęła się, by objąć dom spojrzeniem. Nad wejściem paliła się lampka, której światło wydobywało z mroku rozrosłe krzewy róż i nagie pnącza winobluszczu, które pięły się do okna na pierwszym piętrze. Dlaczego wcześniej tego nie widziała? Była ślepa, podczas gdy prawda znajdowała się tuż pod jej nosem.

Alicja wyszła, narzucając w pośpiechu płaszcz na sukienkę w kwiatki. Na nogach miała niezawiązane sportowe buty, które pasowały raczej do spodni.

- Co się dzieje?

- Dlaczego zabrałaś rysunki z domu Ryśka?

- Słucham? - Ala zamrugęła.

- Obrazki, których szukałyśmy dzisiaj rano. Mówiłaś, że niczego nie znalazłaś, ale to nieprawda. Trafiłaś na nie w jakiejś szafie, ale nie mogłaś zabrać ich ze sobą, bobyśmy się zorientowały, więc wróciłaś później, wybiłaś szybę i weszłaś przez okno.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Tylko ty wiedzięłaś, że Rysiek ma rysunki, a złodzieja nic innego nie interesowało.

- Iwona też wiedzięła - poprawiła łagodnie Ala.

- Owszem, ale ona cały czas była z nami na rynku. Ty zniknęłaś, kiedy tylko wyszłyśmy z mieszkania Ryśka. Dlaczego je ukradłaś, Alicjo? Kto cię o to prosił? Nie okłamuj mnie. Po

tym wszystkim, co razem przeszliśmy, zasługuję przynajmniej na prawdę.

Młodsza kobieta w milczeniu potrząsnęła głową. Maria pod wpływem impulsu wzięła ją za rękę, tak lodowatą, że Maria wyczuwała zimno przez cienką wełnę rękawiczek. „Znowu marzną jej dłonie” - pomyślała bezsensownie. Ona też czuła chłód, zupełnie jednak niezwiązany z temperaturą otoczenia.

- Dopiero teraz to zauważyłam. - Skinęła głową w stronę ściany, po której pięły się zeschnięte pnącza winobluszczu.

- Niczego tam nie ma.

- Teraz nie. Ale wiosną i latem cały dom musi być pokryty zielonymi liśćmi, mam rację?

- Zielony Dom - powiedziała Ala bezbarwnym głosem. - W którym mieszka potwór.

- W którym mieszka potwór - potwierdziła Maria. - Widziałam ten dom na zdjęciach, ale nie potrafiłam rozpoznać, na co właściwie patrzę. Zaskakujące, jak bardzo ogród jesie- nią różni się od tego samego ogrodu zimą, zwłaszcza dla kogoś, kto kompletnie nie zna się na ogrodnictwie. Powinnam domyślić się znacznie wcześniej. Może nawet wtedy, kiedy powiedziałaś mi, że „Maria” znaczy „ukochana przez Boga”.

- Nie rozumiem.

- Nie wymyśliłaś tego sama, prawda? Powiedział ci to ktoś, kto interesuje się znaczeniem imion, kto wie na przykład, że „Blanka” znaczy „biała” albo właśnie „jasna”.

- Przestań. - Alicja odwróciła twarz, światło lampy nad wejściem padło na jej miękkie, niemal dziecięcy policzek i podkreśliło długie rzęsy.

„Jaka ona jest piękna - pomyślała Maria. - Myślałam, że tylko ładna, ale to coś więcej, to prawdziwe piękno”.

- Gdzie jest Piotr?

- Piotr?

- Twój brat Piotr - wyjaśniła cierpliwie Maria. Zdumiewał ją własny spokój. Powinna była krzyczeć i mdleć. Powinna umrzeć z rozpacz i przerażenia.

- Na górze, w swoim pokoju. Dałam mu silny środek nasenny i teraz śpi.

Maria skinęła głową.

- Powinnam była pamiętać - powiedziała. - O tylu rzeczach
powinnam była pamiętać. Na przykład o tym, że Asia miała
bujną wyobraźnię. Wszyscy szukali potwora, którego
dziewczynka mogła zobaczyć, a nikt nie pomyślał, że dziecku z
taką fantazją wystarczy cokolwiek, na przykład widok
człowieka ukrywającego się przed innymi, żeby wyobraziło
sobie straszne monstrum. Nigdy nie było żadnego potwora, nie
tak naprawdę.

- Mylisz się - powiedziała Ala. - Chodź, pokażę ci i wszystko
wyjaśnię.

Maria nie ruszyła się z miejsca.

- No chodź. - Młodsza kobieta pociągnęła ją za rękę. -
Naprawdę sądzisz, że w moim domu mogłoby cię spotkać coś
złego? Wejdz, jest zimno, a ty się cała trzęsiesz.

To była prawda, Maria dopiero teraz uświadomiła sobie, że
rzeczywiście dygocze jak w ataku febry.

- Ja zresztą też zaraz zamarznę. Nie wzięłam rękawiczek, ręce
mam całe lodowate.

To też była prawda. Palce dziewczyny przypominały sople.

- Chodź. - Otworzyła drzwi i Maria przekroczyła próg.

11

Bogusz zwolnił, bo po zmroku znowu chwycił mróz i zrobiło
się ślisko, ale chwilę później, nie zważając na
niebezpieczeństwo, wdepnął pedał gazu. Ulice były niemal
puste, choć z knajp, które mijali, wylewały się potoki światła i
od czasu do czasu dobiegały chóralne śpiewy. Na jednym z
przystanków zatrzymał się autobus, a pijak, dotąd kurczowo
ściskający latarnię, puścił ją, po czym z godnością wtoczył się
do wnętrza pojazdu. Sierżant przemknęło przez głowę, że jutro
pół miasta pójdzie do pracy na ciężkim kacu, a potem wróciła
myślami do śledztwa.

- Morderca bardzo ryzykował - uznała, kiedy porucznik mijiał
autobus.

- Dlaczego? Pomyśl: był odpust, strzelały kapiszony, mnóstwo

dzieciaków biegało z plastikową bronią. Komu przyszłoby do głowy, że jeden z tych pistoletów może być prawdziwy? Ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. Poza tym sześciolatek nikt nie słucha. Sześciolatekowi, jeśli opowiada o zabijaniu potworów, daje się co najwyżej w skórę, żeby przestał gadać głupoty i zajął się czymś pożytecznym. To właśnie łączyło te dzieci: wszystkie były pod opieką dorosłych, którzy mieli je gdzieś.

- Matka Blanki uwierzyła córce.

Bogusz wzruszył ramionami.

- Nigdy nie ma tak, żeby plan wypalił w stu procentach. Ale drań był sprytny. Założę się, że zadbał nawet o to, żeby jego podopieczni zgodnie z rejonizacją byli przypisani do różnych podstawówek. To idealna sytuacja: kończyły się wakacje, a z początkiem września dzieci miały zacząć szkołę, każde inną. Nowe doświadczenia, nowi koledzy... Kto by po paru tygodniach pamiętał, co się wydarzyło w wakacje?

- Dziwne, że Stopyra dobrowolnie dał się wciągnąć w zabawę - zauważyła Beata. - Czytałam akta i z nich wynika, że chłopak był typowym wakacyjnym podrywaczem, którego interesowały głównie imprezy i panienki. Nie sądzę, żeby ktoś taki chętnie odgrywał potwora przed grupą przedszkolaków.

- Może chciał się przypodobać jakiejś dziewczynie? - Bogusz skręcił w ulicę, przy której stała komenda.

Sierżant widziała już z okien samochodu jasno oświetlony budynek.

- Niektóre panienki lecą na facetów, którzy lubią dzieci.

Zwolnił, Beata położyła rękę na klamce. W tym momencie porucznik wdepnął pedał gazu, ruszając gwałtownie do przodu. Sierżant wrzasnęła, kiedy zimne powietrze uderzyło ją w twarz, a otwierające się drzwi omal nie wywlokły jej na zewnątrz.

- Zwariowałaś? - Wychylając się niebezpiecznie, pociągnęła drzwi do siebie i zamknęła. - Kompletnie ci odbiło?

- Alicja. - Bogusz minął wejście do komendy.

Po schodach ktoś właśnie wchodził i Beata z nieprzyjemnym uczuciem w żołądku uświadomiła sobie, że to prawdopodobnie podpułkownik Derkacz.

- Słyszałem to imię wcześniej. Czy któraś z nauczycielek

Wojtka i Asi tak się nie nazywa?

- Nie - odparła z całą stanowczością, choć jej to imię też odlegle z czymś, czy raczej kimś, się kojarzyło. Dałaby sobie rękę uciąć, że przez śledztwo przewinęła się jakaś Alicja. - Gdzie ty, kurwa, jedziesz? - Rzadko klęła, ale w tym momencie nie potrafiła się powstrzymać.

- Podaj mi notatnik ze schowka.

- Gdzie jedziesz?

- Notatnik.

Zacisnęła wargi i sięgnęła do schowka. Bogusz usiłował przewracać kartki, drugą ręką trzymając kierownicę i patrząc jednocześnie na drogę oraz na zapisane strony. W końcu się poddał i zwrócił notes Beacie.

- Znajdź mi adres dyrektorki szkoły, do której chodzili Wojtek i Asia. Czesława Sroka, jakoś tak.

- Sikora - warknęła sierżant, która miała dobrą pamięć do nazwisk. - Niepodległości 5.

- W porządku. - Zgrabnie skręcił na południe. - Mam nadzieję, że będzie w domu. Ona powinna wiedzieć, kto zajmował się dziećmi na półkoloniach i brał potem udział w otwarciu nowej sali gimnastycznej.

- Nie powinniśmy po prostu obejrzyć zdjęć z tej imprezy? Jeśli masz rację, morderca musi na nich być.

- Wiem, ale archiwum gazety i tak jest teraz zamknięte.

Samochód z coraz większą prędkością pokonywał kolejne zakręty, podczas gdy sierżant Drzymała modliła się, żeby Czesława Sikora była w domu. I żeby pamiętała nazwisko nauczyciela, który tamtego lata opiekował się grupą sześciolatków.

Dyrektorka otworzyła im drzwi wystrojona, w makijażu, eleganckiej garsonce i z butami na wysokim obcasie, które trzymała w rękach. Widać wróciła właśnie z festynu i jeszcze nie zdążyła się przebrać.

- Chcemy zadać pani parę pytań. - Bogusz bezceremonialnie wpakował jej się do mieszkania.

- Mam nadzieję, że to nie zajmie dużo czasu? - Gospodyni spojrzała na zegarek z takim niepokojem, że Beata zmieniła

zdanie: Czesława Sikora nie wróciła, tylko właśnie miała wychodzić.

- Kilka minut - zapewnił porucznik. - Pamięta pani, kto opiekował się dziećmi podczas organizowanych w szkole półkolonii latem siedemdziesiątego siódmego roku? I kto potem brał udział w otwarciu nowej sali gimnastycznej 31 sierpnia?

Kobieta zamrugła zdziwiona.

- Nie bardzo, to było dawno temu. Poza tym półkolonie organizowaliśmy nie tylko tamtego roku, ale kilka lat pod rząd, ostatnie chyba w siedemdziesiątym dziewiątym. Sporo nauczycieli zajmowało się wtedy dziećmi, zaraz... Na pewno Karol Górny i chyba Ewa Baran...

- Kto jeszcze? - naciskał porucznik.

- Nie pamiętam, naprawdę.

- Może ma pani zdjęcie?

- W domu nie, ale w szkole jest księga pamiątkowa, w której...

- W porządku, pojedziemy do szkoły.

Zacisnęła usta.

- Spiesz się w niezwykle ważnej prywatnej sprawie...

- Cokolwiek to jest, będzie musiało poczekać do jutra. Teraz proszę włożyć buty i zabrać klucze do szkoły. Ma pani klucze, prawda?

Sikora spojrzała na sierżanta, szukając zrozumienia, ale Beata nic nie mogła zrobić. Żalowała trochę tej kobiety, jednak śledztwo nie mogło czekać.

- Postaramy się nie zająć pani dużo czasu. - To było wszystko, co mogła obiecać.

Dyrektorka poddała się i z kwaśną miną wsunęła stopy w buty, a potem włożyła płaszcz. Gdy dotarli pod szkołę, wyłowiła z torebki pęk kluczy i otworzyła drzwi. Echo ich kroków odbijało się od ścian w pustych korytarzach, świetlówki bzycały nad głowami. Za szklaną gablotą stały puchary zdobyte przez uczniów w zawodach sportowych, wyżej wisiały dyplomy. W powietrzu unosiła się woń kurzu zmieszana z wciąż jeszcze wyczuwalną nutą dziecięcego potu. Beata czuła się trochę nieswojo: ten budynek powinien tętnić życiem, a

tymczasem sprawiał wrażenie wymarłego.

Sikora zaprowadziła ich na pierwsze piętro do pokoju nauczycielskiego, wyjęła z szafy wielki album i położyła go na stole.

- Siedemdziesiąty siódmy, lato - mruzczała. - O, to będzie tu. Najstarszą grupą zajmowała się Ewa Baran, ma ją pan na zdjęciu, proszę. Obok Karol Górny i Staszka Mederska...

- Nikogo o imieniu Alicja?

- Ma pan na myśli Alę Danielewską? Wtedy jeszcze u nas nie pracowała, miała zacząć od września. Ale owszem, czasem wpadała i bawiła się z dziećmi. Ma do nich podejście, to chyba rodzinne. - Kobieta zakłopotana się lekko. - Mam nadzieję, że nie zamierza nam pan zarzucić, że zatrudniamy opiekunów bez uprawnień. Mogę zapewnić, że...

- Niczego pani nie zarzucam. Zna pani adres Alicji Danielewskiej?

- Mieszka z bratem gdzieś przy Waryńskiego.

Bogusz zawahał się, spojrzał na Beatę, a potem na dyrektorkę.

- To wszystko - powiedział. - Dziękujemy za pomoc.

- Nie odwiezicie mnie państwo do domu?

- Niestety nie. Śpieszymy się. Może pani skorzystać z komunikacji miejskiej, jeszcze jeżdżą autobusy.

Gdy kobieta szła w stronę drzwi, podzwaniając kluczem, wyglądała, jakby nagle przybyło jej kilka lat.

- Przykro mi - powiedziała Beata, myśląc o tej „niezwykle ważnej prywatnej sprawie”, która prawdopodobnie znajdowała się teraz pięć kilometrów stąd.

Nie doczekała się odpowiedzi.

12

W mieszkaniu było gorąco, aż Maria na chwilę straciła oddech. Zaraz zdjęła płaszcz, lecz sweter, który włożyła rano z myślą o całym dniu spędzonym na dworze, i tak grzał niemiłosiernie. Alicja przykryła kaloryfer, a potem podeszła do szafki i wyjęła z niej grubą kopertę. Były w niej stare zdjęcia, niektóre jeszcze sprzed wojny, inne zrobione chyba na

początku lat pięćdziesiątych. Maria rozpoznała matkę Ali, młodszą niż na ślubnym portrecie, który wisiał w pokoju. Na jednej fotografii kobieta śmiała się w kawiarni otoczona wianuszkami przyjaciółek uczesanych i ubranych zgodnie z modą sprzed kilkadziesiąt lat, na drugiej siedziała przed jakimś gotyckim kościołem i tuliła do siebie kilkuletniego chłopca. Na kolejnej znajdował się sam chłopiec, upozowany w atelier na tle namalowanych pastelowymi kolorami gór. Jego twarz była znajoma, ale Maria nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo w rękę trzymała już następne zdjęcie, na którym matka Ali stała obok zgarbionego mężczyzny. Jego twarz... Maria wzdrygnęła się odruchowo. Twarz mężczyzny pokryta była ciemnymi guzowatymi naroślami; największa miała wielkość śliwki i zwisała nad prawym okiem, z lewej strony rysy rozlewały się, jakby spływając pod wpływem gorąca, nos przypominał niekształtną bulwę.

- Kartoflany Człowiek - szepnęła.

Kolejne kawałki układanki wsuwały się na swoje miejsce. Maria rozmawiająca z przyjaciółką o jej rodzinie, pytająca: „A ojciec?“, i odpowiedź Alicji: „Mój?“. Już wtedy mogła się domyślić, że Ala i Piotr są przyrodnim rodzeństwem. Tyle drobiazgow, na które powinna zwrócić uwagę.

- Dzieci się go bały - powiedziała Ala miękko - ale on nie był zły.

- Nie znałaś go.

- Ja nie, ale Piotr tak. Jego ojciec był uroczym, sympatycznym człowiekiem, jeśli tylko dało mu się szansę.

- Tyle że ludzie rzadko mu ją dawali, prawda?

Ala przygryzła wargę i skinęła głową.

- Mama mi opowiadała, że było sporo nieprzyjemnych incydentów. Wiesz, kamienie wrzucane przez okna, napisy na ścianach, tego typu rzeczy. A on coraz bardziej unikał ludzi, aż wreszcie całkiem zdziwaczał. Wtedy poznała w pracy mojego tatę i zaczęła się z nim spotykać. Nie oceniam jej. Myślę, że na swój sposób do końca kochała ojca Piotra, ale chyba nie potrafiła już z nim żyć.

Maria spojrzała na roześmianą dziewczynę w kawiarni. Była

elegancko ubrana i umalowana, pełna życia, w zawadiacko przekrzywionym kapeluszu. Tak bardzo podobna do Ali. Dlaczego w ogóle zdecydowała się wyjść za męża? Może choroba jej wybranka nie była wtedy jeszcze tak zaawansowana, a może widziała siebie w roli Pięknej, która pokochała potwora i siłą miłości pokona wszystkie przeszkody? Lecz życie to nie bajka, a kilkanaście lat spędzonych z człowiekiem, którego boi się i nienawidzi całe miasto, mogło złamać nawet najbardziej optymistyczną naturę.

- Dla ojca Piotra to był ostateczny cios - ciągnęła Ala. - Wtedy wyprowadził się do lasu i zamieszkał w szałasie, który sam zbudował. Poznałaś go tam.

- Mówił o potworach - przypomniała sobie Maria. - Uczył mnie strzelać, żebym mogła je zabijać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Ludzie byli dla niego potworami. Poza tym mówiłam ci, że na starość mocno zdziwaczał. Ale nie zrobiłby krzywdy żadnemu dziecku.

- Tak mówił ci brat?

- Tak mówił mi brat.

- On nie choruje na to samo co jego ojciec, prawda? - Maria zmarszczyła brwi, myśląc o przystojnym Piotrze. Trudno było uwierzyć, że to dziecko Kartoflanego Człowieka. - Czy on też jest w jakiś sposób... zniekształcony?

Ala potrząsnęła głową.

- Jego problem tkwi w psychice - wyjaśniła z ociąganiem. - To choroba dziedziczna i Piotr przez całe życie bał się, że prędzej czy później i jego dopadnie. Jak byłam mała, potrafił przez całe godziny wystawać przed lustrem i szukać pierwszych przebarwień, a kiedy znajdował jakiś pryszcz czy krostkę, wpadał w histerię. Mama próbowała go uspokajać, prowadziła do lekarzy, którzy tłumaczyli, że nic mu nie dolega, ale...

- Ale on nie wierzył i było z nim coraz gorzej - dokończyła Maria - aż wreszcie w pewnym momencie przestał w ogóle wychodzić z domu.

- Piotr nie znosi, kiedy ludzie widzą jego twarz. Taka fobia. Nie wiesz, ile go kosztowało, żeby się przełamać i pokazać

tobie. Dla nikogo innego by tego nie zrobił. - Alicja spodziewała się chyba, że przyjaciółka to doceni, jednak Maria była zbyt zamyślona, by zauważyć jej proszący wzrok.

- Słyszałam, że twój brat ma grupę inwalidzką, ale nie przyszło mi do głowy, że rentę można też dostać z powodu problemów psychicznych, niekoniecznie trzeba być fizycznym kaleką - powiedziała. - Gdybym słuchała plotek, gdybym kiedykolwiek po prostu zapytała, co właściwie Piotrowi dolega, prawdopodobnie już dawno bym wiedziała. Ale mnie obchodziło tylko własne nieszczęście, nigdy nie zwracałam uwagi na to, co mówią ludzie. A Piotr jest wystarczająco sprawny, żeby zabić trójkę dzieci. Zwłaszcza że teraz bez większych problemów mógł wyjść na zewnątrz. Jest zima, szybko zapada zmrok, jeszcze do niedawna sypał śnieg. Ktoś, kto w taką pogodę chodzi pochylony, zasłaniając twarz, nie wzbudza żadnych podejrzeń.

- Nie. - Ala uparcie kręciła głową. - Nie rozumiesz. Piotr nie mógłby nikogo skrzywdzić.

- Prosił cię, żebyś zabrała obrazy z domu Ryśka, tak? Co ci powiedział?

- Tylko tyle, że to ważne, że muszę się pośpieszyć, a on wszystko mi później wytłumaczy - wyjaśniła niechętnie. - Ale kiedy wróciłam, źle się czuł, więc nie chciałam już o nic pytać, tylko dałam mu tabletkę, żeby się trochę przespał.

- Co zrobiłaś z tymi obrazami?

- Spaliłam je za domem, tak jak mnie prosił.

- Nie spojrziałaś na nie?

- Nie. Wrzuciłam po prostu wszystkie w ogień. Ale tam nic nie było! - Ala podniosła głos. - Nie mogło być! Znam Piotra i wiem, że nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić!

- W takim razie dlaczego kazał ci zniszczyć rysunki?

- Nie mam pojęcia! Kiedy się obudzi, możemy go zapytać. Na pewno...

- Nie bądź naiwna, Alicjo. - Maria złapała ją za ręce. Mimo czasu spędzonego w nagrzanym pokoju palce dziewczyny nadal były lodowate. - On zabił już wcześniej, osiem lat temu. Dzieci były świadkami, tak jak zakładałyśmy, a potem o wszystkim

zapomniały. Dopiero niedawno Wojtek sobie przypomniał. Może dlatego, że był u ciebie. Pamiętasz? Mówiłaś, że zaprosiłaś go na herbatę, żeby porozmawiać. Musiało się wtedy zdarzyć coś, co pobudziło jego pamięć. Opowiadałaś bratu o rysunkach, które będą wystawione na stoisku, o tym, że Rysiek wysłał je do oprawy, mam rację? Wspomniałaś kiedyś, że o wszystkim mu mówisz.

- To nonsens. Piotr miałby zabić te dzieci z powodu jakichś rysunków? Dlaczego?

- To, co na nich było, dla przeciętnego człowieka nie miało znaczenia, ale gdyby zobaczyli je Paweł czy Blanka, też mogliby sobie wszystko przypomnieć. Piotr nie mógł do tego dopuścić.

- Przestań.

- Posłuchaj mnie...

- Nie chcę! - Alicja zakryła uszy rękami.

- Cicho, bo go obudzisz. Pójdziemy razem na milicję i...

- I co? Powiemy im, że Piotr jest mordercą, ponieważ tak wyedukowałaś na podstawie rysunków?! Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi? Już i tak ludzie uważają cię za wariatkę, nie...

Dźwięk dzwonka do drzwi przerwał jej w pół zdania. Alicja zamarła, Maria wstrzymała oddech. Serce waliło jej w piersi, jakby za chwilę miało połamać żebra. Pomyślała, że to zupełnie bez sensu - niebezpieczeństwo znajdowało się na piętrze, a nie za drzwiami. Ala podeszła do okna i uchyliła firankę.

- Milicja - szepnęła.

Maria odetchnęła i już ruszyła w stronę drzwi, kiedy dziewczyna złapała ją gwałtownie.

- Pozwól mi najpierw z nimi pomówić, proszę. Piotr jest jedynym krewnym, jakiego mam, rozumiesz? Daj mi pięć minut, potem powiemy im, co tylko chcesz.

Oszołomiona Maria skinęła głową.

13

Czy to nie blok, w którym mieszka Stenzel? - Beata przetarła zaparowaną boczną szybę. - I nasz samochód? Zatrzymaj się!

- Nie mamy czasu.

- To może być ważne.

Bogusz zaklął i zjechał na pobocze. Sierżant wysiadła, w samą porę, żeby złapać Krupę, który zmierzał właśnie do milicyjnego poloneza.

- Co się dzieje?

- Włamanie było. - Krupa skinął głową porucznikowi. - W mieszkaniu Ryszarda Stenzela, Karol Górny zgłosił. Na szczęście chyba nic nie zginęło.

- Chyba? - Bogusz myślni był już przy Waryńskiego, szukając domu Alicji Danielewskiej.

- Podobno Maria Lenarczyk upierała się, że złodziej ukradł obrazy.

- Jakieś antyki? - Porucznik usiłował sobie przypomnieć, czy widział coś takiego w mieszkaniu Stenzela. Nie znał się na sztuce, ale mógłby się założyć, że nauczyciel niczego cennego nie miał.

- Nie, zwykle obrazki. Uczniów znaczy. Takie, jakie się rysuje na lekcjach plastyki. - Zajrzał do notatek. - Miały być wystawione na Dniach Miasta, więc Stenzel wysłał je w imieniu szkoły do oprawy, ale przesyłka się spóźniała. Dopiero...

Porucznik odebrał mu notes i przebiegł wzrokiem po zapisanych stronach. W końcu uniósł głowę i spojrzał najpierw na pełną napięcia twarz Beaty, a potem na zakłopotanego Krupę.

- Gdzie jest teraz Karol Górny?

- Puściłem go, bo mówił, że żona czeka...

- A Maria Lenarczyk?

- Poszła, jeszcze zanim Górny zadzwonił do nas.

- Dokąd?

Krupa wzruszył ramionami.

- Nie wiem, pewnie do domu. Późno jest.

- I mówiła, że na jednym z obrazków była narysowana scena morderstwa, tak?

Sierżant skinął głową, jeszcze bardziej zakłopotany.

- Jakoś tak, ale Górny pewnie się pomylił. Może powiedziała...

- Myślę, że powiedziała dokładnie to. - Bogusz przeniósł wzrok na Beatę. - Chodź, nie mamy dużo czasu.

- To ma dla ciebie sens? - zapytała dziewczyna, gdy z powrotem znaleźli się w samochodzie, zmierzając w stronę Waryńskiego.

- Owszem.

- Myślisz, że Wojtek narysował śmierć Stopyry?

Bogusz skinął głową.

- A Stenzel miał ten rysunek w rękach i niczego się nie domyślił? - Mina Beaty była pełna wątpliwości.

- Dlaczego miałby się czegokolwiek domyślać? Nie sędzę, żeby na tym obrazku było wyraźnie widać morderstwo, pewnie większość ludzi mogłaby zinterpretować go jako „zabawę w lesie” albo coś w tym rodzaju. Ale dla tych, którzy brali udział w zabójstwie, rysunek miał zupełnie inne znaczenie. Gdyby został wystawiony na Dniach Miasta, każdy mógłby go obejrzeć. Paweł, Blanka, Szymek... Dlatego musieli umrzeć, rozumiesz?

- Czy to nie przesada? Zabić dziecko tylko po to, żeby nie zobaczyło jakiegoś obrazka? Nie wystarczyłoby usunąć samych rysunków?

- Paczka była nie wiadomo gdzie, a co gorsza, w każdej chwili mogła się odnaleźć i jednak dotrzeć do celu. W dodatku nie tylko Stenzel mógł ją odebrać, skoro została wysłana w imieniu całej szkoły. Poza tym morderca nie miał pewności, że to jedyny rysunek. Może bał się, że u Wojtka w domu jest ich więcej, a któryś nauczyciel wpadnie na pomysł, żeby urządzić wystawę prac utalentowanego plastycznie tragicznie zmarłego ucznia? Założę się też, że facet od pewnego momentu miał już niezłą paranoję: jeśli idiota Wojtek przypomniał sobie wydarzenia sprzed ośmiu lat, to co z pozostałymi dziećmi? Tymi zdecydowanie bardziej inteligentnymi? Wojtkowi raczej nikt by nie uwierzył, gdyby nagle zaczął opowiadać, że kiedyś w lesie zastrzelił człowieka, ale jeśli coś takiego powiedziałby Paweł? Albo Blanka? Dawniej ich też by zlekceważono, ale teraz, kiedy mieli po czternaście lat? Zwłaszcza gdyby przypomnieli sobie szczegóły?

- A co z Asią? Jak ona do tego wszystkiego pasuje?

- Nie wiem - przyznał Bogusz z niechęcią. - Wydaje mi się, że dziewczyna zginęła w jakimś sensie przez przypadek.

- Morderca się pomylił?

- Może. A może po prostu dowiedziała się czegoś od Wojtka, skoro chodziła z nim do jednej klasy, a potem chciała szantażować zabójcę.

- Dlaczego miałyby to robić? Taka wzorowa uczennica, same piątki z góry na dół?

- Wzorowa uczennica, która była znana ze zwariowanych pomysłów, pamiętaj o tym. Może jej się wydawało, że to będzie świetna zabawa? Zresztą mniejsza z tym, na razie skupmy się na szukaniu domu Alicji. Miała być ulica Waryńskiego?

Beata przytaknęła.

- To jesteśmy na miejscu. - Porucznik zaparkował przy krawężniku. - Wsiądź i zapytaj kogoś.

Posłusznie wysunęła się z auta i ruszyła w dół pustej ulicy. Po jednej i po drugiej stronie wznosiły się kwadratowe domki jednorodzinne z żółtego piaskowca. Brzydkie, ale solidne powojenne budownictwo, zadbane ogródki i solidne płoty. Tylko dziurawy chodnik psuł dobre wrażenie. Sierżant weszła właśnie w jedną z wielkich ciemnych kałuż i natychmiast poczuła, jak pod jej stopą z cichym trzaskiem pęka lód. Cofnęła się, ale za późno - zimna woda już wlała się do buta. Z czarnego nieba zaczął sypać śnieg, płatki opadały wolno, wirując w świetle zakurzonych latarni. Za jednym z płotów rozszczękał się doberman, ślepią płonęły w mroku, a z gardła wydobywał się chrapliwy warkot. Modląc się, żeby ogrodzenie wytrzymało napór olbrzymiego cielska, Beata minęła tabliczkę z napisem: „Uwaga! Zły pies!”, przeszła jeszcze jedną przecznicę i trafiła na piwiarnię Trzy Karty. W środku paliło się światło, a przez zaciągnięte żaluzje widziała, że ktoś się tam krząta.

Zapukała.

- Zamknięte! - odpowiedział opryskliwy głos. - Czytać nie umie? Kartka na drzwiach wisi!

- Z milicji jestem, chciałam o coś zapytać.

Drzwi uchyliły się i w szparze rozbłysło ciekawskie spojrzenie.

- A co, okradli u nas kogo? - W głosie kobiety brzmiało tyleż

zaniepokojenie, co niezdrowa fascynacja. - A może zamordowali?

- Chciałam zapytać o adres Alicji Danielewskiej. Zna ją pani?

- Znam. Co mam nie znać? - Kobieta wyglądała na rozczarowaną trywialnością pytania. - Pod czternastką mieszkają. W dół ulicy pani pójdzie, dom po lewej. A co, przeszkrobała coś, że milicja ją nachodzi?

- Dziękuję za pomoc. - Sierżant nie fatygowała się, żeby odpowiedzieć na pytanie.

Pięć minut później stali już przed numerem czternastym. Bogusz zadzwonił i czekał, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. W oknie na parterze uchyliła się firanka, ale do drzwi nadal nikt nie podchodził.

Porucznik jeszcze raz nacisnął dzwonek i dopiero teraz doczekał się efektu - w progu stanęła jasnowłosa wyraźnie zdenerwowana dziewczyna.

- Alicja Danielewska? - zapytał dla formalności.

- Tak. Coś się stało?

- Musimy z panią porozmawiać. Możemy wejść?

- Nie, proszę, nie. Mój brat jest chory i śpi, nie chcę go budzić. Wyjdę do państwa, dobrze?

Wróciła po chwili w za dużym płaszczu pośpiesznie narzuconym na ramiona. Wydawała się w nim jeszcze drobniejsza, prawie jak dziecko. Oczy miała wielkie i błękitne, rozszerzone strachem.

- Słucham?

- Latem siedemdziesiątego siódmego roku zajmowała się pani uczestnikami organizowanych przez szkołę półkolonii, zgadza się?

- Ja... tak, chyba tak. Nie pamiętam dokładnych dat.

- I poznała tam pani Łukasza Stopyrę?

- Tego chłopaka, który potem zginął?

- Tak.

- Trochę nam pomagał, ale nie znałam go dobrze. Czemu mnie pypujecie? Ja nic nie wiem!

„Dlaczego ona się tak denerwuje?”, zastanawiała się sierżant. Dziewczyna wyglądała, jakby z każdą sekundą znajdowała się

bliżej skraju hysterii. Może należała do osób, które panikują przy każdym kontakcie z władzą, jednak Beata z jakiegoś powodu nie była zadowolona z tego wyjaśnienia.

Bogusz próbował zachować spokój.

- Którą grupą się pani opiekowała? Najmłodszą?

- Nie, chyba nie. W każdym razie nie wtedy. Miałam grupę dziewięcio-dziesięciolatków.

- A kto zajmował się maluchami?

- Nie pamiętam! Co to ma wspólnego ze śmiercią Łukasza?! Dlaczego mnie nachodzicie o takiej godzinie?! Nie jestem przestępcą!

- Nikt tak nie twierdzi.

- W takim razie czemu zadajecie te wszystkie pytania? Jakbym miała wiedzieć, kto go zabił. Jakbym... jakbym...

O to wam chodzi?! Myślicie, że ja... że mogłabym... - Krzyk przeszedł w urywany szloch.

- Spokojnie. Nikt panią o nic nie oskarża. - Beata wyciągnęła rękę, żeby pocieszyć płaczącą dziewczynę, nim jednak zdążyła to zrobić, Alicja odepchnęła ją gwałtownie.

- Wynoście się stąd!

Bogusz stracił cierpliwość.

- Jeśli natychmiast się pani nie uspokoi, porozmawiamy na komisariacie.

Zazwyczaj taka groźba działała jak kubał zimnej wody, jednak nie tym razem - Alicja odwróciła się gwałtownie i wciąż krzycząc: „Wynoście się!”, uderzyła drobnymi pięściami w tors Bogusza, a potem w jego twarz. Porucznik skrzywił się, bardziej ze złości niż z bólu.

- Mam tego dość - wyszczał przez zaciśnięte zęby, po czym zgrabnie chwycił dziewczynę, obrócił i skuł jej ręce za plecami.

- Pojedzie pani z nami. Może na komisariacie trochę pani ochłonie.

właściwie miałyby tłumaczyć? Zresztą Alicja prosiła, żeby została. Z drugiej strony takie chowanie się było przecież idiotyczne.

Wyślizgnęła się z pokoju i zatrzymała przy prowadzących na piętro schodach. Patrzyła jak zahipnotyzowana na drzwi wyjściowe, nie potrafiąc podjąć decyzji, bezradna i przerażona niczym uczennica obrywająca burę w gabinecie dyrektora. Dopiero kiedy milicjant warknął coś nieprzyjemnym tonem, a Alicja krzyknęła, odzyskała zdolność ruchu. Nim jednak chwyciła za klamkę, usłyszała za plecami odgłos cichych kroków. Nie zdążyła się odwrócić, nie zdążyła nic zrobić. Na jej usta spadła ciężka ręka, a druga objęła ją i unieruchomiła.

- Nie bój się - szepnął Piotr. - Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko porozmawiać.

15

Bogusz zaparkował na skraju lasu i otworzył drzwi.

- Porozmawiamy tutaj - oznajmił. - Proszę wysiąść.

Alicja Danielewska wygramoliła się z samochodu. Świeżo spadły śnieg rozmazywał się pod jej butami w błocie, z nieba wciąż sypały nowe płatki, osiadając na rzesach i gołej głowie dziewczyny. Od lasu ciągnął zimny, ostry zapach mokrej ziemi i butwiejącego drewna. Alicja zadrżała. W świetle samochodowych reflektorów jej oczy były jeszcze większe i jeszcze bardziej przerażone, niż Beata zapamiętała.

- Ja nic nie wiem, naprawdę - szepnęła.

„Myśli, że przywieźliśmy ją tutaj, żeby siłą wymusić zeznania”, uświadomiła sobie sierżant i czym prędzej zapewniła:

- Proszę się nie bać, chcemy tylko porozmawiać.

Alicja zamrugła nerwowo, najwyraźniej nieprzekonana.

Beata czekała na oczywiste pytanie: dlaczego w tym miejscu, a nie na komisariacie? Jednak dziewczyna milczała.

- Może teraz wysili pani pamięć i przypomni sobie, kto opiekował się najmłodszą grupą latem siedemdziesiątego siódmego roku. - Bogusz wyjął papierosa i zapalił. - Paweł

Kurzeja, Szymon Szmajdziński, mówią pani coś te nazwiska?

- Ja... Oczywiście, to ci zamordowani chłopcy.

- Pamięta ich pani z tamtych półkolonii?

Pokręciła głową.

- Wtedy przez szkołę przewijało się sporo dzieci, poza tym to było osiem lat temu. Ledwie przypominam sobie własną grupę, a co dopiero inne.

- Trochę dziwne, biorąc pod uwagę, że to była pani pierwsza praca - zauważył Bogusz. - Ja świetnie pamiętam swoje pierwsze śledztwo.

- Może po prostu ma pan lepszą pamięć niż ja? - Dziewczyna chyba zaczynała odzyskiwać równowagę, a przynajmniej nie trzęsła się już tak bardzo.

- A może pani coś ukrywa? - zgasił ją szybko Bogusz. - Jak dobrze znała pani Łukasza Stopyrę?

- Tyle, co inni. Przychodził nam pomagać i wtedy zamienialiśmy kilka słów.

- Dlaczego pani nie wierzę? I dlaczego chłopak z wielkiego miasta zajmował się w naszej dziurze dziećmiakami?

- Nie wiem, nie pytałam go.

- Może robił to, żeby zbliżyć się do pani?

- Nie.

- Jest pani pewna? Młoda, ładna dziewczyna i przystojny student z Poznania. Nie było niczego między wami?

- Nie. - Alicja uparcie kręciła głową.

- Może ktoś poczuł się zazdrosny, jakiś pani były chłopak? Karol Górny? Inny nauczyciel? Bo założę się, że znała pani większość, jeszcze zanim zaczęła pani pracę w szkole.

- Trochę znałam - przyznała z ociąganiem.

- Może to właśnie Karol Górny opiekował się najmłodszą grupą? Albo Ryszard Stenzel?

- Nie, nie sądzę. Maluchami musiała się zajmować któraś z nauczycielek, ale...

- Tak?

- Nigdy nie mieliśmy takiego sztywnego podziału. Często się zdarzało, że łączyliśmy grupy albo dzieliliśmy w zależności od tego, co kto chciał robić. Jeśli jakieś dziecko wolało bawić się w

światlicy zamiast na świeżym powietrzu, to nikt go nie zmuszał do wychodzenia. A Karol...

- Karol? - powtórzył Bogusz zachęcająco.

- Organizował różne zabawy, wie pan, gry sportowe i takie tam.

- I zabierał dzieci do lasu?

- Nie wiem, może czasem. Las jest niedaleko, a dzieci lubią się tam bawić.

Bogusz odciągnął Beatę na bok.

- Pasuje, prawda? W szkole jest trzech facetów. Jeden to staruszek pracujący od lat na pół etatu, więc nie biorę go pod uwagę. Zostają Górny i Stenzel, którego już prześwietililiśmy, i nic na niego nie mamy.

- To mógł być ktoś z zewnątrz, spoza szkoły. Albo nauczyciel, który już tam nie pracuje. - Beata powstrzymała się od wytknięcia porucznikowi, że powinien zapytać dyrektorkę, czy ostatnio ktoś się zwolnił albo przeszedł na emeryturę. Sama zresztą nie była bez winy, bo też mogła na to wpaść.

- Najprostsze rozwiązania zazwyczaj są tymi właściwymi. - Bogusz z każdą chwilą był coraz bardziej zniecierpliwiony. - I tak musimy przesłuchać Górnego...

- Czekaj!

- Na co? Nie wiem, czy wyciągniemy coś więcej z tej dziewczyny. Nie w takich warunkach.

- Daj mi chwilę.

Coś było nie tak, ale co? Zdenerwowanie Alicji od pierwszej chwili, kiedy otworzyła drzwi? Jej nagły brak pamięci? Jedno i drugie dało się wytłumaczyć. Nie, było coś jeszcze, coś związanego nie ze słowami dziewczyny, ale z jej wyglądem.

Sierżant przyjrzała się uważnie stojącej przy samochodzie postaci. Zgarbiona, w obszernym płaszczu, który sprawiał, że wyglądała jak potrzebujące opieki dziecko. Specjalnie tak się ubrała, żeby wzbudzać współczucie, czy może zwyczajnie złapała pierwsze okrycie, które wpadło jej w ręce, kiedy wychodziła przed dom?

„Jasny, krótki i taki jakby trochę damski. Z dwoma rzędami guzików i szerokim kołnierzem”.

- Skąd pani ma ten płaszcz? - zapytała ostro Beata. - Należy do pani?

Alicja spojrzała zdziwiona.

- Kupiłam go parę lat temu. Czemu pani pyta?

- Nie pasuje na panią.

- Wiem, ale to jedyny rozmiar, jaki był wtedy w sklepie. Pomyślałam, że lepszy taki niż żaden, ale potem na szczęście udało mi się kupić coś normalnego.

Gdy Beata odciągnęła Bogusza z powrotem na bok, Alicja odprowadziła ich niespokojnym spojrzeniem.

- O co ci chodzi? - zapytał porucznik.

- Ten płaszcz, pamiętasz? Coś takiego opisał nasz pierwszy świadek, ten fryzjer, który wyszedł na spacer z psem.

- Twoim zdaniem Danielewska jest mordercą? Daj spokój, popatrz na nią. To przecież chuchro.

- A płaszcz jest na nią za duży. Może nie ona go nosiła? Naprawdę uważasz, że zabójcą może być Karol Górny?

- Czemu nie?

- Facet wydaje się dość antypatyczny.

Bogusz parsknął.

- Mordercy powinni być mili?

- Ten akurat chyba jest. Przypomnij sobie, co mówiła Blanka. Jakoś nie widzę Górnego w roli kogoś bawiącego się z czwórką dzieci w zabijanie potwora.

- W takim razie kto?

- Alicja ma brata, a Sikora wspominała, że zdolność do radzenia sobie z dziećmiakami jest u nich rodzinna. Założyłam, że ma na myśli rodziców Alicji, ale może chodziło właśnie o brata? Co, jeśli on też pomagał przy tamtych półkoloniach?

- Nie jest chyba nauczycielem - zauważył porucznik.

- Stopyra też nie był.

- Dlaczego brat miałby nosić jej płaszcz?

Beata wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale wiesz, co mi przyszło do głowy? Że Alicja cholernie chciała, żebyśmy zabrali ją z domu. Ludzie zazwyczaj wolą rozmawiać z nami u siebie, a ona odwrotnie, od początku jakby świadomie zmierzała do tego, żeby wylądować

na komendzie. Cały ten wybuch, te wszystkie krzyki... Nie masz wrażenia, że chciała kogoś ostrzec, dać czas na ucieczkę?

Bogusz spojrział na nią, a potem zaklął tak głośno, że stojąca przy samochodzie Alicja wzdrygnęła się gwałtownie.

16

Piotr usiadł w fotelu i gestem wskazał Marii miejsce naprzeciwko. Niedawno siedzieli tutaj, pili herbatę i rozmawiali. Wtedy jednak brat Alicji nie miał tak smutnych oczu i nie nosił swetra, którego kieszeń wypychał kanciasty przedmiot. Nie musiała zgadywać, co to jest - Piotr sięgnął i położył na kolanach znajomo wyglądający pistolet, a potem uśmiechnął się przepaszająco.

- Pamiętka z wojny, jeszcze po moim ojcu - wyjaśnił. Nie kaszłał już, ale nadal miał katar, co jednak w żaden sposób nie czyniło go mniej niebezpiecznym. - Nie chcę ci robić krzywdy, musisz mnie tylko wysłuchać.

Marii przypomniał się film, który oglądała, gdy poprawiała sprawdziany. Ten, w którym kobieta błagała mężczyznę o litość, a on groził jej bronią. Nie pamiętała, czy wszystko skończyło się dobrze i czy bohaterka przeżyła.

- Nie boję się ciebie. - Słowa wymknęły jej się, nim zdążyła pomyśleć, ale mówiła prawdę: nie bała się, już nie.

Była odrętwiała, jakby to wszystko działo się obok niej, w filmie albo na scenie. Czowała ulgę i lekkie zawroty głowy. Być może czegoś takiego doznaje zdecydowany na skok samobójca, gdy staje na krawędzi dachu i patrzy w dół. Już po wszystkim. Żadnych więcej bezsennych nocy, kiedy nasłuchiwała, czy pod jej drzwi nie skrada się morderca, żadnego zastanawiania się, jak wygląda jego twarz. Prześladowający ją strach wreszcie wyszedł z mroku i siedział teraz w fotelu, z lekko zakłopotaną miną, w rudobrazowym swetrze z uśmiechniętym psem, który w sklepie mogła wybrać tylko kobieta. Chłopiec, który dawno temu w szalście trzymał ją za rękę, żeby nie bała się ciemności, a teraz dorosły mężczyzna, rozpieszczany przez młodszą siostrę i osaczony przez własne lęki. Człowiek, który tak rzadko

wychodził z domu, że nie miał nawet własnego zimowego płaszcza.

- Zabiłeś te dzieci - powiedziała.

Przez jedną szaloną sekundę myślała, że zaprzeczy - i przez jeszcze bardziej szalony ułamek sekundy była gotowa mu uwierzyć - ale on tylko skinął głową.

- Przecież wiesz.

- I tego chłopaka, studenta.

- Jak na to wpadłaś?

- Kiedy przyszedłam do was z tym moim żalonym spisem, bardzo się starałam odciągnąć moją uwagę od jego śmierci, chociaż wszystko pasowało idealnie: tajemnicza zbrodnia popełniona w lesie, nigdy niewykryty sprawca. A potem przypominałam sobie, że Alicja mówiła coś o narzeczonym i tragicznej historii, więc...

- Skojarzyłaś fakty, rozumiem. Nigdy nie wątpiłem w twoją inteligencję, Mario.

- Dlaczego?

- Dlaczego Łukasz Stopyra musiał umrzeć? To proste: zginął, bo naprawdę był potworem. Och, nie patrz tak na mnie, nie jestem wariatem. Nie trzeba wyglądać jak potwór, żeby nim być, powinnaś o tym wiedzieć. Kiedy Stopyra zaczął interesować się Alą, uruchomiłem swoje kontakty i zebrałem trochę informacji. Mam sporo znajomości jeszcze z czasów studiów, zanim... - Zrobił nieokreślony ruch wolną ręką.

- Czego się dowiedziałeś?

- Że chłopak był dwukrotnie oskarżony o gwałt i za każdym razem ofiara wycofywała oskarżenie. Takich dziewczyn było więcej, tylko nie miały odwagi mówić. Jedna z nich, kiedy Stopyra z nią skończył, weszła do wanny i podcięła sobie żyły. A on nie musiał się bać, bo jego ojciec zajmował wysokie stanowisko w partii i był bogaty. Mógł je wszystkie mieć tak po prostu, ale nie lubił po dobroci, rozumiesz? Lubiał zadawać ból.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

Wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli, nie mogłem ryzykować. Musiałem chronić Alę.

- Nie rozumiem, dlaczego pozwoliłaś, żeby dzieci patrzyły...

Potrząsnął głową.

- One nie tylko patrzyły. Razem to zrobiliśmy, rozumiesz? Razem zabiliśmy potwora. Myślałem, że dzieci zapomną, tak jak ty zapomniałaś, co wydarzyło się w lesie. Przecież wszystko wyglądało tak podobnie. Powiedziałem im, żeby nazywały mnie Kartoflanym Człowiekiem, a potem narysowałem potwora...

- Który wyglądał jak twój ojciec. - Omal się nie zaśmiała, bo na swój sposób to rzeczywiście było zabawne. - Nasz Kartoflany Człowiek.

- Pewnie psycholog miałby na ten temat coś do powiedzenia. - Skrzywił się lekko. - Nieważne, chodzi o to, że oni powinni byli zapomnieć. I rzeczywiście zapomnieli, ale potem Wojtek przyszedł z wizytą i kiedy Ala parzyła herbatę, zaczął się kręcić po domu. Wszedł do mojego pokoju bez pozwolenia jak do obory, a tego nie znoszę. Zgadnij, co było dalej.

- Chciałeś, żeby sobie poszedł, więc go postraszyłeś. Powiedziałeś, że jeśli się nie wyniesie, przyjdzie po niego potwór albo coś w tym rodzaju. Wojtek miał pamięć do twarzy; twój widok plus słowo „potwór” prawdopodobnie sprawiły, że wszystko sobie przypomniał.

- Prawdopodobnie. - Uśmiechnął się, ale oczy nadal miał smutne. - Można powiedzieć, że sam jestem sobie winny, co? Jeden drobny błąd. Skąd mogłem wiedzieć, do czego doprowadzi?

- Dlaczego zaniósłeś ciało Asi na polanę?

- Nie chciałem porzucać jej byle gdzie, to nie byłoby... właściwe. Polana wydawała się dobrym miejscem, spokojnym, a poza tym pomyślałem sobie, że dziewczynka będzie tam miała towarzystwo mojego ojca. Kiedy ją znalazłaś, uznałem to za coś w rodzaju znaku, że jednak pamiętasz, że...

- Że co?

- Że może mogłabyś zrozumieć, dlaczego to wszystko robiłem. Nie jestem złym człowiekiem, Mario, wbrew temu, co pewnie teraz myślisz. A przynajmniej kiedyś nie byłem. Pamiętasz mnie jeszcze z czasów, kiedy byliśmy dziećmi?

- Tak - odpowiedziała, bo wydawało się, że to dla niego ważne, a jej drobne kłamstwo nic nie kosztowało. Można być

uprzejmym, nawet jeśli stoi się twarzą w twarz ze śmiercią. Może zwłaszcza wtedy.

Ale wspomnienia były blade, ledwie uchwytnie. Chłopiec pokazujący jej wielki kopiec mrówek i zdejmujący dla niej z drzewa puste ptasie gniazdo. Jego twarz, gdy pochylał się nad strumieniem i ochlapywał wodą, prychnąc zabawnie, a potem mówił ze śmiechem: „Wystarczy tego mycia, dzisiaj mamy Dzień Dziecka”. Ręka wyciągnięta w ciemności i chwytająca jej rękę.

- Lubiałaś mnie wtedy.

- Tak.

- Ja też cię lubiłem, Mario. Nadal cię lubię. I nie chcę cię skrzywdzić.

- Ale zrobisz to, jeśli będziesz musiał? - Maria wiedziała, że „nie chcę cię skrzywdzić”, nawet trzykrotnie powtórzone, wcale nie zapewni jej bezpieczeństwa.

Piotr pochylił się w jej stronę, jego oczy błyszczały.

- Jestem chory psychicznie, mam na to oficjalne papiery. Żaden sąd mnie nie skarże, jeśli cię teraz zabiję.

Maria zamknęła oczy, zaciskając dłonie na poręczy fotela. Czekala na huk strzału, na ból, kiedy kula będzie przebijać jej czaszkę i wdzierać się do mózgu. Miała nadzieję, że nie potrwa to długo. Piotr wstał; usłyszała jego kroki, kiedy się zbliżał. Potem pochylił się. Był teraz tak blisko, że wciągała w nozdrza jego zapach, woń lekarstw i wody kolońskiej. Bardziej wyczuła, niż usłyszała ruch wokół twarzy. Fala powietrza omiotła jej skórę, a potem w tym samym miejscu poczuła ciepło dłoni, która przesunęła się po policzku. Maria podskoczyła, a Piotr roześmiał się.

- Jednak się mnie boisz - powiedział, kiedy zdezorientowana kobieta otworzyła oczy. - Przepraszam, drań ze mnie. Obiecuję, że więcej nie będę cię straszył. Naprawdę nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Nie zamierzam też przekonywać cię, że może znowu mnie polubisz i że powinniśmy razem uciec. Jeszcze wczoraj wierzyłem, że coś takiego mogłoby się zdarzyć. Ale jestem za bardzo zmęczony, żeby dłużej się oszukiwać, i ty też chyba jesteś zmęczona.

Powoli skinęła głową.

- Co zamierzasz zrobić?

- Chcę, żebyś ty skrzywdziła mnie, rozumiesz?

- Nie.

- Myślę, że rozumiesz. Miałem zamiar zająć się tym sam, ale zabrakło mi odwagi. Nie bój się, to nie będzie takie straszne. Zresztą zrobiłaś to już wcześniej, chociaż pewnie nie pamiętasz.

- Nie. - Wargi miała zdrętwiała, tak że z trudem mówiła, a mimo to nadal nie potrafiła się bać.

Włożył jej pistolet do ręki. Maria poczuła znajomy zimny ciężar, jej palce przesunęły się po lufie i odruchowo objęły rękojeść, tak jak dawno temu uczył ją Kartoflany Człowiek.

- Za drugim razem jest znacznie łatwiej - powiedział łagodnie.

- A za trzecim to już bułka z masłem. Chociaż - uśmiechnął się lekko i tym razem na krótką chwilę uśmiechnęły się także jego oczy - mam nadzieję, że w twoim przypadku trzeciego razu nie będzie.

- Nie zrobię tego.

- Zrobisz, bo inaczej nie pozwolę ci wyjść z tego pokoju. Pomyśl o Asi, Mario. Miała przed sobą całe życie, a ja ją zabiłem. To nie była dobra ani szybka śmierć, nie przygotowałem się tak jak w przypadku Pawła czy Szymka. Po prostu chwyciłem, co akurat wpadło mi w rękę, i uderzyłem. Jeśli czegoś żałuję, to właśnie tego, że tamtego dnia straciłem nad sobą panowanie. Obaj chłopcy musieli zginąć, ale Asia mogłaby żyć. Wciąż mam jej aparat, wiesz o tym?

- Przestań.

- Chciałem go wyrzucić, ale nie wiedziałem gdzie. Każde miejsce wydawało mi się nieodpowiednie. Bałem się, że milicja domyśli się, do kogo należał, i znajdzie moje odciski palców. Teraz technicy potrafią robić cuda, o jakich nie masz pojęcia. Dlatego po prostu schowałem go na dnie szafy.

- Nie wierzę ci.

Przeszedł przez pokój i wrócił z aparatem w rękę. Maria poznała go - to była smiena, którą widziała kilka razy w rękach Asi. Na osłonie dziewczynka przyklepiła naklejkę z Myszką Miki, teraz lekko zabrudzoną czymś brązowym. Maria pośliniła palec

i potarła kreskówkową twarz, ale plama nie chciała zejść.

- Asia umierała długo - powiedział Piotr. - Kiepski ze mnie morderca. Kiedy nie zginęła od pierwszego ciosu, spanikowałem i nie wiedziałem, co robić. Patrzyłem na nią, a ona mówiła. Uderzenie musiało uszkodzić coś w jej mózgu, bo to był nieprzerwany potok słów, nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Większość nie miała sensu, ale zrozumiałem, że chciała napisać o mnie scenariusz i chyba sama zagrać w tym filmie. I tak nic by z tego nie było, wiesz? Nawet gdyby przeżyła, pewnie już nigdy nie byłaby normalna. Dlatego może to i dobrze, że w końcu ją dobiłem. To była prawdziwa łaska.

17

- Zostań z nią - rzucił Bogusz, wyskakując z auta.

Beata patrzyła, jak biegnie przez ogród w stronę drzwi. Siedząca z tyłu Alicja pochyliła się i zasłoniła twarz rękami, tak że sierżant w lusterku widziała tylko swobodnie opadające złotorude włosy. Nie była pewna, czy dziewczyna płacze, czy tylko nie chce patrzeć na to, co za chwilę się stanie.

Porucznik szarpnął za klamkę - drzwi okazały się otwarte. Gdy zniknął w głębi domu, z wnętrza dobiegł odgłos strzału, doskonale słyszalny w zimowej ciszy.

Epilog

Kwiecień 1985 roku

Maria usiadła na schodach, jeszcze trochę wilgotnych po wiosennym deszczu, i wystawiła twarz do słońca. Gdyby żyła jej ciotka, prawdopodobnie powiedziałaby, że to bardzo niezdrowo siedzieć na mokrym kamieniu. Lecz Emilii Orawskiej już nie było, a Maria po raz pierwszy czuła, że i dom, i ona sama są wolni od obecności tego uporczywego ducha.

Pirat wynurzył się z krzaków cały obsypany białymi płatkami i lekko wskoczył na stopień obok Marii. Kobieta pogłaskała go, zdejmując przy okazji z ucha strzępy mokrej pajęczyny. Kot miauknął i zabrał się za wyлизywanie zmierzwionego futra.

Zamknęła oczy. Pod powiekami wykwitwały pomarańczowe i czerwone powidoki słonecznego światła, ciepłe podmuchy wiatru niosły woń odsłoniętych przez śnieg zbutwiałych liści i roślin, na których wyrastały pierwsze wiosenne kwiaty. Tylko niedaleki las wciąż pachniał cieniem i zimą, ale o lesie Maria starała się nie pamiętać - tak samo jak starała się nie pamiętać o chłopcu, którego dawno temu tam spotkała. I o mężczyźnie, który z tego chłopca wyrósł. Lecz wspomnienia i tak wracały, a razem z nimi pytania, na które nie знаła odpowiedzi.

Kiedy Piotr postanowił, że Łukasz Stopyra musi umrzeć? W dzień, gdy chłopak po raz pierwszy przyszedł do szkoły, żeby pomagać przy organizacji półkolonii i zbliżyć się do Ali, czy może wcześniej lub później? Tamtego pierwszego dnia Piotr powiedział swoim podopiecznym, żeby nazywali go Kartoflanym Człowiekiem, a potem narysował potwora wyglądającego jak jego ojciec. Dla porucznika Bogusza miało to cechy premedytacji, dla Marii wyglądało bardziej jak zaklinanie rzeczywistości, jakby Piotr odprawiał magiczny rytuał mający

przywołać przeszłość.

Dawno temu w lesie z ręki dziecka zginął potwór i teraz miało zdarzyć się to samo. To nie był żaden wyrafinowany morderczy plan, raczej... strzał w ciemno, liczenie na łut szczęścia. Piotr musiał tylko w odpowiedniej chwili dać jednemu z dzieci prawdziwy pistolet zamiast zabawki. A może zrobił jeszcze mniej, może zwyczajnie położył walthera w miejscu, gdzie Wojtek i reszta trzymali broń na kapiszony? Kto w razie wpadki zdołałby mu udowodnić, że zrobił to specjalnie, że pistolet w ogóle należał do niego? O tym, że miał w domu pamiątkę z wojny, wiedziała przecież tylko Alicja. Przy odrobinie szczęścia wszystko potoczyłoby się jak w 1955 roku. W lesie zostaje zabity człowiek, a dzieci albo opowiadają o tym i nikt im nie wierzy, albo zapominają pod wpływem szoku, tak jak zapomniała Maria. A jeśli Piotrowi udałoby się odpowiednio wcześniej usunąć pistolet z miejsca zbrodni, milicja w żaden sposób nie skojarzyłaby brutalnego zabójstwa z dziecięcą zabawą.

Przy odrobinie szczęścia Piotrowi udałoby się popełnić morderstwo prawie doskonale bez brudzenia sobie rąk.

Problem w tym, że właśnie szczęścia mu zabrakło. Bawiące się dzieci zraniły Stopyrę, lecz go nie zabiły, i kiedy Piotr zjawił się w lesie, zastał tam grupę oszołomionych, przerażonych maluchów i krwawiącego mężczyznę. Może Stopyra domyślił się, że to nie wypadek - podobno był inteligentnym chłopakiem - może groził Piotrowi, że jeszcze się z nim policzy. Tak czy inaczej, Piotr uznał, że nie ma innego wyjścia, jak tylko Stopyrę dobić. Tu nie było miejsca na wątpliwości. Dwie pierwsze kule mogły zostać wystrzelone w zabawie przez sześciolatka, ale ostatni śmiertelny i precyzyjny strzał w głowę oddał ktoś, kto doskonale wiedział, co robi. To zdejmowało ciężar winy z Blanki, a także pozostałych, nieżyjących już dzieci.

„Łaska”, pomyślała Maria gorzko. Ona sama nie mogła jej dostąpić, bo o ile wydarzenia z 1977 roku były mniej więcej jasne, o tyle w przypadku tych wcześniejszych, sprzed trzydziestu lat, musiała opierać się na tym, co powiedział jej Piotr.

A Piotr twierdził, że Maria zabiła Kartoflanego Człowieka. W czasie procesu tę kwestię pomijano, jakby wszyscy milcząco uznali, że to i tak nie ma już znaczenia, a poza tym nie warto przysparzać Marii dalszych problemów. Lecz ona nie potrafiła zapomnieć. Piotr mógł kłamać, tłumaczyła sobie każdego dnia, ale wiedziała też, że nigdy nie pozbędzie się wątpliwości.

Zacisnęła mocniej powieki. Nie chciała myśleć o mężczyźnie, który w upalny sierpniowy dzień uspokaja grupę wystraszonych dzieci, tłumaczy im, że właśnie zabili potwora i teraz to będzie ich wspólna tajemnica. Nie chciała myśleć o wszystkich „gdyby”. Gdyby Ala nie zaprosiła Wojtka do domu, a on nie spotkał Piotra i nie przypomniał sobie, co stało się w lesie. Gdyby Alicja nie opowiedziała bratu o rysunkach Wojtka i o tym, że Rysiek Stenzel zamierza wystawić je na Dniach Miasta. Zastanawiała się, czy na tych obrazkach rzeczywiście było coś, co mogłoby sprawić, że także pozostałym dzieciom odblokuje się pamięć. Może tak, a może nie. Tego już nigdy się nie dowiedzą. Możliwe, że dwie osoby zginęły z powodu rysunków, na których Wojtek namalował po prostu bawiącą się w lesie grupę przyjaciół. Nie chciała myśleć o Asi, która nie miała nic wspólnego z zabawą w zabijanie potwora - jej jedyną winą było to, że zamierzała zrobić potworowi zdjęcie.

Furtka skrzypnęła i Maria otworzyła oczy. Ścieżką szła w jej stronę Alicja, urocza w lekkim żalobnym sweterku i czarnej spódnicy do kolan.

- Mogę na chwilę? - zagadnęła, przystając niepewnie.

- Nigdy wcześniej nie pytałaś. - Maria odsunęła się, robiąc jej miejsce.

- Unikałaś mnie. - Ala usiadła obok. - I słyszałam, że wyjeżdżasz.

- Tak.

- Dokąd?

- Nad morze, mam tam dalekich krewnych. Może to wystarczy, a może nie.

- Zabierasz go ze sobą? - Alicja skinęła w stronę Pirata, który zaczajony w trawie polował na jakiegoś owada.

- Tak, chociaż nie wiem, jak znieśie podróż. Jestem już

spakowana, za cztery godziny mam pociąg.

- Zdążyłam w ostatniej chwili, co? A dom? Zamierzasz go sprzedać?

- Na razie nie. Potem się zobaczy.

Alicja kiwnęła głową i przez chwilę siedziały w milczeniu. To było absurdalne, ale Maria wciąż mimo wszystko dobrze się w jej towarzystwie czuła.

Młodsza kobieta poprawiła spódnicę na kolanach.

- Nie mam do ciebie żalu - powiedziała niepewnie. - Wiem, że musiałas to zrobić.

Maria pomyślała o procesie, przez który przeszła. Obrona własna, tak to nazwali, bo nikomu nie przyszło do głowy, że mogłoby chodzić o coś innego. Adwokat niemal włożył jej w usta właściwe słowa, a ona tylko musiała potwierdzić - i potwierdziła, ponieważ to było najłatwiejsze, ponieważ nie miała siły na nic innego. Jak wcześniej, kiedy nacisnęła spust.

„Za drugim razem jest łatwiej - powiedział Piptr. - A za trzecim to właściwie bułka z masłem”.

Chciałaby, żeby dręczyły ją wyrzuty sumienia. Wtedy przynajmniej miałyby pewność, że wciąż żyje.

- Czy istnieje jakaś szansa... - Ala urwała niepewnie.

- Żebyśmy znów były przyjaciółkami? - dokończyła Maria, a młodsza kobieta wzruszyła ramionami.

- Ja nie mam nikogo, ty też nie. Poza tym dobrze się dogadywałyśmy, prawda?

Nie mogła zaprzeczyć. Tamtego dnia, kiedy bawiły się w detektywów i uciekały przed matką Sabiny, przez krótki jak mrugnięcie moment potrafiła być szczęśliwa. Lecz to nie miało znaczenia, nie po tym, jak zobaczyła Alicję na sali sądowej, zapłakaną i pełną poczucia winy.

„Tak - chlipała - nie przyznałam się do znajomości z Łukaszem, ale to dla mnie bolesny temat. Bardzo przeżyłam jego śmierć i kiedy milicja zaczęła mnie wypytywać, okropnie się zdenerwowałam”. „Nie, nie wiedziałam, co robi mój brat. Zgodziłam się tylko ukraść rysunki z domu Ryszarda Stenzela i o nic nie pytałam”.

Bywały chwile, kiedy niemal Ali współczuła. Niemal, bo

przecież pamiętała o oknie, które podobno rozbiły śnieżką dokazujące dzieciaki, i o ranie na dłoni przyjaciółki. Rzeczy, które wcześniej nie miały sensu, nagle go nabrały.

- Co o tym myślisz? Mamy jeszcze szansę?

Maria potrząsnęła głową.

- Chyba nie.

- Ponieważ zostawiłam cię wtedy z Piotrem?

- Ponieważ wiedziałas znacznie wcześniej, że twój brat jest mordercą.

Alicja przygryzła wargę.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że dzieci rozbiły wam śnieżką okno, a ty skaleczyłaś się o szkło? Prawdopodobna historia, tylko że tamtego dnia śnieg był zbyt zmrożony, żeby lepić z niego kulki, a to okno jest daleko z tyłu domu, gdzie z pewnością nie bawiły się żadne dzieci. Co się naprawdę stało tamtego wieczoru? Asia włamała się, żeby zrobić zdjęcie potwora, rozbiła szybę i weszła do środka, rozcinając przy tym rękaw swetra? Piotr ją zobaczył i wpadł we wściekłość, a ty natknęłaś się na martwą dziewczynkę?

- Kiedy wróciłam, już jej nie było - powiedziała cicho Alicja. - Zauważyłam rozbitą szybę i skaleczyłam się o odłamek. A potem znalazłam kurtkę i plecak Asi schowane w krzakach przy domu.

- Zdjęła je, żeby łatwiej przejść przez okno - domyśliła się Maria.

Ala przytaknęła.

- Trafiłam na te rzeczy, kiedy milicja opublikowała ich opis, i wtedy oczywiście już wiedziałam. Piotr się przyznał, a ja... sama nie wiem. Co byś zrobiła na moim miejscu? Piotr był moim bratem, jedynym krewnym, jakiego miałam. Nie mogłam tak po prostu go wydać.

- Dlatego sama wyrzuciłaś ubrania i plecak do śmietnika. - To nie było pytanie, tylko twierdzenie. - Ludzie sugerują się tym, co słyszą, i jeśli świadek mówi o nastolatce, nikt nie myśli o nauczycielce, ale ty przecież wyglądasz bardzo młodo, zwłaszcza z daleka.

- Dzięki. - Ala roześmiała się pogodnie.

Naprawdę to zrobiła i w jej głosie nie było ani odrobiny goryczy, aż Marii ścisnęło się serce. Dopiero po chwili dziewczyna ucichła zakłopotana.

- Możesz w to nie wierzyć, ale ani ja, ani Piotr nigdy nie chcieliśmy zrobić ci krzywdy. Piotr cię kochał, może nawet bardziej niż mnie.

- Daj spokój.

- To prawda. Przez całe życie byłam tylko zastępstwem dla ciebie, tamtej dziewczynki, którą opiekował się w lesie. Myślałam nawet...

- Że będziemy jedną szczęśliwą rodziną?

- Chyba tak - przyznała Ala. - Teraz to się wydaje głupie, ale wtedy... Mniejsza z tym. Chciałabym, żebyśmy przynajmniej od czasu do czasu ze sobą rozmawiały, zachowały jakiś kontakt. Dasz się przekonać? Czy nie wybaczysz mi tego, że cię okłamałam?

- Nie chodzi nawet o kłamstwo, bardziej o to, jak kłamałaś. Jesteś świetną aktorką: kiedy wspomniałaś o Łukaszu, głos ci nawet nie drgnął. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek mogła zaufać komuś, kto kłamie tak doskonale. Może wiedziałaś o Piotrze jeszcze wcześniej, może to właśnie ty go namówiłaś, żeby zabił Pawła i pozostałych. Nigdy nie będę mieć pewności, prawda?

Alicja westchnęła.

- W porządku, przyjmuję argument. Powinam teraz sobie pójść?

- Możesz zostać, jeśli chcesz.

- Dopóki nie wyjedziesz?

- Dopóki nie wyjadę.

Dziewczyna rozsiadła się wygodnie, podciągając kolana pod brodę. Patrzyła na bawiącego się kota, a Maria patrzyła na nią, jasnowłosą i śliczną. Dwie kobiety odpoczywające w słońcu - jedna, która dawno temu zgubiła się w lesie i nie potrafiła odnaleźć drogi z powrotem, i druga, która jak jej imienniczka przeszła na drugą stronę lustra, by nigdy stamtąd nie wrócić.

Rok 1955. W lesie odnaleziona zostaje sześćioletnia Marysia, która zaginęła tydzień wcześniej. Dziewczynka jest pokryta warstwą zaschniętej krwi. Jak udało jej się przetrwać? Czy ktoś jej pomógł? Co się wydarzyło? Marysia nic nie pamięta. Jej ciotka mówi, że czasem zapomnieć to łaska.

Rok 1985. Maria jest już dorosła, ale tajemnica sprzed lat nadal kładzie się cieniem na jej życiu. Kobieta pracuje jako nauczycielka w szkole podstawowej. Pewnego dnia nastoletni uczeń zamiast kartkówki oddaje jej rysunek przedstawiający czworo dzieci i Kartoflanego Człowieka. Prosi ją o pomoc. Wkrótce zostaje znaleziony w miejskim parku powieszony na gałęzi.

Pojawiają się kolejne ofiary. Milicja rozpoczyna wyścig z czasem, aby schwycić niebezpiecznego mordercę. Tymczasem Maria prowadzi własne śledztwo. Ma przeczucie, że rozwiązanie zagadki kryje się głęboko w jej pamięci...

Powieść Kańtoch jest jak zamrożone jezioro: pozornie piękne i spokojne, ale kiedy potrzeć taflę rękawem, pod lodem widać przerażające rzeczy. Najbardziej mroczny kryminał ostatnich lat!

Marta Guzowska

Anna Kańtoch (ur. 1976) – z wykształcenia orientalistka, autorka książek fantasy dla dorosłych i młodzieży. Pięciokrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, w 2013 roku wyróżniona także Nagrodą Literacką im. Jerzego Żuławskiego. *Łaska* to jej pierwsza książka pozbawiona elementów fantastycznych.

 GILDIA.PL



Tytuł jest dostępny w sprzedaży również w formie e-booka w formatach EPUB oraz MOBI.



Cena 34,90 zł
(cena zawiera VAT)

